

Orson Scott Card

PAMIĘĆ ZIEMI





Objaśnienia genealogiczne

Z powodu zwyczajów małżeńskich panujących w mieście Basilika związki pokrewieństwa są nieco zawiłe. Poniższe tablice genealogiczne dadzą jaśniejszy ich obraz. Imiona kobiet są pisane kursywą.

RODZINA WETCHIKA



RODZINA RASY



SIOSTRZENICE RASY (jej wzorowe uczennice, „zaadoptowane” poprzez udzielanie im stałego poparcia finansowego)

Shedemei *Lal* *Eiadh* *Hushidh* i *Luet* (siostry)



Imiona zdrobniałe

Większość imion posiada zdrobnienia lub formy poufale. Przykładowo bliski krewny, dobrzy przyjaciele, obecna partnerka i poprzednie partnerki Gaballufixa mogliby go nazywać Gabya. Poniżej wyszczególniono inne imiona zdrobniałe (ponieważ są obce, imiona kobiece napisano kursywą):

Dhelembuvex - Dhel Lal
- Lalya Drotik - Dorya
Eiadh - Edhya Elemak -
Elya Hosni - Hosya
Hushidh - Shuya Issib -
Issya Kokor - Koya Luet
*- Luty*a Mebbekew -
Meb Nafai - Nyef

Obring - Briya
Rasa - (nie ma zdrobnienia)
Rashgallivak - Rash
Roptat - Rop
*Sevet - Sevy*a
*Shedemei - Shedy*a
*Truzhnisha - Truzhy*a
Vas - Vasya
Volemak - Volya
Wetchik - (nie ma zdrobnienia;
tytuł rodziny Volemaka)
Zdorab - Zodya

Wymowa imion

Przy czytaniu niniejszej opowieści po cichu nie ma większego znaczenia, czy czytelnik wymawia imiona bohaterów poprawnie. Ale dla zainteresowanych podano kilka informacji dotyczących wymowy imion.

Zasady tworzenia samogłosek w języku Basiliki wymagają, aby w większości rzeczowników, włącznie z imionami, przynajmniej jedną samogłoskę wymawiać z wiodącą spółgłoską ;'. W imionach może to być prawie każda samogłoska i mówiący może ją zmieniać - bez uszczerbku dla poprawności językowej - zgodnie ze swoimi upodobaniami. Dlatego imię Gaballufix można wymawiać Gja-BA-lu-fiks albo Ga-BA-lju-fiks; tak się składa, że sam Gaballufix preferował wymowę Ga-BJA-lu-fiks, i oczywiście większość ludzi stosowała właśnie tę formę.

Dhelembuvex (del-EM-bju-
-weks)

Lal (LJAL)

Drotik (DROT-jik)

Eiadh (EJ-jad)

Elemak (EL-je-mak)

Hosni (HJOŻ-ni)

Hushidh (HJU-szid)

Issib (IS-jib)

Kokor (KJO-kor)

Luet (LJU-et)

Mebbekew (MEB-bek-kju)

Nafai (NJA-faj)

Obring (OB-rjing)

Rasa (RAZ-ja)

Rashgallivak (rasz-GJA-
-li-wak)

Roptat (ROŁP-tjat)

Sevet (SEW-jet)

Shedemei (SZJED-e-mej)

Truzhnisha (truż-NJI-
-sza)

Vas (WJAS)

Volemak (WOL-je-mak)

Wetchik (ŁET-czjik)

Zdorab (ZDOR-jab)

Prolog

Główny komputer planety Harmonia bał się, lecz zupełnie inaczej niż człowiek - nie miał lepkich dłoni, nie miał wyschniętych ust i nie ścisnęło go w dołku. Był jedynie maszyną bez ruchomych części, moc czerpał ze słońca, a dane ze swoich satelitów, swojej pamięci i umysłów pół miliarda istot ludzkich. Mimo to doznawał pewnego rodzaju strachu, wyczuwał, że wszystko wymyka mu się spod kontroli, że już nie jest w stanie wpływać na świat tak jak dotychczas.

Krótko mówiąc, czuł strach przed śmiercią. Nie własną śmiercią, gdyż główny komputer nie miał jaźni i w ogóle nie dbał o to, czy będzie dalej istniał. Natomiast miał misję, którą mu zaprogramowano wiele milionów lat wcześniej, polegającą na opiekowaniu się ludzkością na tym świecie. Wiedział ponad wszelką wątpliwość - potwierdzały to wszystkie ekstrapolacje, które potrafił przeprowadzić - że jeśli osłabnie do tego stopnia, iż nie będzie mógł dłużej wypełniać swojej misji, to za kilka tysięcy lat ludzkość ponownie stanie w obliczu jedyne go wroga zdolnego ją unicestwić: samej siebie, wyposażonej w broń, za pomocą której będzie można zniszczyć całą planetę.

Teraz nadeszła odpowiednia pora, zdecydował główny komputer. Muszę działać w tej chwili, póki mam jeszcze jakiś wpływ na ten świat, albo kolejny świat znów umrze.

Główny komputer nie miał jednak pojęcia, jak działać. Jednym z objawów jego upadku była dezorientacja, która uniemożliwiała podjęcie decyzji. Maszyna nie mogła ufać własnym wnioskom. Potrzebowała przewodnika. Niezbędne jej były wyjaśnienia, wymagała przeprogramowania, może nawet wymiany

na maszynę bardziej rozwiniętą, lepiej umiejącą sobie radzić z nowymi wyzwaniami, w obliczu których stawała ludzkość.

Szkopuł jednak tkwił w tym, że istniało tylko jedno miarodajne źródło rady, któremu główny komputer mógł zaufać, lecz znajdowało się tak daleko, że Naddusza musiałby się tam udać. Kiedyś mógł się przemieszczać, ale to było czterdzieści milionów lat temu, a procesowi zniszczenia uległo nawet pole konserwujące. Naddusza nie mógł sam podjąć poszukiwań. Potrzebował pomocy ludzi.

Przez dwa tygodnie przeszukiwał swoje olbrzymie bazy danych, oceniając potencjalną przydatność każdego żyjącego człowieka. Większość ludzi była albo zbyt głupia, albo ich umysły nie były podatne na wpływ Nadduszy; z tych, którzy jeszcze mogli odbierać bezpośrednio przekazy głównego komputera, tylko kilku miało możliwość zrobić to, co trzeba.

W ten sposób główny komputer skierował uwagę na garstkę ludzi w starożytnym mieście Basilika. W ciemnościach nocy, kiedy jeden z najbardziej niezawodnych satelitów głównego komputera przeleciał w górze, maszyna przystąpiła do pracy, wysyłając za pośrednictwem wiązki fal nieprzerwany strumień informacji i instrukcji do tych, którzy mogli się okazać pomocni w ocaleniu świata zwanego Harmonią.

Dom ojca

Nafai obudził się przed świtem na macie w domu swojego ojca. Ponieważ miał czternaście lat, nie wolno mu już było spać w domu matki. Żadna szanująca się kobieta w Basilice nie oddałaby swojej córki do domu Rasy, gdyby mieszkał w nim czternastoletni chłopiec - zwłaszcza iż Nafai w wieku dwunastu lat zaczął szybko rosnąć i nic nie wskazywało na to, że wkrótce przestanie, chociaż mierzył już prawie dwa metry.

Nie dalej niż wczoraj podслуchał rozmowę matki z przyjaciółką Dhelembuvex.

- Ludzie zaczynają się zastanawiać, kiedy zamierzasz zna leżć dla niego cioteczkę - powiedziała Dhel.

- Jest jeszcze bardzo młody - stwierdziła matka.

Dhel wybuchnęła śmiechem.

-Raso, moja droga, czy aż tak bardzo boisz się starości? Czemu nie chcesz przyznać, że twoje dziecko to już mężczyzna?

-To nie strach przed starością - zaprzeczyła matka. - Będzie miał dość czasu na cioteczki, partnerki i cały ten kram, kiedy sam zacznie o tym myśleć.

-On już o tym myśli - powiedziała Dhel. - Po prostu z tobą o tym nie rozmawia.

To była prawda; Nafai, usłyszawszy to wówczas, oblał się rumieńcem i kiedy teraz przypominał to sobie, znów się

zarumienił. Skąd Dhel wiedziała, że tak często myśli o tym „kramie”, skoro tamtego dnia widziała go tylko przez chwilę? Czy dostrzegła u niego jakieś wyraźne oznaki?

Po prostu dorastam, pomyślał Nafai. Wiedziała o tym, ponieważ zna mężczyzn. Wszyscy chłopcy zaczynają o tym myśleć mniej więcej w moim wieku. Każdy może wskazać na młodzieńca, który mierzy prawie dwa metry, lecz nie ma jeszcze zarostu, i powiedzieć: „Ten chłopiec myśli teraz o seksie”, i zwykle będzie miał rację.

Ale ja nie jestem taki jak wszyscy. Kiedy słyszę rozmowy Mebbekewa z kolegami, robi mi się niedobrze. Nie podoba mi się myślenie o kobietach w taki prymitywny sposób, ocenianie ich jak kłaczy, żeby zdecydować, do czego mogą się nadawać. Zwierzę juczne czy wierzchowiec? Czy chodzi stępa, czy można na niej cwałować? Czy mam ją trzymać w stajni, czy wyprowadzać, żeby pokazać przyjaciółom?

Nafai wcale tak nie myślał o kobietach. Może dlatego, że jeszcze chodził do szkoły i codziennie rozmawiał z kobietami o sprawach intelektualnych. Kocham Eiadh nie dlatego, że jest najpiękniejszą dziewczyną w Basilice i wobec tego prawdopodobnie na całym świecie, uświadomił sobie. Kocham ją, ponieważ możemy porozmawiać ze sobą, podoba mi się sposób jej myślenia, brzmienie głosu, to, jak unosi głowę, żeby wysłuchać poglądu, z którym się nie zgadza, a także i to, jak kładzie swoją rękę na mojej, kiedy próbuje mnie przekonać.

Nagle uprzytomnił sobie, że za oknem niebo zaczyna się rozjaśniać, a on leży w łóżku i marzy o Eiadh, a gdyby miał choć trochę rozumu, toby wstał, poszedł do miasta i zobaczył ją we własnej osobie.

Niezwłocznie przystąpił do działania. Podniósł się, uklęknął obok maty i klepnął się w nagie uda oraz klatkę piersiową, ofiarowując ból Nadduszy, po czym zrolował posłanie i schował je do skrzyni w kącie. Właściwie nie potrzebuję maty, pomyślał. Gdybym był prawdziwym mężczyzną, mógłbym spać na podłodze. W ten sposób stanę się taki twardy i umięśniony jak ojciec. Jak Elemak. Dziś wieczorem nie skorzystam z maty.

Wyszedł na podwórze i podszedł do zbiornika z wodą. Zanurzył ręce w małej umywalce, zwilżył mydło i roztarł je na całym

ciele. Powietrze było chłodne, a woda jeszcze zimniejsza, ale on udawał, że tego nie zauważa, dopóki się nie namydlił. Wiedział, że ten ziąb jest niczym w porównaniu z tym, co nastąpi za chwilę. Stał pod prysznicem i wyciągnął rękę do sznurka - a potem się zawahał, zbierając wszystkie siły, żeby dzielnie znieść cierpienie, którego miał za chwilę doświadczyć.

- Po prostu pociągnij - usłyszał głos Issiba.

Spojrzał w kierunku pokoju brata. Issib unosił się w powietrzu tuż przed wejściem.

- Tobie łatwo tak mówić - odpowiedział mu Nafai.

Kaleki brat nie mógł korzystać z prysznica; jego lewiterów nie wolno było zamoczyć. Tak więc co wieczór jeden ze służących zdejmował mu lewiterę i go kąpał.

-Boisz się zimnej wody jak małe dziecko - ciągnął Issib.

-Przypomnij mi, żebym przy kolacji przyłożył ci lód do karku - odparował Nafai.

-Ponieważ obudziłeś mnie swoją trzęsionką i dzwonieniem zębami...

-Byłem zupełnie cicho!

-Postanowiłem pójść z tobą dzisiaj do miasta.

-Doskonale. Doskonale jak w karnawale.

-Czy chcesz, żeby mydło na tobie zaschło? Dodaje twojej skórze uroczej bieli, ale po kilku godzinach może zacząć swędzieć.

Nafai pociągnął za sznurek.

Lodowato zimna woda wylała się na niego ze zbiornika niczym wodospad. Nafai sapnął - uderzenie wody zawsze wywoływało wstrząs - a potem pochylał się, odwracał, skręcał i pryskał wodą w każdy zakamarek ciała, żeby spłukać mydło. Miał tylko pół minuty na to, żeby się dokładnie opłukać, zanim woda przestanie płynąć z prysznica, a gdyby nie zdążył tego zrobić, musiałby albo przez cały dzień chodzić z zaschniętym mydłem

- a skóra rzeczywiście od tego swędziała jak od ukąszenia tysiąca pcheł - albo poczekać kilka minut, odmrażając sobie przy tym tyłek, aż mały zbiornik prysznica napelni się ponownie z dużego zbiornika wodnego. Żadna z tych dwóch perspektyw nie była wcale zabawna, więc już dawno temu Nafai nabrał takiej wprawy, że był zawsze czysty, zanim woda przestawała lecieć.

- Uwielbiam oglądać ten twój taniec - powiedział Issib.

-Taniec?

-Przechyłasz się w lewo, opłukujesz prawą pachę, przechyłasz się w drugą stronę, myjesz lewą pachę, pochyłasz się do przodu i rozszerzasz pośladki, żeby opłukać tyłek, odchyłasz się do tyłu...

-W porządku, kapuję.

-Mówię poważnie, uważam, że to wspaniałe przedstawionko. Powinieneś je pokazać kierownikowi Amfiteatru. Albo nawet Orchestry. Zostałbyś gwiazdą.

-Czternastolatek tańczący nago pod strumieniem wody - powiedział Nafai. - Sądzę, że pokazałoby to w innego rodzaju teatrze.

-Ale i tak w Dolinie Lalek! Byłbyś przebojem w Dolinie Lalek!

Nafai wytarł się już ręcznikiem do sucha - z wyjątkiem włosów, które nadal były mokre i lodowato zimne. Kiedy ubierał się i rozcierał ciało, żeby się rozgrzać, miał ochotę pobiec do swojego pokoju, tak jak to robił w dzieciństwie, papiąc nonsensowne słowa - „uga-buga luga-buga” należały do jego ulubionych. Ale teraz czuł się już mężczyzną i była dopiero jesień, a nie zima, więc zmusił się, żeby iść do swojego pokoju wolnym krokiem. I dlatego znajdował się jeszcze na podwórzu, nagusienki i zimny jak lód, kiedy Elemak wszedł przez bramę.

-Sto dwadzieścia osiem dni! - ryknął.

-Elemak! - zawołał Issib. - Wróciłeś!

-Podziękowania za to nie należą się rozbójnikom na wzgórzach - oświadczył Elemak. Poszedł prosto do prysznicy, rozbierając się po drodze. - Napadli na nas zaledwie dwa dni temu, o wiele za blisko Basiliki. Tym razem chyba zabiliśmy jednego.

-Nie jesteś tego pewien? - zapytał Nafai.

-Oczywiście użyłem pulsatora.

Oczywiście? - zdumiał się Nafai. Używać broni myśliwskiej przeciwko człowiekowi?

- Widziałem, jak pada, ale nie miałem zamiaru wracać i sprawdzać, więc może tylko potknął się i upadł dokładnie w chwili, kiedy wystrzeliłem.

Elemak pociągnął za sznurek prysznicy, zanim się namydlił. Gdy woda trysnęła na niego, wrzasnął, a potem wykonał

własny taniec, potrząsając głową i rozbryzgując wodę po całym podwórzu, jednocześnie paplając „uga-buga luga-buga” jak małe dziecko.

On mógł się tak zachowywać. Miał dwadzieścia cztery lata, dopiero co przyprowadził bezpiecznie swoją karawanę z wyprawy mającej na celu zakup egzotycznych roślin w położonym w dżungli mieście Tishchetno - po raz pierwszy od wielu lat ktoś z Basiliki zapuścił się w tamten rejon - a po drodze może nawet zabił rozbójnika. Nikt nie mógł myśleć o Elemaku inaczej niż jak o mężczyźnie. Nafai znał zasady: kiedy mężczyzna zachowuje się jak dziecko, jego zachowanie jest chłopięce i wszyscy są zachwyceni; kiedy chłopiec zachowuje się w ten sam sposób, jego zachowanie jest infantylne i wszyscy mu mówią, żeby wydorósł.

Teraz Elemak namydlał swoje ciało. Nafai - nadal zziębnięty, nawet pomimo rąk złożonych na piersi - miał już iść do swojego pokoju, kiedy Elemak się odezwał:

-Urosłeś od mojego wyjazdu, Nyef.

-Tak to ze mną ostatnio jest.

-To ci pasuje. Robisz się niezłe umięśniony. Nabierasz wszystkich pozytywnych cech ojca. Masz jednak twarz swojej matki.

Nafaiowi podobał się ton aprobaty w głosie Elemaka, ale wystawanie tam nago jak dudek, podczas gdy brat go oceniał, było również w jakiś nieokreślony sposób upokarzające.

Issib oczywiście tylko pogorszył sprawę.

-Na szczęście ma najważniejszą cechę ojca - dodał.

-Cóż, wszyscy ją mamy - stwierdził Elemak. - Wszystkie jego dzieci są płci męskiej. Przynajmniej wszystkie, o których wiemy.

Wybuchnął śmiechem.

Nafai nie znośli, kiedy Elemak mówił w ten sposób o ojcu. Wszyscy wiedzieli, że ojciec jest cnotliwy, sypia jedynie ze swoją legalną partnerką. A przez ostatnie piętnaście lat tą partnerką była Rasa, matka Nafaia i Issiba, która co roku odnawiała z nim kontrakt. Był taki wierny, że kobiety zrezygnowały z odwiedzania go i napomykania, że będą do wzięcia, kiedy jego kontrakt wygaśnie. Oczywiście matka była równie wierna, a mimo to mnóstwo

mężczyzn obsypywało ją prezentami i robiło aluzje - ale tacy właśnie byli niektórzy mężczyźni: wierność nęciła ich bardziej niż rozwiązłość, jak gdyby Rasa pozostawała wierna Wetchikowi tylko po to, żeby zachęcać zalotników do starań o nią. Partnerstwo z Rasą oznaczało również wspólne posiadanie domu, uważanego przez niektórych za najpiękniejszy, oraz widoku, który wszyscy bezsprzecznie uznawali za najpiękniejszy w Basilice. Ja nigdy bym nie wziął za partnerkę kobiety tylko z powodu jej domu, pomyślał Nafai.

-Zwariowałeś czy co? - odezwał się Elemak.

-O co chodzi? - zapytał Nafai.

-Zimno tu jak wszyscy diabli, a ty stoisz goły i mokry.

-Tak... - Nafai nie pobiegł jednak do swojego pokoju, bo to by było przyznanie się do tego, że zimno mu dokucza. Tak więc po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko do Elemaka i powiedział: - Witaj w domu.

-Nie popisuj się tak, Nyef. Wiem, że umierasz z zimna. Kurczą ci się zwisające części ciała.

Nafai poszedł wolnym krokiem do pokoju. Włożył spodnie i koszulę. Naprawdę trapiło go to, że Elemak zawsze odgadywał jego myśli. Elemakowi nigdy nie przyszło do głowy, że może Nafai nie odczuwa chłodu, gdyż jest zahartowany i męski. Nie, Elemak zawsze zakładał, że jeśli Nafai postępował po męsku, było to tylko pozerstwo. Oczywiście to było pozerstwo, więc Elemak miał rację, ale ten fakt jeszcze bardziej Nafaia irytował. W jaki sposób mężczyźni nabierają męskości, jeśli nie przez udawanie, że nimi są, aż w końcu wchodzi im to w nawyk i staje się cechą osobowości? A poza tym nie było to całkowite pozerstwo. Przez chwilę, widząc Elemaka z powrotem w domu, słysząc, jak mówi o przypuszczalnym zabiciu człowieka podczas podróży, Nafai zapominał, że jest mu zimno, zapominał o wszystkim.

W wejściu pojawił się cień. Był to Issib.

-Nie powinieneś mu pozwalać, żeby tak cię trafiał w czułe miejsca, Nafaiu.

-O co ci chodzi?

-O to, że wprawia cię w złość. Kiedy ci docina. Nafai był autentycznie zaskoczony.

-O jaką złość ci chodzi? Nie byłem rozzłoszczony.

-Kiedy zażartował, że tak ci zimno - wyjaśnił Issib - myślałem, że podejdziesz do niego i walniesz go w głowę.

-Ale ja nie byłem wściekły.

-A więc naprawdę jesteś psychicznie chory, mój chłopcze - zawyrokował Issib. - Ja myślałem, że jesteś wściekły. On myślał, że jesteś wściekły. I tak samo myślał Naddusza.

-Naddusza wie, że wcale nie byłem rozzłoszczony.

-A więc naucz się panować nad wyrazem swojej twarzy, bo wygląda na to, że widać na niej uczucia, których nie doznajesz. Gdy tylko się odwróciłeś, dźgnął palcem w twoim kierunku. Myślał, że jesteś wściekły.

Issib oddalił się, unosząc się w powietrzu. Nafai włożył sandały i zawiązał rzemyki na krzyż na nogawkach. Modne wśród młodych ludzi w Basilice było noszenie długich rzemyków aż do ud i związywanie ich tuż pod kroczeniem, ale Nafai swoje skrócił i nosił do wysokości kolan, jak prawdziwy robotnik. Gruby skórzany węzeł między nogami powodował, że młodzi ludzie chodzili majestatycznym krokiem i kołysali się przy tym z boku na bok, usiłując nie dopuścić do obtarcia ud. Nafai nie chodził majestatycznym krokiem i czuł odrazę do całej idei mody, przez którą ubranie było mniej wygodne.

Oczywiście odrzucenie mody oznaczało, że różnił się od swoich rówieśników, ale zbytnio mu to nie przeszkadzało. Lubił przebywać w towarzystwie kobiet, a te, których zdanie cenił, nie zwracały uwagi na modę. Na przykład Eiadh często razem z nim wyśmiewała wysoko wiązane rzemyki sandałów.

-Wyobraź sobie noszenie ich podczas jazdy konnej - powiedziała kiedyś.

-Niezawodny sposób na zrobienie z byka wołu - zażartował Nafai w odpowiedzi i Eiadh roześmiała się, a potem w ciągu całego dnia kilkakrotnie powtarzała jego żart. Jeżeli istniała na świecie taka kobieta, to po co mężczyzna miał sobie zawracać głowę głupią modą?

Kiedy Nafai dotarł do kuchni, Elemak właśnie wsuwał do piekarnika mrożony pudding ryżowy, który wyglądał na dość duży, by wystarczyć dla wszystkich, ale Nafai wiedział z doświadczenia, że brat zamierza wziąć całość dla siebie. Podróżował przez wiele miesięcy, spożywając przeważnie zimne jedzenie,

przemieszczając się prawie wyłącznie w nocy - wystarczy mu jakieś sześć kęsów, żeby skonsumować cały pudding, a potem walnie się na łóżko i będzie spał do jutrzejszego rana.

-Gdzie ojciec? - zapytał Elemak.

-Wyjechał na krótko w podróż - odparł Issib, który rozbijał surowe jajka nad swoimi grzankami, przygotowując je do upieczenia. Robił to dość zręcznie, zważywszy na fakt, że do utrzymania jajka w ręce potrzebował wszystkich swoich sił. Trzymał jajko kilka centymetrów nad stołem, a potem napinał odpowiedni mięsień, żeby zwolnić lewiter przytrzymujący jego ramię w górze, powodując opadnięcie ręki wraz z jajkiem na blat stołu. Jajko pękało dokładnie tak, jak powinno - za każdym razem - po czym Issib napinał inny mięsień, lewiter unosił jego ramię nad talerzem, a kaleki młodzieniec drugą ręką rozchyłał jajko, które wylewało się na grzankę. Issib mógł prawie wszystko robić sam, ponieważ sprawę grawitacji rozwiązywały jego lewitery. Oznaczało to jednak, że nigdy nie mógł podróżować tak jak ojciec, Elemak i czasami Mebbekew. Z chwilą oddalenia się od pola magnetycznego miasta musiał poruszać się na swoim krześle, niezgrabnej maszynie, którą mógł jedynie przemieszczać się z miejsca na miejsce. Krzesło nie mogło mu pomóc niczego zrobić. Z dala od miasta, przykuty do swojego krzesła, Issib był naprawdę ułomny.

-Gdzie Mebbekew? - zapytał Elemak.

Pudding był upieczony - właściwie przepieczony, ale Elemak tak właśnie jadał śniadania: gotował jedzenie długo, aż tak zmiękło, by nie trzeba było go pogryźć.

- Spędził noc w mieście - odparł Issib.

Elemak się roześmiał.

- Tak właśnie powie, kiedy wróci. Ale mnie się wydaje, że Meb należy do tych, którzy orzą, lecz nie sieją.

Mężczyzna w wieku Mebbekewa mógł spędzić noc w Basi-lice tylko w jeden sposób, to znaczy w domu jakiejś kobiety. Elemak mógł docinać Mebbekewowi, że swymi zdobyczami się przechwala, ale Nafai widział, w jaki sposób Meb postępował przynajmniej z niektórymi kobietami. Mebbekew nie musiał udawać, że spędza noc w mieście; prawdopodobnie przyjmował mniej zaproszeń, niż ich otrzymywał.

Elemak ugryzł olbrzymi kęs puddingu. Potem krzyknął, otworzył usta i napił się wina prosto z dzbanka na stole.

-Gorące - powiedział, kiedy znów mógł mówić.

-Czy nie jest zawsze takie? - zapytał Nafai.

Powiedział to dla kawału, to miał być żart między braćmi. Ale nie wiadomo dlaczego Elemak zrozumiał go zupełnie na opak, jak gdyby Nafai nazwał go głupcem za to, że ugryzł gorący pudding.

-Posłuchaj, chłoptysiu, kiedy będziesz się tułał, jedząc zimne posiłki i sypiając w kurzu i błocie przez dwa i pół miesiąca, to może też zapomnisz, jak gorący może być pudding.

-Przepraszam - ukorzył się Nafai. - Nie miałem nic złego na myśli.

-Po prostu uważaj, z kogo stroisz sobie żarty. Jakkolwiek by było, jesteś tylko moim bratem przyrodnim.

-To nie ma nic do rzeczy - wtrącił wesoło Issib. - Rodzonych braci też tak traktuje.

Issib najwyraźniej usiłował nie dopuścić do kłótni. Elemak wydawał się skłonny na to przystać.

- Przypuszczam, że tobie jest ciężiej - powiedział. - Dobrze, że jesteś kaleką, bo inaczej Nafai prawdopodobnie nie dożyłby swoich osiemnastych urodzin.

Issib nie okazał, czy uwaga o kalectwie go ubodła. Rozwścieczyła jednak Nafai. Issib usiłował załagodzić sprawę, a w zamian za to Elemak go znieważał. Do tej pory Nafai nie miał najmniejszego zamiaru szukać zwady, teraz jednak był skory do tego. Wystarczającym pretekstem było to, że Elemak określił jego wiek w latach biologicznych, a nie sakralnych.

-Mam czternaście lat - oświadczył Nafai. - Nie osiemnaście.

-Lata sakralne, lata biologiczne... - Elemak machnął ręką. - Gdybyś był koniem, miałbyś osiemnaście lat.

Nafai podszedł i stanął tuż przy jego krześle.

- Ale nie jestem koniem - rzekł.

- Nie jesteś też jeszcze mężczyzną - stwierdził Elemak. - A ja jestem zbyt zmęczony, żeby chciało mi się w tej chwili sprać cię na kwaśne jabłko. Więc zrób sobie śniadanie i pozwól mi zjeść moje.

Odwrócił się do Issiba.

- Czy ojciec zabrał ze sobą Rashgallivaka?

Nafaia zdziwiło to pytanie. Jak ojciec mógłby wziąć ze sobą zarządcę majątku, kiedy Elemaka też nie było w domu? Oczywiście Truzhnisha prowadziłaby gospodarstwo, ale ktoś by się zajmował inspektami, stajniami, plotkami, straganami?

Z pewnością nie Mebbekew - nie interesowały go codzienne obowiązki związane z branżą ojca. A poleceń Issiba ludzie by nie spełniali - patrzyli na niego ze współczuciem lub litością, ale nie z szacunkiem.

- Nie, ojciec zostawił go, żeby wszystkim pokierował - odparł Issib. - Rash prawdopodobnie śpi dziś w chłodni. Przecież wiesz, że ojciec nigdy nie wyjeżdża, nie upewniając się, że wszystko jest w porządku.

Elemak zerknął na Nafaia z ukosa.

- Po prostu zastanawiałem się, dlaczego niektórzy zrobili się tacy zarozumiali.

Wtedy Nafaiovi zaświtało w głowie: pytanie Elemaka było w rzeczywistości dwuznacznym komplementem - zastanawiał się, czy ojciec nie przekazał Nafaiovi obowiązków gospodarza na czas swojej nieobecności. Było oczywiste, że Elemakowi nie podobał się pomysł, aby Nafai prowadził interesy rodziny Wetchika, której branżą były niepospolite rośliny.

-Nie interesuje mnie przejęcie chwastowego interesu - powiedział Nafai -jeżeli to cię martwi.

-Mnie nic nie martwi. Czy nie powinieneś już pójść do mamy, do szkoły? Mama będzie się niepokoić, że ktoś pobił i obrabował jej dziecko na drodze.

Nafai wiedział, że powinien puścić sarkastyczną uwagę Elemaka mimo uszu i więcej go nie prowokować. Ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to mieć w Elemaku wroga. Ale właśnie to, że tak bardzo Elemaka považał, że tak bardzo chciał się do niego upodobnić, uniemożliwiło Nafaiovi pozostawienie drwiny bez odpowiedzi. Zanim doszedł do drzwi prowadzących na podwórze, odwrócił się i rzekł:

- Chcę w życiu osiągnąć znacznie więcej, niż tylko czaić się na drodze, strzelać do rozbójników, spać z wielbładami i przewozić rośliny tundrowe do tropiku, a tropikalne na biegun. Tę zabawę pozostawię tobie.

Nagle krzesło poleciało przez pokój, kiedy Elemak zerwał się na równe nogi, dwoma susami doskoczył do Nafai i przycisnął jego twarz do futryny. Było to bolesne, ale Nafai nie czuł bólu ani nawet strachu, że Elemak mógłby go poturbować jeszcze bardziej. Zamiast tego doznał dziwnego uczucia triumfu. Doprowadziłem Elemaka do złości, pomyślał. Nie jest w stanie ciągle udawać, że uważa mnie za małe dziecko, które można lekceważyć.

- Tej zabawie, jak ją nazywasz, zawdzięczasz to, co masz, i to, kim jesteś - powiedział Elemak. - Czy myślisz, że gdyby nie pieniądze zarabiane przez ojca, Rasha i przeze mnie, to ktoś by cię traktował z szacunkiem w Basilice? Czy myślisz, iż twoja matka cieszy się aż takim poważaniem, że część tego przechodzi na jej synów? Jeśli tak myślisz, to nie wiesz, jak ten świat jest urządzony. Twoja matka może byłaby w stanie zrobić ze swoich córek cud-marzenia, ale jedyne, co kobieta może zrobić dla syna, to wykształcić go na uczonego. - Słowo „uczonego” Elemak nieomalże wypuł z siebie. - I wierz mi, chłopcze, nikim więcej w życiu nie będziesz. Nie mam pojęcia, czemu Naddusza w ogóle zawracał sobie głowę, żeby obdarzać cię męskimi organami płciowymi, niewieściuchu, bo kiedy dorośniesz, to możesz liczyć na tym świecie jedynie na to, co udaje się zdobyć kobiecie.

I znów Nafai wiedział, że powinien milczeć, pozwolić Elemakowi mieć ostatnie słowo, ale riposta sama mu się wymknęła.

- Czy nazywając mnie kobietą, chcesz w subtelny sposób powiedzieć, że masz na mnie ochotę? Chyba zbyt długo byłeś w podróży, jeżeli zaczynam w twoich oczach wyglądać tak, że nie możesz mi się oprzeć.

Elemak od razu go puścił. Nafai odwrócił się, spodziewając się zobaczyć roześmianego brata, który potrząsa głową z niedowierzaniem, że to ich dokazywanie czasami tak się wymyka spod kontroli. A Elemak był czerwony na twarzy i sapał jak zwierzę sprężone do skoku.

-Wynoś się z tego domu! - wyrzucił z siebie. -I nie wracaj, póki tu jestem!

-To nie twój dom - zauważył Nafai.

-Następnym razem, kiedy cię tu zobaczę, zabiję cię!

-Daj spokój, Elya, przecież tylko żartowałem.

Issib wsunął się wesoło między nich i niezgrabnie objął Nafaia ramieniem.

- Powinniśmy już pójść do miasta, Nyef. Matka rzeczywiście będzie się o nas martwić.

Tym razem Nafai miał dość rozsądku, by się nie odzywać. Umiał trzymać język za zębami - po prostu nigdy nie pamiętał, żeby to zrobić w porę. Teraz Elemak był na niego wściekły. Może będzie się gniewał przez wiele dni. Gdzie będę spał, jeżeli nie mogę wrócić do domu? - zastanawiał się Nafai. W tym momencie w jego wyobraźni zjawiała się Eiadh, która szepnęła do niego: „Może zostaniesz na noc w moim pokoju? Przecież pewnego dnia i tak na pewno zostaniemy partnerami. Kobieta szkoli swoje ulubione siostrzenice na partnerki dla swoich synów, prawda? Wiem o tym od chwili, kiedy cię poznałam. Po co mielibyśmy dłużej czekać? W końcu jesteś tylko prawie najgłupszym człowiekiem w całej Basilice”.

Z zadumy wyrwał Nafaia głos Issiba, a nie Eiadh.

-Czemu ciągle tak go podjudzasz? Czasami niewiele brakuje, żeby Elemak cię zabił.

-Przychodzą mi do głowy różne rzeczy i czasami mówię je wtedy, kiedy nie powinienem - odparł Nafai.

-Przychodzą ci do głowy głupie rzeczy i jesteś taki bezmyślny, że mówisz je za każdym razem.

-Nie za każdym razem.

-To znaczy, że są też jeszcze głupsze rzeczy, których nie mówisz? A to dopiero masz umysł! Po prostu skarb!

Issib wysforował się przed Nafaia. Zawsze tak robił podczas wędrówki pod górę, zapominając, że ludziom, którzy muszą sobie radzić z grawitacją, łatwiej by było iść wolniejszym krokiem.

-Lubię Elemaka - powiedział nieszczęśliwym tonem Nafai. - Nie rozumiem, dlaczego on mnie nie znosi.

-Nakłonię go, żeby kiedyś sporządził dla ciebie listę powodów - odpowiedział Issib. - Dołączę ją do mojej.

Dom matki

Droga z domu Wetchika do Basiliki była długa, ale znajoma. Do ósmego roku życia Nafai zawsze odbywał tę podróż w obie strony w odwrotnej kolejności, kiedy matka zabierała go razem z Issibem do domu ojca na wakacje. W tamtych czasach przebywanie w domu mężczyzn było fascynującym przeżyciem. Ojciec ze swoją grzywą siwych włosów wydawał się prawie bogiem - faktycznie, do piątego roku życia Nafai myślał, że ojciec jest Nadduszą. Mebbekew, starszy od Nafaia o zaledwie sześć lat, zawsze był złośliwym, bezlitosnym kpiarzem, lecz Elemaka cechowała w tamtych wczesnych latach żartobliwa życzliwość. Dziesięć lat starszy od Nafaia Elya już w pierwszych jego wspomnieniach związanych z domem Wetchika był duży jak mężczyzna, ale zamiast niebiańskiej powierzchowności ojca miał groźny, dziki wygląd wojownika, człowieka, który jest uprzejmy tylko dlatego, że tak chce, a nie dlatego, że jest niezdolny do szorstkości w razie potrzeby. W tamtych czasach Nafai błagał, by go wypuszczono z domu matki i pozwolono mu zamieszkać z Wetchi-kiem - i Elemakiem. Stałe towarzystwo Mebbekewa byłoby po prostu nieuniknioną ceną za mieszkanie w przybytku bogów.

Matka i ojciec wspólnie mu wyjaśnili, dlaczego nie zwolnią go od nauki.

- Chłopcy, którzy są wysyłani w tym wieku do swoich ojców, to tacy, którzy nie rokują żadnych nadziei - powiedział ojciec.

- Tacy, którzy są zbyt gwałtowni, by dawać sobie radę w domu nauki, zbyt niegrzeczni, żeby mieszkać w domu kobiet.

- I tępi idą do swoich ojców w wieku ośmiu lat - dodała matka. - Oprócz podstaw czytania i arytmetyki jaki jest pożytek z tego człowieka dla nauki?

Nawet teraz, kiedy to sobie przypominał, Nafai poczuł lekki dreszczyk przyjemności z tego powodu - bo Mebbekew często się przechwalał, że inaczej niż Nyef, Issya i Elya w młodości, on poszedł do domu ojca w wieku ośmiu lat. Nafai był pewny, że Meb spełniał wszystkie warunki wymagane do wczesnego przejścia do domu mężczyzn.

Tak więc rodzicom udało się przekonać Nafaia, że pozostanie u matki wyjdzie mu na dobre. Były też inne powody - dotrzymywanie towarzystwa Issibowi, prestiż domu jego matki, obcowanie z siostrami - ale tym, co sprawiło, że Nafai zgodził się chętnie tam pozostać, była jego ambicja. Rokuje duże nadzieje, mówił sobie. Okaże się wartościowy dla krainy Basiliki, może dla całego świata. A może pewnego dnia moje dzieła zostaną wysłane w niebo do Nadduszy, który przekaże je ludziom mieszkającym w innych miastach i mówiącym innymi językami. Może nawet będę jednym z wielkich, których zdobycze intelektualne są zakodowane w szklanych kulkach i przechowywane w archiwum, i przez resztę historii ludzie będą mnie czytać jako jednego z gigantów Harmonii.

Mimo to, ponieważ Nafai tak usilnie prosił, by mu pozwolono zamieszkać z ojcem, od ósmego do trzynastego roku życia on i Issib prawie każdy weekend spędzali w domu Wetchika. Ojciec nalegał, aby ciężko pracowali i doświadczyli, w jaki sposób mężczyzna zarabia na życie, więc nie mieli wolnego w weekendy.

- Uczycie się przez sześć dni, pracując swoim umysłem, podczas gdy wasze ciało jest na wakacjach. Tutaj będziecie pracować w stajniach i inspektach, pracując ciałem, podczas gdy wasz umysł pozna spokój, jaki daje uczeniwa praca.

Ojciec zawsze mówił jak krasomówca. Matka twierdziła, że przybierał ten ton, gdyż nie wiedział, jak rozmawiać w naturalny sposób z dziećmi. Ale Nafai podsłuchiwał dość rozmów dorosłych, by wiedzieć, że ojciec rozmawiał w ten sposób z każdym z wyjątkiem samej Rasy. Świadczyło to o tym, że ojciec nigdy nie czuł

się swobodnie, nigdy nie był prawdziwym sobą w towarzystwie innych. Lecz w ciągu wielu lat Nafai dowiedział się również, że bez względu na wzniosłość i pouczający charakter przemów ojciec nie jest głupcem; jego słowa nigdy nie były puste, głupie czy ignoranckie. Tak właśnie mówi mężczyzna, myślał Nafai w młodości i dlatego ćwiczył elegancki styl oraz postarał się nauczyć klasycznego emeznetyi, jak również potocznego basyat, który przeważał w tamtym czasie w sztuce i handlu. Niedawno Nafai uświadomił sobie, że aby porozumiewać się skutecznie z ludźmi z krwi i kości, musi mówić powszechnym językiem - jednak rytmy i melodie emeznetyi były nadal wyczuwalne w tym, co pisał, i słyszalne w jego mowie. Nawet w głupich żartach, które wywołały gniew Elemaka.

- Właśnie coś sobie uprzytomniłem - odezwał się Nafai.

Issib nie odpowiedział - był tak daleko z przodu, że mógł nie słyszeć. Ale Nafai się nie zniechęcił i powiedział, co ma na myśli, jeszcze ciszej, bo prawdopodobnie mówił sam do siebie:

-Sądzę, że te rzeczy, które tak złością ludzi, mówię nie dlatego, że tak naprawdę myślę, ale dlatego, że po prostu znalazłem pomysłowy sposób na ich wyrażenie. Wymyślenie doskonałego sposobu na wyrażenie jakiejś koncepcji jest swego rodzaju sztuką i kiedy człowiek wpadnie na pomysł, musi to głośno wypowiedzieć, bo słowa nie istnieją, dopóki się ich nie wypowie.

-To dość lichy rodzaj sztuki, Nyef, i według mnie powinienes z tego zrezygnować, zanim doigrasz się przez to śmierci.

A więc mimo wszystko Issib słuchał.

-Jak na takiego wielkiego, silnego faceta, sporo czasu ci zajmuje przebycie Graniowego Traktu do ulicy Targowej - stwierdził Issib.

-Po prostu myślałem o czymś - powiedział Nafai.

- Powinienes się nauczyć jednocześnie myśleć i chodzić.

Nafai dotarł na szczyt drogi, gdzie Issib na niego czekał. Rze czywiście guzdrałem się, pomyślał. Nawet się nie zasapałem.

Ale ponieważ Issib zatrzymał się w tamtym miejscu, Nafai również przystanął, odwracając się tak jak jego brat, żeby popatrzyć z góry na drogę, którą właśnie przebyli. Graniowy Trakt, zgodnie ze swą nazwą, wiódł grzbietem górskim, który opadał ku wielkiej, dobrze nawodnionej równinie nadmorskiej. Był

czysty poranek i z grzbietu rozciągał się widok do samego oceanu, a obszar pokryty łąkami w postaci farm i sadów, pozszywany drogami i pocętkowany miasteczkami oraz wioskami przypominał kapę rozciągniętą między górami a morzem. Patrząc z góry na Graniowy Trakt, widzieli długi sznur zdążających na targ farmerów, którzy prowadzili rzędy zwierząt jucznych. Gdyby Nafai i Issib wyruszyli choćby dziesięć minut później, musieliby odbywać tę podróż w hałasie i smrodzie koni, osłów, mułów i kurelomi, przy akompaniamencie przekleństw mężczyzn i plotek kobiet. Kiedyś było to przyjemne, ale Nafai wędrował z tymi ludźmi wystarczająco często, by wiedzieć, że przekleństwa i plotki są zawsze takie same. Nie wszystko, co pochodzi z ogrodu, wygląda i pachnie jak róża.

Issib odwrócił się ku zachodowi, co uczynił również Nafai, żeby obejrzeć krajobraz o skrajnych przeciwieństwach: nierówny, skalisty płaskowyż Beporyadoku i prawie bezwodne ugory ciągnące się aż po horyzont. Tysiące poetów poczyniło tę samą obserwację - że słońce wynurza się z morza, otoczone klejnotami światła tańczącymi na wodzie, a zatapia się w czerwonym ogniu na zachodzie, zagubione w pyle, który wiatr nieustannie przegania przez pustynię. Ale Nafai zawsze uważał, przynajmniej w kwestii pogody, że słońce powinno wędrować odwrotnie. Nie przenosiło wody z oceanu na ląd - przenosiło wysuszający ogień z pustyni w kierunku morza.

Straż przednia tłumu zmierzającego na targ znalazła się tak blisko, że bracia już słyszeli poganiaczy i osły. Tak więc odwrócili się i ruszyli w kierunku Basiliki. Fragmenty muru z czerwonej skały lśniły w pierwszych promykach słońca. Szli do Basiliki, gdzie zalesione góry północy stykały się z pustynią zachodu i ogrodowym wybrzeżem wschodu. Poeci wyśpiewywali pieśni o tym miejscu: Basilika, Miasto Kobiet, Port Mgieł, Czerwono-mury Ogród Nadduszy, przystań, gdzie wszystkie wody świata schodzą się, by począć nowe chmury i znów wylać świeżą wodę na ziemię.

Albo, jak to ujął Mebbekew, najlepsze miasto na świecie, żeby pójść z kimś do łóżka.

Przez lata droga między Bramą Targową w Basilice i domem Wetchika na Graniowym Trakcie nie uległa zmianie. Lecz kiedy

Nafai ukończył trzynaście lat, dotarł do punktu zwrotnego, który zmienił znaczenie tej drogi. W wieku lat trzynastu nawet chłopcy rokujący największe nadzieje odchodzili, żeby zamieszkać ze swoimi ojcami, pozostawiając czas nauki na zawsze za sobą. Szkoły nie opuszczali jedynie ci, którzy zamierzali nie zdobywać męskiego zawodu, lecz zostać uczonymi. Gdy Nafai miał osiem lat, błagał, by mógł zamieszkać z ojcem, w wieku trzynastu lat obstawał przy czymś zgola odmiennym. „Nie, nie postanowiłem zostać uczniem, ale też nie postanowiłem, że nie chcę nim być

- tłumaczył. - Dlaczego miałbym teraz decydować? Pozwól mi żyć u siebie, ojciec, jeżeli muszę, ale pozwól mi również pozostać w szkole matki, dopóki wszystko się trochę nie wyjaśni. Nie potrzebujesz mnie w swojej pracy, tak jak potrzebujesz Elemaka. A ja nie chcę być kolejnym Mebbekewem”.

Tak więc choć droga między domem ojca i miastem się nie zmieniła, Nafai chodził nią teraz odwrotnie. Podróż w obie strony nie odbywała się z miejskiego domu Rasy na wieś i z powrotem; teraz wiodła z wiejskiego domu Wetchika do miasta. Mimo że w mieście miał właściwie więcej swoich rzeczy - wszystkie książki, papiery, przybory i zabawki - i spędzał tam często trzy lub cztery noce w ciągu ośmiodniowego tygodnia, jego dom był teraz u ojca.

I to było nieuniknione. Żaden mężczyzna nie mógł twierdzić, że cokolwiek w Basilice jest naprawdę jego własnością; wszystko otrzymywał w formie prezentu od kobiety. A z powodu jeziora nawet taki mężczyzna jak ojciec, który miał wszelkie podstawy do tego, żeby czuć się bezpiecznie z wieloletnią partnerką, nigdy nie mógł się czuć w Basilice jak u siebie w domu. Głęboka rozpadlina w sercu miasta - bez niej miasta w ogóle by nie było

- zajmowała połowę obszaru Basiliki i żadnemu mężczyźnie nie wolno było tam chodzić, żadnemu nie wolno było nawet zapuścić się do otaczającego ją lasu dostatecznie daleko, by ujrzeć lśniąca wodę. Jeżeli lśniła. O ile Nafai wiedział, rozpadlina była taka głęboka, że światło słoneczne nigdy nie docierało do lustra wody jeziora w Basilice.

Żadne miejsce nie może nigdy być domem, jeżeli jest tam zakątek, do którego nie wolno chodzić, myślał. Żaden mężczyzna nie jest naprawdę obywatelem Basiliki. A ja staję się kimś obcym w domu matki.

Dawniej Elemak często opowiadał o miastach, w których wszystko było własnością mężczyzn, gdzie mężczyźni mieli wiele żon, a żony nie mogły decydować o odnawianiu swoich kontraktów małżeńskich; istniało nawet jedno miasto, gdzie w ogóle nie zawierano małżeństw, a każdy mężczyzna miał prawo pościć każdą kobietę i nie mogła odmówić, chyba że była już w ciąży. Nafai zastanawiał się jednak, czy któraś z tych opowieści jest prawdziwa. Bo dlaczego kobiety miałyby godzić się na takie traktowanie? Czy to możliwe, że kobiety z Basiliki były o wiele silniejsze od kobiet mieszkających gdzie indziej? Czy może tutejsi mężczyźni byli słabsi lub bardziej bojaźliwi od mężczyzn z innych miast?

Nagle odpowiedź na to pytanie stała się pilną potrzebą.

-Issya, czy kiedykolwiek spałeś z kobietą? Issib

nie odpowiedział.

-Po prostu zastanawiałem się nad tym - wyjaśnił Nafai. Issib wciąż milczał.

- Usiłuję pojąć, coś takiego wspaniałego jest w kobietach z Basiliki, że mężczyzna taki jak Elya ciągle tu wraca, a mógłby przecież zamieszkać w jednym z tych miejsc, gdzie mężczyźni dyktują warunki przez cały czas.

Teraz Issib odpowiedział.

- Po pierwsze, nie ma takiego miejsca, gdzie mężczyźni dyktują warunki przez cały czas. Są tylko miejsca, gdzie mężczyźni udają, że dyktują warunki, a kobiety, że im na to pozwalają, tak jak tutaj kobiety stwarzają pozory, że dyktują warunki, a mężczyźni udają, że im na to pozwalają.

Była to interesująca myśl. Nafaiowi nigdy nie przyszło do głowy, że może sytuacja nie była jednoznaczna. Ale Issib jeszcze nie skończył. Nafai chciał go wysłuchać do końca.

-A po drugie?

-Po drugie, Nyef, matka i ojciec kilka lat temu znaleźli dla mnie cioteczkę i szczerze mówiąc, nie jest to aż taka rewelacja. Nie to Nafai chciał usłyszeć.

-Meb chyba uważa, że tak.

-Meb jest bezmózgowcem - stwierdził Issib. - Chodzi tam, dokąd go prowadzi najbardziej wystająca część ciała. Czasem oznacza to, że podąża za swoim nosem, ale zwykle nie.

-Jak było?

-Przyjemnie. Była bardzo miła. Ale nie kochałem jej. - Issib wydawał się trochę tym zasmucony. - Czułem, jakby to było coś, co mi robiono, a nie coś, co robiliśmy razem.

-Czy to z powodu...

-Mojego kalectwa? Częściowo chyba tak, choć w zamian nauczyła mnie, jak dawać przyjemność, i powiedziała, że poszło mi zaskakująco dobrze. Dla ciebie będzie to prawdopodobnie takie przyjemne jak dla Meba.

-Mam nadzieję, że nie.

-Matka powiedziała, że najlepsi mężczyźni nie czerpią aż tak dużej przyjemności z uprawiania miłości z cioteczkami, ponieważ nie chcą odbierać przyjemności jak lekcji, chcą ją otrzymywać dobrowolnie, z miłości. Ale z drugiej strony, powiedziała, najgorsi mężczyźni też nie lubią swojej cioteczki, bo nie znoszą, gdy nie oni, lecz ktoś inny jest panem sytuacji.

-Ja nawet nie chcę cioteczki - rzekł Nafai.

-W takim razie jak się czegośkolwiek nauczysz?

-Chcę się nauczyć razem z moją partnerką.

-Jesteś romantycznym idiotą - stwierdził Issib.

-Nikt nie musi uczyć ptaków czy jaszczurek.

-Nafai ab Wetchik mag Rasa, sławny jaszczurczy kochanek.

-Kiedyś widziałem, jak para jaszczurek to robi przez całą godzinę.

-Nauczyłeś się jakichś dobrych technik?

-Jasne. Ale można je zastosować tylko pod warunkiem, że jest się zbudowanym jak jaszczurka.

-To znaczy?

- Mają go długości mniej więcej połowy swojego całego ciała.

Issib się roześmiał.

-Wyobraź sobie kupowanie spodni!

-Wyobraź sobie zawiązywanie sandałów!

-Trzeba by owijać rzemyki wokół pasa.

-Albo supłać je na ramieniu.

Rozmawiając tak, szli przez targ, gdzie ludzie właśnie zaczęli otwierać stragany, bo wkrótce mieli przybyć farmerzy z równiny. Ojciec utrzymywał kilka kramów na targu zewnętrznym,

choć zaden z farmerów z równin nie miał ani pieniędzy, ani wyrafinowania, by chcieć kupić roślinę, której utrzymanie przy życiu wymagało wiele zachodu, a niedającej plonów wartych tego wysiłku. Jedynymi nabywcami tych roślin na targu zewnętrznym byli klienci z samej Basiliki lub, rzadziej, bogaci cudzoziemcy, którzy pobieżnie oglądali stragany na targu zewnętrznym w drodze do lub z miasta. Podczas nieobecności ojca nadzór nad montowaniem wystaw przypadał Rashgallivakowi, który oczywiście był już na miejscu i ustawiał rośliny z chłodnej strefy klimatycznej w oziębianej gablocie. Pomachali mu rękami, choć Rashgallivak nawet nie skinął głową na znak, że ich rozpoznał. Taki właśnie był Rash - przychodził z pomocą, jeśli go potrzebowali w jakiejś krytycznej sytuacji, ale w tej chwili jego zadanie polegało na rozstawieniu roślin, poświęcił więc tej czynności całą uwagę. Nie było jednak pośpiechu. Najwięcej roślin sprzedawali późnym popołudniem, kiedy Basilikanie szukali imponujących prezentów dla swych partnerek czy kochanek lub podarunków mogących pomóc w podbiciu serca osoby, do której się zalecali.

Meb kiedyś zażartował, że ludzie nigdy nie kupują egzotycznych roślin dla siebie, ponieważ z ich utrzymaniem jest tylko kłopot. Kupują je na prezent, bo sporo kosztują.

- Idealnie nadają się na prezent, bo są piękne i imponujące dokładnie tak długo, jak długo trwa romans - zwykle około tygodnia. Potem roślina więdnie, chyba że obdarowane ciągle płacą nam, abyśmy przychodzili ją pielęgnować. Tak czy inaczej ich uczucia do rośliny są takie jak uczucia do kochanka, który im ją dał. Albo czują ciągłą irytację, ponieważ on się jeszcze wokół nich kręci, albo niesmak na wyblakłe wspomnienie obmierzłej przygody. Jeżeli jakaś miłość zapowiada się na stałe uczucie, kochankowie powinni kupić sobie drzewo.

Właśnie wtedy, gdy Meb zaczął w ten sposób rozmawiać z klientami, ojciec odsunął go od straganów. Niewątpliwie na to właśnie Meb liczył.

Nafai rozumiał pragnienie wymigania się od pomocy w prowadzeniu interesu. W nudnej pracy polegającej na sprzedawaniu kapryśnych kwiatów nie było nic zabawnego.

Jeżeli zakończę naukę, pomyślał, będę musiał codziennie wykonywać jedną z tych wstrętnych prac. I to mnie do niczego

nie doprowadzi. Po śmierci ojca Elemak zostanie Wetchikiem i nigdy mi nie pozwoli na poprowadzenie karawany, co jest jedynym interesującym aspektem tej pracy. Nie chcę spędzić całego życia w cieplarni, suszarni czy chłodni, przeszczepiając, hodując i rozmnażając rośliny, które więdną niedługo po ich sprzedaży. Nie ma w tym nic wzniosłego.

Targ zewnętrzny kończył się przy pierwszej bramie, której skrzydła były zawsze otwarte; Nafai zastanawiał się, czy w ogóle jeszcze można je zamknąć. Nie miało to większego znaczenia - tej bramy strzeżono najstaranniej, ponieważ była najruchliwsza. Każdemu przechodniowi skanowano tęczęwkę oka i sprawdzano jego tożsamość na liście obywateli i osób uprawnionych. Jako synowie obywateli, Issib i Nafai sami też byli formalnie obywatelami - mimo że nie wolno im było posiadać nieruchomości w mieście - a po osiągnięciu pełnoletności mieli zagwarantowane prawo do głosowania. Tak więc strażnicy traktowali ich z szacunkiem.

Między bramą zewnętrzną i wewnętrzną, otoczone wysokimi czerwonymi murami i strzeżone z każdej strony miasto Basilika prowadziło swój najbardziej dochodowy interes: targ złota. Właściwie złoto nawet nie przeważało wśród towarów, które tu kupowano i sprzedawano, choć lichwiarzy zeszło się wielu jak zawsze. Na targu złota handlowano wszelkimi drogocennymi artykułami, które były łatwe do przenoszenia, a tym samym łatwe do ukradzenia. Klejnoty, złoto, srebro, platyna, bazy danych, biblioteki, tytuły posiadania, umowy powiernicze, świadectwa o posiadaniu akcji i zaświadczenia o nieściągalnych długach, tym wszystkim tu handlowano i każdy stragan posiadał własny komputer do zgłaszania transakcji miejskiemu rejestratorowi - głównemu komputerowi miasta. Właściwie ciągle zmieniające się obrazy holograficzne na wszystkich komputerach wywoływały dziwny efekt błyskania, tak że gdziekolwiek człowiek by spojrzał, zawsze dostrzegał kątem oka jakiś ruch. Według słów Meba właśnie dlatego lichwiarze i sprzedawcy na targu złota byli przekonani, że ktoś ich zawsze szpieguje.

Gdy tylko przeskanowano tęczęwki Nafaia i Issiba przy bramie, niewątpliwie większość komputerów odnotowała ich obecność, wyświetlając na ekranie nazwiska, pozycję społeczną

i sytuację finansową. Nafai wiedział, że kiedyś to będzie coś znaczyć, ale w tej chwili nie znaczyło zupełnie nic. Odkąd Meb narobił długów po ukończeniu osiemnastu lat, na wszystkie kredyty dla rodziny Wetchika wprowadzono surowe ograniczenia, a ponieważ kredyt był dla Nafaia jedyną drogą do zdobycia większej sumy pieniędzy, nikt się nim tu nie interesował. Ojciec prawdopodobnie mógłby spowodować zniesienie tych ograniczeń, ale ponieważ załatwiał wszystkie interesy gotówką i nigdy nie pożyczał pieniędzy, ograniczenia nie wyrządzały mu zupełnie żadnej szkody - i ukróciły pożyczki Meba. Nafai przez wiele miesięcy był świadkiem jęków, krzyków, prychnięć i szlochów brata, aż Meb w końcu uświadomił sobie, że ojciec nie ustąpi i nie pozwoli mu na niezależność finansową. Od kilku miesięcy Meb nie robił szumu wokół tej sprawy. Teraz gdy zjawiał się w nowych ubraniach, zawsze utrzymywał, że pożyczali mu je przyjaciele, którzy się nad nim litowali, ale Nafai w to nie wierzył. Meb nadal wydawał pieniądze, jakby miał jakiś kapitał, a ponieważ Nafai nie mógł sobie wyobrazić Meba przy jakiegokolwiek pracy, mógł wyciągnąć jedynie taki wniosek, że Meb znalazł kogoś, kto mu pożyczał akonto jego spodziewanego udziału w majątku Wetchika.

To by było podobne do Meba - pożyczać akonto spodziewanej śmierci ojca. Ale ojciec był wciąż energiczny i zdrowy, miał zaledwie pięćdziesiąt lat. W pewnym momencie wierzycieli Meba zmęczy czekanie i będzie musiał znów ojca błagać o pomoc w wyciągnięciu go z długów.

Przy bramie wewnętrznej była jeszcze jedna kontrola tęczówek. Ponieważ bracia byli obywatelami, a komputery pokazały, że nie tylko niczego nie kupili, ale nawet nie zatrzymali się przy żadnym straganie, nie musieli poddawać ciał skanowaniu w celu ustalenia, czy nie dokonali czegoś, co eufemistycznie nazywano „nieupoważnionym pożyczaniem”. Tak więc wkrótce wkroczyli przez bramę do miasta.

Dokładniej mówiąc, weszli na targ wewnętrzny. Był on równie duży jak targ zewnętrzny, ale na tym podobieństwo się kończyło, gdyż zamiast mięsa i innych produktów do jedzenia, bel tkanin i stosów budulca na targu wewnętrznym sprzedawano wyroby gotowe: ciastka i lody, przyprawy i zioła, pościel i meble,

draperie i gobeliny, wykwintnie uszyte koszule i spodnie, sandały, rękawiczki, pierścionki na palce u rąk i stóp, kolczyki oraz egzotyczne błyskotki, zwierzęta i rośliny, które sprowadzono ze wszystkich zakątków świata, ponosząc duże koszty i narażając się na duże ryzyko. Tutaj ojciec oferował swoje najcenniejsze rośliny na straganach czynnych całą dobę.

Żaden z tych kramów nie miał jednak większego uroku dla Nafaia - zobojętniały mu po tylu latach przechodzenia przez targ z drobną sumą w kieszeni. Dla niego liczyły się tylko te, gdzie sprzedawano myachiki: szklane kulki, w których zarejestrowano muzykę, taniec, rzeźby, malowidła; tragedie, komedie i historyjki z życia wzięte, recytowane w formie wierszy, odgrywane w sztukach lub wyśpiewywane w operach; dzieła historyków, naukowców, filozofów, krasomówców, proroków i satyryków; lekcje i pokazy wszelkich dziedzin sztuki i technologii, jakie kiedykolwiek wymyślono; no i oczywiście wielkie pieśni miłosne, z których Basilika słyszała na całym świecie. Były to nieme sztuki erotyczne z muzyką w tle, ciągnące się bez końca, powtarzające się nieustannie i przypadkowo jak samokreatywne rzeźby w sypialniach i prywatnych ogrodach wszystkich domostw w mieście.

Oczywiście Nafai był zbyt młody, by sam mógł kupować pieśni miłosne, lecz widział już niejedną podczas odwiedzin w domach przyjaciół, których matki lub nauczycielki nie odznaczały się tak surowymi zasadami jak Rasa. Pieśni zafascynowały go w równym stopniu muzyką oraz fabułą, jak i erotyką. Na targu poszukiwał nowych dzieł basilikańskich poetów, muzyków, artystów i odtwórców lub dzieł starych, które przeżywały swoją drugą młodość, albo też dziwnych dzieł zagranicznych, w tłumaczeniu lub oryginale. Ojciec wydzielał synom grosze, lecz matka dawała swoim wszystkim dzieciom - synom, siostrzenicom oraz zwykłym uczniom - przyzwoite kieszonkowe na zakup myachików.

Nafai zboczył w kierunku straganu, przy którym jakiś młodzienczek śpiewał niezwykle wysokim i melodyjnym tenorem; melodia nasuwała przypuszczenie, że może to być nowy utwór kompozytorki, która nazywała się Wschód Słońca - lub jednego z jej lepszych naśladowców.

-Nie - powstrzymał go Issib. - Wróć tu po południu.

-Możesz iść dalej.

-Jesteśmy już spóźnieni.

-Parę chwil mnie nie zbawi.

-Wydoroślej, Nafaiu - upomniał go Issib. - Każdą opuszczoną lekcję będziesz musiał odrobić.

-I tak nigdy nie nauczę się wszystkiego - stwierdził Nafai. - Chcę wysłuchać pieśni.

-Słuchaj po drodze. A może nie umiesz równocześnie iść i słuchać?

Nafai dał się wyprowadzić z targu. Pieśń szybko ucichła zagłuszona muzyką z innych straganów oraz paplaniną i rozmowami na targowisku. W przeciwieństwie do zewnętrznego targ wewnętrzny nie czekał na farmerów z równiny, tak więc był czynny na okrągło; Nafai wiedział, że połowa ludzi na tym targowisku ma za sobą nieprzespaną noc i kupuje ciastka oraz herbatę na poranną kolację przed powrotem do domu i pójściem spać. Mógł być wśród nich Meb. Przez chwilę Nafai zazdrościł mu wolności życia. Jeśli kiedykolwiek zostanie wielkim historykiem lub naukowcem, czy będzie miał taką wolność? - zastanawiał się. Wstawać w południe, pisać do zmierzchu, a potem wypuścić się w basilikańską noc, by obejrzeć tańce i sztuki, posłuchać koncertów lub może recytować fragmenty owoców mojej pracy sprzed zaledwie kilku godzin przed uważną publicznością, wśród której zawrzałoby od dyskusji, sporów, pochwał i krytyki związanych z moim dziełem - jak mogły nużące podróże Elemaka w pyle i brudzie równać się z takim życiem? A potem wrócić o świcie do domu Eiadh i kochać się z nią, ciesząc się z nocnych przygód i triumfów.

Tylko kilku rzeczy brakowało do urzeczywistnienia tego marzenia. Po pierwsze, Eiadh nie miała jeszcze domu i choć zyskiwała już sobie pewną sławę jako pieśniarka i recytatorka, nie ulegało wątpliwości, że nie zrobi błyskawicznej kariery; nie była cudownym dzieckiem i dlatego jej dom z pewnością będzie przez wiele lat skromny. To nieważne, myślał Nafai. Pomogę jej kupić ładniejszy dom, niż sama byłaby w stanie nabyć, mimo że mężczyzna chcący kupić kobiecie nieruchomość w Basilice może jej jedynie dać pieniądze w formie prezentu. Eiadh jest zbyt lojalna, by kiedykolwiek zerwać ze mną kontrakt i wyrzucić mnie z domu, który pomogłem jej kupić.

Jedyną przeszkodą do spełnienia tego marzenia było to, że Nafai nigdy nie napisał niczego wybitnego. Oczywiście tylko z tego powodu, że jeszcze nie wybrał dziedziny i wciąż sprawdzał swe umiejętności, wciąż dłużej po trochu we wszystkim. Już niedługo podejmie decyzję, wybierze dziedzinę, w której ujawni swój talent, i wtedy na straganach targu wewnętrznego znajdą się mychiki z jego dziełami.

Świątą Aleją szła jakaś procesja zmierzająca do Rozpadliny. Nafai i Issib - będąc mężczyznami - musieli obejść procesję, mimo to wkrótce dotarli do domu matki. Issib natychmiast zostawił brata i poleciał naokoło do zewnętrznych schodów prowadzących do komputerowni, gdzie ostatnio spędzał cały czas. Młodsza klasa miała już zajęcia w południowym skrzydle, dokąd wpadały ukośnie promienie słoneczne. Odprawiali modły - chłopcy od czasu do czasu uderzali się dłońmi, dziewczynki cicho nuciły. Klasa Nafaia robiła to samo gdzieś w środku i nie musiał dołączać do niej w pośpiechu, gdyż zakłócanie modlitwy uważano za bliżej nieokreśloną bezbożność.

Tak więc szedł wolnym krokiem. Ominął młodszą klasę pod tarasem i przystanął, żeby się oprzeć w niewidocznym miejscu o kolumnę. Słuchał przyjemnego chóru dziewczęcych głosików - wszystkie dziewczynki nuciły po swojemu, czasami znajdowały akordy i prawie w tej samej chwili je gubiły - oraz staccato załamujących się rytmów wybijanych przez chłopców, którzy uderzali się w nogi przez spodnie, w ramiona i klatkę piersiową przez koszulę oraz w gołe policzki.

Nagle obok Nafaia zjawiała się dziewczynka z tamtej klasy. Oczywiście znał ją z sali gimnastycznej. Była to mała czarownica Luet, która podobno doznawała takich niezwykłych wizji, że niektóre kobiety z Szelfu już ją nazywały wieszczką. Nafai takim opowieściom nie dawał zbyt wiary - Naddusza nie mógł znać przyszłości lepiej niż człowiek, a jeżeli chodzi o wizje, to ludzie pamiętali tylko te, które zupełnie przypadkowo w pewnym momencie przystawały do rzeczywistości.

- To ty jesteś tym, którego przyobleka ogień - odezwała się.

O czym ona mówiła? Jak miał odpowiedzieć na coś takiego?

- Nie. Jestem Nafai.

-Nie, prawdziwy ogień. Diamentowe iskierki, które przemieniają się w błyskawicę, kiedy wpadasz w złość.

-Muszę już iść.

Ledwie dotknęła jego rękawa, lecz Nafai poczuł taki silny uścisk, jakby go chwyciła za ramię.

-Wiesz, ona nigdy nie zostanie twoją partnerką.

-Kto taki?

-Eiadh. Zaproponuje ci partnerstwo, lecz ty ją odrzucasz.

To było upokarzające. Jakim cudem ta dziewczynka, prawdopodobnie zaledwie dwunastoletnia, a sądząc z jej wzrostu i kształtów zdecydowanie jeszcze nie młoda kobieta, mogła cokolwiek wiedzieć o jego uczuciach do Eiadh? Czy jego miłość była dla wszystkich taka oczywista? No cóż, świetnie, niech tak będzie - nie miał nic do ukrycia. Reputacja człowieka kochającego taką kobietę przynosiła jedynie zaszczyt. A jasnowidztwo tej dziewczynki było mało prawdopodobne, skoro Luet twierdziła, że Eiadh proponuje mu partnerstwo, a on jej odmówi! Prędzej odgryzłby sobie palec, niż nie zgodził się wziąć najdoskonalszej kobiety w Basilice za swoją partnerkę.

- Przepraszam - powiedział Nafai, wrywając ramię z uści sku Luet.

Tak czy owak nie podobało mu się, że ta dziewczynka go dotyka. Krążyły pogłoski, że jej matka jest dzikuską, jedną z tych niechłujnych, nagich, samotnych kobiet, które przychodzą do Basiliki z pustyni. Rzekomo były to święte kobiety, lecz Nafai dobrze wiedział, że oddawały się każdemu mężczyźnie, który je o to prosił, i robiły to na ulicach miasta. Każdemu mężczyźnie, nawet jeśli miał kontrakt z partnerką, wolno było posiąść dzikuskę. Oczywiście przyzwoici i wysoko urodzeni nie robili tego - nawet Meb nie przechwalał się „pustynnym namaszczeniem” lub wyprawą na „ubaw w kurzu”, jak prymitywnie określano spółkowanie z dzikuskami. Nafai nie widział w tym nic świętego, dla niego Luet była bękartem poczętym przez wariatkę i zezwierzęconego mężczyznę podczas stosunku, który bardziej przypominał gwałt niż akt miłosny. Niemożliwe, aby Naddusza miał coś wspólnego z czymś takim.

- To ty jesteś bękartem - powiedziała dziewczynka, a potem odeszła.

Pozostali zakończyli modlitwy - lub może przerwali je, by posłuchać, co Luet do niego mówi. To oznaczało, że przed obiadem historia rozniesie się po całym domu, a przed kolacją po całej Basilice i Issib na pewno będzie mu z tego powodu docinał przez całą drogę do domu, a potem Elemak i Mebbekew nigdy nie dadzą mu spokoju. Nafai zapragnął, by mieszkanki Basiliki pozamykały takich szaleńców jak Luet na klucz, a nie traktowały poważnie ich bzdur.

Ogień

Kiedy Nafai wszedł do środka, skierował się do pokoju z fontannami, gdzie jego klasa miała się spotykać przez całą jesień. Z kuchni doleciały do niego zapachy przygotowywanego obiadu i z żalem przypomniał sobie, że z powodu sprzeczki z Elemakiem zupełnie zapomniał o jedzeniu. Do tej chwili w ogóle nie czuł ssania w żołądku, lecz teraz uświadomił sobie, że jest strasznie głodny. Doznawał zawrotów głowy. Powinien usiąść. Do pokoju z fontannami pozostało mu kilka kroków. Z pewnością zrozumieją, dlaczego się spóźnił, jeśli zjawi się w nie najlepszej formie. Nikt nie będzie mógł złościć się na niego. Nikt nie będzie mógł pomyśleć, że jest leniwym próżniakiem, jeśli będzie chory. Nie muszą wiedzieć, że jest chory z głodu.

Z nieszczęśliwą miną wszedł do pokoju ciężkim krokiem, skrupulatnie odgrywając rolę chorego, i po drodze oparł się na chwilę o ścianę. Czuł na sobie ich wzrok, ale nie spojrzał na nich; miał bliżej nieokreślone wyobrażenie, że autentycznie chorym ludziom niełatwo napotykać spojrzenia innych. Spodziewał się, że nauczycielka coś powie. Co się stało, Nafaiu? Niedobrze się czujesz?

Panowała cisza. Zsunął się po ścianie i usiadł na drewnianej podłodze.

- Poślemy po żałobników, Nafaiu, na wypadek gdybyś nagle umarł.

to nierozsądne w nocy. Nie zaszedłem daleko. Musiałem tylko obejść duży głaz i wyjaśniło się, co mnie tam przywiodło. Zobaczyłem przed sobą Basilikę. Ale nie taką, jakiej się spodziewałem, pełną wesołych świateł w Dolinie Lalek lub na targu wewnętrznym. Zobaczyłem Basilikę w płomieniach.

-W ogniu? - zapytał Issib.

-To była oczywiście wizja. Na początku nie wiedziałem o tym, rzuciłem się naprzód, chciałem pognać do miasta, żeby zobaczyć, czy nic ci się nie stało, moja kochana...

-Co mnie wcale nie dziwi - wtrąciła matka.

-I wtedy miasto zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Tylko ogień pozostał, pnąc się niczym filar na głazie przede mną. Wznosił się tak bez końca, słup płomienia. I był gorący. Gorący jak prawdziwy. Czułem, jakby mnie przypalał, choć oczywiście nie mam żadnego śladu na ubraniu. Następnie słup płomienia wzniósł się w niebo, najpierw powoli, a potem coraz szybciej, aż przemienił się w gwiazdę przesuwającą się po niebie, po czym całkowicie zniknął.

-Byłeś zmęczony, ojcie - zauważył Issib.

-Wielokrotnie bywałem zmęczony, lecz nigdy dotąd nie widziałem słupów ognia ani płonących miast.

Ponownie odezwała się matka:

-Twój ojciec przyszedł do mnie, Issya, ponieważ miał nadzieję, że pomogę mu zrozumieć znaczenie tej wizji. Czy pochodziła od Nadduszy, czy był to po prostu szalony sen na jawie.

-Głosuję za snem.

-Nawet szaleństwo może pochodzić od Nadduszy - oznajmiła Hushidh.

Wszyscy na nią spojrzeli. Była raczej nieładną dziewczyną, nigdy nie odzywała się w klasie. Teraz, gdy Nafai zobaczył ją i Luet razem, uświadomił sobie, że są bardzo podobne do siebie. Czy są siostrami? Ważniejszą kwestią było to, co Hushidh tu robi i jakim prawem zabiera głos w sprawach rodzinnych.

- Może pochodzić od Nadduszy - powtórzył jej słowa ojciec.

- Ale czy rzeczywiście tak było? A jeśli tak, co to oznacza?

Nafai widział, że ojciec nie kierował tych pytań ani do Rasy, ani nawet do Hushidh, lecz do Luet! Chyba nie wierzył w to, co kobiety o niej mówiły, prawda? Czy jedna wizja mogła przemienić

racjonalnie myślącego człowieka interesu w przesadnego pielgrzyma usiłującego dopatrzeć się znaczenia we wszystkim, co widzi?

-Nie umiem powiedzieć, co pański sen oznacza - powiedziała Luet.

-Aha - mruknął ojciec. - Właściwie nie myślałem...

-Jeżeli sen wywołała Naddusza i jeżeli chciała, żeby go pan zrozumiał, to znaczy, że podała również interpretację.

-Nie było żadnych interpretacji.

-Naprawdę? - zapytała Luet. - Pierwszy raz miał pan taki sen, prawda?

-Naturalnie. Nie doznaję wizji, kiedy wędruję nocą.

-Tak więc nie potrafi pan rozpoznać znaczeń odnoszących się do wizji?

-Przypuszczam, że nie.

-Ale odbierał pan przesłania.

-Czyżby?

-Zanim zobaczył pan płomień, wiedział pan, że ma zboczyć z drogi.

-Tak, to wiedziałem.

-W jaki sposób według pana przemawia Naddusza? Czy myśli pan, że mówi językiem basyat lub stawia drogowskazy?

W głosie Luet brzmiała nutka pogardy - to było oburzające, że zwracała się takim tonem do człowieka mającego w mieście pozycję społeczną Wetchika. Wydawało się jednak, że ojciec się nie obraził i przyjął jej reprimendę, jakby Luet miała prawo go ganić.

- Naddusza przekazuje do naszych umysłów wiedzę w czystej postaci, nie wyraża jej w żadnym języku ludzi - wyjaśniła.

- Zawsze otrzymujemy więcej, niż potrafimy zrozumieć, a potrafimy zrozumieć więcej, niż umiemy wyrazić słowami.

Luet mówiła głosem, który charakteryzował się właśnie taką prostą siłą wyrazu. Nie recytowała śpiewnie, tak jak to robili prorocy i czarownice na targu wewnętrznym, kiedy usiłowali przyciągnąć klientów. Przemawiała tak, jakby wiedziała bez żadnych wątpliwości.

- Zatem proszę mi odpowiedzieć na następujące pytanie: Kiedy zobaczył pan miasto w ogniu, skąd pan wiedział, że to Basilika?

-Tysiące razy widziałem Basilikę, kiedy zmierzałem do miasta od strony pustyni.

-Ale czy zobaczył pan kształt miasta, i po tym je rozpoznał, czy najpierw pan wiedział, że płonącym miastem jest Basilika, a potem pański umysł przywołał obraz miasta, które już było w pańskiej pamięci?

-Nie wiem. Skąd mogę to wiedzieć?

-Proszę sobie przypomnieć. Czy najpierw była wiedza, a potem wizja, czy odwrotnie?

Zamiast powiedzieć dziewczynce, żeby dała mu spokój, ojciec zamknął oczy i próbował sobie przypomnieć.

-Patrząc na to w ten sposób, myślę... Wiedziałem, zanim spojrzałem w tamtym kierunku. Chyba nie zobaczyłem miasta, dopóki nie popędziłem do niego. Zobaczyłem płomień, ale nie płonące miasto. A teraz, gdy o to pytasz, przypominam sobie, że wiedziałem również, iż Rasa i moje dzieci są w strasznym niebezpieczeństwie. To była pierwsza rzecz, którą wiedziałem, kiedy okrążałem głaz - stąd między innymi wzięło się przekonanie o pilnej potrzebie. Byłem pewien, że jeśli zejdę ze szlaku i dotrę do tamtego miejsca, będę w stanie ich uchronić. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, co to za niebezpieczeństwo, i na koniec zobaczyłem płomień i miasto w nim.

-To prawdziwa wizja - stwierdziła Luet.

Ot tak po prostu? Wiedziała po kolejności wydarzeń? Prawdopodobnie powiedziałyby to samo niezależnie od tego, co ojciec pamiętał. I być może, ojciec pamiętał to w ten sposób tylko dlatego, że Luet tak zasugerowała. Nafaia doprowadzało do wściekłości to, że ojciec przytakiwał tej dwunastoletniej dziewczynce, kiedy traktowała go protekcyjnie jak terminatora przyuczanego do zawodu, w którym ona była powszechnie szanowanym mistrzem.

-Ale to okazało się nieprawdą - zaoponował ojciec. - Kiedy tu dotarłem, nie było żadnego niebezpieczeństwa.

-Wcale tak nie myślałam - powiedziała Luet. - Kiedy poczuł pan, że pańska partnerka i pańskie dzieci są w niebezpieczeństwie, co pan zamierzał zrobić?

-Oczywiście uratować ich.

-Konkretnie w jaki sposób?

Ojciec znów zamknął oczy.

-Nie planowałem wyciągnąć ich z płonącego budynku. To przyszło mi do głowy później, kiedy pokonywałem resztę drogi do miasta. W tamtej chwili chciałem krzyknąć, że miasto płonie, musimy...

-Że miasto płonie?

-Chciałem powiedzieć, że musimy wydostać się z miasta. Ale nie to chciałem powiedzieć na początku. Kiedy to wszystko się zaczęło, czułem, jakbym musiał przyjść do miasta i powiedzieć wszystkim, że nadchodzi pożar.

-I że muszą uciekać?

- Chyba tak - odparł ojciec. - Oczywiście, bo coś innego?

Luet nic nie powiedziała, lecz nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

- Nie - powiedział ojciec. - To nie było to. - Sprawiał wraże nie zaskoczonego. - Nie zamierzałem ich ostrzec, żeby uciekali.

Luet pochyliła się do przodu, postawę analityczną zastąpiło napięcie.

-Kiedy przed chwilą powiedział pan, że chciał pan ich ostrzec, by uciekali z miasta...

-Ale nie to zamierzałem zrobić.

-Ale kiedy przez chwilę pan o tym myślał - kiedy pan założył, że zamierza im pan powiedzieć, żeby uciekali z miasta -jakie to było uczucie? Kiedy pan nam to powiedział, skąd pan wiedział, że to niewłaściwe?

-Nie mam pojęcia. Po prostu czułem, że to... niewłaściwe.

-To bardzo ważne. Co człowiek czuje, kiedy doznaje uczucia, że coś jest niewłaściwe?

Ojciec znów zamknął oczy.

-Nie przywykłem do analizowania toku mojego myślenia. A teraz próbuję sobie przypomnieć, jakie to było uczucie, kiedy pomyślałem, że przypominam sobie coś, czego w rzeczywistości nie pamiętałem...

-Proszę się zastanowić i teraz nic nie mówić - poleciła Luet.

Ojciec umilknął.

Nafai miał ochotę wrzasnąć na kogoś. Co im strzeliło do głowy, żeby słuchać tej brzydkiej, głupiej małolaty i pozwalać

jej nakazywać ojcu - samemu Wetchikowi, gdyby ktoś nie pamiętał - nie otwierać ust!

Ale wszyscy inni byli w stanie takiego napięcia, że Nafai milczał. Issib byłby z niego niewątpliwie dumny, że powstrzymał się od powiedzenia czegoś, co przyszło mu na myśl.

-Nie czułem nic - rzekł wreszcie ojciec. Skinął powoli głową.

- Zaraz po tym, jak zadałaś pytanie, a ja na nie odpowiedziałem, nie czułem nic. A potem siedziałas i patrzyłaś na mnie, a ja miałem kompletną pustkę w głowie.

-Głupio - powiedziała.

Ojciec uniósł brew. Ku uldze Nafaia wreszcie zauważył, z jakim lekceważeniem Luet się do niego zwraca.

- Czuł się pan głupio - wyjaśniła. - I dlatego wiedział pan, że to, co pan przed chwilą powiedział, było niewłaściwe.

Skinął głową.

-Tak, chyba właśnie tak.

-O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Issib. - Analizowanie twojej analizy analiz całkowicie subiektywnej halucynacji?

Dobra robota, Issya, pomyślał Nafai. Wyjąłeś mi te słowa z ust.

- Pewnie, możecie się w to bawić przez cały poranek, ale zwyczajnie przypisujecie różne znaczenia doznaniu pozbawionemu znaczenia. Sny to tylko bezładne eksplozje wspomnień, które mózg później interpretuje po to, aby stworzyć przypadko we powiązania, co z kolei jest źródłem powstawania opowieści z niczego.

Ojciec patrzył długo na Issiba, po czym potrząsnął głową.

- Oczywiście masz rację - powiedział. - Mimo że wtedy nie spałem i nigdy dotąd nie miałem halucynacji, to była tylko bezładna eksplozja synaps w moim mózgu.

Nafai wiedział, tak jak z pewnością Issib i matka, że ojciec mówi z ironią, że w ten sposób tłumaczy Issibowi, iż jego wizja ognia na głazie była czymś więcej niż tylko snem pozbawionym znaczenia. Ale Luet nie znała ojca, więc pomyślała, że odsuwa się on od mistycyzmu i wycofuje w rzeczywistość.

- Jest pan w błędzie - zaoponowała. - To była prawdziwa wizja, ponieważ ukazała się panu w prawidłowy sposób. Zrozumienie nastąpiło przed wizją - dlatego zadawałam te pytania.

Najpierw człowiek wychwytuje znaczenie, a potem mózg dostarcza obrazów, które pozwalają to znaczenie zrozumieć. W taki właśnie sposób Naddusza rozmawia z nami.

- Chciałaś powiedzieć: rozmawia z szaleńcami - wtrącił Nafai.

Od razu tego pożałował, ale było już za późno.

-Takimi szaleńcami jak ja? - zapytał ojciec.

-I zapewniam cię, że Luet jest co najmniej taka zdrowa na umyśle jak ty - dodała matka.

Issib nie mógł przegapić okazji, żeby dogryźć bratu.

- Taka zdrowa na umyśle jak Nyef? A więc ma poważne kłopoty.

Ojciec w jednej chwili przerwał docinki Issiba.

-Zaledwie minutę temu mówiłeś to samo.

-Nie wymyślałem nikomu od szaleńców - zaprzeczył Issib.

-Tak, nie popisałeś się - jak by to nazwać? - zjadliwością swego brata.

Nafai wiedział, że może się teraz uratować, jeśli będzie milczał i pozwoli Issibowi odparować atak. Był jednak zwolennikiem sceptycyzmu, a panowanie nad sobą nie należało do jego mocnych stron.

- Czy nie widzisz - odezwał się -jak ta dziewczyna cię naprowadzała, ojczu? Zadaje ci pytanie, ale nie mówi z góry, co będzie oznaczać odpowiedź. Tak więc niezależnie od twoich słów może powiedzieć: „To jest właśnie to, prawdziwa wizja, na pewno głos Nadduszy”.

Ojciec nie umiał odpowiedzieć na poczekaniu. Nafai z uczuciem triumfu zerknął na Luet, chcąc zobaczyć, jak skręca się z zakłopotania. Ale się nie skręcała. Patrzyła na niego bardzo spokojnie. Napięcie ją opuściło i teraz była po prostu spokojna. Zaniepokoiło go jej nieruchome spojrzenie.

- Na co się gapisz? - zapytał.

-Na głupca - odparła.

Skoczył na równe nogi.

-Nie muszę wysłuchiwać, jak mnie nazywasz...

-Siadaj! - ryknął ojciec. Nafai usiadł, kipiąc ze złości.

- Ona słuchała, jak nazywasz ją oszustką - powiedział ojciec.
- Doceniam fakt, że obaj moi synowie robią dokładnie to, o co mi chodziło - sceptycznie oceniają moją opowieść. Przeanalizowali ście sprawę bardzo wnikliwie i wasza interpretacja jest równie uzasadniona jak interpretacja Luet.

Nafai skorzystał z okazji, żeby pomóc ojcu wyciągnąć prawidłowy wniosek.

-Zatem zasada ekonomii myślenia wymaga, abyś...

-Zasada twojego ojca wymaga, abyś trzymał język za zębami, Nafaiu. Obaj zapominacie, że między wami a mną istnieje zasadnicza różnica. - Ojciec pochylił się w kierunku Nafaia. - To ja widziałem ogień. - Wyprostował się. - Luet wtedy mi nie mówiła, co mam myśleć czy czuć. Jej pytania pomogły mi przypomnieć sobie prawdziwy przebieg wydarzeń. To mnie powstrzymało od naginania faktów do sądów, które sobie z góry wyrobiłem. Ona wiedziała, że to będzie dziwne. Oczywiście nie mogę was przekonać.

-Zgadza się - potwierdził Nafai. - Możesz przekonać jedynie samego siebie.

-W ostatecznym rozrachunku, Nafaiu, każdy człowiek może przekonać jedynie samego siebie.

Jeżeli ojciec już mówił aforyzmami, walka była przegrana. Nafai przyjął obojętną postawę, czekając, aż wszystko dobiegnie końca. Pocieszał się, że mimo wszystko był to tylko sen, że nie zmieni to ani jego życia, ani niczego innego.

Ojciec jeszcze nie skończył.

-Czy wiecie, co chciałem naprawdę zrobić, kiedy poczułem tak pilną potrzebę, żeby dotrzeć do miasta? Chciałem przestrzec ludzi, by postępowali zgodnie ze starymi zwyczajami, by wrócili do praw Nadduszy, bo inaczej to miejsce spłonie.

-Jakie miejsce? - zapytała Luet. Znow owładnęło ją napięcie.

-To miejsce. Basilika. Miasto. To właśnie widziałem w płomieniach.

Ojciec znowu umilknął i zapatrzył się w jej płomienne oczy.

- Nie miasto - powiedział w końcu. - Miasto było jedynie obrazem dostarczonym przez mój umysł, prawda? Nie miasto. Cały świat. Cała Harmonia w ogniu.

Rasa sapnęła.

-Ziemia - szepnęła.

-Och, proszę! -jęknął Nafai.

A więc matka zamierzała powiązać wizję ojca ze starą opowieścią o rodzinnej planecie spalonej przez Nadduszę, karzącego w ten sposób ludzkość za takie podłości, które osoba opowiadająca w danej chwili chciała potępić. Dobry na wszystkie okazje mit wymuszający posłuszeństwo: „Jeśli nie zastosujecie się do moich poleceń - czyli do poleceń Nadduszy - to cały świat spłonie”.

-Ja nigdy nie widziałam samego ognia - powiedziała Luet, ignorując Nafaia. - Moje wizje może nawet nie objawiają mi tego samego przesłania.

-A co widziałas? - zapytał ojciec.

Nafai skulił się, widząc, z jakim szacunkiem ojciec odnosi się do tej dziewczynki.

- Widziałam Głębinę Basiliki pokrytą skorupą krwi i popiołów.

Nafai czekał, aż Luet dokończy. Ale ona milczała.

-I to wszystko? - Wstał, szykując się do wyjścia. - To wspa-
niałe słuchać, jak oboje porównujecie swoje wizje. „Ja widziałem
miasto w płomieniach”. „Cóż, ja widziałam jezioro pokryte
szumowinami”.

Luet wstała i spojrzała mu w oczy. Nie, zmusiła go do spuszczenia wzroku - to było absurdałne, ponieważ Nafai był od niej wyższy prawie o pół metra.

-Wysuwasz argumenty przeciwko mnie tylko dlatego -
powiedziała gwałtownie - że nie chcesz uwierzyć w to, co ci
powiedziałam o Eiadh.

-To śmieszne! - zaprotestował Nafai.

-Miałas wizję, w której pojawiała się Eiadh? - zapytała Rasa.

- Co Eiadh ma wspólnego z Nyefem? - zapytał Issib.

Nafai nienawidził Luet za to, że znów wymieniła jej imię,
tym razem przy jego rodzinie.

- Na temat innych ludzi możesz wymyślać, co ci się tylko
podoba, ale mnie w to nie mieszaj.

- Dość tego - powiedział ojciec. - Skończyliśmy.

Rasa spojrzała na niego ze zdziwieniem.

-Czy odprowadzasz mnie w moim własnym domu?

-Odprowadzam moich synów.

-Oczywiście masz władzę nad swoimi synami. - Matka uśmiechała się, ale po jej łagodnym tonie Nafai poznał, że jest bardzo poirytowana. - Jednak nie widzę tu, w moim domu, nikogo innego oprócz moich uczniów.

Ojciec skinął głową, przyjmując reprimendę, i wstał.

-A więc sam wychodzę. Mam nadzieję, że to mi wolno.

-Zawsze wolno ci wyjść, mój ubóstwiany partnerze, o ile obiecasz, że do mnie wrócisz.

Pocałował ją w policzek.

-Co masz zamiar zrobić? - zapytała.

-To, co mi kazał Naddusza.

-Mianowicie?

-Przestrzegę ludzi, żeby wrócili do praw Nadduszy, bo inaczej świat spłonie.

Issib był przerażony.

-To szaleństwo, ojczule!

-Zmęczyło mnie wysłuchiwanie tego słowa z ust moich synów.

-Ale... prorocy Nadduszy nie mówią takich rzeczy. Są jak poeci, tylko że wszystkie ich metafory zawierają jakiś morał albo sławią Nadduszę, albo...

-Issya - przerwał mu Wetchik. - Przez całe życie słuchałem tych tak zwanych prorocत्व - a także psalmów, różnych opowieści i kapłanów ze świątyni - i zawsze myślałem sobie, że jeżeli Naddusza ma tylko tyle do powiedzenia, to ja nie muszę tego słuchać. Po co Naddusza miałby w ogóle zawracać sobie głowę przemawianiem, jeśli tylko to zaprzęta jego myśli?

-A więc dlaczego nauczyłeś nas rozmawiać z Nadduszą? - zapytał Issib.

- Ponieważ wierzyłem w odwieczne prawa. Sam również rozmawiałem z Nadduszą, choć bardziej w celu wyklarowania własnych myśli niż z przekonania, że Naddusza słucha. I potem, zeszłej nocy, a właściwie dziś rano, doznałem czegoś, czego nigdy nie pojmowałem. Nigdy tego nie pragnąłem. Do obecnej chwili, kiedy przed paroma minutami rozmawiałem z Luet, nawet nie wiedziałem, co to było. Teraz wiem, jak to jest słyszeć w sobie głos

Nadduszy. Nie ma to żadnego związku z tymi poetami, marzycielami i oszustami, którzy zapisują wszystko, co wpadnie im do głowy, a następnie sprzedają to jako proroctwo. To, co we mnie wstąpiło, nie było częścią mojej jaźni, i Luet pokazała mi, że ona też nosi ten sam głos w sobie. Oznacza to, że Naddusza jest prawdziwy i żyje.

-Może i jest prawdziwy - przyznał Issib. - To nam jednak nie wyjaśnia, czym jest.

-Strażnikiem świata - odparł Wetchik. - Poprosił mnie o pomoc. Kazał mi przyjść z pomocą. I tak zrobię.

-To wszystko leży w gestii świątyni - powiedział Issib. - Ty się na tym w ogóle nie znasz. Hodujesz rośliny egzotyczne.

-Wszystko, co muszę wiedzieć, Naddusza mi powie. - Ojciec zbył obiekcje Issiba machnięciem ręki, a potem skierował się do drzwi prowadzących do wnętrza domu.

Nafai poszedł za nim, ale tylko kilka kroków.

- Ojcie - odezwał się.

Wetchik zaczekał.

Kłopot polegał na tym, że Nafai nie miał pojęcia, co chce powiedzieć. Czuł tylko, że musi to powiedzieć, że jest pewne bardzo ważne pytanie, na które musi mieć odpowiedź przed wyjściem ojca. Po prostu nie wiedział, co to za pytanie.

- Ojcie - powtórzył.

-Tak?

I ponieważ Nafai nie mógł wymyślić prawdziwego pytania, doniosłego, ważnego - zadał jedyne, które mu przyszło na myśl.

-Co ja mam robić?

-Przestrzegaj starych zwyczajów Nadduszy.

-Co to znaczy?

-Albo świat spłonie - dokończył ojciec, po czym wyszedł.

Nafai przez chwilę patrzył na pusty otwór drzwi. Nic się nie stało, więc odwrócił się do pozostałych. Wszyscy na niego patrzyli, jakby spodziewali się, że on coś zrobi.

- O co chodzi? - zapytał.

-O nic - odparła matka. Podniosła się ze swojego miejsca w cieniu drzewa kaplya. - Wracajmy do pracy.

-I to wszystko? - zaprotestował Issib. - Nasz ojciec, twój partner, właśnie nam powiedział, że Naddusza z nim rozmawia, a my mamy wracać do lekcji?

-Naprawdę niczego nie rozumiecie, prawda? Przez te wszystkie lata żyliście jako moi synowie, jako moi uczniowie, a nadal jesteście tylko chłopcami, którzy włóczą się po ulicach Basiliki, mając nadzieję znaleźć chętną kobietę i łóżko na noc.

-Czego nie rozumiemy? - zapytał Nafai. - Wy, kobiety, traktujecie tak poważnie tę małą czarownicę, ale to nie oznacza, że...

-Ja sama też już wchodziłam do wody - powiedziała metalicznym głosem matka. - Wy, mężczyźni, możecie przed sobą udawać, że Naddusza ma demencję albo śpi, albo że jest tylko maszyną do gromadzenia naszych przekazów i wysyłania ich do bibliotek w odległych miastach. Obojętne, w jaką teorię wierzycie, nie robi to żadnej różnicy p r a w d z i e . Ponieważ ja, tak jak większość kobiet w tym mieście, wiem, że Naddusza żyje. Przynajmniej jako bank wspomnień tego świata. Wszystkie odbieramy te wspomnienia, kiedy wchodzimy do wody. Czasem wydają się chaotyczne, innym razem otrzymujemy dokładnie te, których potrzebujemy. Naddusza przechowuje historię świata widzianego oczami innych ludzi. Jedynie nielicznym spośród nas

- jak na przykład Luet i Hushidh - woda przekazuje mądrość, a jeszcze mniejszej garstce dane jest doznać wizji ukazujących prawdziwe przyszłe wydarzenia. Odkąd umarła wielka Izumina, Luet jest jedyną znaną mi wieszczką w Basilice, a więc traktuje my ją bardzo poważnie.

Kobiety wchodzi do wody i odbierają wizje? Po raz pierwszy Nafai usłyszał, jak kobieta opisuje obrzędy przy jeziorze. Zawsze zakładał, że obrządek kobiet jest podobny do kultu mężczyzn

- fizyczny, ascetyczny, bolesny, beznamiętny sposób na rozładowanie napięcia emocjonalnego. Ale nie, kobiety były mistyczkami. To, co mężczyznom wydawało się legendami lub szaleństwem, stanowiło esencję życia kobiety. Nafai miał wrażenie, jakby odkrył, że kobiety wręcz należą do innego gatunku. Pytanie brzmiało: która płęć, męska czy żeńska, tworzy gatunek ludzi? Racjonalni, lecz brutalni mężczyźni? Czy irracjonalne, lecz łagodne kobiety?

- Tylko jedno można uznać za większą rzadkość od dzieł czynki takiej jak Luet - ciągnęła matka. - Jest nią mężczyzna, który słyszy głos Nadduszy. Teraz wiemy, że wasz ojciec ją słyszy.

Potwierdziła to Luet. Nie wiem, czego Naddusza chce lub dlaczego przemówiła do waszego ojca, ale zdaję sobie sprawę z tego, że ma to jakieś znaczenie.

Przechodząc obok Nafaia, matka wyciągnęła rękę i chwyciła go palcami mocno, choć nie boleśnie, za ucho.

- Jeżeli chodzi o mityczne spalenie Ziemi, moje drogie dziecko, sama to widziałam. To się wydarzyło naprawdę. Mogę tylko zgadywać, jak dawno temu - oceniamy, że historia ludzkości na tym świecie, nazwanym przez nas Harmonią, liczy sobie co najmniej trzydzieści milionów lat. Ale widziałam lecące rakiety, wybuchające bomby i świat w płomieniach. Niebo było przepelnione dymem, który zasłaniał słońce, a pod tą osłoną ciemności oceany zamrzły i świat pokryła skorupa lodu. Przeżyło niewielu ludzi, by po śmierci świata powstać z tej czerni i wraz ze swoimi nadziejami, żałami i genami wyruszyć na inne planety w nadziei na nowy początek. Jesteśmy tutaj. I teraz Naddusza ostrzegła waszego ojca, że nasz nowy początek może doprowadzić do takiego samego końca.

Nafai wiedział, że matka okazuje postronnym ludziom twarz wesołą, rozpromienioną, myślącą, ujmującą, a tylko dla rodziny ma przeznaczoną szczerą, lecz zawsze dobroduszną, skorą wyrazić gniew, lecz jeszcze skwapliwiej przebaczenie. Zawsze zakładał, że w obecności rodziny obnażała swoją prawdziwą naturę i niczego nie ukrywała. Jednak przez cały czas trzymała w tajemnicy pełną goryczy wizję końca Ziemi.

-Nigdy nam o tym nie mówiłaś - szepnął.

-Ależ mówiłam. To nie moja wina, że kiedy o tym słyszeliście, uznawaliście to za mit. - Puściła jego ucho i wróciła do domu.

Issib przeleciał obok niego, mamrocząc coś o tym, że człowiek budzi się pewnego ranka i stwierdza, że przez całe życie mieszkał w domu wariatów. Hushidh też przeszła obok Nafaia, nie napotykaając jego wzroku; wyobrażał sobie, jakie plotki będzie rozsiewać w jego klasie.

Został sam na sam z Luet.

- Nie powinnam była wtedy rozmawiać z tobą - odezwała się.

-I teraz też nie powinnaś - odburknął.

-Niektórzy ludzie słyszą kłamstwo, kiedy mówi im się prawdę. Taką dumą napawa cię twoja pozycja społeczna wynikająca z tego, że jesteś synem Rasy i Wetchika, ale najwidoczniej nie odziedziczyłeś po rodzicach właściwych genów.

-Ja zaś jestem pewny, że ty z kolei odziedziczyłaś najwspanialsze, jakie twoi rodzice mieli do zaoferowania.

Spojrzała na niego z wyraźną pogardą, po czym odeszła.

- Jakże wspaniale zapowiada się dzisiejszy dzień - powie dział na głos, choć był sam. - Nienawidzi mnie cała moja rodzina.

- Zastanawiał się przez chwilę. - Nawet nie jestem pewien, czy w ogóle chcę, żeby mnie lubili.

Przez jedną niebezpieczną chwilę rozważał, czyby nie wślizgnąć się za parawan, podejść do krawędzi tarasu, wychylić się i rzucić okiem na zakazany widok Doliny Świętych Kobiet, którą nieformalnie określano mianem Rozpadliny, a ordynarnie nazywano Kotliną Starych Bab. Zobacze ją i załóżę się, że nawet nie oślepnę, pomyślał.

Ale nie zrobił tego, choć zastanawiał się nad tym przez dobrą chwilę. Wydawało się, że za każdym razem, kiedy już miał zrobić krok w kierunku krawędzi, jego umysł nagle błędził i Nafai wahał się zdezorientowany. W końcu zapomniał na chwilę, co chciał zrobić, i wszedł do domu.

Powinien wrócić do klasy - spodziewał się, że to zrobi, kiedy wchodził do środka. Ale nie mógł się do tego zmusić. Skierował się do frontowych drzwi i przez kolumnadę wyszedł na ulice Basiliki. Matka będzie na niego wściekła, ale trudno.

Musiał widzieć, dokąd idzie, ponieważ nie zderzył się po drodze z niczym, ale nie pamiętał ani co widział, ani gdzie był. Dotarł do dzielnicy zwanej Fontanny, niedaleko rejonu, gdzie stał dom Rasy; krążył nieustannie wokół tych samych myśli i wciąż wracał do punktu wyjścia.

Jedno wiedział: nie mógł potraktować tego wszystkiego jako szaleństwa. Ojciec nie był obłąkany, niezależnie od tego, jak bardzo odmieniony i dziwny mógł się wydawać; a co do matki, to jeżeli jej wizja spalenia Ziemi była szaleństwem, Rasa musiała być obłąkana, jeszcze zanim urodziła Nafaia. Tak więc istniało coś, co zaszczebiało przeświadczenia, pragnienia i wizje w umysłach jego rodziców - a także w umyśle Luet, nie mógł zapominać

o niej. Ludzie nazywali to coś Nadduszą, ale to była tylko nazwa, etykieta. Czym było to coś? Czego chciało? Co mogło zrobić? Jeśli potrafiło rozmawiać z ludźmi, to dlaczego nie rozmawiało ze wszystkimi?

Zatrzymał się po drugiej stronie dość szerokiej ulicy, naprzeciwko największego domu w Basilice. Znał go dość dobrze, ponieważ partnerem kobiety, która w nim mieszkała, był wódz klanu Palwashantu. Nafai nie pamiętał jej imienia - była nikim, wszyscy wiedzieli, że kupiła ten prastary dom za pieniądze swojego partnera i gdyby nie odnowiła z nim kontraktu, to i tak nawet z domem byłaby nikim. Wódz klanu nazywał się Gaballufix. Łączyły go pewne więzy pokrewieństwa z rodziną Nafaia - jego matką była Hosni, która później została cioteczka Wetchika i matką Elemaka. Z powodu tego pokrewieństwa i faktu, że ojciec był prawdopodobnie drugim najznamienitszym członkiem klanu Palwashantu w Basilice, rodzina Wetchika przychodziła w odwiedziny do tego domu co najmniej raz, a zwykle dwa lub trzy razy w roku, odkąd Nafai pamiętał.

Kiedy tam stał i wpatrywał się głupio w fasadę tego wyróżniającego się budynku, nagle zdwoił czujność, ponieważ mimowolnie rozpoznał osobę idącą ulicą. Elemak powinien spać w domu - przecież podróżował przez całą noc, prawda? A jednak zjawił się tutaj, we wczesnych godzinach popołudniowych. Przez chwilę Nafai zastanawiał się, ogarnięty paniką, czy Elya nie szuka właśnie jego - czy to możliwe, że matka tęskniła za nim i martwiła się, i teraz cała rodzina, może nawet włącznie z pracownikami ojca, szuka go po całym mieście?

Jednak nie. Elemak nikogo nie szukał. Szedł zbyt swobodnym, zbyt lekkim krokiem.

A potem zniknął.

Nie, skręcił w lukę między domem Gaballufixa i sąsiednim budynkiem.

Nafai musiał się dowiedzieć, co Elemak robi. Popędził do miejsca, skąd miał dobry widok na wąską drogę. Zdażył zobaczyć, jak Elemak daje nura w niskie wejście na uliczkę prowadzącą do domu Gaballufixa.

Nie miał zielonego pojęcia, jaką sprawę może mieć Elya do Gaballufixa - zwłaszcza coś tak pilnego, że musiał iść do jego

domu zaraz po powrocie z dalekiej podróży. To prawda, że formalnie byli braćmi przyrodnimi, ale Gaballufix był szesnaście lat starszy i nigdy otwarcie nie uznawał Elemaka za swojego brata. Nie znaczyło to jednak, że teraz nie mogli zachowywać się jak bliscy krewni.

Nafai wiedział, że pomyśl, aby zapytać o to Elemaka wprost, byłby niedobry. Gdy Elya zechce, aby ktoś się dowiedział o jego sprawach z Gaballufixem, sam o tym zacznie mówić. Tymczasem tajemnica pozostanie bezpieczna w jego głowie.

Tajemnica w czyjejs głowie.

Luet wiedziała, że Nafai jest zakochany w Eiadh. Cóż, to nie było aż taką tajemnicą - Luet mogła się domyślić po sposobie, w jaki Nafai patrzył na swoją wybrankę. Ale na tarasie domu matki Luet powiedziała: „To ty jesteś bękartem”, jakby odcinała się za to, że ją tak nazwał. Tylko że nigdy nie powiedział tego na głos, jedynie pomyślał o niej w ten sposób. Przyszło mu to do głowy w tamtej chwili, ponieważ był zły na Luet. A jednak ona wiedziała.

Czy to też była sprawka Nadduszy? Nie tylko zaszczepianie myśli w głowach ludzi, ale także wyciąganie ich i ujawnianie innym ludziom? Naddusza był nie tylko dostarczycielem dziwnych snów - był również szpiegiem i plotkarzem.

Nafai przestraszył się, kiedy pomyślał, że Naddusza nie tylko jest prawdziwy, lecz również dość potężny, by odczytać jego najbardziej skryte, przelotne myśli i wyjawić je trzeciej osobie. I to komuś aż tak odpychającemu, jak ta mała czarownica bękart.

Przestraszył się tak jak za pierwszym razem, kiedy wszedł do morza zupełnie sam. Ojciec zabrał ich na wakacje, na plażę. Pierwszego popołudnia weszli wszyscy razem do morza i w otoczeniu swojego ojca oraz braci - oczywiście z wyjątkiem Issi-ba, który obserwował ich z krzesła na plaży - Nafai poczuł, jak morze bawi się z nim, jak fale pchają go do brzegu, a potem znów próbują pociągnąć na głęboką wodę. To było przyjemne, ożywiające. Ośmielił się nawet wypłynąć do miejsca, gdzie nie miał gruntu pod nogami, przez cały czas bawiąc się z Mebem, Elyą i ojcem. To był dobry dzień, wspaniały dzień, kiedy starsi bracia jeszcze go lubili. Ale nazajutrz rano Nafai wstał wcześniej, opuścił namiot i sam poszedł nad wodę. Umiał pływać jak ryba;

nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. A jednak kiedy wszedł do wody, ogarnął go niewytłumaczalny niepokój. Woda wciągała go i popychała; znajdował się zaledwie kilka metrów od brzegu, a mimo to czuł, jakby dostał się w uścisk czegoś olbrzymiego, że każda część tego ogromu mogła go połknąć. Wpadł w panikę. Pospieszył do brzegu, brnąc przez wodę, przekonany, że żywioł nigdy go nie puści, lecz będzie ciągnął, wsysał. A potem znalazł się na piasku, na suchym piasku powyżej linii wody, już bezpieczny, upadł na kolana i łkał.

Przez tych parę chwil w wodzie czuł paniczny strach wynikający ze świadomości, jak jest mały i bezradny, jak wielką mocą dysponuje świat i jak łatwo może ona zrobić z nim to, co tylko chce, a on nie może oprzeć się jej w żaden sposób.

Taki właśnie strach go obleciał teraz. Nie tak potężny, nie tak wyraźny jak tamtego dnia na plaży - ale patrząc z drugiej strony, nie był już pięciolatkiem i lepiej sobie radził z lękiem. Naddusza nie był starą legendą, lecz żył i potrafił wtłoczyć wizje w umysły jego rodziców oraz wyszperać tajemnice w jego głowie i zdradzić je innym ludziom, ludziom, których Nafai nie lubił i którzy jego nie lubili.

Najgorsza była świadomość, że Luet nie darzyła go sympatią prawdopodobnie z powodu tego, co Naddusza opowiedział jej o jego myślach. Jego najintymniejsze myśli obnażone przed tym nieżyczliwym potworem. Co będzie dalej? Czy następną wizją ojca będą marzenia Nafaia o Eiadh? Albo jeszcze gorzej - czy matka wszystko zobaczy?

Nad morzem mógł uciekać do brzegu. Ale jak uciec przed Nadduszą? Nie było dokąd. Nie można też było się schować - jak można zamaskować swoje myśli tak, aby samemu nawet nie wiedzieć, co się myśli?

Mógł jedynie próbować odkryć, czym jest Naddusza, i zrozumieć, czego chce, co usiłuje zrobić jemu i jego rodzinie. Musiał pojąć Nadduszę i, o ile to możliwe, zmusić, żeby zostawił go w spokoju.

Maski

Nie było sensu wracać tak późno do domu matki. Wyjaśnienia prawdopodobnie zajęłyby resztę lekcji. Wymówki mogły zaczekać do jutra.

Albo może Nafai już nigdy nie wróci. Był to jakiś pomysł. Ostatecznie Mebbekew nie chodził do szkoły. Właściwie nie robił nic, nawet nie wracał do domu, jeśli tak postanowił.

Kiedy to się zaczęło? Czy Meb robił to już w wieku czternastu lat? Cóż, robił czy nie, Nafai mógł zacząć w tej chwili i kto miałby go powstrzymać? Był wzrostu dorosłego mężczyzny i miał tyle lat, że nadawał się do męskiego zawodu. Jednak nie zawodu ojca - za nic w świecie interes roślinny. Jeśli człowiek dostatecznie długo tym się parął, zaczynał doznawać wizji w ciemności przy pustynnej drodze.

Na pewno inna profesja. Może Nafai by się wyuczył na artystę. Na przykład na poetę lub pieśniarza - miał nieustawiony głos, ale potrafił zanucić melodię, a po szkoleniu mógłby być niezły. Lub może nadawałby się do tańca albo aktorstwa, pomimo żartu matki tego ranka. Te dziedziny sztuki nie miały nic wspólnego z chodzeniem do szkoły - jeśli miał się poświęcić jednej z nich, dalsze pozostawanie u matki było stratą czasu.

Pomysł ten zaprzętał mu głowę przez całe popołudnie. Nafai najpierw skierował swe kroki na targ wewnętrzny, gdzie można było usłyszeć wiersze i pieśni, a także kupić kilka doskonałych

nowych myachików do wysłuchania w domu. Oczywiście gdyby przestał uczęszczać do szkoły, matka bez wątpienia przestałaby mu dawać kieszonkowe na myachiki. Ale jako adept sztuki prawdopodobnie otrzymywałby trochę pieniędzy, a jeśli nie, to co z tego? Sam osobiście tworzyłby prawdziwą sztukę. Po co mu wtedy sztuka nagrana w szklanych kulkach?

Kiedy dotarł do targu wewnętrznego, już wmówił sobie, że nie interesują go nagrania, skoro zamierza zostać artystą. Ruszył na wschód, przez dzielnice o nazwach Zagrody, Ogrody i Gaj Oliwny, przemierzając wąskie zabudowane uliczki między murem miasta a krawędzią doliny, gdzie mężczyznom nie wolno było chodzić. Wreszcie dotarł do najwęższego miejsca - ulicy z wysokim białym murem wznoszącym się za domami, tak iż mężczyzna stojący na czerwonym murze miejskim nie mógł sięgnąć okiem za te domy i zajrzeć w dolinę. Nafai był tu tylko kilka razy w życiu i nigdy sam.

Nigdy sam, ponieważ w Dolinie Lalek człowiek zawsze znajdował towarzystwo i przyjaźń. Tu można było usiąść wśród słóczkowej publiczności i pooglądać tańce oraz sztuki lub posłuchać recytacji albo koncertów. Teraz jednak Nafai przybywał tutaj w charakterze artysty, a nie publiczności. Nie szukał przyjaźni, lecz powołania.

Słońce jeszcze nie zaszło, więc na ulicach Doliny Lalek nie było tłoczno. Zmierzch zwabi dokazujących terminatorów i uczniów, a całkowita ciemność ściągnie kochanków, znawców i hulaków. Ale już teraz, późnym popołudniem, niektóre teatry były otwarte, galerie sztuki też dobrze prosperowały za dnia.

Nafai wstąpił do kilku galerii, bardziej z powodu tego, że były otwarte, niż dlatego, że poważnie myślał o zapisaniu się na naukę rzemiosła u malarza lub rzeźbiarza. Nigdy nie umiał dobrze rysować, a kiedy w dzieciństwie próbował rzeźbić, zawsze musiał innym tłumaczyć, co jego dzieło przedstawia. Podczas zwiedzania galerii usiłował pozować na zamyślonego i baczego obserwatora, ale sprzedawcy dzieł sztuki nigdy nie dawali się nabrać - pomimo wzrostu dorosłego mężczyzny był wciąż o wiele za młody, aby wyglądać na poważnego klienta. Tak więc nigdy nie podchodzili do niego i nie zagadywali, tak jak czynili w wypadku wejścia dorosłych. Informacje musiał zdobywać

metodą podsłuchiwania. Zdziwiły go ceny. Oczywiście nie stać go było na oryginały, ale nie mógł marzyć nawet o kupnie bardzo wiernych kopii holograficznych. Najgorsze było to, że obrazy i rzeźby, które podobały mu się najbardziej, nieodmiennie kosztowały najwięcej. Może znaczyło to, że ma bardzo dobry gust. Lub może to, że artyści, którzy umieli wywrzeć głębokie wrażenie na ignorantach, najwięcej zarabiali.

W końcu znudzony galeriami i zdecydowany sprawdzić, w której dziedzinie sztuki powinien planować sobie przyszłość, zawędrował do teatru pod gołym niebem, który składał się z szeregu maleńkich scen rozsianych na szerokich trawnikach w pobliżu muru. Odbywały się tam próby kilku sztuk. Ponieważ nie było jeszcze prawdziwej publiczności, nie włączono głośników i podczas wędrówki Nafaia od sceny do sceny odgłosy sztuk z bardziej oddalonych scen ciągle zakłócały chwile przerwy w przedstawieniu, które akurat obserwował. Po pewnym czasie jednak odkrył, że jeśli stoi i obserwuje próbę dostatecznie długo, by się nią zainteresować, przestaje zwracać uwagę na wszelkie inne odgłosy.

Przystanął przy satyrykach. Zawsze wydawało mu się, że satyra jest najbardziej ekscytującym gatunkiem sztuki, ponieważ teksty muszą być aktualne jak najświeższe plotki. I tak jak sobie wyobrażał, natrafił na satyryka obecnego przy próbie. Autor sztuki gryzmolił wersety na papierze - na papierze! - i podawał karteluszeki gońcowi, który podbiegał do sceny i przekazywał je aktorowi grającemu daną rolę. Aktorzy, którzy w danej chwili nie znajdowali się na scenie, spacerowali tam i z powrotem albo siedzieli na trawniku, powtarzając w kółko swoje kwestie, aby umieć je na pamięć podczas wieczornego występu. Dlatego właśnie sztuki satyryczne były zawsze niedoszlifowane i niesynchronizowane, roiło się w nich od nagłych przerw i absurdałnych nielogiczności. Ale nikt nie oczekiwał, że satyra będzie dobra - musiała być jedynie zabawna, złośliwa i aktualna.

Ta sztuka była o starym sprzedawcy afrodyzjaków. Aktor maskowy grający rolę starego wydawał się bardzo młody, najwyżej dwudziestoletni, i nie udawało mu się podrabianie głosu starszego człowieka. Ale na tym między innymi polegał dowcip - aktorzy maskowi prawie bez wyjątku byli terminatorami,

którym nie udało się jeszcze dostać do poważnej trupy aktorów. Twierdzili, że powodem noszenia masek zamiast nakładania charakterystyki było zabezpieczenie się przed odwetem rozzłoszczonych ofiar satyry - Nafai podejrzewał jednak, że maska miała w równym stopniu ochraniać młodego aktora przed kpinami rówieśników.

Po południu zrobiło się gorąco i niektórzy aktorzy pozdejmowali koszule; ci, których skóra była blada, wydawali się niepomni na to, że przypalali się na kolor dojrzałych pomidorów. Nafai roześmiał się po cichu na myśl, że aktorzy maskowi to prawdopodobnie jedyni ludzie w Basilice, którzy opalają się na całym ciele z wyjątkiem twarzy.

Goniec podał kartkę aktorowi, który siedział na trawie. Młodzieniec spojrzał na werset, po czym wstał i podszedł do satyryka.

- Nie mogę tego powiedzieć - oświadczył.

Satyryk był zwrócony plecami do Nafai, więc chłopiec nie słyszał odpowiedzi.

- Co takiego?! Gram rolę tak mało znaczącą, że moja kwestia nie musi się rymować?

Tym razem satyryk odpowiedział tak głośno, że Nafai wychwycił fragmenty wypowiedzi, którą zakończył walny argument:

- Więc sam to napisz!

Młody człowiek ze złością zdarł maskę z twarzy i krzyknął:

- Gorzej na pewno bym nie napisał!

Satyryk wybuchnął śmiechem.

- Zapewne nie - odparł. - Spróbuj. Nie mam czasu, żeby z każdej sceny robić arcydzieło.

Ułagodzony młodzieniec z powrotem założył maskę. Ale Nafaiowi wystarczyła ta krótka chwila. Tym młodym aktorem maskowym był jego brat Mebbekew.

A więc to jest źródło jego dochodów! Wcale nie pożyczanie! Pomysł, który wydawał się Nafaiowi taki sprytny i oryginalny - zostać artystą, aby się uniezależnić - już od dawna Mebbekew realizował. W pewnym sensie było to zachęcające - skoro Mebbekew może to robić, to czemu nie ja? - lecz również zniechęcające,

kiedy Nafai pomyślał, że ze wszystkich ludzi trafił na rywala akurat w osobie Mebbekewa. Meb, brat, który nienawidził go przez całe życie, a nie, tak jak Elya, zaczął nienawidzić od niedawna. Czy po to się urodziłem, żeby stać się drugim Mebbekewem? - pomyślał.

A potem przyszła mu do głowy najpaskudniejsza myśl: Czy to nie byłoby zabawne, gdybym zajął się aktorstwem, wiele lat później niż Meb, i od razu został zatrudniony w poważnej trupie? Ale bym go upokorzył! Meb by chyba popełnił samobójstwo.

Cóż, może nie. Bardziej prawdopodobne, że w Mebie odezwałyby się instynkty mordercze.

Z tego złośliwego snu na jawie wyrwała Nafaia akcja rozgrywająca się na scenie. Stary sprzedawca afrodyzjaków usiłował namówić młodą kobietę, aby kupiła od niego zioła.

*Włóż mu liście do herbaty, Sobie zaś
do łóżka kwiat. Nim wybije wpół do
czwartej, Skona chwyt - proszę o
wybaczenie, To tylko przejęzyczenie.*

Fabula zaczęła w końcu nabierać sensu. Stary chciał otruć kochanka dziewczyny, przekonując ją, że trujące zioło to lubczyk. Dziewczyna najwyraźniej tego nie pojmowała - wszystkie postacie w satyrze były zdumiewająco głupie - ale z jakichś innych powodów nadal odmawiała kupna.

*Wolałabym szczeznąć, Niż wziąć kwiat z
twego ogrodu. Od ciebie nie chcę
niczego. Miłości pragnę od niego.*

Nagle stary przeszedł na śpiew operowy. Głos miał właściwie niezły, nawet śpiewając nienaturalnie dla uzyskania komicznego efektu.

Miłość każdego może odurzyć!

W tym momencie Mebbekew, z powrotem z maską na twarzy, wpadł na scenę i zwrócił się bezpośrednio do publiczności.

Śłuchajcie tylko, jak staruch bajdurzy!

Zaczęli wykonywać dziwny duet: stary sprzedawca śpiewał frazę, a młodzieniec, odgrywany przez Mebbekewa, odpowiadał mówionym komentarzem skierowanym do publiczności.

*Lecz miłość wiele twarzy ma! (Szpieguję go
każdego dnia). Jeden kochanek szybki w
miłości! (Pragnie jej chłopca trucizną
ugościć). Drugi bywa nieskory do rzeczy!
(Śłuchajcie, jak stary baran beczy).
Podjmij właściwą decyzję! (Chyba
podsunę osłu wizję). Swój cel osiągniesz
dzięki mnie! (Uzna, że wizję Naddusza śle).
Nie ma reguł w miłosnej grze. (W tej wizji
płomień przyda się...). Nieważne, jak
wygrasz w tej grze, Bo stawką jest twoje
serce, Nie zmieni to wcale miłości twej.*

Wizja ukazana przez Nadduszę. Płomień. Nafaiowi nie podobał się taki obrót spraw. Nie podobało mu się, że maska starego sprzedawcy afrodyzjaków miała bujną grzywę siwych włosów i siwą brodę. Czy to możliwe, że wieść rozniosła się tak szybko i tak daleko? Niektórzy satyrycy słynęli z tego, że pierwsi dowiadywali się o plotkach - ludzie często przychodzili na sztuki satyryczne po to, żeby zapoznać się z bieżącymi wydarzeniami, i wielu wychodziło z teatru, pytając się nawzajem: „O co tu naprawdę chodziło?”.

Mebbekew majstrował przy skrzynce na scenie. Satyryk zawołał do niego:

- Mniejsza z efektem ognia! Będziemy udawać, że ten mechanizm funkcjonuje.

-Musimy go kiedyś wypróbować - odparł Mebbekew.

-Nie teraz.

-A kiedy?

Satyryk wstał, podszedł do sceny, zwinął ręce w trąbkę wokół ust i ryknął:

-Efektem... zajmiemy się... później!

- Świetnie - ustąpił Meb.

Po powrocie na swoje miejsce na wzgórzu autor satyry dodał:

-I tak nie ty będziesz uruchamiać mechanizm.

- Przepraszam - powiedział Meb.

Wrócił na swoje miejsce za skrzynką, z której wieczorem przypuszczalnie buchnie płomień. Pozostali aktorzy maskowi z powrotem zajęli swoje wyznaczone pozycje.

- Koniec pieśni - oznajmił Meb. - Efekt ognia.

Sprzedawca i dziewczyna natychmiast wyrzucili ręce w górę, parodiując zaskoczenie.

- Słup ognia! - wykrzyknął sprzedawca.

- Jakim cudem ogień może ni stąd, ni zowąd zapłonąć na gołym kamieniu na pustyni? - zdziwiła się dziewczyna. - To cud!

Sprzedawca szybko odwrócił się do niej.

-Co ty możesz o tym wiedzieć, suko! Tylko mnie dane jest to widzieć! To wizja!

-Nie! - krzyknął Mebbekew jak najniższym głosem. — To specjalny efekt sceniczny!

-Efekt sceniczny! - zawołał sprzedawca. - A więc ty musisz być...

-Zgadłeś!

-Tym starym blagierem, Nadduszą!

-Jestem z ciebie dumny, stary krętaczu! Głupia dziewczyna. Prawie ją zwiodłeś, mataczu.

-To nic trudnego nabrać ją - ty umiesz najlepiej motać!

-Nie! - ryknął satyryk. - Nie „nabrać ją”, ty idioto! Ma być „ją nabrać”, bo nie będzie się rymować z „motać”!

-Przepraszam - powiedział młody aktor maskowy grający sprzedawcę afrodyzjaków. - W pańskiej wersji to oczywiście nie ma sensu, ale przynajmniej będzie się rymować.

- To nie musi mieć sensu, ty zrozumiały koguciku, to musi tylko przynosić zyski!

Wszyscy parsknęli śmiechem, choć widać było, że aktorzy nie lubią satyryka. Powrócili do odgrywanej sceny i po chwili Meb ze sprzedawcą zaczęli tańczyć i śpiewać o tym, jak sprytnie umieją oszukiwać innych i jak niewiarygodnie naiwni są ludzie - zwłaszcza kobiety. Wyglądało na to, że każdy dwuwiersz pieśni ma za zadanie obrazić śmiertelnie jakąś część publiczności, i duet śpiewał tę pieśń, aż dociął wszystkim możliwym grupom ludzi w Basilice. Podczas tego tańca i śpiewu dziewczyna udawała, że piecze jakieś mięso w płomieniach.

Meb zapominał tekstu rzadziej od drugiego aktora maskowego i mimo że Nafai wiedział, iż cała ta sekwencja ma na celu upokorzenie ojca, nie mógł nie zauważyć, że Meb jest niezły, zwłaszcza śpiewał z dobrą dykcją. Ja też mógłbym to robić, pomyślał Nafai.

Pieśń wracała do tego samego refrenu:

*Stoję tu, gdzie ogień rozpalony. Przy
mnie jest mój kłamca ulubiony. Wszyscy
są bez szans, Gdy puszcza się w
wymyślny tan.*

Kiedy pieśń dobiegła końca, Naddusza - Meb - przekonał sprzedawcę, że najlepszym dla niego sposobem na podporządkowanie sobie kobiet z Basiliki jest przekonanie ich, że doznaje wizji od Nadduszy.

- Łatwowiecne są te damy - powiedział Meb. - Wszystkie łatwo oszukamy.

Na zakończenie tej sceny sprzedawca odprowadził dziewczynę za kulisy, opowiadając jej o swojej wizji ukazującej miasto Basilikę w płomieniach. Satyryk przeszedł na wiersz aliteracyjny, który zdaniem Nafaia brzmiał trochę bardziej naturalnie od poezji rymowanej, lecz nie był taki zabawny.

-Czy dni ostatnie zamierzasz zmarnować, żyjąc z żalonym żółtodziobem? Czy nie lepiej zginąć ze zgrzybiałym zgredem, który z Naddusza pogawędki prowadzi?

-Świetnie - powiedział satyryk. - Tak będzie dobrze. Przejdźmy teraz do epizodu na ulicy.

Na scenę weszła inna grupa aktorów maskowych. Nafai natychmiast ruszył przez trawnik do miejsca, gdzie Mebbekew, nadal z maską na twarzy, już gryzmolił nowy dialog na skrawku papieru.

- Meb - odezwał się Nafai.

Zaskoczony Meb podniósł głowę, usiłując lepiej widzieć przez otworki w masce.

- Jak mnie nazwałeś? - zapytał.

A potem rozpoznał Nafaia. Natychmiast zerwał się na równe nogi i zaczął się oddalać.

-Odejdź ode mnie, ty mały szczurojadzie.

-Meb, muszę z tobą porozmawiać.

Mebbekew szedł dalej.

- Zanim wystąpisz w tej sztuce dziś wieczorem! - dodał Nafai.

Meb odwrócił się do niego.

- To nie jest sztuka, tylko satyra. A ja nie jestem prawdziwym aktorem, tylko aktorem maskowym. A ty nie jesteś moim bratem, tylko osłem.

Wybuch wściekłości brata zdziwił Nafaia.

-Co ja ci takiego zrobiłem? - zapytał.

-Znam cię, Nyef. Obojętne co zrobię czy powiem, i tak wygadasz wszystko ojcu.

Jakby ojciec miał się nigdy nie dowiedzieć, że jego syn gra w satyrze mającej na celu ośmieszenie go przed całym miastem.

-Niedobrze mi się robi od tego, że dbasz jedynie o to, czy ty sam nie wpadniesz w tarapaty. Nie masz za grosz poczucia lojalności rodzinnej.

-To przedstawienie nie godzi w moją rodzinę. Aktorstwo maskowe to naturalny sposób na rozpoczęcie kariery aktorskiej. W dodatku pozwala mi zarobić na życie, przysparza mi odrobiny szacunku i od czasu do czasu daje satysfakcję, a to znacznie więcej niż kiedykolwiek miałem z pracy u ojca!

O co Mebowi chodziło?

- A mnie się podoba, że jesteś aktorem maskowym. Właściwie uważam, że to wspaniałe. Kręciłem się tu dzisiaj, bo myślałem, że sam się do tego wezmę.

Meb zdjął maskę i zmierzył Nafaia wzrokiem od stóp do głów.

-Z twoją sylwetką byś nieźle wyglądał na scenie. Ale wciąż masz dziecięcy głos.

-Mebbekew, w tej chwili to nie ma znaczenia. Nieważne, czy ty jesteś aktorem maskowym, nieważne, czyja nim zostanę. Chodzi o to, że nie możesz tego zrobić ojcu!

-Niczego nie robię ojcu! Robię to dla siebie.

Rozmowa z Mebbekewem zawsze tak się toczyła. Wydawało się, że Meb nigdy nie rozumie sedna sprawy.

- A bądź sobie aktorem maskowym, nikt ci nie broni - powiedział Nafai. - Ale ośmieszanie własnego ojca to nawet dla ciebie zbyt wielka podłość!

Meb spojrzał na brata wzrokiem bez wyrazu.

-Ośmieszanie własnego ojca?

-Tylko mi nie mów, że nic o tym nie wiesz.

-Cóż takiego w tej satyrze może go ośmieszać?

-Scena, którą właśnie skończyliście.

-Ojciec to nie jedyna osoba w Basilice, która wierzy w Nadduszę. Właściwie czasami wydaje mi się, że on wcale tak żarliwie w niego nie wierzy.

-Chodzi o wizję, Meb! Ogień na pustyni, proroctwo o końcu świata! Jak myślisz, kogo to dotyczy?

-Nie mam pojęcia. Stary Drotik nie mówi nam, o czym traktują te przedstawienia. Nawet jeśli nie słyszeliśmy aktualnych plotek, to co z tego? Tylko gramy role. - Na twarzy Meba pojawił się dziwny, pytający wyraz. - Co ten cały majdan z Nadduszą ma wspólnego z ojcem?

-Ojciec miał wizję. Na Pustynnym Trakcie, dziś rano tuż przed świtem, kiedy wracał z podróży. Widział słup ognia na głazie i Basilikę w płomieniach, i myśli, że to oznacza zagładę świata, jak to według starej legendy miało miejsce z Ziemią. Matka wierzy mu i ojciec z pewnością już rozpowiada naokoło o całej sprawie, bo skąd ten satyryk by wiedział, że ma to włączyć do swojej satyry?

-To największe wariactwo, o jakim kiedykolwiek słyszałem - oświadczył Mebbekew.

-Ja nie zmyślam - powiedział Nafai. - Dziś rano siedziałem na tarasie matki i...

-Scena na tarasie! Ten zielarz... czy ta postać to ma być ojciec?

-A jak ci się zdaje, co próbuję ci powiedzieć?

-Łajdak! - szepnął Meb. - Co za łajdak! I wystawił mnie na scenie w charakterze Nadduszy.

Podbiegł do aktora maskowego odgrywającego zielarza. Stał przed nim przez kilka chwil, patrząc na maskę i kostium.

-To takie oczywiste, musiałem mieć ptasi mózdzek... ale przecież wizja!

-O czym ty mówisz? - zapytał aktor maskowy.

-Daj mi tę maskę - zażądał Mebbekew. - Daj mi ją!

-Dobrze, oczywiście, proszę.

Meb wyrwał mu ją z rąk i pobiegł na wzgórze do satyryka. Nafai pognął za nim.

-Jak śmiesz, Drotik, ty stary pierdzielu z zaropiałym sercem! - Meb wymachiwał maską przed twarzą autora satyry.

-Nie udawaj tylko, że nie wiedziałeś, mój chłopcze.

-Skąd miałbym wiedzieć? Do rozpoczęcia próby spałem. Kazałeś mi na scenie ośmieszać mojego ojca i co? To tylko zbieg okoliczności, że o tym nie wspomniałeś? Tak, na pewno w to uwierzę!

-Hej, to przyciąga publiczność.

-Zamierzałeś powiedzieć ludziom, kim jestem, mimo że obiecałeś zachować moją tożsamość w tajemnicy? Jaki sens w takim razie mają te maski? - Meb zwrócił się do pozostałych, którzy przysłuchiwali się zaskoczeni. - Słuchajcie, czy wiecie, co ten pryszczaty staruch zamierzał zrobić? Zamierzał ośmieszyć mojego ojca, a potem rozgłosić, że to ja grałem Nadduszę. Zamierzał mnie zdemaskować!

Taki obrót spraw wyraźnie zaniepokoił satyryka. Większość twarzy była schowana pod maskami i aktorów musiała denerwować perspektywa ujawnienia tożsamości. Tak więc satyryk musiał odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Nie zwracajcie sobie głowy tymi bzdurami - powiedział do pozostałych. - Właśnie wylałem tego młokosa, bo miał czeleć poprawiać moje słowa, i teraz chce zburzyć całe przedstawienie.

Aktorzy maskowi wyraźnie odetchnęli z ulgą.

Meb musiał uświadomić sobie, że przegrał - aktorzy maskowi chcieli wierzyć satyrykowi, ponieważ w przeciwnym razie straciliby płatne zajęcia.

-Mój ojciec nie jest kłamcą - powiedział Meb. - To ty nim jesteś.

-Satyra jest wspaniała, dopóki jej ostrze nie trafi w czułe miejsce, prawda? - zadrwił Drotik.

Meb uniósł nad głową maskę zielarza z białymi włosami, jakby zamierzał grzmotnąć nią satyryka. Drotik podniósł ramię i szybko się cofnął. Meb jednak wcale nie chciał go uderzyć. Złamał maskę na kolanie i rzucił obie części satyrykowi na kolana.

Drotik opuścił ramię i znów spojrzał Mebbekewowi w oczy.

-Dziesięć minut zajmie mojemu charakteryzatorowi nałożenie brody na inną maskę. A może próbowałeś mi metaforycznie zagrozić?

-Sam nie wiem - odparł Meb. - Czy próbowałeś mnie skłonić do metaforycznego zamordowania własnego ojca?

Satyryk pokręcił głową z niedowierzaniem.

- To tylko zabawne słowa, chłopcze. Kilka śmiesznych scen.

-1 kilka dodatkowych biletów.

-Masz z tego gażę.

-Masz z tego masę pieniędzy.

Meb odwrócił się i odszedł. Nafai ruszył za nim. Za plecami usłyszał, jak Drotik wysyła gońca, żeby się dowiedział, czy jakiś aktor maskowy podejmie się nauczyć roli w ciągu trzech godzin.

Mebbekew nie chciał, żeby Nafai go dogonił. Szedł coraz szybciej, aż zaczęli biec pędem ulicami po wzgórzach. Meb nie potrafił jednak zmęczyć młodszego brata i w końcu zatrzymał się przy narożniku jakiegoś domu, zgięty wpół i zasapany.

Nafai nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał zamiaru ścigać Meba, chciał mu tylko powiedzieć, co myśli - że Meb zachował się wspaniale, usadzając satyryka, zarzucając mu kłamstwo i zbijając wszystkie argumenty, jakie Drotik wysuwał na swoją obronę. Pragnął powiedzieć: Kiedy złamałeś maskę na pół, chciałem wiwatować.

Ale kiedy podbiegł blisko, zobaczył, że jego brat nie tylko łapie oddech. Meb płakał - nie ze smutku, lecz ze złości.

-Jak on mógł to zrobić! - powtarzał w kółko, waląc pięścią w ścianę. - Samolubny, głupi, stary sukinsyn!

-Nie przejmuj się - powiedział Nafai, chcąc go pocieszyć.

- Drotik nie jest tego warty.

-Nie Drotik, ty idioto! - odpowiedział Meb. - On jest dokładnie tym, za kogo go zawsze uważałem, tylko że teraz straciłem pracę i nigdy nie dostanę innej. Drotik rozgada, że wycofałem się z przedstawienia na trzy godziny przed podniesieniem kurtyny.

-Więc na kogo jesteś zły?

-Na ojca! A jak ci się zdawało? Wizja... Nie mogę w to uwierzyć, myślałem, że Drotik mi powie, że nie ośmiesza ojca, że chodzi o kogoś innego, a ja ubzdurałem sobie, że mówi o Wetchiku. Jaki kretyń wpadłby na pomysł, że szacowny Wetchik odbiera wizje zdumiewającego, niewiarygodnego Nadduszy?!

-Matka mu wierzy - powiedział Nafai.

-Matka odnawia jego kontrakt co roku, od chwili kiedy zostałeś poczęty, więc jej oczywiście trudno być bezstronną! Czy ty mu wierzysz? Czy wierzy mu ktokolwiek, kto z nim nie spał?

-Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, kto o tym wie.

-Coś ci powiem. Za sześć godzin całe miasto Basilika będzie o tym wiedzieć. Mam ochotę zabić tego nadętego starego błazna!

-Uspokój się, wcale tak nie myślisz...

-Nie?! Chciałbym wałnąć go pięścią w twarz! - Meb odwrócił się i wykrzyknął do jakiegoś człowieka na ulicy: - Pokażę ci parę wizji, ty tłumokowaty dostawco chwastów!

Przechodnie zatrzymali się i gapili.

-Tak - stwierdził Nafai. - Jesteś wściekły na ojca.

-Nie prosiłem, żebyś za mną łąził. To ty mnie goniłeś, więc jeśli nie podoba ci się moje towarzystwo, możesz udławić się własnymi smarkami, nie mnie to nie obchodzi.

- Chodźmy do domu - powiedział Nafai, bo nie potrafił wymyślić nic innego.

Wozy

Dom z pewnością nie był miejscem, w którym Nafai chciał się teraz znaleźć, nie dziś wieczorem. Miał nadzieję, że ojciec będzie gdzie indziej i Meb ochłonie przed rozmową z nim. Ale nie, oczywiście nie, ojciec pragnął porozmawiać z Mebem. Miał już za sobą godzinną rozmowę z Elemakiem - Nafai nie żałował, że przegapił to wydarzenie - a teraz roił sobie, że zdoła przekonać Meba, aby uwierzył w jego wizję.

Wrzaski wybuchły, gdy tylko Mebbekew odnalazł ojca w gabinecie. Nafai wiedział, jak te kłótnie wyglądają, więc wycofał się szybko do swojego pokoju. Przechodząc przez podwórze, zauważył Issibę, który wyglądał przez drzwi. Kolejny uchodźca, pomyślał Nafai.

Mniej więcej przez godzinę słychać było jedynie cichy szmer głosu ojca. Co parę minut przerywały mu wyraźne i przenikliwe wrzaski Meba, który wtrącał swoje uwagi oscylujące między oskarżeniem i drwiną. W trakcie narzekania Mebbekewa na to, jak ojciec upokarza rodzinę, w końcu wyszło na jaw, że Meb przynosi jej hańbę, trudniąc się aktorstwem maskowym. Wtedy z kolei ojciec zaczął krzyczeć, a Mebbekew wyjaśniać, co zajęło następną godzinę, po czym Meb wypadł rozwścieczony z domu, a ojciec poszedł do stajni doglądać zwierząt, by się uspokoić.

Dopiero wtedy Nafai odważył się zaglądnąć do kuchni, teraz już okropnie głodny, i przygotować swój pierwszy konkretny

posiłek w tym dniu. Ku swemu zaskoczeniu zastał tam Elemaka, który siedział z Issibem przy stole.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś, Elya - odezwał się Nafai.

Elemak spojrział na niego wzrokiem bez wyrazu, a po chwili skojarzył sobie.

- Zapomnij o tym. Dziś rano byłem wściekły, ale to nic takiego, zapomnij.

Wskutek wielu wydarzeń, które miały miejsce po porannej sprzeczce, Nafaiowi wyleciało z głowy ostrzeżenie Elemaka, żeby nie wracał do domu.

- Chyba już zapomniałem - przyznał się.

Elemak spojrział na niego ze wstrętem, po czym wrócił do swojego posiłku.

- Co ja takiego powiedziałem? - zdziwił się Nafai.

- Nieważne - odparł Issib. - Myślmy, co powinniśmy zrobić.

Nafai zaczął oglądać jedzenie, które Truzhnisha zostawiła na takie okazje w zamrażarce. Umierał z głodu, a jednak żadna potrawa nie wyglądała zachęcająco.

-Tylko to pozostało?

-Nie, resztę ukryłem sobie w spodniach - zadrwił Issib.

Nafai wybrał danie, które, jak sobie przypomniał, kiedyś mu smakowało, choć dziś nie miał na niego apetytu. Podczas gdy jedzenie się podgrzewało, stanął przed braćmi.

-A więc co postanowiliśmy?

Elemak nie podniósł wzroku.

-My nic nie postanowiliśmy - odrzekł Issib.

-Jak to, czy nagle jestem jedynym dzieckiem w tym domu, a wszystkie decyzje podejmują mężczyźni?

-Mniej więcej - potwierdził Issib.

-A jakie decyzje możecie wy podejmować? Kto oprócz ojca może w ogóle podejmować jakiegokolwiek decyzje? To jego dom, jego interes, jego pieniądze i to z niego naśmiewają się ludzie w całej Basilice.

Elemak pokręcił głową.

-Nie w całej Basilice.

-To znaczy, że są tacy, którzy jeszcze o tym nie słyszeli?

-To znaczy - odrzekł Elemak - że nie wszyscy się naśmiewają.

- Ale będą, jeśli ta satyra będzie grana przez wiele dni. Widziałem próbę. Meb był naprawdę niezły. Oczywiście wycofał się, bo sztuka opowiada o ojcu, ale uważam, że on ma talent. Słyszeliście, jak śpiewa?

Elemak spojrzał na niego z pogardą.

-Czy ty naprawdę jesteś taki płytki, Nyef?

-Tak - odparł Nafai. - Jestem taki płytki, że nie uważam naszego zakłopotania za sprawę aż taką ważną, jeżeli ojciec naprawdę miał wizję.

-Wiemy, że ojciec ją miał - powiedział Elemak. - Szkopuł w tym, co on dalej robi w tej sprawie.

-Jak to? Naddusza ukazuje mu wizję przestrzegającą przed zagładą świata, a on ma to trzymać w tajemnicy?

-Lepiej zajmij się swoim jedzeniem - fuknął Elemak.

-Ojciec chodzi i rozpowiada, że Naddusza chce, abyśmy wrócili do starych praw - wyjaśnił Issib.

-Których?

-Wszystkich.

- Pytam o coś innego. Których już nie przestrzegamy?

Elemak najwidoczniej postanowił przystąpić do sedna.

-Poszedł do rady klanu i wyraził sprzeciw wobec naszej decyzji współpracy z Potokgavanem w ich wojnie z Mokrogłowymi.

-Z kim?

-Gorayni. Mokrogłowi.

Ich przydomek brał się stąd, że nosili długie, ułożone w loki włosy ociekające pachnącym olejkiem. Słyszeli też jako okrutni wojownicy mordujący jeńców, którzy nie udowodnili swojego męstwa, poddając się bez odniesienia poważniejszej rany.

-Ale ich kraina leży setki kilometrów stąd, na północy - zdziwił się Nafai - a Potoku są daleko na południowym wschodzie. O co więc mają walczyć?

-Czego cię uczą w tej twojej szkółce? - zadrwił Elemak. - Potoku rozszerzyli zasięg swojej obrony na cały obszar równiny nadmorskiej aż do rzeki Mochai.

-Jasne, zgadza się. Obrony przed czym?

-Przed Gorayni, Nafai. Nasza kraina leży pośrodku. Powinieneś to wiedzieć z lekcji geografii.

-Znam geografie - powiedział Nafai. - Nie rozumiem tylko, dlaczego miałyby wybuchnąć wojna między Gorayni i Potoku, a gdyby wybuchnęła, to jak oni by się do niej zabrali. Wiadomo, że Potokgavan ma flotę - przecież ich wszystkie domy to łodzie - ale skoro Goraynivat nie ma dostępu do morza...

-Nie mieli. Podbili Usluvat.

-Słyszałem o tym.

-Nie wątpię - podkpiwał Elemak. - Mają konne wozy. Słyszałeś o nich?

-Tak. Konie ciągną ludzi w przyczepach do walki.

-I wiozą zapasy żywności dla wojska podczas długiego marszu. Bardzo długiego marszu. Wozy konne to przełom we wszystkim.

Nagle Elemak wpadł w entuzjazm. Od wielu lat Nafai nie widział, żeby Elya czymkolwiek się ekscytował.

- Już sobie wyobrażam dzień, w którym poszerzymy Granicowy Trakt, Równinny Trakt i ulicę Targową, i farmerzy będą mogli przywozić tu swoje produkty wozami. Wydajność transportu wzrośnie dziesięciokrotnie. Jeden człowiek z wozem zaprzężonym w dwa konie może przetransportować tyle, ile obecnie dziesięciu ludzi i dwadzieścia koni przywozi tutaj na wyżynę. Ceny żywności spadną. Jeszcze bardziej spadną koszty przewozu naszych wyrobów na nizinę. To przyniesie zyski. Już sobie wyobrażam trakty biegnące kilometrami przez pustynię. Zmniejszy się liczba zwierząt w naszych karawanach, nie trzeba będzie zabierać tyle żywności na drogę i szukać wody podczas podróży. Ludzie są na dobrej drodze, by poznać niedostępne zakątki świata, a ojciec próbuje temu przeszkodzić.

-I to wszystko ma coś wspólnego z jego wizją?

-Ze starymi prawami Nadduszy. Stosowanie kół dozwolone jest tylko w mechanizmach i zabawkach, w każdym innym wypadku byłoby to świętokradztwem, obrzydliwością. Czy zdajesz sobie sprawę, że wozy konne są znane od wielu tysięcy lat, a nikt nigdy ani jednego nie zbudował?

-Do chwili obecnej - powiedział Issib.

-Może istniał ku temu istotny powód - stwierdził Nafai.

-Powodem był przesąd, ot co - wyjaśnił Elemak. - Ale teraz mamy szansę zbudować dwieście wozów konnych. Potokgavan

ma nam dostarczyć plany konstrukcyjne i zapłacić, a cena wyngocjowana przez Gaballufixa jest dostatecznie wysoka, abyśmy mogli zbudować dwieście dodatkowych wozów dla siebie.

-Dlaczego Potoku sami sobie nie zbudują wozów?

-Przybędą tu łodziami - odparł Elemak. - Zamiast budować wozy w Potokgavanie i transportować je drogą wodną, po prostu wyślą żołnierzy, a wozy będą tu na nich czekały.

-Dlaczego tutaj?

-Bo tutaj zamierzają wytyczyć granicę. Jeśli Gorayni będą chcieli iść dalej, ściągną na siebie gniew Potoku. Nie próbuj tego zrozumieć, Nafai, to męskie sprawy.

-Wydaje mi się, że ojciec ma rację, próbując temu przeszkodzić - oświadczył Nafai. - To znaczy, jeżeli Gorayni odkryją, że budujemy wozy konne dla Potoku, to czy nie przyślą tu armii, żeby nas powstrzymać?

-Nie dowiedzą się, dopóki nie będzie za późno.

-Dlaczego się nie dowiedzą? Czy mieszkańcy Basiliki są aż tacy dyskretni?

-Nawet jeśli się dowiedzą, Nyef, Potoku będą już tutaj, żeby ich powstrzymać od wymierzania nam kary.

-Ale gdyby Potoku nie zamierzali tu przyjeżdżać, a tym samym nie robilibyśmy dla nich wozów, to Gorayni nie mieliby nas za co karać.

Elemak pochylił głowę nad stołem, pokazując, że próby wyjaśniania czegokolwiek Nafaiowi doprowadzają go do rozpacz.

- Świat się zmienia - powiedział Issib. - Przywykliśmy do tego, że wojny to tylko lokalne konflikty. Ale Gorayni to zmienili. Podbijają inne kraje, które nie wyrządziły im żadnej krzywdy.

Elemak kontynuował:

-Pewnego dnia dopadliby nas, bez względu na to, czy Potoku byliby tutaj, by nas ochraniać, czy nie. Osobiście wolę, aby Potoku zajęli się wojowaniem.

-Nie mogę uwierzyć, że to wszystko się dzieje, a nikt o tym nawet nie wspomina w mieście - powiedział Nafai. - Ja naprawdę nie jestem głuchy, a nic nie słyszałem o tym, że budujemy wozy dla Potokgavana.

Elemak pokręcił głową.

- To tajemnica. A przynajmniej to była tajemnica, dopóki ojciec nie poruszył tej sprawy przed całą radą klanu.
- To znaczy, że ktoś to robił, a rada klanu nawet nie wiedziała?
- To była tajemnica - podkreślił Elemak. - Ile razy mam to powtarzać?
- A więc ktoś chciał załatwić tę sprawę w imieniu Basiliki i klanu Palwashantu, i nie zamierzał się konsultować z nikim w radzie klanu albo radzie miasta?
- Issib uśmiechnął się niewesoło.
- Kiedy ujmujesz to w ten sposób, wygląda to dość dziwnie, prawda?
- Wcale nie wygląda to dziwnie - zaprzeczył Elemak. - Widzę, że już popierasz partię Roptata.
- Kto to jest Roptat?
- Członek klanu Palwashantu, mniej więcej w wieku Elyi
- odpowiedział Issib. - Wykorzystuje tę gadaninę o wojnie, żeby zyskać sobie reputację proroka. W przeciwieństwie do ojca nie miewa wizji ukazywanych przez Nadduszę, lecz po prostu spisuje proroctwa, które są ostre jak zęby rekina odgryzającego ci nogę. I powtarza to samo, co przed chwilą powiedziałeś.
- Czyli ten potajemny plan jest tak dobrze znany, że już powstała partia z Roptatem na czele, która próbuje temu przeszkodzić?
- Ten plan nie był aż taki potajemny - wyjaśnił Elemak.
- Nie ma żadnej zmywy. Nie ma żadnego spisku. Jest tylko kilku porządnych ludzi, którzy próbują coś zrobić dla dobra Basiliki, i kilku zdrajców, którzy robią wszystko, żeby to zniweczyć.
- Elemak wyraźnie patrzył na sprawę jednostronnie. Nafai musiał przedstawić inny punkt widzenia.
- Albo może jest kilku chciwych spekulantów, którzy stawiają nasze miasto w strasznie niebezpiecznej sytuacji po to, aby się wzbogacić, i kilku porządnych ludzi próbuje ich powstrzymać, żeby ocalić Basilikę. Ja tylko sugeruję taką możliwość.
- Elemak się wściekł.
- Ludzie zajmujący się tą sprawą są już tak bogaci, że nie potrzebują więcej pieniędzy! - wykrzyknął. - A ja nie rozumiem, jak czternastoletni u c z o n y , który nigdy w życiu nie musiał

wykonywać męskiej pracy, nagle wypowiada się na tematy polityczne, o których istnieniu nawet nie miał pojęcia jeszcze dziesięć minut temu.

-Ja tylko zadałem pytanie - bronił się Nafai. - O nic cię nie oskarżałem.

-No jasne, nie oskarżałeś mnie - odparł Elemak. - Ja nie biorę w tym udziału.

-Pewnie - potwierdził Nafai. - To potajemny plan.

-Dziś rano powinienem był ci wybić zęby - stwierdził Elemak.

Dlaczego dyskusja zawsze musiała się kończyć na groźbach?

-Czy wybijas zęby każdemu, kto zada ci pytanie, na które nie masz odpowiedzi?

-Jeszcze nigdy tego nie zrobiłem - odrzekł Elemak, wstając.

- Ale teraz zacznę.

- Przestańcie! - krzyknął Issib. - Czy nie mamy dosyć problemów?

Elemak zawahał się, po czym usiadł z powrotem.

- Nie powinienem dopuścić, żeby mnie zdenerwował.

Nafai znów zaczął oddychać - nie zauważył nawet, kiedy przestał.

- To dziecko, cóż może wiedzieć? - stwierdził Elemak.

- Ojciec powinien być mądrzejszy. Denerwuje wielu ludzi. Nie którzy z nich są bardzo niebezpieczni.

-Grożą mu? - zapytał Nafai.

-Nikt mu nie grozi - zaprzeczył Elemak. - To by było prymitywne. Po prostu... niepokoją się o ojca.

-Ale jeśli wszyscy się z ojca naśmiewają, czemu mieliby się przejmować tym, co mówi? Wygląda na to, że powinni się martwić tym Roptatem.

-Chodzi o wizję - wyjaśnił Elemak. - O Nadduszę. Większość mężczyzn nie bierze tego aż tak poważnie, ale kobiety... rada miejska... twoja matka wcale nie pomaga sprawie.

-Albo pomaga, zależnie od tego, po której jesteś stronie.

-To prawda - przyznał Elemak.

Wstał od stołu, ale tym razem nie po to, żeby stosować przemoc.

-Widzę, po której stronie ty jesteś, Nyef, i mogę cię tylko ostrzec, że jeżeli ojciec postawi na swoim, to skończymy w niewoli Gorayni.

-Skąd ta pewność? - zapytał Nafai. - Naddusza ukazuje ci wizje, czy co?

-Jestem pewny, mój mały, ponieważ znam się na rzeczy. Kiedy dorośniesz, może zrozumiesz, co to znaczy. Ale śmiem w to wątpić. - Elemak wyszedł z kuchni.

Issib westchnął.

- Czy ktoś w ogóle się lubi w tej rodzinie?

Jedzenie Nafaia się przypaliło, ale jemu to było obojętne. Trząsł się tak bardzo, że ledwie mógł donieść tacę do stołu.

-Dlaczego drżysz? - dopytał Issib.

-Nie wiem. Może się boję.

-Elemaka?

-Czemu miałbym się go bać? Tylko dlatego, że mógłby mi jedną ręką przetrącić kark?

-To dlaczego ciągle go prowokujesz?

-Może boję się również o niego?

-Dlaczego?

-Czy nie uważasz, że to zabawne, Issibie? Elya może sobie tu siedzieć i rozprawiać o tym, że ojcu zagraża niebezpieczeństwo ze strony wpływowych ludzi - a jednak jego rozwiązanie nie polega na tym, żeby zdemaskować tych niebezpiecznych ludzi, lecz żeby zamknąć ojcu usta.

-Nikt nie zachowuje się racjonalnie.

-Prawdę mówiąc, ja znam się na polityce - powiedział Nafai. - Przez cały czas uczę się historii. Już dawno temu zostawiłem klasę w tyle. Wiem coś o tym, jak wybuchają wojny i kto je wygrywa. A to jest najgłupszy plan, o jakim słyszałem. Potokgavan nie ma szans na utrzymanie tego obszaru i nic go do tego nie zmusza. Potoku przyślą wojsko, sprowokują Gorayni do ataku, a potem uświadomią sobie, że nie mogą zwyciężyć, i wrócą na swoje tereny zalewowe, a nam pozostanie wziąć na siebie cały impet gniewu Gorayni. Katastrofa spowodowana budową wozów wojennych dla nich jest taka oczywista, że tylko osoba całkowicie zaślepiona chciwością może popierać ten plan. I jeśli Naddusza każe ojcu sprzeciwiać się budowie tych wozów, to Naddusza ma rację.

-Jestem pewien, że Naddusza czuje się podbudowany twoją aprobatą.

-Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc.

-Nafaiu, masz czternaście lat.

-No i co z tego?

-Elemak nie chce wysłuchiwać takich rzeczy od ciebie. -I ty też nie, prawda?

-Jestem naprawdę zmęczony. To był długi dzień.

Issib opuścił kuchnię.

Nafai zaczął w końcu jeść. Z odrazą stwierdził, że nie ma apetytu, choć wiedział, że wciąż jest głodny. Musiał jeść, ale nie mógł. Dał sobie spokój. Wyrzucił jedzenie do ścieku i odłożył talerz na półkę z naczyniami do mycia.

Wyszedł na podwórze i ruszył do swojego pokoju. Noc była już chłodna - mieszkali tak blisko pustyni, że u nich też temperatura gwałtownie spadała po zachodzie słońca. Wciąż drżał. Nie wiedział dlaczego. Nie z powodu wizji ojca ukazującej zagładę świata i nie z powodu wojny, która by prawdopodobnie zawiśła nad Basiliką, gdyby zawarli idiotyczny sojusz z Potokgavanem. To były niebezpieczeństwa, tak, ale nie bezpośrednie. Nie drżał również z powodu gróźb Elemaka, żył z nimi od dzieciństwa.

Dopiero kiedy leżał na macie - nadal trzęsąc się, mimo że w jego pokoju nie było zimno - w końcu uświadomił sobie, co go niepokoi. Elemak wspomniał, że Gaballufix negocjował cenę z Potoku. Najwidoczniej ten cały plan miał poparcie Gaballufixa - ktoś inny, jak nie wódz klanu by uważał, że może wystawić Palwashantu na takie niebezpieczeństwo i nawet nie skonsultować się w tej sprawie z radą? Tak więc logiczne było przypuszczenie, że kiedy Elya ostrzegał o niebezpiecznych wrogach, których ojciec sobie przysparza, to miał na myśli Gaballufixa.

Gaballufixa, którego dom Elemak dziś potajemnie odwiedził.

Wobec kogo Elemak był lojalny? Wobec ojca? Czy wobec swojego przyrodniego brata Gaballufixa? Widocznie Elya brał udział w tym planie z wozami wojennymi. W czym jeszcze uczestniczył? Powiedział, że ci niebezpieczni ludzie nie grożą. Więc co robią - knują? Czy Elya był wtajemniczony w jakiś plan wyrządzenia ojcu krzywdy i aluzjami starał się go odstraszyć?

Zaledwie kilka godzin temu Mebbezew mówił o metaforycznym ojcobójstwie.

Nie, pomyślał Nafai. Nie, jestem po prostu wytracony z równowagi, bo to wszystko zdarzyło się tak nagle, w ciągu jednego dnia. Ojciec doznaje wizji i nagle jest zamieszany w politykę miasta tak jak nigdy dotąd. Wyglądało to prawie tak, jakby Naddusza podsunął mu tę wizję właśnie z powodu tego głupiego, prowokacyjnego planu Gaballufixa, ponieważ potrzebne było podjęcie natychmiastowych działań.

Dlaczego? Jakie znaczenie miał dla Nadduszy los Basiliki? Niezliczone miasta i narody powstawały i upadały - kilkadziesiąt w każdym stuleciu, wiele tysięcy na przestrzeni całej historii rodzaju ludzkiego. Może miliony. Naddusza nie kiwnął palcem w bucie. Nie przejmował się wojną; z pewnością nie zależało mu na zapobieżeniu ludzkiemu cierpieniu. Więc dlaczego teraz się w to angażował? Dlaczego to było tak pilne? Czy warte było skłócenia ich całej rodziny? A nawet jeśli tak, to kto o tym w ogóle zdecydował? Nikt Nadduszy o nic nie prosił, więc jeśli naprawdę musieli znosić nieprzyjemne traktowanie w ramach jakiegoś nadrzędnego planu, to miło by było, gdyby Naddusza wtajemniczył ich w swoje zamiary.

Nafai leżał na macie i drżał.

A potem przypomniał sobie. Dziś miał nie spać na macie. Miał spróbować być prawdziwym mężczyzną.

Niemal roześmiał się na głos. Spanie na gołej podłodze - to miałoby zrobić z niego mężczyznę? Co za osioł!

Teraz, wyśmiawszy siebie samego, mógł zasnąć.

Wrogowie

- Gdzie się podziewałeś wczoraj?

Nafai nie chciał tej rozmowy, ale nie można jej było uniknąć. Matka nigdy nie pozwalała na to, żeby którykolwiek z jej uczniów zniknął na cały dzień bez wyjaśnienia.

- Chodziłem tu i tam.

Zgodnie z przewidywaniami taką odpowiedzią nie zadowolili matki.

- No pewnie, że nie fruwałeś - stwierdziła z sarkazmem.

- Choć dziwi mnie, że nie zwinąłeś się gdzieś w kłębek, żeby sobie pospać. Gdzie byłeś?

- W kilku miejscach, gdzie mogłem się wiele dowiedzieć

- odparł Nafai.

Miał na myśli dom Gaballufixa i Amfiteatr, ale matka oczywiście zinterpretuje jego słowa według własnego uznania.

-W Dolinie Lalek?

-Niewiele tam się dzieje za dnia, mamó.

-W ogóle nie powinieneś tam chodzić. A może uważasz, że już wiesz wszystko o wszystkim i nie potrzebujesz dalszej nauki?

-Nie wszystkiego nauczysz w swojej szkole, mamó.

I znów była to prawda, lecz nie o tę prawdę chodziło.

- Aha - powiedziała Rasa. - Dhelembuvex miała rację co do ciebie.

No tak, cudownie. Czas załatwić cioteczkę dla synka.

- Powinnam to była przewidzieć. Twoje ciało rozwija się tak szybko... obawiam się, że zbyt szybko, bo rozwój fizyczny wyprzedza twoją dojrzałość psychiczną.

Tego było za wiele. Nafai zamierzał wysłuchać spokojnie wszystkiego, co miała do powiedzenia, pozwolić jej wyciągnąć pochopne wnioski, a potem wrócić do klasy i puścić całą sprawę w niepamięć. Ale czemu myślała, że gruczoły płciowe kierują jego życiem, podczas gdy właśnie jego umysł był dojrzałszy od ciała?

- Czy to szczyt twojej inteligencji, mamó?

Uniosła brew.

Wiedział, że posuwa się za daleko, lecz już zaczął, a słowa miał na końcu języka, więc ciągnął:

- Widzisz, jeśli dzieje się coś niewytłumaczalnego i sprawa dotyczy chłopca, uznajesz za pewnik, że ma to związek z jego popędem płciowym.

Uśmiechnęła się słabo.

-Ja naprawdę znam się trochę na mężczyznach, Nafaiu, i przypuszczenie, że zachowanie czternastolatka może mieć jakiś związek z jego popędem płciowym, opiera się na wielu dowodach.

-Ale ja jestem twoim synem, a mimo to nie potrafisz mnie odróżnić od stosu cegieł.

-A więc nie poszedłeś do Doliny Lalek?

-Nie z powodu, jaki mógłby ci przyjść do głowy.

-Aha. Wiele powodów może mi przyjść do głowy, ale żaden nie nasuwa przypuszczenia, że masz zbyt wiele rozsądku.

-A ty, jak sądzę, jesteś ekspertem, jeżeli chodzi o rozsądek.

Jego sarkazm był kiepskim posunięciem.

-Chyba zapominasz, że jestem twoją matką i nauczycielką.

- Nie ja, tylko ty zaprosiłaś tamte dwie dziewczynki na wczorajsze spotkanie rodzinne.

-I to świadczy o tym, że jestem nierozsądna?

- Bardzo nierozsądna. Kiedy dotarłem do Amfiteatru, do zmierzchu pozostawało jeszcze kilka godzin, a już wiedziano o wizji ojca.

- Nic dziwnego - powiedziała matka. - Ojciec poszedł wprost do rady klanu. Ta wiadomość nie mogła już pozostawać tajemnicą.

-Nie chodzi tylko o jego wizję, mamó. Już się odbywała próba satyry - napisał ją sam Drotik - w której była pasjonująca scenka na tarasie. Ponieważ jedynymi obecnymi osobami spoza rodziny były tamte dwie małe czarownice...

-Milcz!

Nafai zamilkł natychmiast, ale miał poczucie bezsprzecznego zwycięstwa. Tak, matka wpadła we wściekłość, lecz rozgniewanie jej do takiego stopnia było też punktem na jego korzyść.

-Określanie ich tym poniżającym słowem stosowanym przez mężczyzn jest skrajnie obraźliwe - powiedziała matka. Teraz ściszyła głos; była naprawdę rozgniewana. - Luet jest wieszczką, a Hushidh więzostroktorką. Zresztą obie zachowały pełną dyskrecję, nikomu o niczym nie pisnęły słówka.

-Czy miałaś je na oku przez cały czas od chwili...

-Kazałam ci milczeć. - Jej głos był zimny jak lód. - Gwoli wyjaśnienia informuję cię, mój ty rozgarnięty, mądry, dojrzały chłopczyku, że scena na tarasie - którą, nawiasem mówiąc, widziałam i uważam za kiepską, więc niezbyt się nią przejmuję - znalazła się w satyrze Drotika dlatego, że podczas gdy twój ojciec szedł do rady klanu, ja byłam w radzie miejskiej, i kiedy ja opowiadałam o tej historii, wspominałam również o wydarzeniach, które miały miejsce na tym tarasie. Dlaczego? - pyta mój genialny syn z rozkosznie tępym wyrazem twarzy. Ponieważ jedynym argumentem, dzięki któremu rada potraktowała poważnie wizję twojego ojca, było to, że Luet mu uwierzyła i stwierdziła, że doznał wizji takiej jak ona.

A więc to matka wygadała. Matka ośmieszyła i zgubiła rodzinę. Niewiarygodne!

-Aha - powiedział Nafai.

-Myślałam, że będziesz patrzył na sprawę trochę inaczej.

-Widzę, że sprowadzenie Luet i Hushidh na spotkanie rodzinne nie było niewłaściwe - stwierdził Nafai. - Należało wykluczyć ciebie.

Uderzyła go w twarz. Jeżeli celowała w policzek, to chybiła, być może dlatego, że odruchowo cofnął głowę. Trafiła go paznokciem w podbródek, rozdrapała skórę. Nafai poczuł piekący ból i z rany pociekła krew.

- Zapominasz się, mój panie!

-Nie aż tak, jak ty się zapomniałaś, moja pani - odciął się, a raczej tak zamierzał odpowiedzieć. Już nawet zaczął to mówić, ale w połowie zdania potworność tego, że go uderzyła, wstrząs i ból oraz upokorzenie wynikające z faktu, że matka go bije, wycisnęły mu łzy z oczu. - Przepraszam - okazał skruchę, choć w rzeczywistości chciał powiedzieć: „Jak śmiesz! Jestem już duży. Nienawidzę cię!”. Nie mógł jednak wypowiedzieć takich ostrych słów, kiedy płakał jak dziecko. Łzy zawsze łatwo napływały mu do oczu, a z wiekiem wcale się na to nie uodpornił.

-Może następnym razem będziesz pamiętał, żeby okazywać mi należny szacunek - powiedziała matka, lecz ona też nie potrafiła zachować ostrego tonu. Jeszcze zanim skończyła mówić, pocieszająco objęła go ramieniem.

Nie mogła rozumieć, że sposób, w jaki przytuliła jego głowę do swojego ramienia, tylko powiększał jego upokorzenie i utwierdzał w postanowieniu, aby uważać ją za wroga. Jeżeli potrafiła doprowadzać go do płaczu z powodu jego miłości do niej, to istniało dla niego tylko jedno rozwiązanie: przestać ją kochać.

-Krwawisz - powiedziała.

-To nic takiego.

-Zatamuję krew. Czystą chusteczką, a nie tą straszną szmatą, którą nosisz w kieszeni, ty mały głuptasie.

Zawsze w tym domu będę małym głuptasem, pomyślał. Odsunął się od matki, ale ona nie dała za wygraną i musnęła mu chusteczką brodę. Na białej tkaninie pojawiło się zaskakująco dużo krwi, więc wziął chusteczkę z jej ręki i przycisnął do rany.

- Chyba jest głęboka - rzekł.

- Gdybyś nie cofnął głowy, nie trafiłabym cię paznokciami.

Gdybyś mnie nie uderzyła, twoje paznokcie byłyby daleko od mojej brody, pomyślał, ale milczał.

- Widzę, że bardzo przejmujesz się sytuacją naszej rodziny, Nafaiu, ale twój system wartości jest trochę wypaczony. Jakie znaczenie mają kpiny satyryka? Wszyscy wiedzą, że każda wielka osobistość w historii Basiliki była wyśmiewana przy takiej czy innej okazji, i to zwykle za to, co uczyniło tę osobę wielką. Jesteśmy w stanie to znieść. Ważne jest to, że wizja ojca była bardzo wyraźną przestrogą udzieloną przez Nadduszę i sugerującą, jak ma postąpić nasze miasto w ciągu następnych kilku

dni, tygodni i miesięcy. Zakłopotanie minie. A wśród kobiet, które w tym mieście naprawdę się liczą, ojciec jest uważany za osobę niezwykłą, darzą go coraz większym szacunkiem. Tak więc spróbuj zapanować nad swoim zakłopotaniem spowodowanym tym, że twój ojciec znalazł się w centrum uwagi. Wszystkie nastoletnie dzieci są niezmiernie wrażliwe na tym punkcie, ale z czasem się przekonasz, że krytyka i kpiny nie zawsze przynoszą hańbę. Narażenie się na wrogość złych ludzi może bardzo dobrze świadczyć o człowieku.

Nafai nie mógł uwierzyć, że matka ma o nim aż tak kiepskie zdanie, iż widzi potrzebę prawienia mu takich kazań. Czy naprawdę uważała, że on się obawia zakłopotania? Gdyby słuchała, a nie wygłaszała mowy, mógłby jej opowiedzieć o przestrodze Elemaka przed niebezpieczeństwem zagrażającym ojcu, o jego potajemnej wizycie w domu Gaballufixa. Ale widać było wyraźnie, że w jej oczach jest ciągle dzieckiem. Nie potraktowałaaby jego ostrzeżenia poważnie. Palnęłaby mu kolejną mowę o tym, że nie należy dopuszczać, aby obawy i zmartwienia opętały człowieka umysł, i zamiast tego powinien skupić się na nauce, pozostawiając dorosłym zamartwianie się prawdziwymi problemami świata.

Dla niej nadal jestem sześciolatkiem i zawsze nim będę, pomyślał.

- Przepraszam, mamu. Już nigdy więcej nie odezwę się do ciebie w ten sposób.

Właściwie wątpił, czy kiedykolwiek będzie z nią rozmawiał o ważnych sprawach.

-Przyjmuję twoje przeprosiny, Nafaiu, i mam nadzieję, że ty przyjmiesz moje za to, że uderzyłam cię w złości.

-Oczywiście, mamu.

Przyjmę twoje przeprosiny, gdy mnie poprosisz o przebaczenie i gdy uwierzę, że mówisz szczerze, pomyślał. W rzeczywistości jednak, kochany kałdunie, z którego wyskoczyłem na świat, w ogóle tego nie zrobiłaś podczas naszej całej rozmowy. Wyraziłaś tylko nadzieję, że przyjmę przeprosiny, których właściwie wcale nie było.

- Mam nadzieję, Nafaiu, że wrócisz do nauki i nie pozwolisz, aby wydarzenia, które mają teraz miejsce w mieście, dalej

zakłócały normalny rytm twojego życia. Jesteś bardzo inteligentny i nie ma żadnego szczególnego powodu, aby te sprawy odciągały twoją uwagę od ćwiczenia umysłu.

Dziękuję ci za te wielkie pochwały, mamó. Powiedziałaś mi, że jestem dziecinny, że jestem niewolnikiem chuci i że moje poglądy należy uciszyć, a nie ich słuchać. Potraktujesz poważnie każde słowo, które wyjdzie z ust tej małej czarownicy, ale z góry zakładasz, że to, co ja mówię, jest bezwartościowe.

-Tak, mamó - powiedział. - Ale wolałbym nie wracać teraz do klasy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

-Oczywiście, że nie mam - odrzekła. - Całkowicie to rozumiem.

Kochany Nadduszo, powstrzymaj mnie od śmiechu, pomyślał.

- Nie mogę pozwolić, abys znów się włóczył po ulicach, Nafaiu, jestem pewna, że to rozumiesz. Wizja ojca przyciągnęła uwagę tylu ludzi, że ktoś na pewno powie coś, co cię rozzłości, a nie chcę, żebyś się wdawał w bójki.

A więc martwisz się o to, żebyś się nie wdawał w bójki, mamó? Przypomnij sobie z łaski swojej, kto kogo dziś uderzył tutaj na twoim tarasie.

- Może spędziłbyś dzień w bibliotece z Issibem? On dobrze na ciebie wpłynie, jest zawsze taki zrównoważony.

Issib zawsze zrównoważony? Biedna matka - kompletnie nie wie o swoich synach. Kobiety nigdy nie rozumieją mężczyzn. Mężczyźni oczywiście nie lepiej potrafią wczuć się w sposób myślenia kobiet, ale przynajmniej my nie ulegamy ułudzie, że je pojmujemy.

-Tak, mamó. Biblioteka mi odpowiada.

Rasa wstała.

-A więc idź tam zaraz. Chusteczkę oczywiście zatrzymaj.

Wyszła z tarasu, nie sprawdzając, czy Nafai jej posłucha.

Chłopiec niezwłocznie wstał i obszedł parawan, zmierzając prosto do balustrady, i spojrzał na Rozpadlinę.

Nie było widać śladu jeziora. Dno doliny spowijała gęsta chmura i ponieważ wydawało się, że zbocza są bardziej strome tuż ponad powierzchnią mgły, Nafai wydedukował, iż jezioro może być niewidoczne z tego miejsca, nawet gdyby nie zasłaniał go opar.

Widział jedynie białą chmurę i ciemną, bujną zielen lasu. Tu i ówdzie dostrzegł dym unoszący się z komina, gdyż niektóre kobiety mieszkaly na zboczach doliny. Truzhnisha, gospodyni ojca, była jedną z nich. Miała dom w dzielnicy zwanej Zachodnim Szelfem, jednej z dwunastu dzielnic Basiliki, gdzie tylko kobietom wolno było mieszkać czy nawet w ogóle wchodzić. Dzielnice Kobiet liczyły znacznie mniej mieszkańców niż którakolwiek z dwudziestu czterech dzielnic, gdzie wolno było mieszkać mężczyznom (choć, oczywiście, bez prawa posiadania nieruchomości), a jednak w radzie miejskiej miały ogromne wpływy, ponieważ ich przedstawicielki zawsze głosowały jednomyślnie. Konserwatywne i religijne, niewątpliwie należały do rajców, na których to, że Luet potwierdziła wizję ojca, wywarło największe wrażenie. Gdyby one poparły ojca w kwestii wozów wojennych, wówczas potrzebne by były głosy jedynie sześciu innych rajców, aby stworzyć sytuację patową, a siedmiu - aby podjąć działania przeciwko planom Gaballufixa.

Rajczynie z Dzielnic Kobiet od wielu tysięcy lat nie zgadzały się na żadne podziały Dzielnic Otwartych, nie chciały oddać ani jednego miejsca w radzie żadnej dzielnicy leżącej poza murami miejskimi, występowały przeciwko prawu mężczyzn do posiadania nieruchomości w granicach miasta i sprzeciwiały się wszelkim propozycjom, które mogłyby zmniejszyć lub załamać władzę absolutną kobiet w Basilice. Kiedy Nafai, przepełniony wściekłością na matkę, teraz spoglądał na tajemniczą dolinę, nie dostrzegał, jak była piękna, zagadkowa i pełna życia; widział jedynie, że nieprawdopodobnie mało znajdowało się tam domostw.

Jak one to dzielą na dwanaście dzielnic? - zastanawiał się. Muszą być takie dzielnice, gdzie garstka mieszkających tam kobiet pełni funkcję rajczyni na zmianę.

A poza miastem, w maleńkich, lecz drogich klitkach, gdzie musieli mieszkać bezdomni mężczyźni bez partnerek, nie można było podjąć kroków prawnych, by domagać się bardziej sprawiedliwego traktowania, żądać praw chroniących kawalerów przed właścicielami wynajmowanych pomieszczeń lub przed kobietami łamiącymi swoje obietnice, gdy mężczyzna przestawał je interesować, a nawet przed przemocą. Stojąc tam i patrząc na nieokiełznaną roślinność Rozpadliny, przez chwilę Nafai rozumiał, w jaki

sposób człowiek pokroju Gaballufixa mógł z łatwością skupić wokół siebie ludzi, usiłując zdobyć trochę władzy w tym mieście, gdzie każdego dnia i w każdej godzinie kobiety dyskryminowały mężczyzn i tłamsiły ich męskość.

Wiatr powiał nad doliną, chmura przesunęła się i błysnęło odbite światło. Ukazała się tafla jeziora, nie w najgłębszym punkcie Rozpadliny, lecz wyżej i dalej. Nafai odruchowo odwrócił wzrok. Podejście do balustrady na przekór matce to jedno, lecz spoglądanie na święte jezioro, nad które kobiety chodziły odprawiać swe obrzędy, to coś zupełnie innego. Jediną rzeczą, która stawała się jasna w tej całej sprawie, było to, że Naddusza mógł istnieć naprawdę. Nie było sensu ściągać na siebie jego gniewu z powodu czegoś tak głupiego, jak spoglądanie znad krawędzi tarasu matki na jakieś jezioro.

Nafai pospiesznie wycofał się za parawan. Wciąż czuł się głupio. A jeżeli ktoś by go przyłapał? Nieposłuszeństwo nie było warte takiego ryzyka. Miał kilka bardziej praktycznych rzeczy do zrobienia. Skoro matka nie zamierzała traktować poważnie jego obaw co do niebezpieczeństwa grożącego ojcu, to on sam musi coś w tej sprawie zrobić. Ale najpierw dowie się więcej - o Gaballufiksie, o Nadduszy, o wszystkim.

Przez chwilę rozważał, czy nie pójść do Luet i nie wypytać jej. Ona wiedziała o Nadduszy, prawda? Doznawała wizji regularnie, a nie tylko raz, tak jak ojciec. Z pewnością mogła wiele wyjaśnić.

Ale była kobietą, a teraz Nafai wiedział, że od kobiet nie otrzyma żadnej pomocy. Wręcz przeciwnie - kobiety w Basilice uczono od dzieciństwa, w jaki sposób uciskać mężczyzn i sprawiać, aby czuli się bezwartościowi. Luet wyśmiałaby go i poszłaby prosto do matki, aby opowiedzieć jej, o co pytał.

Mógł zaufać tylko mężczyznom - bardzo niewielu mężczyznom, ponieważ ojcu groziło niebezpieczeństwo ze strony partii Gaballufixa. Może pomocy udzieliłby mu ten Roptat, o którym wspominał Elya. Ale najpierw musiał dowiedzieć się czegoś o poczynaniach Nadduszy.

Issib nie ucieszył się na jego widok.

- Jestem zajęty i nie chcę, żeby ktoś mi przeszkadzał.

-To biblioteka domowa - powiedział Nafai. - Tu zawsze przychodzimy, żeby prowadzić prace badawcze.

-Widzisz? Już mi przeszkadzasz.

-Słuchaj, ja się nie odezwałem pierwszy, tylko wszedłem, a ty zaczęłaś się mnie czepiać, gdy tylko przekroczyłem próg.

-Miałem nadzieję, że wyjdiesz.

-Nie mogę. Matka mnie tu przysłała.

Nafai stanął za Issibem, który unosił się swobodnie w powietrzu przed monitorem swojego komputera. Ekran zajmowało około trzydziestu stron ułożonych w kaskadę, ale na każdej stronie było tylko kilka słów, więc widział prawie wszystko równocześnie. Jak w pasjansie, w którym Issib po prostu przenosił kawałki z miejsca na miejsce.

Tymi kawałkami były słowa w dziwnych językach. Te, które Nafai rozpoznał, należały do bardzo starych.

-Co to za język? - zapytał, wskazując słowo.

Issib westchnął.

-Tak się cieszę, że mi nie przeszkadzasz.

-Czy to jakaś starożytna odmiana vijati?

-Bardzo dobrze. To slucajański, który wywodzi się z obila-zati, pierwotnej formy vijati. Obecnie to martwy język.

-Wiesz, ja umiem czytać vijati.

-Ja nie.

-A więc specjalizujesz się w starożytnych, nieznanych językach, którymi nikt już nie mówi, włącznie z tobą?

-Ja się nie uczę tych języków, tylko badam zapomniane słowa.

-Jeżeli cały język jest martwy, to wszystkie słowa są zapomniane.

-Słowa, które kiedyś miały znaczenie, lecz poszły w niepamięć lub przetrwały tylko w wyrażeniach idiomatycznych. Jak na przykład „słoń w składzie porcelany”. Wiesz, co to jest słoń?

-Nie wiem. Zawsze myślałem, że to jakiś pełen wdzięku ptaszek.

-Nieprawda. To starożytny ssak. Chyba nigdy nie sprowadzono go tutaj z Ziemi. Albo szybko wymarł. Był większy od człowieka i bardzo silny. Roślinożerca.

-I trzymano go w składzie porcelany?

-Tym wyrażeniem określano coś śmiesznie niezdarnego. Jak na przykład psa chodzącego na tylnych łapach.

-A teraz to wyrażenie ma przeciwne znaczenie. To dziwne. Jak mogło dojść do tej zmiany?

-Ponieważ nie ma już żadnych słoni. Dawniej znaczenie było oczywiste, bo wszyscy wiedzieli, co to jest słoń i jak niezdarnie by się poruszał w składzie porcelany. Ale kiedy słonie zniknęły, znaczenie mogło się zmienić na rozmaite sposoby. Teraz używamy tego wyrażenia na określenie osoby, która umie niezwykle zręcznie wybrnąć z kłopotliwej sytuacji w towarzystwie. To jedyny przypadek, w którym jeszcze stosujemy słowo „słoń”. A wielu ludzi pisze to słowo z błędem.

-Świetny materiał. Pisziesz pracę z językoznawstwa? -Nie.

-A więc po co to wszystko?

-Dla mnie.

-Po prostu zbierasz stare idiomy.

-Zapomniane słowa.

-Takie jak „słoń”? To słowo nie jest zapomniane, Issya, tylko słonie zniknęły.

-Bardzo dobrze, Nyef. Dostajesz zaliczenie z przedmiotu. A teraz idź sobie.

-Ty nie badasz zapomnianych słów. Badasz słowa, które utraciły swoje znaczenia, ponieważ określane przez nie rzeczy już nie istnieją.

Issya powoli odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Nafaia.

- Jednak umiesz myśleć.

Nafai wskazał na ekran.

- „Kolesnisha”. To słowo w języku kunie. I tu masz znaczenie tego słowa: wóz wojenny. Tym językiem nie mówi się od dziesięciu milionów lat. Teraz to tylko język pisany. A jednak jest w nim określenie „wóz wojenny”, który dopiero niedawno wynaleziono. Co oznacza, że wozy wojenne były już dawno temu.

Issib parsknął cichym, nieopanowanym śmiechem.

-Czemu się śmiesz? - zapytał Nafai. - Nie mam racji?

-To mnie po prostu zdumiewa. Jakie to oczywiste. Nawet ty możesz zwyczajnie podejść do monitora komputera i od razu

się zorientować. Więc dlaczego nikt wcześniej nie zwrócił na to uwagi? Dlaczego nikt nie zauważył, że znaleźliśmy już słowo „wóz” i wszyscy rozumieliśmy jego znaczenie, a jednak z tego, co wiemy, wozów na świecie nie było nigdy?

-To naprawdę dziwne, prawda?

-Nie dziwne, lecz przerażające. Zobacz, co Mokrogłowi robią ze swoimi wozami wojennymi, swoimi kolesnishety. To im daje istotną przewagę w wojnie. Budują prawdziwe imperium, nie chodzi im o zwykły system sojuszy, ale o faktyczną władzę nad narodami, które znajdują się sześć dni drogi od ich miasta. Jeżeli można tego dokonać z pomocą wozów wojennych, a ludzie mieli je miliony lat temu, to jakim cudem zapomnieliśmy, czym one są?

Nafai zastanowił się nad tym przez chwilę.

-Trzeba by być naprawdę głupim - stwierdził. - Przecież ludzie nie zapominają takich rzeczy. Powinny być choćby zdjęcia w bibliotece.

-Nie ma żadnych zdjęć wozów wojennych - powiedział Issib.

-To głupie - podsumował Nafai.

-A to słowo tutaj - wskazał Issib.

-, „Zrakoplov” - przeczytał Nafai. - To na pewno w języku obilazati.

-Zgadza się.

-Jakie ma znaczenie? „Powietrzne” coś?

-Po rozbiorze na elementy składowe i w luźnym tłumaczeniu znaczy „powietrzny pływak”.

Nafai zastanawiał się nad tym przez chwilę. Wyczarował sobie w wyobraźni obraz - rybę poruszającą się w powietrzu.

-Latająca ryba?

-To maszyna - wyjaśnił Issib.

-Bardzo szybki statek?

-Zastanów się nad tym, co mówisz, Nafaiu. To powinno być dla ciebie oczywiste. A jednak odrzucasz proste znaczenie tego słowa.

-Łódź podwodna?

-W takim razie jakim cudem byłby to powietrzny pływak, Nyef?

-Nie mam pojęcia. - Nafai czuł się głupio. - Zapomniałem o określeniu „powietrzny”.

-Zapomniałeś o tym, a jednak od razu sam rozpoznałeś człon „powietrzny”. Wiedziałeś, że „zraky” to w obilazati źródłosłów „powietrza”, mimo to wyleciało ci z głowy określenie „powietrzny”.

-A więc jestem naprawdę tępy.

-Ależ nie, Nyef. Jesteś naprawdę bystry, a jednak nadal tu stoisz i patrzysz na to słowo, i ja ci mówię wszystko, a ty nadal nie możesz dojść, co to słowo znaczy.

-A co znaczy to słowo? - zapytał Nafai, wskazując „pusceni prah”. - Nie znam tego języka.

Issib pokręcił głową.

-Gdybym nie widział na własne oczy, jak ci się to przytrafia, tobym nie uwierzył.

-O co chodzi?

-Czy nie jesteś choćby ciekawy, co to jest „zrakoplov”?

-Przecież mi powiedziałeś. Powietrzny pływak.

-Maszyna, której nazwa brzmi powietrzny pływak.

- Jasne. Zgadza się. Więc co to jest „pusceni prah”?

Issib powoli odwrócił się przodem do Nafaia.

-Usiądź, mój kochany, błyskotliwy, głupi bracie, ty prawdziwy sługo Nadduszy. Mam ci coś do powiedzenia o maszynach, które pływają w powietrzu.

-Chyba ci przeszkadzam - stwierdził Nafai.

-Chcę z tobą porozmawiać. Nie przeszkadzasz mi. Wyjaśnię, jak latały...

-Lepiej już pójdę.

-Dlaczego? Dlaczego tak bardzo chcesz odejść?

-Nie mam pojęcia. - Nafai podeszedł do drzwi. - Potrzebuję trochę powietrza. Brak mi tchu.

Wyszedł z pokoju. Od razu poczuł się lepiej. Już nie miał zawrotów głowy. Co się stało przed chwilą? W bibliotece było zbyt duszno. Zbyt tłoczno. Zbyt wielu ludzi tam przebywało.

- Dlaczego wyszedłeś? - zapytał Issib.

Bezszelestnie podążył w ślad za nim. Nafai od razu doznał tego samego uczucia klaustrofobii, które zmusiło go do wyjścia na korytarz.

-Było zbyt tłoczno.

-Oprócz mnie nikogo tam nie było - powiedział Issib.

-Naprawdę? - Nafai usiłował sobie przypomnieć. - Potrzebuję świeżego powietrza. Zostaw mnie samego.

-Pomyśl - rzekł Issib. - Przypominasz sobie wczorajszą rozmowę Luet z ojcem?

Nafai od razu się odprężył. Uczucie klaustrofobii minęło.

-Pewnie.

-Luet sprawdzała ojca, testowała jego wspomnienia. Kiedy jego wspomnienie doznanej wizji nie odpowiadało prawdzie, ojciec czuł się głupio, prawda?

-Tak powiedział.

-Głupio. Jakby miał pustkę w głowie. Gapił się przed siebie wzrokiem bez wyrazu.

-Chyba tak.

-Tak jak ty - zakończył Issib - kiedy wypytywałem cię o znaczenie słowa „zrakoplov”.

Nagle Nafai poczuł ucisk w płucach.

-Muszę wyjść na zewnątrz!

-Jesteś bardzo na to podatny - powiedział Issib. - Nawet bardziej niż ojciec i matka, kiedy próbowałem im o tym powiedzieć.

-Przestań za mną chodzić! - krzyknął Nafai.

Ale Issib dalej podążał za nim - korytarzem, po schodach w dół i na ulicę. Na zewnątrz z łatwością wyprzedził brata i krążył przed nim, jak gdyby próbował zapędzić go z powrotem do domu.

Nafai nie mógł uciec. Nigdy przedtem nie doznał takiej paniki. Potknął się, upadł.

- Wszystko w porządku - powiedział łagodnie Issib. - Uspokój się. To nic takiego. Odpręż się.

Nafai złapał oddech. Teraz głos Issiba nie brzmiał niepokojąco. Uczucie paniki osłabło.

- Co my robimy tutaj na ulicy? Matka mnie zabije.

-Wybiegłeś z domu, Nafaiu.

-Tak?

-To sprawka Nadduszy.

-Co to jest Naddusza?

-To siła, która *kazała* ci uciec i nie pozwoliła słuchać, jak opowiadam o... o rzeczach, których Naddusza nie chce ujawniać przed ludźmi.

-To głupie - zaprotestował Nafai. - Naddusza szerzy, a nie ukrywa informacje. Dajemy mu nasze pisma, naszą muzykę, a on przekazuje to wszystko z miasta do miasta, z biblioteki do biblioteki na całym świecie.

-Twoja reakcja była znacznie silniejsza od reakcji ojca - ciągnął Issib. - Oczywiście wywierałem na ciebie większy nacisk.

-Co masz na myśli?

-Naddusza jest w twojej głowie. W głowach nas wszystkich. Ale na niektórych oddziałuje silniej niż na innych. Naddusza tam jest, obserwuje nasze myśli. Wiem, że trudno w to uwierzyć.

Nafai jednak przypomniał sobie, że Luet znała jego myśli.

-Nie, Issya, ja już to wiem.

-Czyżby? - zdziwił się Issib. - No dobrze. Gdy tylko Naddusza się zorientował, że zbliżasz się do zakazanego tematu, zaczął cię ogłupiać.

-Jakiego zakazanego tematu?

-Jeśli ci przypomnę, znów poczujesz to samo - odrzekł Issib.

-Kiedy byłem ogłupiony?

-Zaufaj mi. Byłeś bardzo ogłupiony. Próbowaleś zmienić temat i nawet nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Zazwyczaj jesteś niezwykle bystry, Nafai. Bardzo inteligentny. Jednak tym razem po prostu stałeś jak idiota, prawdę miałeś wyłożoną jak na tacy, a jej nie dostrzegłeś. Kiedy ci przypomniałem, kiedy cię naciskałem, doznałeś uczucia klaustrofobii, prawda? Miałeś kłopoty z oddychaniem, musiałeś wyjść z biblioteki. Poszedłem za tobą, znów zmuszałem cię do myślenia, i w ten oto sposób znaleźliśmy się tutaj.

Nafai spróbował odtworzyć w pamięci przebieg całego incydentu. Issib miał rację co do kolejności wydarzeń. Tylko że Nafai nie łączył swojej potrzeby wydostania się z domu z niczym, o czym mówił Issib. Właściwie za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, co on takiego powiedział.

-Naciskałeś?

-Wiem - ciągnął Issib. - Ja też to czułem, kiedy kilka lat temu po raz pierwszy wpadłem na ten trop. Zajmowałem się

zapomnianymi słowami. Sporządzałem listy. Miałem długi spis takich terminów jak „słoń w składzie porcelany”, opatrzyłem je wszystkie definicjami oraz wyjaśnieniami i postawiłem hipotezę co do znaczenia każdego z zapomnianych słów. Pewnego dnia przyjrzałem się jednej liście, którą uważałem za skończoną, i uświadomiłem sobie, że było na niej kilkadziesiąt słów nieposiadających żadnych znaczeń. To głupie, pomyślałem. Moja lista traci przez to sens. Tak więc usunąłem wszystkie te słowa.

-Usunąłeś je? - Nafai był przerażony. - Zamiast je zbadać?

-Widzisz, do jakiego stopnia możesz zostać ogłupiony? A kiedy skończyłem ich usuwanie, uświadomiłem sobie: co ja robię! Wyciągnąłem więc rękę, żeby napisać komendę odzyskania utraconych danych, ale zamiast nacisnąć te klawisze, odruchowo wydałem komendę potwierdzenia i bezpowrotnie skasowałem usunięty plik, po czym na jego miejsce zapisałem nowy.

-To zbyt skomplikowane, by przyczyną mogła być niezdarność - stwierdził Nafai.

-No właśnie. Wiedziałem, że usunięcie tych słów to błąd, a jednak zamiast go naprawić i odtworzyć słowa, skasowałem je, wyrzuciłem z komputera.

-I myślisz, że stało się to za sprawą Nadduszy?

-Nafaiu, nigdy nie zastanawiałeś się, czym jest Naddusza? Co robi?

-Pewnie.

-Ja też. I teraz wiem.

-Z powodu tych słów?

-Nie odzyskałem ich wszystkich, ale odtworzyłem tyle, ile zdołałem, i sporządziłem listę zawierającą osiem wyrazów. Nie masz pojęcia, jakie to było trudne, ponieważ teraz byłem na nie uczulony. Przedtem musiałem ich po prostu nie zauważać, byłem ogłupiony, kiedy na nie patrzyłem - tak jak ojciec, kiedy miał mylne wyobrażenia o wizji Nadduszy. Takim sposobem dostały się one na moją pierwszą listę, ale bez definicji - po prostu byłem ogłupiony za każdym razem, kiedy o nich myślałem. Ale kiedy teraz patrzyłem na nie, doznałem ataku klaustrofobii. Brakowało mi powietrza. Wyszedłem z biblioteki, ale zmusiłem się, żeby tam wrócić. To najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem:

pozostałem tam i myślałem o tym, co nie do pomyślenia. Żeby zatrzymać w umyśle pojęcia, które Naddusza chce wymazać z naszej pamięci. Pojęcia, które kiedyś były tak powszechne, że każdy język na świecie miał na nie słowa. Starożytne słowa. Zapomniane słowa.

-Czy Naddusza ukrywa przed nami różne rzeczy? -Tak.

-Na przykład co?

-Jeśli ci powiem, Nafaiu, znów doznasz tego uczucia.

-Nie doznam.

-Ależ tak. Czy myślisz, że przez ostatni rok sam się z tym nie zmagalem? Możesz więc sobie wyobrazić moje zdziwienie wczoraj, kiedy Elemak siedział w kuchni i udzielał nam wyjaśnień na temat jednej z zakazanych rzeczy: wozów wojennych.

-Zakazanych? Jak mogłyby być zakazane? Nie należą nawet do starożytności.

-Widzisz? Już zapomniałeś. Słowo „kolesnisha”.

-Ach tak. Zgadza się. Pamiętam.

-Ale nie pamiętałeś, dopóki tego nie powiedziałem.

To prawda, pomyślał Nafai. Zanik pamięci.

-Wczoraj wieczorem ty i Elemak rozmawialiście o wozach wojennych, choć ja dopiero po wielu miesiącach mogłem badać słowo „kolesnisha”, nie dostając przy tym ataku duszności.

-W tamtej rozmowie nie wymieniliśmy słowa „kolesnisha”.

-Próbuję ci wykazać, Nafaiu, że Naddusza podupada.

-To stara teoria.

-Ale prawdziwa - powiedział Issib. - Naddusza ochrania pewne pojęcia i nie pozwala ludziom o nich myśleć. Dopiero od kilku lat Mokrogłowi nagle wpadli na jedno z nich. Potoku także. I my. Wczoraj, gdy słuchałem Elemaka, w ogóle nie doznawałem paniki.

-Mimo to sprawił, że zapomniałem słowo „kolesnisha”.

-Jeszcze nie do końca utracił swoje zdolności. Ale tym razem pamiętałeś, prawda? Nafaiu, Naddusza zrezygnował z ukrywania przed nami pojęcia wozów wojennych. Po wielu milionach lat już nie próbuje.

-Co jeszcze? - zapytał Nafai. - Jakie są inne pojęcia?

-Z innych jeszcze nie zrezygnował. A ty wydajesz się naprawdę bardzo podatny na wpływ Nadduszy, Nyef. Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć. Lub czy pamiętałbyś przez choćby pięć minut, gdybym to zrobił.

-To znaczy, że mogę być świadomy, iż Naddusza ukrywa przed nami istnienie różnych rzeczy, ale nie mogę wiedzieć jakich, bo nie dopuszcza, abym je poznał.

-Tak.

-Dlaczego więc nie powstrzymuje ludzi przed myśleniem o morderstwie? Dlaczego nie powstrzymuje ludzi przed myśleniem o wojnie, gwałcie i kradzieży? Jeżeli blokuje myśli, dlaczego nie robi czegoś pożytecznego?

Issib pokręcił głową.

-Wydaje się to nie w porządku. Miałem jednak rok, żeby się nad tym zastanowić, i oto do czego doszedłem. Naddusza nie chce, abyśmy na skutek jego ingerencji przestali zachowywać się jak ludzie. Włącznie z całym złem, jakie sobie wyrządzamy. Próbuje jedynie ograniczyć rozmiary naszego zła. Gdybyśmy nadal mieli maszyny, które nazwane są zakazanymi słowami -jak mogę ci opowiedzieć o wszystkich zakazanych rzeczach bez wywoływania u ciebie ataku klaustrofobii? - doszłoby do tego, że wszystkie nasze poczynania miałyby większy zasięg oddziaływania, każdą bronią można by dokonać większych zniszczeń i wszystko działałoby się szybciej.

-Czas biegłby szybciej?

-Nie. - Widać było, że Issib starannie dobiera słowa. - A co... co by było, gdyby Gorayni mogli sprowadzić pięciotysięczną armię z Yabrev do Basiliki w jeden dzień?

-Nie żartuj!

-Ale gdyby mogli?

-Bylibyśmy oczywiście bezradni.

-Dlaczego?

-Nie mielibyśmy czasu, żeby zmobilizować armię.

-Zatem gdybyśmy wiedzieli, że inne narody są w stanie to zrobić, mielibyśmy utrzymywać armię przez cały czas, na wypadek gdyby ktoś nas nagle zaatakował.

-Chyba tak.

-A teraz przypuśćmy, że Gorayni znaleźli sposób na sprowadzenie tutaj nie pięciu, lecz pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, i nie w jeden dzień, lecz w sześć godzin.

-To niemożliwe!

-A gdybym ci powiedział, że już to kiedyś robiono?

-Ten, kto potrafiłby tego dokonać, rządziłby światem.

-No właśnie, Nyef, chyba że ktoś inny też mógłby to zrobić. Ale co to by był za świat? Wydawałby się mniejszy, wszyscy mieliby bardzo blisko do sąsiadów. Wojsko takiego okrutnego, despotycznego narodu jak Gorayni mogłoby stanąć u drzwi każdego państwa. Wszystkie pozostałe narody świata musiałyby się zjednoczyć, żeby ich powstrzymać. I zamiast kilku tysięcy na wojnie mogłoby zginąć milion, dziesięć milionów ludzi.

-Dlatego Naddusza nie pozwala nam myśleć o... szybkich sposobach... przerzucania dużej liczby żołnierzy z miejsca na miejsce.

-Niełatwo to było powiedzieć, prawda?

-Mój umysł... błędził.

- Trudno to pojęcie pochwycić umysłem, a przecież nie myślisz o niczym konkretnym.

-Nienawidzę tego - powiedział Nafai. - Nie umiesz mi nawet wytłumaczyć, jakim cudem taka sztuczka jest możliwa. Trudno mi nawet zatrzymać w umyśle pojęcie tak ogólnikowo sformułowane. Naprawdę nienawidzę tego uczucia.

- Nie sądzę, aby Naddusza był przyzwyczajony do tego, że ktoś to zauważa. Moim zdaniem twoja zdolność do myślenia o tym, że istnieją pojęcia nie do pomyślenia, oznacza, iż Naddusza traci moc.

- Issya, nigdy w życiu nie czułem się taki bezradny i głupi.

-I nie jest to kwestia tylko wojen i armii - powiedział Issib.

- Pamiętasz opowieści o Klatim?

- To ten, co dokonywał rzezi?

-Wchodził w nocy przez okno do domów kobiet i patroszył je jak bydło w rzeźni.

-Czemu Naddusza nie ogłupił jego, kiedy typek myślał o morderstwie?

-Ponieważ zadaniem Nadduszy nie jest robienie z nas ideałów - odrzekł Issib. - Ale wyobraź sobie, że Klati mógłby

wsiąć do... mógłby podróżować bardzo szybko i przemieszczać się do innych miast w sześć godzin.

-Miejscowi by wiedzieli, że jest obcy, i obserwowaliby go tak bacznie, że nic nie mógłby zdziałać.

-Nie rozumiesz. Tysiące, miliony ludzi robiłyby codziennie to samo...

-Zarzynałoby kobiety?

-Latałoby z miejsca na miejsce.

-To zbyt duże szaleństwo, by o tym myśleć! - krzyknął Nafai. Zerwał się na równe nogi i ruszył w kierunku domu.

-Wróć! - zawołał Issib. - Wcale tak nie myślisz, jesteś zmuszany, żeby tak myśleć!

Nafai oparł się o kolumnę frontowego tarasu. Issib miał rację. Czuł się świetnie, a potem ni stąd, ni zowąd Issib coś powiedział, i nagle Nafai musiał odejść, musiał uciec, a teraz dyszał oparty o kolumnę i serce waliło mu tak mocno, że ktoś prawdopodobnie mógłby je usłyszeć z odległości metra. Czy naprawdę mogła to być sprawka Nadduszy, który tak go ogłupił, przestraszył? Jeśli tak, to Naddusza jest jego wrogiem. A Nafai nie chciał się poddać. Mógł myśleć o różnych rzeczach, czy to się podobało Nadduszy, czy nie. Był w stanie myśleć o tym, co powiedział Issib, i nie czuł potrzeby ucieczki.

Odtworzył w myśli ostatnie chwile rozmowy z Issibem. O Klatim przemieszczającym się z miasta do miasta w ciągu kilku godzin. Mieszkańcy innych miast oczywiście by go zauważyli, ale Issib zastanawiał się, co by było, gdyby tysiące ludzi... latało.

Obraz, który Nafai sobie wyobraził, był absurdalny. Ludzie w powietrzu, którzy jak ptaki wlatują wysoko, a potem pikuja. Powinien się roześmiać, lecz poczuł, że coś ściska go za gardło. Jakby jego głowę coś ściskało, miażdżyło. Ostry ból przeszył go od karku do potylicy. Ale mógł o tym myśleć! Ludzie, którzy latają. A skoro zdołał o tym pomyśleć, to mógł rozwinąć pomysł Issiba. Ludzie, tysiące ludzi, którzy latają z miasta do miasta, tak iż władze w żadnym z nich nie potrafią upilnować jednej osoby.

-Klati mógłby dokonywać po jednym morderstwie w każdym mieście i nikt by go nigdy nie znalazł - powiedział Nafai.

-Tak. - Issib znów był przy nim, objął go delikatnie ramieniem.

-W takim razie jaki sens miałoby posiadanie obywatelstwa? - zapytał Nafai. - Gdyby tysiąc ludzi... przyleciało tutaj... do Basiliki... dzisiaj.

-W porządku - powstrzymał go Issib. - Nie musisz tego mówić.

-Owszem, muszę. Mogę myśleć o wszystkim. On nie może mnie powstrzymać.

-Próbowałem ci tylko wyjaśnić, że Naddusza nie zapobiega złu na tym świecie, pilnuje tylko, aby nie wymknęło się spod kontroli. Ogranicza jego rozmiary. Pomyśl jednak o wartościach pozytywnych. Dajemy Nadduszy naszą sztukę, muzykę i literaturę, a on przekazuje je wszystkim innym narodom. Wartości pozytywne są rozpowszechniane. A więc Naddusza czyni świat lepszym.

-Pod pewnymi względami lepszym, zgoda, ale przecież pozytywną rzeczą byłoby żyć w świecie, w którym ludzie... w którym my moglibyśmy... latać.

Prawie udławił się przy tym słowie, ale wypowiedział je i chociaż coś go zmuszało do ucieczki - było tak duszno, nie miał czym oddychać - niemniej został.

- Dobry jesteś - pochwalił go Issib. - Imponujesz mi. Nafai jednak nie czuł się dobrze. Czuł się niezdrowy, rozgniewany i zdradzony.

-Jakim prawem Naddusza zabiera nam to wszystko?

-Co nam zabiera? Armie zjawiające się bez ostrzeżenia u naszych wrót? Cieszę się, że temu zapobiega.

Nafai pokręcił głową.

-Naddusza decyduje, o czym mogę myśleć.

-Nyef, znam to uczucie, przeszedłem przez to wszystko już wiele miesięcy temu i w i e m, że to cię bardzo złości i przeraża. Ale wiem również, że możesz to przezwyciężyć. I jeszcze te wczorajsze opowieści matki o wizji płonącej planety. Jest nawet na to słowo - cóż, teraz go nie usłyszysz, daję za to głowę - ale Naddusza ukrywa je przed nami. Od trzydziestu lub czterdziestu milionów lat - tak długo! Niewyobrażalnie! - to wszystko jest gdzieś przechowywane, ale jedyna rzecz, której możemy się trzymać, jedyna rzecz, którą możemy pochwytać umysłem, to bardzo fragmentaryczna wiedza o tym, co działo się na świecie w ciągu ostatnich mniej więcej dziesięciu milionów lat, a trzeba wielu lat badań, żeby objąć umysłem nawet jakiś niewielki okres.

O różnych królestwach i językach nawet nie słyszeliśmy w ciągu ostatnich dziesięciu milionów lat, jednak nic nie zostało całkowicie zapomniane. Kiedy zabrałem się do poszukiwań w bibliotece, znalazłem odnośniki do prac w innych bibliotekach i mogłem dokopać się do lichego tłumaczenia książki napisanej trzydzieści dwa miliony lat temu. Czy wiesz, co w niej napisano? Już wtedy autor twierdził, że historia jest zbyt długa, zbyt obszerna, by umysł ludzki mógł ją pojąć. Padło tam stwierdzenie, że gdyby całą historię ludzi zmieścić w jednym tysiącstronicowym tomie, historia ludzkości na Ziemi zajmowałaby tylko jedną stronę. A było to trzydzieści dwa miliony lat temu.

-A więc jesteśmy tu już od bardzo dawna.

-Jeżeli potraktować arytmetykę tego autora dosłownie, to historia ludzkości na Ziemi liczyła sobie zaledwie osiem tysięcy lat, nim planeta... spłonęła.

Nafai zrozumiał. Naddusza uchronił ludzi przed nadmiernym rozwinięciem własnej destruktywności i dzięki temu ludzkość żyła pięć tysięcy razy dłużej na Harmonii niż na Ziemi.

-Zatem dlaczego Naddusza nie zapobiegł zniszczeniu Ziemi?

-Nie mam pojęcia - odparł Issib. - Mam tylko pewne przypuszczenie.

-Jakie?

-Nie wiem, czy wolno ci będzie o tym myśleć.

-Daj mi spróbować.

-Nadduszę stworzono dopiero po przybyciu ludzi na Harmonię. Wiesz, nazwa naszej planety ma takie samo znaczenie we wszystkich językach. Endrakt. Skład. Soglassye. Może kiedy tu dotarli, pozostawiając za sobą Ziemię w popiołach, postanowili, że nigdy więcej do tego nie dopuszczą. Może właśnie wtedy stworzono Nadduszę - żeby powstrzymać nas przed uzyskaniem kiedykolwiek takiej strasznej potęgi.

-W takim razie Naddusza byłby... wytworem ludzkiej ręki.

-Tak - potwierdził Issib. - Czy myślenie o tym nie jest dla ciebie zbyt trudne?

-Nie. To łatwe. Ta myśl nie jest aż taka niezwykła. Już dawniej ludzie mówili o Nadduszy jak o maszynie.

-Dla mnie to było trudne - rzekł Issib. - Ale może dlatego, że doszedłem do tego inną drogą. Kilkoma ścieżkami nie

do pomyślenia. Założyłem zmianę genetyczną mózgu ludzkiego, tak aby mógł odbierać myśli z satelitów łącznościowych okrążających planetę i je przekazywać.

Słowa dotarły do świadomości Nafaia, ale nic dla niego nie znaczyły.

-Nie rozumiałeś tego, prawda? - zapytał Issib.

-Prawda - odparł Nafai.

-Tak myślałem.

-Issya, co Naddusza nam teraz robi?

-Nad tym właśnie pracuję. Próbuję przejrzeć zakazane słowa, znaleźć schemat, dowiedzieć się, po co objawia ojcu tę wizję płonącego świata. I matce. I po co pokazuje Luet krew i popioły we śnie.

-Pokazuje, że jesteśmy marionetkami.

-Nie, Nafaiu. Nie przekonuj siebie, że należy nienawidzić Nadduszy z tego powodu. To nie przynosi nic dobrego - teraz to wiem. Musimy go zrozumieć. Jego poczynania. Ponieważ świat naprawdę jest w niebezpieczeństwie, jeżeli Naddusza traci kontrolę. A traci. Zrezygnował z wozów wojennych - z czego zrezygnuje potem? Które imperium wymknie się spod kontroli w następnej kolejności? Które odkryje - to słowo, o które pytałeś - „pusceni prah”? To proch, który po zapaleniu eksploduje. Wybucha jak balon, tylko że z tysiącrotnie większą siłą. Dostateczną, by zburzyć mur. Dostateczną, by zabić ludzi.

-Przestań, proszę - szepnął Nafai. Zwalczenie uczucia paniki, jaka go ogarnęła, gdy usłyszał te słowa, było ponad jego siły.

-Naddusza nie jest naszym wrogiem. Myślę... myślę, że zwrócił się do ojca, gdyż potrzebuje pomocy.

-Dlaczego nigdy dotąd o tym nie mówiłeś?

-Mówiłem. Ojcu, matce, niektórym nauczycielom. Innym uczniom, innym uczonym. Napisałem artykuł na ten temat, ale nawet jeśli ktoś pamięta, że go otrzymał, nie może go znaleźć. Nawet jeśli wysłałem go tej samej osobie cztery razy. Dałem sobie spokój.

-Ale mnie powiedziałeś.

-Przyszedłeś do biblioteki. Pomyślałem sobie: czemu nie?

-„Zrakoplov” - przypomniał Nafai.

-Nie mogę uwierzyć, że zapamiętałeś to słowo! - zdumiał się Issib.

-Maszyna. Ludzie, ot tak po prostu, nie... latają. Używają do tego maszyny.

-Nie przeciągaj struny - ostrzegł go Issib. - Zrobi ci się niedobrze. Już głowa cię boli, prawda?

-Ale mam rację, tak?

-Przypuszczam, że był to wydrażony obiekt, duży tak jak dom, i ludzie do niego wsiadali, żeby latać. Przypominał statek, tylko że poruszał się w powietrzu. Wyposażony był w skrzydła. Sądzę, że mieliśmy je tutaj. Czy znasz dzielnicę Czarne Pola?

-Naturalnie, znajduje się na zachód od targu.

-Jej dawna nazwa brzmiała Podniebny Port. Była używana jeszcze jakieś dwadzieścia milionów lat temu. Podniebny Port. Kiedy ją zmieniono, nikt już nie pamiętał, co znaczyła.

-Nie jestem w stanie nadal o tym myśleć - zaniepokoił się Nafai.

-Czy jednak chcesz to zapamiętać? - zapytał Issib.

-Jak mogę zapomnieć?

-Zapomnisz. Jeśli nie będę ci przypominał. Codziennie. Czy chcesz, żebym to robił? Za każdym razem będziesz czuł się tak samo. Chcesz o tym zapomnieć, czy mam ci przypominać?

-A kto przypominał tobie?

-Porobiłem sobie notatki - odparł Issib. - W bibliotecznych komputerach. Przypomnienia. Jak myślisz, dlaczego potrzebowaliśmy aż roku, żeby zejść tak daleko?

-Chcę pamiętać - oświadczył Nafai.

-Będziesz na mnie wściekły.

-Przypominaj mi, żebym nie był.

-Będzie ci się robiło słabo.

-Będę więc często mdlał. - Nafai obsunął się po słupie i usiadł, spoglądając w kierunku ulicy. - Dlaczego nikt nas nie zauważył? Przecież rozmawialiśmy głośno.

Issib wybuchnął śmiechem.

-Zauważyli nas. Matka wyszła raz. I kilku nauczycieli. Słyszeli, jak rozmawiamy, a potem zapomnieli, po co wyszli.

-Wspaniale! Jeżeli chcemy, żeby zostawili nas w spokoju, musimy tylko rozmawiać o zrakopłowach.

-No cóż - westchnął Issib. - To skutkuje tylko w wypadku ludzi, którzy mają bliski kontakt z Nadduszą.

-A kto nie ma?

-Na przykład ci, którzy pomyśleli o wozach wojennych.

-Powiedziałeś, że Naddusza z nich zrezygnował.

-Jasne, niedawno - odparł Issib. - Ale w Basilice są ludzie, którzy od dawna planują budowę wozów wojennych i również od dawna pertraktują z Potoku. To trwa dłużej niż rok. Ci nie mają kłopotów z Nadduszą. Wydaje się, że teraz go nie słyszą. Ale większość ludzi słyszy, dlatego Gaballufix i jego ludzie mogli to utrzymać w tajemnicy tak długo. Ci, do których cokolwiek dotarło o wozach wojennych, po prostu zapominali, że w ogóle się spotkali... z czymś takim.

-A może Naddusza celowo przestał zabraniać myślenia o tym w ostatnim czasie właśnie dlatego, że musiała się wywiązać publiczna dyskusja o wozach wojennych, aby powstrzymać realizację tego projektu.

-Więc chcąc powstrzymać ludzi, którzy go nie słyszą, Naddusza musiał przestać kontrolować też pozostałych.

-To sprzężenie zwrotne - wyjaśnił Issib. - Aby wygrać, Naddusza musi się poddać. Rzekłbym, że Naddusza jest w poważnych tarapatkach.

Dla Nafaia miało to sens, z wyjątkiem jednego.

-Ale dlaczego zaczął przemawiać do ojca?

-Tego właśnie musimy się dowiedzieć. A także tego, co następnie każe zrobić ojcu.

-Hej, pozwólmy Nadduszy trzymać kilka niespodzianek w zanadrzu! -Nafai wybuchnął śmiechem, ale w rzeczywistości nie uważał tego za zabawne.

Issib był tego samego zdania.

- Nawet jeśli uwierzymy w sprawę Nadduszy, Nafaiu, w którymś momencie możemy stwierdzić, że wyrządza on więcej szkód, niż przynosi pożytku. I co wtedy zrobimy?

-Owszem, może ostatnio Naddusza wszystko knoci, ale to nie oznacza, że lepiej nam będzie bez niego.

-Chyba nigdy się nie dowiemy, prawda?

Modlitwa

Przez tydzień Nafai codziennie pracował z Issibem. Co noc spali w domu matki - nie pytali o pozwolenie, ale też matka ich nie odsyłała. Praca była męcząca; ingerencja Nadduszy sprawiała dotkliwy ból. Issib miał rację, można to było przezwyciężyć. Choć Nafai reagował z większą awersją niż Issib, potrafił szybciej pokonać to uczucie, a Issib mu pomagał, zapewniał go, że warto to zrobić, przypominał, o co w tym wszystkim chodzi.

Zaczął kształtować się im dość wyraźny obraz tego, co ludzie kiedyś mieli do dyspozycji, i zdali sobie sprawę, że Naddusza od dawna stawał im na przeszkodzie, by to ponownie wynaleźli.

System łączności, który dawał możliwość natychmiastowej i bezpośredniej rozmowy z osobą w dowolnym mieście na świecie.

Maszyny, które mogły odbierać dzieła sztuki, utwory sceniczne i literaturę przekazywane na falach eteru, nie tylko z biblioteki do biblioteki, lecz prosto do domów.

Maszyny, które poruszały się sprawnie po ziemi bez koni.

Maszyny, które latały. Nie tylko w powietrzu, lecz także w przestrzeni kosmicznej.

Oczywiście, musiały być maszyny podróżujące w przestrzeni, bo jak przybylibyśmy z Ziemi na Harmonię? - pomyślał Nafai. Ale dopóki nie przezwyciężył swojej awersji, nigdy nie przyszło mu to do głowy.

I broń wojskowa. Materiały wybuchowe. Pociski. Niektóre tak małe, że mieściły się w dłoni. Inne tak straszliwe, że można nimi było zniszczyć całe miasta, a także spalić planetę, gdyby użyć stu naraz. Choroby wywołujące mutacje. Gazy trujące. Środki powodujące trzęsieniami. Pociski rakietowe. Platformy orbitalne do wystrzeliwania rakiet. Wirusy niszczące geny.

Obraz, który się wyłonił, był zarazem piękny i straszny.

- Rozumiem, dlaczego Naddusza nam to robi - powiedział Nafai. - Żeby nas ochronić przed tą bronią. Ale koszty, Issya! Straciliśmy wolność.

Issib skinął głową.

-Naddusza coś nam pozostawił. Umiejętność uzyskiwania energii ze słońca, komputery biblioteki, chłodzenie. Wszystkie pomoce kuchenne, inspekty. Pole magnetyczne, dzięki któremu działają moje lewitery. I mamjilkla typów wymyślnej broni ręcznej. Woltażety. Pulsatory. Żebyduzi, silni ludzie nie mieli przewagi nad mniejszymi, słabszymi. Naddusza mógłby nas tego pozbawić. Pozostawić nam kamień i metalowe narzędzia. Przedmioty bez części ruchomych. Ogrzewanie metodą spalania drewna.

-Wtedy nie bylibyśmy nawet ludźmi.

-Ludzie to ludzie - stwierdził Issib. - Darem Nadduszy jest to, że jesteśmy cywilizowani Cywilizacja bez autodestrukcji.

Kiedyś próbowali to wyjiśnić matce, ale bez rezultatu. Głupia, nie potrafiła zrozumieć, o czym mówią, i na odchodnym zażartowała wesoło, jakie to miłe, że mogą być przyjaciółmi i razem się bawić pomimo dzielącej ich różnicy wieku. Nie mieli okazji porozmawiać z ojcem.

Ale był ktoś, kto się nimizainteresował.

- Dlaczego już nie przychodzisz na lekcje? - zapytała Hushidh.

Usiadła na tarasie obokHafaia i zaczęła jeść chleb z serem.

Ugryzła duży kęs, nie dziobała jedzenia tak jak Eiadh. Matka nauczyła wszystkie swoje ucennice otwierać szeroko usta przy jedzeniu, a nie gryźć nienaturalne małe kęsy, które były ostatnio w modzie wśród młodych koliet z Basiliki. Nafaiowi nie musiało podobać się posłuszeństwo lushidh wobec matki.

- Prowadzę pewne badania z Issibem.

- Inni uczniowie mówią, że się ukrywasz - powiedziała Hushidh.

Ukrywasz się. Ponieważ o ojcu plotkuje całe miasto.

-Nie wstydzę się mojego ojca.

-Naturalnie. To oni mówią, że się ukrywasz. Ja tak nie mówię.

-A twoim zdaniem co robię? A może Naddusza ci powiedział?

-Jestem więzostruktorką, a nie wieszczką - wyjaśniła.

-Prawda. Zapomniałem.

Jak gdyby miał pamiętać, jakiego rodzaju jest czarownicą.

- Naddusza nie musi mi mówić, co zamierzasz.

-Bo sama to widzisz.

Skinęła głowę.

-Jesteś bardzo dzielny. Spojrzał na

nią ze zdumieniem.

-Ja tylko siedzę z Issibem w bibliotece.

- Zamierzasz przyłączyć się do najsłabszej ze skłóconych partii w Basilice. Jest jednak najlepszą z nich. Tą, która powin na zwyciężyć, chociaż nikt nie umie sobie wyobrazić, w jaki sposób.

-Nie należę do żadnej partii.

Skinęła głowę.

-Przestane mówić, jeśli nie chcesz usłyszeć prawdy. Aha, zamierzała być źródłem nieodpartej mądrości!

- Posłucham nawet pierdzenia świni, jeżeli będzie głosić prawdę - burknął Nafai.

Hushidh natychmiast wstała i odeszła. To było naprawdę głupie, złażał się Nafai. Ona próbuje pomóc, a ja stroję sobie głupie żarty.

Wstał i poszedł za nią.

- Przepraszam - powiedział.

Wzruszyła ramionami i szła dalej.

-Takie żarty mam we krwi - tłumaczył się Nafai. - To zły nawyk, ale nie mówiłem poważnie. Przecież teraz już wiem, że Naddusza istnieje naprawdę.

-Wiem, że wiesz - powiedziała oziębło. - Ale to oczywiste, że wiedza o istnieniu Nadduszy nie oznacza, iż człowiek automatycznie staje się mądry, życzliwy czy choćby przyzwoity.

-Zasługuję na to i na trzy następne złośliwości, które przyjdą ci na myśl.

Okrażył dziewczynę, by stanąć naprzeciw niej. Tym razem nie odwróciła się do niego plecami.

-Widzę schematy - powiedziała. - Widzę, jak wszystko pasuje do siebie. Widzę, gdzie ty zaczynasz pasować. Ty i Issib.

-Ostatnio nie śledziłem wydarzeń w mieście. Byłem zajęty badaniami. Nie wiem, co się dzieje.

-To cię wyczerpuje - oświadczyła.

-Tak - przyznał Nafai. - Chyba tak.

-Gaballufix jest przywódcą jednej partii. To najsilniejsze ugrupowanie, z wielu powodów. Już nie chodzi im tylko o wozy wojenne czy nawet sojusz z Potokgavanem. Chodzi im o mężczyzn. Zwłaszcza mężczyzn spoza miasta. Gaballufix ma wielu stronników i jest silny również dlatego, że jego ludzie pokazują, na co ich stać, używając przemocy.

Nafai cofnął się pamięcią do rozmów podsłuchanych w trakcie posiłków. O tołczokach, ludziach, którzy bez powodu przewracali kobiety na ulicy.

-Czy jego ludzie są tołczokami?

-On sam zaprzecza. Właściwie twierdzi, że wysyła swoich żołnierzy na ulice Basiliki po to, aby ochraniać kobiety przed tołczokami.

-Żołnierzy?

-Oficjalnie się ich nazywa gwardią klanu Palwashantu. Ale odpowiadają przed Gaballufixem, a rada klanu nie miała możliwości zebrać się w celu omówienia sposobu wykorzystania tej gwardii. Należysz do klanu Palwashantu, prawda?

-Jestem jeszcze za młody do gwardii.

-Właściwie już nie są gwardią - powiedziała Hushidh. - Bardzo niewielu jest prawdziwych członków klanu Palwashantu. To głównie najemnicy spoza miasta. Gaballufix ich opłaca. I opłacił też tołczoków.

-Skąd ty to wiesz?

- Odebrałam silny bodziec. Widziałam żołnierzy. Wiem, jak do siebie pasują.

Kolejne czary. Ale jak mógł w to wątpić? Czy sam nie czuł wpływu Nadduszy za każdym razem, kiedy myślał o zakazanych słowach? Spocił się na samą myśl o tym, co przeszedł w ciągu minionego tygodnia. Zatem dlaczego by Hushidh nie mogła

zwyczajnie tylko spojrzeć na żołnierza lub na tolczoka i wiedzieć o nich różnych rzeczy? Dlaczego wielbłądy nie mogłyby latać? Teraz wszystko było możliwe.

Tylko że wpływ Nadduszy słabł. Czyż Nafai i Issib nie złamali jego siły, aby móc myśleć o zakazanych rzeczach?

-I wiesz, że ja do nich nie należę.

-Ale twoi bracia tak.

-Do tolczoków?

-Są z Gaballufixem. Oczywiście nie Issib. Ale Elemak i Mebekew.

-Skąd ich znasz? Nigdy tu nie przychodzą, nie są synami matki.

-Elemak pojawił się tu kilka razy w tym tygodniu - wyjaśniła Hushidh. - Nie wiedziałeś?

-Po co by tu przychodził? - zapytał, choć od razu wiedział. Sam nie potrafiłby wpaść na tę myśl, lecz wiedział dokładnie, po co Elemak przychodził do domu Rasy. Reputacja matki zaliczała się do najlepszych; wielu zalecało się do jej siostrzenic, a Elemak był dojrzały - właściwie już dawno osiągnął dojrzałość - i nadawał się do poważnego partnerstwa mającego na celu splodzenie spadkobiercy.

Nafai rozejrzał się po dziedzińcu, gdzie wiele dziewcząt i kilku chłopców jadło kolację. Wszyscy uczniowie z zewnątrz już poszli, a młodsze dzieci jadły wcześniej. Tak więc większość tych dziewcząt nadawała się do partnerstwa, włącznie z siostrzenicami Rasy, gdyby je zwolniła. Do której zalecałby się Elemak?

-Eiadh - szepnął Nafai.

-Możliwe - potwierdziła Hushidh. - Wiem, że nie chodzi o mnie.

Nafai spojrzał na nią z zaskoczeniem. Oczywiście, że nie o nią. Chwilę później poczuł się zakłopotany; czy wiedziała, jak absurdalne mu się wydawało, że jego brat mógłby pożądać jej?

Ale Hushidh mówiła dalej, jakby nie dostrzegła jego milczącej zniewagi. Z pewnością była nieświadoma, jaki ból mogła sprawiać Nafaiowi myśl o zabiegach Elyi o względy Eiadh.

- Kiedy twój brat tu przyszedł, od razu wiedziałam, że jest w bardzo bliskich stosunkach z Gaballufixem. Na pewno ciocia

Rasa bardzo się tym smuci, ponieważ wie, że Eiadh go przyjmie. Twój brat cieszy się dużym prestiżem.

- Nawet pomimo skandalu wywołanego wizjami ojca?

- On trzyma z Gaballufixem, wokół którego utworzyło się Stronnictwo Mężczyzn. Im gorsza jest sytuacja twojego ojca, tym życzliwiej zwolennicy Gaballufixa traktują Elemaka. Bo gdyby coś się stało twojemu ojcu, Elemak byłby człowiekiem bardzo bogatym i wpływowym.

Jej słowa ponownie obudziły najgorsze obawy Nafaia przed zamiarami Elemaka. To była myśl potworna i nieznośna.

- Gaballufix chce, aby Elya wpłynął na ojca, i to wszystko.

Hushidh skinęła głową. Ale czy zrobiła to na znak potwierdzenia, czy chciała go po prostu uciszyć, aby dokończyć swą wypowiedź?

- Drugą silną partię tworzą ludzie Roptata - wyjaśniała dalej. - Teraz nazywają się Stronnictwem Kobiet, choć na ich czele też stoi mężczyzna. Chcą sprzymierzyć się z Gorayni, a także pozbawić prawa głosu wszystkich mężczyzn oprócz tych, którzy mają obecnie partnerki będące obywatelkami Basiliki, i żądają, aby wszyscy mężczyźni bez partnerek codziennie opuszczali miasto na noc. Takie jest ich rozwiązanie problemu toczeków - a także kwestii Gaballufixa. Mają duże poparcie kobiet i mężczyzn posiadających partnerki.

- Czy ojciec stoi po stronie tej grupy?

- Tak myślą wszyscy członkowie Stronnictwa Mężczyzn, ale ludzie Roptata nie mają złudzeń.

- Jakie jest zatem trzecie ugrupowanie?

- Nazywają się Sojuszem Miejskim, ale w rzeczywistości są Przymierzem Nadduszy. Nie chcą się bratać z żadnym wojującym narodem. Pragną powrotu do starych zwyczajów, aby ochronić jezioro. Chcą, aby Basilika nie mieszała się w spory i politykę. Chcą rozdać wielkie bogactwa miastu i wieść proste życie, aby żaden inny naród nie miał na nas zakusów.

- Nikt się na to nie zgodzi.

- Mylisz się. Wielu się zgadza. Twój ojciec i ciocia Rasa zjednali sobie prawie wszystkie kobiety z dzielnic przyjeziornych.

- W Rozpadlinie mieszka zaledwie garstka ludzi.

- Mają jedną trzecią głosów w radzie.

Nafai zastanawiał się nad tym przez chwilę.

-Sądzę, że jest to dla nich bardzo niebezpieczne - powiedział.

-Dlaczego tak uważasz?

-Ponieważ mogą się podeprzeć jedynie tradycją. Im bardziej stanowczo Gaballufix będzie występował przeciw tradycji, im bardziej będzie straszył tołczokami i żołnierzami, tym głośniejsze będą się domagać jakiegoś działania. Postępowanie ojca i matki tylko uniemożliwia uzyskanie przez kogokolwiek większości w radzie. Moi rodzice uniemożliwiają Roptatowi powstrzymanie Gaballufixa.

-Bardzo dobrze się na tym znasz. - Hushidh się uśmiechnęła.

-Polityki uczę się najwięcej.

-Dostrzegłeś niebezpieczeństwo. Nie powiedziałeś mi tylko, jak wybrniemy z tej trudnej sytuacji.

-My?

-Basilika.

-Nie. Powiedziałeś, że wiesz, do której partii należę.

-Oczywiście trzymasz stronę Nadduszy.

-Wcale tego nie wiesz. Nawet ja tego nie wiem. Nie jestem pewien, czy podoba mi się to, w jaki sposób Naddusza nami manipuluje.

Hushidh pokręciła głową.

-W umyśle możesz jeszcze długo nie podjąć tej decyzji, ale w twoim sercu już ona zapadła. Nie akceptujesz Gaballufixa. I czujesz sympatię do Nadduszy.

-Nie masz racji - rzekł Nafai. - To znaczy tak, czuję sympatię do Nadduszy. Tak jak Issib. Pomimo wszystkich sekretnych manipulacji Nadduszy umysłami ludzi uważam, że odtrącenie go jest jeszcze bardziej niebezpieczne. Ale to nie znaczy, że chciałbym pozostawić przyszłe losy Basiliki w rękach znikomej liczby szalonych fanatyczek religijnych, które mieszkają w Rozpadlinie i nagminnie doznają wizji.

-To my mamy bliski kontakt z Nadduszą.

-On jest w mózgach ludzi na całym świecie - powiedział Nafai.

-Już bliższego kontaktu nie można mieć.

-Naddusza nie jest w mózgach ludzi na całym świecie, bo gdyby tak było, ludzie nigdy nie wplątywaliby innych narodów w wojnę.

Nafai zastanawiał się, czy Hushidh też odkryła, jak Naddusza do niedawna zapobiegał wynalezieniu wozów wojennych. A potem uświadomił sobie, że ona miała oczywiście na myśli uchwałę siódmą: „Nie będziesz wdawać się w spory z sąsiadką sąsiadki twojej sąsiadki; gdy ona będzie się kłócić, pozostań w domu i zamknij swoje okno”. Od dawna interpretowano ten akt prawodawczy jako zakaz zawierania sojuszów i mieszania się w spory z krajami tak odległymi, że wynik nie czynił danemu państwu żadnej różnicy. Nafai i Issib znali cel i źródło takiego prawa oraz sposób, w jaki Naddusza egzekwował je w umysłach ludzi. Hushidh jednak była przekonana, że dzięki temu prawu nigdy nie doszło do żadnej wojny imperialnej w ciągu tych wszystkich tysiącleci. Nieważne, że wiele narodów próbowało tworzyć imperia i przeszkodził im tylko brak odpowiednich środków transportu i łączności.

-Nie jestem z wami - oświadczył Nafai. - Nie można cofnąć czasu.

-Jeśli nie można, to już po nas - stwierdziła Hushidh.

-Być może. Jeżeli zwycięży Roptat, to po przybyciu floty Potoku ich armia wejdzie na wyżynę i zniszczy nas, zanim Mokrogłowi zdążą tu dotrzeć. A jeżeli zwycięży Gaballufix, to gdy Mokrogłowi w końcu tu przybędą, najpierw zniszczą Potoku, a potem sami wejdą na wyżynę i zabiją nas w odwecie.

-Widzisz więc, że jesteś z nami - powiedziała Hushidh.

-Nie. Jeśli bowiem za sprawą Sojuszu Miejskiego sytuacja utknie w martwym punkcie, to albo Gaballufix, albo Roptat straci cierpliwość i ludzie zaczną ginąć. Wtedy nie będzie musiał nas zabijać nikt z zewnątrz. Sami to zrobimy. Jak długo według ciebie kobiety będą rządzić w tym mieście, jeśli dojdzie do wojny domowej między dwoma ludźmi dysponującymi wielką potęgą?

Hushidh spojrzała w pustą przestrzeń.

- Tak sądzisz? - zapytała.

-Może nie jestem więzostroktorem, ale sporo czytałem o historii.

-Od tylu stuleci Basilika jest miastem kobiet, miejscem, w którym panuje pokój.

-Nie powinniście być nigdy dawać mężczyznom prawa głosu.

-Mają je od miliona lat.

Nafai skinął głową.

- Wiem. Winę za obecną sytuację ponosi Naddusza.

Teraz widział, że Hushidh nie patrzy na nic konkretnego, ponieważ w oczach miała łzy.

- Ona umiera, prawda?

Nie przyszło mu nigdy do głowy, że ktoś może mieć do tego taki osobisty stosunek. Jak gdyby Naddusza był kochanym krewnym. Ale w wypadku kogoś takiego jak Hushidh może tak właśnie sprawa się przedstawiała. Poza tym dziewczynka była córką dzikuski, świętej kobiety. Choć wszyscy wiedzieli, że dzieci dzikusów to owoc gwałtu lub przypadkowego spółkowania na ulicach miasta, nazywano je dziećmi Nadduszy. Może Hushidh naprawdę uważała Nadduszę za swojego ojca. Niemożliwe - kobiety mówiły o Nadduszy „ona”. A Hushidh wiedziała, że jej matką jest dzikuska.

Mimo to ledwie powstrzymywała łzy.

-Czego chcesz ode mnie? - spytał Nafai. - Nie wiem, do czego Naddusza zmierza. Sama powiedziałaś, że to twoja siostra jest wieszczką.

-Już od tygodnia Naddusza nie odzywa się do niej. I do nikogo innego.

Nafai się zdziwił.

-Nawet przy jeziorze?

-Wiedziałam, że przez cały ten tydzień mieliście bardzo bliski kontakt z Nadduszą. Nadwerężała wasze siły, tak jak to robi z Luet i czasami... ze mną. Coraz więcej kobiet wchodzi do wody, a jednak nie doznają żadnych wizji albo mają głupie sny. To je przeraża. Ale wyjaśniłam im, powiedziałam: Teraz Naddusza przekazuje bodźce Nafaiowi i Issibowi. Nie jest więc martwa. I poprosiły mnie... żebym się od ciebie dowiedziała.

-Czego?

W końcu łzy potoczyły się po jej policzkach.

- Nie wiem - odparła żalosnym tonem. - Co robić? Czego Naddusza od nas oczekuje?

Nafai dotknął jej ramienia, chciał ją pocieszyć. Był bezradny. Co jeszcze powinien zrobić?

- Nie mam pojęcia - powiedział. - Ale masz rację co do jednego: Naddusza opada z sił. Nadweręża własne siły. Mimo to

dziwię się, że przestał ukazywać wizje. Może doznał demencji. Może jest...

-Tak?

Pokręcił głową.

- Pozwól mi porozmawiać z Issibem, dobrze?

Otarła łzy.

- Tak, proszę - zgodziła się. - Ja nie mogłabym... rozmawiać z nim.

A czemuż to, u licha? Nie zapytał jednak o to. Za bardzo był zdeorientowany tym wszystkim, co mu powiedziała. Przez cały czas on i Issib myśleli, że ich badania są utrzymane w tajemnicy, a tu Hushidh rozpowiadała kobietom w Basilice, iż Naddusza jest w bliskim kontakcie z nimi dwoma! A jednak pomimo całej swojej wiedzy kobiety były beznadziejnie ciemne - skąd on i Issib mieli wiedzieć, dlaczego one przestały doznawać wizji?

Nafai poszedł prosto do biblioteki i powtórzył Issibowi wszystko, co zdołał zapamiętać ze swojej rozmowy z Hushidh.

- Myślę więc tak: a jeżeli Naddusza nie jest aż taki potężny? Jeżeli wizje ustały dlatego, że Naddusza nie potrafi równocześnie ukazywać ich i zajmować się nami?

Issib parsknął śmiechem.

-Daj spokój, Nyef, przecież nie jesteśmy pępkiem świata ani nic w tym guście.

-Mówię poważnie. Jaką moc musiałby wtedy posiadać Naddusza? Ludzie w większości są tacy ciemni, głupi lub słabi, że nawet gdyby pomyśleli o jednym z tych zakazanych tematów, i tak nie potrafiliby nic w tym względzie zrobić, więc po co ich pilnować? Oznacza to, że Naddusza musi kontrolować stosunkowo mało osób. A mając tak nielicznych do sprawdzenia i przeprowadzając sporadyczne kontrole, ma wiele czasu, by ich odciągać od niebezpiecznych przedsięwzięć. Ale teraz, kiedy zaczął słabnąć, mogłeś się uodpornić. To była walka wyłącznie między tobą a Nadduszą. I zwyciężyłeś, Issibie. Czy w trakcie tych zmagania Naddusza skoncentrował się tylko na tobie i nie ukazywał wizji nikomu innemu, nie kontrolował nikogo innego? Ale z drugiej strony patrząc, robiłeś postępy tak powoli, że Naddusza miał jeszcze czas, żeby zająć się innymi.

- Przecież teraz pracowaliśmy obaj - powiedział Issib.
- Musiał się na nas koncentrować nieustannie. A na dodatek przegrywa, słabnie jeszcze bardziej.
- Myślę więc, że nie pomagamy, tylko szkodzimy.
- Issib znów się roześmiał.
- To niemożliwe - oświadczył. - Mówimy o Nadduszy, a nie o jakiejś nauczycielce z gromadką niesfornych dzieci.
- Naddusza już raz zawiódł. Bo inaczej nie byłoby żadnych wozów wojennych.
- Więc co powinniśmy zrobić?
- Przerwać pracę - odrzekł Nafai. - Na jeden dzień. Nie zajmować się zakazanymi tematami. Przekonać się, czy ludzie znów zaczną doznawać wizji.
- Czy naprawdę uważasz, że zabieramy Nadduszy tyle czasu, że nie może ukazywać ludziom wizji? A gdy śpimy i jemy? Jest wiele przerw.
- Może go zdezorientowaliśmy. Może wpadł w panikę z naszego powodu, bo nie wie, co robić.
- To prawda - przyznał Issib. - Zatem nie wycofujmy się ot tak po prostu. Udzielmy Nadduszy rady, i już!
- I już? - zdziwił się Nafai. - Przecież stworzyli go ludzie, prawda?
- Tak sądzimy. Być może.
- Więc powiedzmy mu, żeby przestał martwić się, jak ma nas powstrzymać. To bezsensowne zadanie, niech przestanie tracić na to czas, bo nawet jeśli przyjdzie nam z łatwością myśleć o każdym zakazanym temacie na świecie, nie powiemy o tym nikomu, a i sami nie będziemy próbowali ich wyszukiwać. Prawda?
- Tak.
- Złóż więc przysięgę, Issibie. Ja też to zrobię. Przysięgam w tej chwili - słuchasz mnie, Nadduszo? - że nie jesteśmy twoimi wrogami, więc nie musisz już marnować czasu na nas. Wracaj i znów ukazuj wizje kobietom. I poświęcaj czas na powstrzymywanie niebezpiecznych ludzi. Na przykład Mokrogłowych. Gaballufixa. Roptata prawdopodobnie też. A jeśli nie możesz ich powstrzymać, to przynajmniej nam wyjaśnij, co robić, abyśmy to my mogli ich powstrzymać.
- Do kogo mówisz?

-Do Nadduszy.

-To naprawdę głupota.

-Przez całe życie Naddusza mówi nam, co mamy myśleć - powiedział Nafai. - Dlaczego jest głupotą podsunąć jemu taką czy inną myśl od czasu do czasu? Złóż przysięgę, Issya.

-Dobrze, przysięgam, składam uroczystą przysięgę. Słuchasz mnie, Nadduszo?

-Słucha - powiedział Nafai. - Tyle wiemy.

-Myślisz, że zrobi to, o czym mówimy? - zapytał Issib.

-Nie mam pojęcia. Ale wiem jedno. Niczego więcej już się nie dowiemy, przesiadując resztę dnia w bibliotece. Wyjdźmy stąd. Chodźmy na noc do domu ojca. Może wpadniemy na jakiś naprawdę dobry pomysł, a może ojciec będzie miał wizję. Albo zdarzy się coś innego.

Dopiero po południu, kiedy wychodził z domu matki, Nafai przypomniał sobie, że Elemak zaleca się do Eiadh. Nie miał prawa nienawidzić go za to. Nigdy nie pisał nikomu słowa o swoim uczuciu do niej, prawda? A mając czternaście lat, był o wiele za młody, aby traktować go poważnie jako ewentualnego legalnego partnera. Eiadh oczywiście była zainteresowana Elemakiem i pożałowała go. To wyjaśniało wszystko - dlaczego była taka miła dla Nafaia, a jednak nigdy nie zdradzała ochoty, żeby się do niego zbliżyć. Chciała zaskarbić sobie jego życzliwość, na wypadek gdyby miał jakiś wpływ na Elemaka. Ale nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że może dać kontrakt Nafaiowi. Przecież był jeszcze dzieckiem.

A potem przypomniał sobie, co Hushidh mówiła o Issibie. „Ja nie mogłabym rozmawiać z nim”. Bo jest kaleką? Mało prawdopodobne. Nie, Hushidh była nieśmiała wobec Issiba, ponieważ traktowała go jako ewentualnego partnera.

Nawet ja znam kobiety na tyle, by się tego domyślić, pomyślał Nafai. Hushidh jest w moim wieku i kiedy myśli o partnerstwie, rozpatruje kandydaturę mojego starszego brata. Ja dla jakiegokolwiek dziewczyny jestem atrakcyjny seksualnie niczym drzewo lub cegła. Eiadh jest starsza ode mnie - należy do najstarszych w mojej klasie, podczas gdy ja jestem jednym z najmłodszych. Jak mogłem pomyśleć...

Poczuł gorący rumieniec na policzkach, mimo że oprócz niego nikt nie wiedział o jego upokorzeniu.

Przemierzając ulice Basiliki, uprzytomnił sobie, że odkąd rozpoczął prace badawcze z Issibem, prawie nie wychodził z domu matki - tylko sporadycznie na krótki spacer po ulicy Deszczowej. Chyba z powodu tego, co mu powiedziała Hushidh, dostrzegł zmianę, jaka zaszła w mieście. Czy na ulicach było mniej ludzi? Być może - ale prawdziwa różnica polegała na tym, w jaki sposób się poruszali. Ludzie w Basilice często zmierzali do jakiegoś konkretnego celu, lecz zwykle nie pozwalali, aby ten cel czynił ich ślepy na to, co się dzieje wokół. Nawet ci, którzy się spieszyli, mogli na chwilę przystanąć lub przynajmniej się uśmiechnąć, kiedy przechodzili obok ulicznego grajka, kuglarza czy komika recytującego swoje kiczowate wierszydła. A wielu ludzi z przechadzki czerpało prawdziwą przyjemność, rozmawiając oczywiście z osobami, które im towarzyszyły, lecz również z obcymi na ulicy, jak gdyby wszyscy ludzie w Basilice byli sąsiadami lub nawet krewnymi.

Teraz było inaczej. Kiedy na tle słońca zarysowały się kontury zachodnich dachów i na ulicę padły ukośne cienie, ludzie zdawali się unikać światła słonecznego, jak gdyby mogło przypalić im skórę. Nikt na nikogo nie zwracał uwagi. Ulicznych grajków ignorowano i nawet ich muzyka wydawała się bardziej bojaźliwa, jakby byli gotowi w każdej chwili przerwać swoją pieśń przy pierwszej oznace czyjegoś niezadowolenia. Panowała cisza, prawie nikt nie rozmawiał.

Wkrótce wyjaśniło się dlaczego. Ulicą szedł oddział ośmiu ludzi z pulsatorami w rękę i woltażetami przy boku. Żołnierze, pomyślał Nafai. Ludzie Gaballufixa. Nie - oficjalnie byli gwardią klanu Palwashantu, lecz Nafai nie czuł się spokrewniony z nimi.

Nie rozglądali się na boki, jak gdyby mieli określoną misję. Ale Nafai i Issib od razu dostrzegli, że ulice opustoszały. Gdzie się podziali ludzie? Właściwie nie ukrywali się, lecz kilka minut minęło po przejściu żołnierzy, nim ludzie znów zaczęli się pojawiać. Umknęli do sklepów, udając, że mają tam coś do załatwienia. Niektórzy po prostu wybrali inną drogę, skręcając w boczne uliczki. Inni, podobnie jak Nafai i Issib, przystanęli, zamarli w miejscu.

Wcale nie odnosiło się wrażenia, że ludzie uważają obecność żołnierzy za czynnik, dzięki któremu w mieście jest bezpieczniej. Wprost przeciwnie, żołnierze napawali ich strachem.

-Basilika jest w kłopotcie - stwierdził Nafai.

-Basilika jest martwa - poprawił go Issib. - Nadal są tu ludzie, ale miasto bardzo się zmieniło.

Żołnierze przeszli w miejscu przecięcia się Skrzydłowej z Pszeniczną, zaledwie kilka kwartałów ulicznych od domu Gaballufixa. Bracia szli dalej Skrzydłową. Kiedy dotarli do Starego Miasta, na ulicach panowało większe ożywienie. Niemniej jednak widoczne były zmiany.

Na przykład ulica Źródlana została odblokowana. Należała do głównych arterii Basiliki, biegła najkrótszą drogą od Bramy Stożkowej przez Stare Miasto do skraju Rozpadliny. Jak to się często zdarzało w Basilice, jakaś przedsiębiorcza architektka doszła do wniosku, że ta pusta przestrzeń się marnuje, a mogą tam mieszkać ludzie. Pomiędzy skrzyżowaniami z ulicami Skrzydłową i Świątynną wzniesiono więc sześć budynków w poprzek ulicy.

Kiedy jakiś przedsiębiorca z Basiliki zaczynał budować, zagradzając ulicę, mogło się zdarzyć kilka rzeczy. Jeżeli ulica nie była zbyt ruchliwa, niewielu ludzi zgłaszało sprzeciw. Mogli krzyczeć, przeklinać, a nawet rzucać różnymi przedmiotami w budowniczych, lecz ponieważ robotnicy zaliczali się do krzepkich mężczyzn, opór był niewielki. Budynek rósł, a ludzie znajdowali inne drogi. Najbardziej cierpieli na tym właściciele domów i sklepów wychodzących frontem na zablokowaną ulicę. Musieli targować się z sąsiadami o prawo do korzystania z nowych przejść, które dawałyby im dostęp do ulicy - lub zabezpieczyć sobie to prawo siłą, jeśli sąsiad był słaby. Czasami musieli porzucać swoje nieruchomości. Tak czy inaczej nowe przejścia lub opuszczone posesje same z siebie stawały się arteriami. W końcu jakaś przedsiębiorcza dusza wykupywała kilka opustoszałych lub niszczących domów, których korytarze wykorzystywano w charakterze przejść, i wyburzała je, tworząc otwartą ulicę. W ten sposób powstawała nowa droga. Rada miejska nie ingerowała w ten proces - rozwój i zmiany w wyglądzie Basiliki przybrały właśnie taką formę i wydawało się bezsensownym, aby w mieście liczącym sobie dziesiątki milionów lat próbować powstrzymać bieg czasu i historii.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa, kiedy ktoś rozpoczynał budowę na uczęszczanej arterii, takiej jak Źródlana.

W takim wypadku odwagi dodawała przechodniom ich liczebność, a także oburzenie na myśl o utracie drogi, z której często korzystali. Kiedy więc mijali teren budowy, rozmyślnie sabotowali przedsięwzięcie, rozbierając postawione mury i kradnąc kamienie. Jeżeli osoba stawiająca dom była wpływowa, zdecydowana i miała wielu silnych robotników, łatwo mogła wybuchnąć burda, z drugiej jednak strony - równie łatwo mogło dojść do rozprawy, a w takim przypadku sąd zawsze orzekał o winie przedsiębiorcy, ponieważ budowanie na ulicy uważano za prowokację aż nadto wystarczającą do wszczęcia postępowania karnego.

Kobiecie stawiającej domy na Źródlanej nie brakowało sprytu. Zaprojektowała sześć budynków wspartych na łukach i droga nie była w ogóle zablokowana. Domy wznosiły się nad ulicą od wysokości pierwszego piętra, tym samym przechodnie, choć byli poirytowani, nie mieli dostatecznego powodu, aby dopuszczać się sabotażu na dużą skalę. Tak więc budowę ukończono na początku lata i do domów wprowadziło się kilku bardzo zamożnych ludzi.

Jak można się było jednak spodziewać, w sklepionych przejściach zrobiło się tłoczno od sprzedawców ulicznych i przedsiębiorczych właścicieli restauracji - organizatorka budowy z pewnością wiedziała, że tak się stanie. Prędkość ruchu zmalała do ślimaczego tempa i inni budowniczy zaczęli tu stawiać sklepy oraz stałe stragany, aż nie dalej jak kilka tygodni temu dotarcie ze Świątynnej na Skrzydlową ulicą Źródlaną stało się fizyczną niemożliwością - nowo powstałe przybudówki zatarasowały przejście. Kolejna ulica w Basilice przestała spełniać swoją funkcję, tylko że tym razem sprawa dotyczyła głównej arterii i wiązała się z dużą niedogodnością dla wielu ludzi. Korzyści czerpali jedynie przedsiębiorczy drobni sklepikarze oraz sprytna architektka; ludziom, którzy wykupili wewnętrzne budynki, było coraz trudniej docierać do schodów prowadzących do ich domów, a mieszkańcy starych budowli, które już nie wychodziły frontem na ulicę, przygotowywali się do ich porzucenia.

Kiedy Nafai i Issib szli teraz Źródlaną, zobaczyli, że ktoś na zablokowanym odcinku ulicy zburzył wszystkie małe przybudówki. Nowe domy nadal tam stały, wznosząc się łukiem ponad

ulicą, lecz przejście pod nimi pozostawało otwarte. A co ważniejsze, na obu końcach ulicy stali żołnierze. Znaczenie tego było wyraźne: zabrania się stawiania nowych straganów.

- Gaballufix nie jest głupcem - stwierdził Nafai.

Wiedział, o co Gaballufixowi chodziło. Ludziom nie podobał się widok żołnierzy maszerujących ulicami, gdyż stanowili zagrożenie przemocą i utratą wolności, ale odblokowanie ulicy Źródlanej mogło nastawić do nich pozytywniej.

Skrzydłowa w końcu zbiegała się ze Świątynną i Nafai z Issibem poszli tą ulicą, aż dotarli do pętli okalającej świątynię. Był to jedyny obiekt religijny mężczyzn w tym mieście kobiet, jedyne miejsce, gdzie uważano, iż Naddusza jest płci męskiej, i gdzie świętym płynem była krew, a nie woda. Nafai odruchowo zatrzymał się przy drzwiach północnych, choć nie przekroczył progu świątyni, odkąd ukończył osiem lat i jego napletek został skąpany w jego własnej krwi.

-Wejdźmy - zaproponował. Issib się wzdrygnął.

-Czuję głęboką nienawiść do tego miejsca.

- Gdyby stosowali środki znieczulające, dzieci częściej przychodziłyby tutaj na modlitwę - stwierdził Nafai.

Issib wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bezbolesna modlitwa. To jest pomysł. Może bezkrwawa modlitwa przyciągnęłaby też kobiety.

Weszli przez drzwi do zatęchłego, ciemnego przedsionka bez okien.

Choć świątynia miała idealny kształt koła, wewnętrzne pomieszczenia zaprojektowano tak, aby przypominały budowę serca: Prawy Przedsionek, Prawa Komora, Lewy Przedsionek, Lewa Komora. Kręte korytarze i małe pomieszczenia wzięły swoje nazwy od różnych żył i tętnic. Przed obrzezaniem chłopcy musieli nauczyć się nazw wszystkich pomieszczeń, lecz robili to przez zapamiętywanie pieśni, która była bez znaczenia dla większości uczących się jej dzieci. Niewiele więc mówiły nazwy na nadprożach i zwornikach. Issib z Nafaiem od razu się zgubili.

To było nieważne. Wszystkie przedsionki i korytarze prowadziły do centralnego dziedzińca, jedyne niezadaszonego miejsca, gdzie było jasno. Ponieważ słońce już prawie zaszło,

jego promienie nie padały bezpośrednio na kamienne płyty dziedzińca, ale po tak długim przebywaniu w ciemności nawet odbite światło słoneczne boleśnie oślepiało. Przy bramie zatrzymał ich kapłan.

- Modlitwa czy medytacja? - zapytał.

Issib znowu się wzdrygnął - był to spazmatyczny ruch, ponieważ lewitary potęgowały każde drgnięcie jego mięśni.

-Chyba zaczekam w Lewym Przedsionku.

-Nie bądź mięczakiem - powiedział Nafai. - Pomedytuj trochę, nic ci się nie stanie.

-To znaczy, że ty zamierzasz się modlić? - zapytał Issib.

-Chyba tak - odparł Nafai.

Prawdę mówiąc, Nafai nie był pewny, po co tu przyszedł. Wiedział tylko, że z każdym dniem jego związek z Nadduszą staje się coraz bardziej skomplikowany; rozumiał Nadduszę lepiej niż dotychczas i Nadduszą mieszał się teraz w jego życie, więc uznał, że musi nawiązać z nim wyraźny i bezpośredni kontakt, zamiast bawić się w niepewną zgadywanke. Nie wystarczyło odłożyć pracę badawczą związaną z zakazanymi słowami i mieć nadzieję, że Nadduszą zrozumie wskazówkę. Potrzeba było czegoś więcej.

Obserwował, jak kapłani nakłuwają palec Issiba i pocierają ręką o kamień krwi. Issib zniósł to dość dobrze - naprawdę nie był mięczakiem i doświadczył dosyć bólu w swoim życiu, by nie zważać na lekkie ułucie. Po prostu nie cierpiał rytuałów związanych z kultem mężczyzn. Nazywał to „krwawym sportem” i porównywał z walkami rekinów, które zawsze zaczynały się od puszczania krwi wszystkim rekinom w basenie. Gdy tylko czerwona plamka znalazła się na chropowatym kamieniu, Issib skierował się do wysokiej ławki przy ścianie, na którą światło słoneczne mogło jeszcze padać przez około pół godziny. Ławka była oczywiście zapelniona, ale Issib mógł unosić się w powietrzu obok niej.

- Pospiesz się - mruknął, mijając Nafaia.

Ponieważ Nafai przyszedł się pomodlić, kapłan nie zrobił mu nakłucia, lecz pozwolił sięgnąć do złotej misy z pierścieniami modlitewnymi. Misa była wypełniona silnym środkiem dezynfekującym, który spełniał podwójne zadanie: nie dopuszczał

do roznoszenia chorób i sprawiał, że każde uklucie bardzo bolało przez kilka długich chwil. Nafai zwykle brał tylko dwa pierścienie, po jednym na każdy palec środkowy, lecz tym razem czuł, że potrzebuje ich więcej. Choć nie miał pojęcia, o co będzie się modlić, chciał mieć pewność, że Naddusza zrozumie, z jaką powagą podchodzi do sprawy. Znalazł więc pierścienie modlitewne na wszystkie pięć palców obu rąk.

-Nie może być aż tak źle - powiedział kapłan.

-Nie przyszedłem, żeby się modlić o przebaczenie.

-Nie chcę, żebyś zemdłał w czasie mojej służby, mamy dzisiaj niedobór personelu.

-Nie zemdleję.

Nafai poszedł na środek dziedzińca, stanął obok fontanny. Woda w fontannie nie miała normalnego różowawego koloru - była prawie ciemnoczerwona. Dobrze pamiętał dreszczyk, który poczuł za pierwszym razem, kiedy uświadomił sobie, skąd bierze się kolor wody. Ojciec powiedział, że kiedy Basilika jest w wielkiej potrzebie - na przykład podczas suszy lub przy zagrożeniu ze strony wroga - w fontannie przelewa się prawie czysta krew, tyle jej jest. Było to dziwne i silne przeżycie, zsunąć sandały z nóg i zdjąć ubranie, a potem uklęknąć w kałuży ze świadomością, że ciepława ciecz bulgocząca wokół niego i sięgająca mu prawie do pasa, gdy siedział na piętach, jest gęsta od krwi ludzi modlących się żarliwie.

Długo trzymał przed sobą otwarte dłonie uzbrojone w kolczaste pierścienie, skupiając się, przygotowując do rozmowy z Nadduszą. Następnie uderzył się energicznie rękami w ramiona, tak jak podczas swoich porannych modlitw; tym razem jednak kolczaste pierścienie wbiły się głęboko w ciało i poczuł ostry ból. To był dobry, pełen werwy początek i Nafai usłyszał, jak kilku medytujących wzdycha lub mruczy. Wiedział, że usłyszeli odgłos jego uderzenia, dostrzegli jego dyscyplinę wewnętrzną, kiedy powstrzymał się od syknięcia z bólu, i szanują go za cnoty i żarliwość modlitwy.

Nadduszo, powiedział w duchu. Rozpocząłeś to wszystko. Pomimo swojej słabości postanowiłeś zaingerować w życie mojej rodziny. Masz jakiś plan. Czy nie czas, żebyś go nam wyjawiał?

Znów się uderzył, tym razem w delikatniejszą skórę na klatce piersiowej. Zabolało mocniej, krew spłynęła mu między prawie niewidzialnymi włoskami, które zaczęły tam wyrastać.

Skladam ci tę ofiarę, Nadduszo, ten ból, jeśli go potrzebujesz. Zrobię wszystko, co chcesz, ale w zamian oczekuję obietnicy. Oczekuję, że będziesz ochraniać mojego ojca. Oczekuję, że masz jakiś prawdziwy cel w swoim działaniu i że wyjawisz go ojcu. Oczekuję, że powstrzymasz moich braci od wmieszania się w jakieś straszne przestępstwo przeciwko miastu, a zwłaszcza od wplątania się w zbrodnię przeciw mojemu ojcu. Jeśli ochronisz ojca i uświadomisz nam, o co chodzi, wówczas zrobię wszystko co w mojej mocy, aby pomóc w realizacji twojego planu, ponieważ wiem, że celem, który ci zaprogramowano na początku, jest powstrzymanie ludzkości od zniszczenia siebie samej, i bez reszty poświęcę się służbie w tym celu. Jestem twój, dopóki będziesz postępować wobec nas uczciwie.

Uderzył się w brzuch; zabolało strasznie. Usłyszał, jak kilka osób pograżonych w medytacji komentuje to na głos i kapłan podszedł do niego. Nie przerywaj mi, pomyślał Nafai. Jeśli Naddusza mnie słyszy, chcę, by wiedział, iż mówię poważnie. Na tyle poważnie, aby pociąć się na kawałki w razie potrzeby. Nie dlatego, że myślę, iż to puszczanie krwi ma coś wspólnego ze świętością, ale dlatego, że pokazuje moją gotowość do posłuszeństwa, nawet kiedy wiąże się to z olbrzymim kosztem osobistym. Zrobię, co chcesz, Nadduszo, uwierz mi!

-Młody człowieku - szepnął kapłan.

-Spadaj - odszepnął Nafai.

Usłyszał oddalające się szuranie sandałów na kamiennej posadzce.

Uniósł ramiona i przeciągnął rękami po plecach. Głęboko rozorał skórę. Czy widzisz to, Nadduszo? Wiesz, co myślę i co czuję. Issib i ja pozostawiamy cię w spokoju, abyś mógł znów ukazywać ludziom wizje. Bierz się do pracy i opanuj sytuację. I zrobię wszystko, co chcesz. Naprawdę. Jeśli wytrzymam ten ból, to wiesz, że zniosę wszystko, co każesz mi wycierpieć. I wiedząc dokładnie, jak to boli, mogę to ponownie zrobić.

Znów rozorał skórę. Tym razem ból, kiedy nowe rany skrzyżowały się ze starymi, sprawił, że łzy napłynęły mu do oczu - ale nawet nie jęknął.

Dosyć. Albo Naddusza go usłyszał, albo nie.

Upadł w zakrwawioną wodę, oczy miał nadal zamknięte. Woda go zakryła, przez chwilę był całkowicie zanurzony. A potem woda wyniosła go na powierzchnię i poczuł chłodne, wieczorne powietrze na plecach i pośladkach.

Jeszcze chwila, rzekł do siebie. Wstrzymaj oddech jeszcze przez chwilę. Dłużej. Odrobinę dłużej. Zaczekaj na głos Nad-duszy. Wsłuchaj się w ciszę wody.

Ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Czuł tylko narastający ból ran.

Podniósł się i odwrócił w kierunku krawędzi fontanny, otwierając oczy po raz pierwszy od chwili, kiedy wszedł do basenu. Ktoś podał mu ręcznik, ktoś pomógł mu wyjść. Po osuszeniu oczu dostrzegł, że prawie wszyscy medytujący zebrali się teraz wokół niego, podając mu ręczniki i ubranie.

- Żarliwa modlitwa - szeptali. - Oby Naddusza cię usłyszał! Jaka cnota w tym młodzieńcu!

Obce ręce delikatnie muskały jego poranione plecy, energicznie wycierały ręcznikiem jego uda.

- To błogosławieństwo dla Basiliki, że w tej świątyni odbywa się taka modlitwa!

Ręce obcych ludzi nałożyły mu koszulę przez głowę i naciągnęły spodnie na nogi.

- Dumą może napawać ojca syn, który jest pobożny, a zarażem mężny.

Zawiazali jego sandały, a gdy zobaczyli, że rzemienie sięgają poniżej kolan, skinęli głowami i wymamrotali:

- Ten młodzieniec nie uległ głupiej modzie. Nosi robotnicze sandały.

I kiedy Nafai oddalał się z Issibem od fontanny, słyszał za sobą nieustanne szepty:

- Naddusza był tu z nami dzisiaj.

Przy drzwiach prowadzących do Lewej Komory Nafai został na chwilę zatrzymany przez osobę wchodzącą do środka. Ponieważ szedł z pochyloną głową, widział jedynie stopy

tego człowieka, a skoro koszulę miał splamioną krwią modlitwy, spodziewał się, że zagradzający mu drogę zrobi przejście, ale mężczyzna nie ustąpił.

- Meb - powiedział Issib.

Mebbekew? Nafai podniósł wzrok. Miał wrażenie, że w chwili olśnienia zobaczył całą osobowość brata. Meb nie wyglądał już ekscentrycznie, teraz ubrany był jak człowiek interesu, miał na sobie strój, który musiał sporo kosztować. Nafai jednak nie zważał na jego ubranie ani na to, skąd Meb wziął na nie pieniądze - teraz to nie było żadną tajemnicą. Patrząc na twarz brata, Nafai wiedział - po prostu wiedział, bez słów i bez wyraźnego powodu - że Mebbekew jest teraz człowiekiem Gaballufixa. Może poznał to po wyrazie jego twarzy: zamiast zawsze obecnego wesołego półśmiechu, iskry złośliwości w oczach, Meb wyglądał na człowieka poważnego, spełniającego ważną funkcję i trochę przerażonego - czym? Sobą, człowiekiem, którym się stawał. I człowiekiem, który miał nad nim władzę. Nic w jego wyrazie twarzy ani ubraniu nie świadczyło o związku z Gaballufixem, a jednak Nafai wiedział.

Właśnie tak to musi wyglądać w przypadku Hushidh, pomyślał. Dostrzeganie powiązań między ludźmi. Bez powodu, ale i bez wątpliwości.

-O co się modliłeś? - zapytał Mebbekew.

-O ciebie - odrzekł Nafai.

Niewytłumaczalne łzy napłynęły do oczu Mebbekewa, lecz jego głos i twarz nie chciały zdradzić, jakie uczucia je wywołały.

-Módl się o siebie. I o to miasto.

-I o ojca - dodał Nafai.

Oczy Mebbekewa rozszerzyły się zaledwie odrobinę, lecz Nafai wiedział, że trafił w czułe miejsce.

- Na bok - odezwał się cichy, lecz gniewny głos za nim. Może był to jeden z medytrujących ludzi. W każdym razie obcy. - Przejście dla młodzieńca, który się żarliwie modlił.

Mebbekew cofnął się w cień wnętrza świątyni. Nafai przeszedł obok niego i dołączył do Issiba, który czekał na korytarzu.

- Po co Meb tu przychodzi? - zapytał Issib, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu.

-Może czegoś nie można zrobić bez uprzedniej rozmowy z Nadduszą - odparł Nafai.

-A może doszedł do wniosku, że warto pokazać ludziom swą pobożność. - Issib zaśmiał się krótko. - Wiesz, on jest aktorem i chyba ktoś mu dał nowy kostium. Ciekaw jestem, jaką nasz brat zagra rolę.

Ostrzeżenie

Kiedy Nafai i Issib wrócili do domu, Truzhnisha jeszcze tam była. Spędziła dzień na gotowaniu, uzupełniając jedzenie w zamrażarce. Nie było jednak niczego ciepłego i świeżego na wieczorny posiłek. Ojciec nie pozwalał, aby gospodyni dogadzała jego synom.

Truzhnisha oczywiście od razu zobaczyła niezadowolenie Nafaia.

-Skąd miałam wiedzieć, że przyjdziecie dziś do domu na kolację?

-Czasami przychodzimy.

-Biorę pieniądze waszego ojca, kupuję i przygotowuję żywność tak, abyście zjedli ją na ciepło i póki jest świeża, a okazuje się, że nikt nie przychodzi do domu. Tak się przeważnie dzieje. Potem jedzenie nie jest już takie dobre, bo do zamrażania przygotowuję je inaczej.

-Tak, wszystko zbyt długo gotujesz - powiedział Issib.

-Musi być dostatecznie miękkie dla twoich słabych szczęk - odcięła się.

Issib warknął na nią - gardłowo, jak pies. Zawsze tak droczyli się ze sobą. Tylko Truzhya mogła w przekomarzaniu wyolbrzymiać jego kalectwo; jedynie w obecności Truzhyi Issib pozwalał sobie na odburknięcie lub warknięcie, kpiąc z męskiej siły, która pozostanie dla niego nieosiągalna.

-Tak czy owak, twoje mrożonki są w porządku - oświadczył Nafai.

-Dziękuję.

Przesada w tonie uświadomiła mu, że ją uraził. A to miał być naprawdę komplement. Dlaczego ludzie myśleli, że Nafai mówi z sarkazmem lub chce znieważyć, kiedy on po prostu starał się być miły? Gdzieś po drodze naprawdę będzie musiał się dowiedzieć, co w jego sposobie mówienia daje innym ludziom przekonanie, że próbuje ich obrazić.

-Wasz ojciec jest w stajni, ale chce z wami porozmawiać.

-Z każdym osobno? - spytał Issib.

-Skąd mam wiedzieć? Czy mam was ustawić w szeregu za jego drzwiami?

-Tak, zrobiłabyś to - odrzekł Issib, a potem klapnął zębami w jej kierunku jak pies, który chce ugryźć - gdybyś nie była taką nic niewartą starą kozą.

- Uważaj, kogo nazywasz nic niewartym! - Roześmiała się.

Nafai obserwował to z lękiem pełnym podziwu. Issib mógł autentycznie ją znieważać, a Truzhnisha traktowała to jak zabawę. On pochwalił ją za gotowanie, a wzięła to za obelgę. Powinienem przenieść się na pustynię i zostać dzikusem, pomyślał. Oczywiście, tylko kobiety mogły być dzikusami, chronionymi przed krzywdą zarówno przez prawo, jak i zwyczaj. Właściwie na pustyni dzikuska była traktowana lepiej niż w mieście - mieszkańcy pustyni nie podnieśliby ręki na święte kobiety, a kiedy je spotykali, dawali wodę i jedzenie. Mężczyzna mieszkający na pustyni prawdopodobnie zostałby obrabowany i zabity w ciągu jednego dnia. Nie mam zielonego pojęcia, jak przeżyć na pustyni, myślał Nafai. Ojciec i Elemak zabierają ze sobą wiele zapasów. Bez zapasów zginęliby na pustyni tak szybko jak ja. Różnica polega na tym, że śmierć przyjmowaliby ze zdziwieniem, ponieważ wydaje im się, że wiedzą, jak tam przeżyć.

-Śpisz? - zapytał Issib.

-Co? Nie, rzecz jasna nie.

- Więc może wolisz, żeby jedzenie postawić ci jak pieskowi na podłodze?

Nafai zorientował się, że Truzhya podsunęła mu pełny talerz.

- Dziękuję - powiedział.

-Podawać tobie jedzenie, to jakby je zostawiać na grobie twoich przodków - stwierdziła.

-Oni nie dziękują - zauważył Nafai.

-O, podziękował - mruknęła.

-A co mam powiedzieć? - zaperzył się Nafai.

-Po prostu jedz - wtrącił Issib.

-Chcę wiedzieć, co było złego w moim podziękowaniu!

-Ona żartowała - wyjaśnił Issib. - Droczyła się z tobą. Nie masz za grosz poczucia humoru, Nyef.

Nafai ugryzł kęs i żuł jedzenie ze złością. A więc żartowała. Skąd miał to wiedzieć?

Otworzyła się brama. Usłyszeli szuranie sandałów, a potem szybko następujące po sobie otwarcie i zamknięcie drzwi. To ojciec, tylko on mógł dojść do swojego pokoju bez pojawienia się w drzwiach kuchni. Nafai zaczął wstawać.

-Najpierw skończ kolację - powstrzymał go Issib.

-Nie mówił, że to pilna sprawa - dodała Truzhnisha.

-Nie mówił, że to nie jest pilna sprawa - odrzekł Nafai i wyszedł z kuchni.

- Powiedz mu, że zaraz przyjdę! - zawołał za nim Issib.

Nafai wyszedł na podwórze, przeszedł obok bramy i wkroczył do pokoju gościnnego ojca. Nie było go tam. Siedział w bibliotece, mając na monitorze komputera przed sobą wyświetloną książkę, którą Nafai od razu rozpoznał. Był to Testament Nadduszy, chyba najstarsze święte pismo pochodzące z czasów tak dawnych, że według podań mężczyźni i kobiety wyznawali wtedy tę samą religię.

-„Przychodzi do ciebie w mrokach snu”. - Nafai odczytał na głos pierwszą linię tekstu na ekranie.

-„Słyszysz jej szept w obawach swego serca” - odpowiedział ojciec.

-„Widzisz jej mądrość w jasnej świadomości swoich oczu i w mroku swojej niewiedzy” - ciągnął Nafai.

-„Tylko w jej ciszy jesteś sam. Tylko w jej ciszy jesteś w błędzie. Tylko w jej ciszy powinieneś rozpaczać”. - Ojciec weschnął. - To wszystko tu jest, prawda?

-Naddusza nie jest ani mężczyzną, ani kobietą - powiedział Nafai.

- Tak, oczywiście, ty wiesz dokładnie, czym jest Naddusza. Ojciec mówił z takim znużeniem, że Nafai doszedł do wniosku, iż nie warto dziś prowadzić z nim sporów teologicznych.

-Chciałeś się ze mną zobaczyć.

-Z tobą i z Issibem.

-Zaraz tu przyjdzie.

Jak na zawołanie, Issib wsunął się przez drzwi, jedząc jeszcze chleb z serem.

-Dziękuję za wnoszenie okruchów chleba do mojej biblioteki - rzekł ojciec.

-Przepraszam. - Issib odwrócił się do wyjścia.

-Wracaj! Gwiżdżę na okruchy.

Issib wrócił.

-W Basilice gadają o was.

Nafai i Issib wymienili spojrzenia.

-My tylko prowadzimy badania w bibliotece.

-Kobiety mówią, że Naddusza nie rozmawia z nikim oprócz was.

-Nie przekazuje nam żadnych jasnych informacji - powiedział Nafai.

-Monopolizujemy jego uwagę głównie przez to, że stymulujemy jego odruchy awersji - dodał Issib.

-Hm... - Ojciec się zamyślił.

-Ale przestaliśmy to robić - wyjaśnił Issib. - Dlatego przyszliśmy do domu.

-Nie chcieliśmy mu przeszkadzać - dodał Nafai.

-Jednak w drodze powrotnej Nafai poszedł się pomodlić. To było dość imponujące.

Ojciec westchnął.

-Nafaiu, jeżeli nauczyłeś się czegokolwiek ode mnie, to wiesz, że ranienie się i wykrwawianie nie ma nic wspólnego z modlitwą do Nadduszy.

-Zgadza się - odrzekł Nafai. - I to mówi człowiek, który ni stąd, ni zowąd wraca do domu z wizją ognia na głazie. Myślałem, że teraz wszystkie metody są dozwolone.

-Ja doznałem wizji bez wykrwawiania się. Ale mniejsza o to. Miałem nadzieję, że otrzymaliście od Nadduszy jakąś wskazówkę, która by mi pomogła.

Nafai pokręcił głową.

-Nie - odparł Issib. - Naddusza przeważnie wywoływał u nas ośpienie umysłu. Próbował powstrzymać nas od myślenia o zakazanych rzeczach.

-Cóż, więc jestem zdany na siebie - westchnął ojciec.

-W związku z czym? - zapytał Issib.

-Elemak przekazał mi dziś wiadomość od Gaballufixa. Wydaje się, że Gaballufix jest zaniepokojony obecną sytuacją w Basilice. Gdyby wiedział, że ta sprawa z wozami wojennymi doprowadzi do takich kontrowersji, nigdy by jej nie rozpoczynał. Powiedział, że chce, abym zorganizował mu spotkanie z Ropta-tem. Pragnie teraz znaleźć sposób na wycofanie się bez utraty twarzy. Mówi, że Roptat musi się również wycofać.

-Zorganizowałeś więc spotkanie z Roptatem?

-Tak - odparł ojciec. - O świcie, w chłodni na wschód od Bramy Targowej.

-Mam wrażenie, że Gaballufix zaczął myśleć tak jak Sojusz Miejski - oznajmił Nafai.

-Można odnieść takie wrażenie - powiedział ojciec.

-Ale ty mu nie dowierzasz - domyślił się Issib.

-Sam nie wiem. Jego postawa jest rozsądna, mądra. Ale czy Gaballufix kiedykolwiek zachowywał się rozsądnie czy mądrze? Przez cały czas, odkąd go znam, nawet kiedy był młody, zanim sobie intrygami zapewnił pozycję przywódcy klanu, nie zrobił nic, co nie miałoby na celu wyniesienie go nad innych ludzi. Zawsze są dwie metody, aby to osiągnąć - albo dokonać wielkich czynów, albo pognębić rywali. Jak przez te wszystkie lata widziałem, Gaballufix zdecydowanie woli tę drugą metodę.

- Uważasz więc, że Gaballufix chce cię wykorzystać - wywnioskował Nafai - żeby się dobrać do Roptata.

-Chce zdradzić i zniszczyć Roptata. I w końcu sam zobaczę, w jaki sposób mnie wykorzystał w swych planach. Już nieraz byłem tego świadkiem.

-Dlaczego więc mu pomagasz? - spytał Issib.

-Bo zawsze jest szansa, że jego zamiary są szczerze. Jeśli odmówię mediacji między nimi, to ja zostanę obarczony winą za pogorszenie sytuacji w Basilice. Muszę więc przyjąć jego propozycję za dobrą monetę, prawda?

- Człowiek powinien robić wszystko, co w jego mocy. - Nafai powtórzył ulubioną sentencję ojca zasłyszaną w wielu poprzednich rozmowach.
- Miej oczy otwarte - rzekł Issib, przypominając kolejną dewizę ojca.
- Tak - potwierdził ojciec. - Tak zrobię. Issib skinął głową z miną mędrca.
- Czy mogę rano iść z tobą? - zapytał Nafai. -Nie.
- Może dostrzegę coś, co ty przeoczysz - przekonywał Nafai.
- Na przykład w czasie rozmowy mogę patrzeć na pozostałych uczestników i obserwować ich reakcje. Naprawdę mógłbym się okazać pomocny.
- Nie. Nie będę wiarygodnym mediatorem, jeśli przyprowadzę postronne osoby.
- Ale Nafai wiedział, że to nieprawda.
- Myślę, że boisz się, iż zdarzy się coś niedobrego, i nie chcesz, abym tam był.
- Ojciec wzruszył ramionami.
- Mam różne obawy. Przecież jestem ojcem.
- Ale ja się nie boję, ojcze.
- Jesteś zatem głupszy, niż myślałem. Teraz obaj idźcie spać.
- Jest jeszcze za wcześnie - powiedział Issib.
- No to nie śpijcie.
- Ojciec odwrócił się do komputera. Był to wyraźny znak, że mają odejść, lecz Nafai nie mógł się powstrzymać od zadania mu pytania.
- Jeżeli Naddusza nie rozmawia z tobą bezpośrednio, ojcze, to dlaczego masz nadzieję, że znajdziesz jakąś pomoc w tych starożytnych, martwych słowach?
- Ojciec westchnął i nic nie odpowiedział.
- Pozwól ojcu rozmyślać w spokoju - odezwał się Issib.
- Chłopcy wyszli z biblioteki.
- Dlaczego nikt nie chce odpowiadać na moje pytania?
- zachnął się Nafai.
- Bo nigdy nie przestajesz ich zadawać. A zadajesz je nawet wtedy, gdy wiadomo, że nikt nie zna odpowiedzi.

-Skąd mam wiedzieć, że nikt nie zna odpowiedzi, dopóki nie zapytam?

-Idź do swojego pokoju i pomyśl o czymś zbereźnym - odparł Issib. - Cemu nie możesz zachowywać się jak normalny czternastolatek?

-Dobrze. Skoro mam być jedyną normalną osobą w tej rodzinie...

-Ktoś musi.

-Dlaczego twoim zdaniem Meb przyszedł do świątyni?

-Żeby wymodlić dla ciebie hemoroidy za każdym razem, kiedy zadajesz pytanie.

-Nie, to ty dlatego tam byłeś. Wyobrażasz sobie Meba pogrążonego w modlitwie?

-I kaleczącego swoje piękne ciało? - Issib parsknął śmiechem.

Znajdowali się na podwórzu, przed pokojem Issiba. Usłyszeli kroki. Odwrócili się i zobaczyli Meba, który stał w drzwiach ciemnej kuchni. Myśleli, że Truzhnisha poszła do siebie i nikogo tam nie ma. Meb musiał podsłuchać całą ich rozmowę.

Nafai nie wiedział, co powiedzieć. Nie znaczyło to oczywiście, że zapomniał języka w gębie.

-Chyba nie byłeś zbyt długo w świątyni, prawda, Meb?

-To prawda - odparł Meb. - Ale modliłem się, jeśli cię to interesuje.

Nafai się zawstydyził.

- Przepraszam.

Issib nie był zawstydzony.

-Nie żartuj sobie - dokuczał bratu. - Pokaż choćby jeden strup.

-Najpierw zadam ci pytanie, Issya - powiedział Meb.

-Jasne.

-Czy do fiuta masz przyczepiony lewiter, który podtrzymuje ci go, kiedy siusiasz? Czy po prostu cieknie ci jak dziewczynie?

Było zbyt ciemno, by Nafai mógł dostrzec, czy Issib oblewa się rumieńcem. Zobaczył jedynie, że Issib bez odpowiedzi znika w swoim pokoju.

- To wielka odwaga dokuczać kalece - zadrwił Nafai.

-Nazwał mnie kłamcą - odrzekł Meb. - Miałem go pocałować?

-On tylko żartował.

- To nie było zabawne.

Mebbekew wrócił do kuchni.

Nafai poszedł do swojego pokoju, ale nie miał ochoty kłaść się spać. Czuł, że jest spocony, mimo że noc była dość chłodna. Świerbiła go skóra, zapewne z powodu skaleczeń i środka dezynfekującego z fontanny w świątyni. Nie uśmiechało się mu namydlenie ran, ale swędzenie było nie do zniesienia. Rozebrał się więc i poszedł pod prysznic. Tym razem najpierw opłukał ciało; woda była wstrząsająco zimna, pomimo że w ciągu dnia miała czas się nagrzać. Kiedy się namydlał, poczuł dotkliwy ból - większy niż w chwili zadawania sobie ran, choć wiedział, że to prawdopodobnie subiektywne odczucie. Ojciec często mawiał, że pierwsze uczucie bólu jest zawsze najgorsze.

Kiedy namydlał się w ciszy i ciemności, dostrzegł Elemaka, który poszedł prosto do pokoiów ojca i wkrótce potem pojawił się, żeby zamknąć bramę na klucz. Nie tylko zewnętrzną bramę; wewnętrzną też. To było niezwykle; Nafai nie pamiętał, kiedy ostatnio zamykano wewnętrzną bramę. Może podczas burzy. Albo gdy tresowali psa i trzymali go na noc między dwiema bramami. Teraz jednak nie było ani burzy, ani psa.

Elemak poszedł do swojego pokoju. Nafai pociągnął za sznurek i znów oblał się lodowatą wodą, pocierając rany, aby zmyć mydliny, zanim woda przestanie płynąć. Niech szlag trafi ojca za absurdalną chęć hartowania synów i robienia z nich mężczyzn! Tylko biedacy musieli się kąpać w takich warunkach!

Tym razem musiał się płukać dwukrotnie. Długo czekał mokry na chłodnym powietrzu, aż zbiornik prysznicza ponownie się napełni. Kiedy wreszcie wrócił do swojego pokoju, szczykał zębami i trząsł się z zimna, nawet po osuszeniu się i ubraniu nie mógł się rozgrzać. Bliski już był zamknięcia drzwi, co uruchomiłoby ogrzewanie, ale on i jego bracia zawsze rywalizowali o to, kto ostatni zamknie drzwi do swojego pokoju w okresie zimowym, a on nie zamierzał dziś wieczorem się poddawać, przyznając, że modlitwa tak go osłabiła. Zamiast tego wyjął ze skrzyni wszystkie swoje ubrania i ułożywszy się na macie, przykrył się nimi.

Nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji, ale leżenie na boku było najmniej bolesne. Złość, ból i zmartwienie nie dały mu zasnąć. Wsłuchiwał się w kroki braci przygotowujących się do snu, a potem w ciszę nocną panującą na podwórzu. Od czasu do czasu słyszał ptasie nawoływanie lub wycie dzikiego psa na wzgórzach, lub ciche, niespokojne szmery w stajni i w stodole.

A potem musiał zasnąć, bo jak inaczej mógłby się tak nagle przebudzić przestraszony? Czy obudził go jakiś odgłos? Może sen? Co mu się śniło? Coś ponurego i przerażającego. Drżał, ale nie z zimna - właściwie pocił się obficie pod stosem ubrań.

Wstał i wrzucił ubrania z powrotem do skrzyni. Próbował ją otworzyć i zamknąć bezgłośnie - nie chciał nikogo zbudzić. Przy każdym ruchu odczuwał ból. Uświadomił sobie, że musi mieć gorączkę. Wydawało się jednak, że umysł ma bardzo jasny i zmysły wyostrzone. Dziwne, bo nigdy w gorączce nie był taki energiczny i ożywiony. Pomimo bólu - lub dzięki niemu - czuł, że mógłby usłyszeć mysz przebiegającą po belce w stajni.

Wyszedł na podwórze i stanął tam w ciszy. Księżyc jeszcze się nie wyłonił, lecz na niebie roilo się od gwiazd, które świeciły jasno w tę przejrzystą noc. Brama była nadal zamknięta na klucz. Ale czemu się nad tym zastanawiał? Czego się bał? Co ujrział we śnie?

Drzwi do pokoiów Meba i Elemaka były zamknięte. Śmieszne, pomyślał. Ja, poraniony i obolały, nie zamykam drzwi, a ci dwaj bez żenady zamykają swoje jak małe dzieci. A może tylko małe dzieci przejmują się taką bezsensowną rywalizacją o status mężczyzny?

Na dworze było zimno i teraz przeszła mu gorączka, która przed chwilą zmusiła go do wstania z łóżka. Mimo to nie wrócił do pokoju. Zaświtało mu w głowie, że już kilkakrotnie postanawiał wrócić do pokoju i za każdym razem jego myśli błędziły.

Naddusza, pomyślał. Naddusza chce, abym był na nogach. Chce, abym coś zrobił. Ale co?

Jeśli o tej porze miesiąca księżyc jeszcze nie wzeszedł, oznaczało to, iż do świtu pozostały dobre trzy godziny. A zatem dwie godziny, nim ojciec wstanie i pójdzie na spotkanie w chłodni, gdzie hodowano i rozmnażano rośliny z lodowatej północy.

Dlaczego spotkanie urządzano właśnie tam?

Nafai poczuł niewytłumaczalną chęć, aby wyjść i popatrzeć ponad Doliną Tsivet, w kierunku wysokich wzgórz po drugiej stronie, gdzie Brama Muzyczna wyznaczała południowo-wschodni kraniec Basiliki. To było głupie, odgłos otwieranych bram mógł kogoś obudzić, ale teraz Nafai już wiedział, że dziś wieczorem w jego działania wmieszał się Naddusza, próbując powstrzymać go przed powrotem do łóżka; czy odruch, by wyjść, nie mógł być wywołany przez Nadduszę? Czy nie mogła to być odpowiedź na modlitwy? Czy ta nieodparta chęć wyjścia na zewnątrz nie przypominała odruchu, który kazał ojcu zboczyć z Pustynnego Traktu do miejsca, gdzie doznał wizji ognia? A może Nafai też miał za chwilę ujrzeć wizję ukazaną przez Nadduszę?

Ruszył spokojnym krokiem, podszedł do bramy i uniósł ciężką sztabę. Nie zrobił żadnego hałasu; był taki czujny i ożywiony, że poruszał się zupełnie bezszelestnie. Przy otwieraniu brama cicho zgrzytnęła - nie musiał jej jednak otwierać szeroko, żeby się prześlizgnąć.

Zewnętrznej bramy używano częściej, więc była lepiej zakonserwowana, odmykała się łatwiej i ciszej. Nafai wyszedł w chwili, kiedy księżyc zaczął ukazywać swój sierp nad szczytami gór Seggidugu na wschodzie. Zaczął okrążyć dom, zmierając do miejsca, gdzie widział chłodnię, ale zanim zrobił kilka kroków, uświadomił sobie, że coś się dzieje w izbie dla podróżnych.

Zgodnie ze zwyczajem panującym we wszystkich domostwach w tej części świata w każdym domu był jeden pokój, którego drzwi wychodziły na zewnątrz i którego nigdy nie zamykano na klucz - podróżny mógł się tam schronić przed burzą, chłodem lub znużeniem. Ojciec traktował obowiązek gościnności wobec obcych poważniej od innych ludzi i zapewniał im nie tylko pokój, lecz również łóżko z czystą pościelą oraz pełną spiżarkę. Nafai nie miał pewności, który służący jest odpowiedzialny za ten pokój, ale wiedział, że często z niego korzystano i równie często zmieniano pościel oraz uzupełniano zapasy jedzenia. Tak więc nie dziwił się, że ktoś tam jest, jednak musiał przystanąć przy drzwiach i zerknąć do środka.

Do izby podróżnych wpadało skąpe światło przez szczelinę w drzwiach. Otworzył je szerzej i światło padło na łóżko. Spojrzał w szeroko rozwarte oczy... Luet.

-Ty - szepnął.

-Ty - odszepnęła, wydawało się, że z ulgą.

-Co tu robisz? Kto jest z tobą?

-Jestem sama. Nie byłam pewna, do kogo idę. Do czyjego domu. Nigdy dotąd nie byłam poza murami miasta.

-Kiedy tu przyszedłeś?

-Przed chwilą. Przywiodła mnie Naddusza.

Oczywiście.

-Po co?

-Nie mam pojęcia. Chyba żebym opowiedziała swój sen. Nafai pomyślał o swoim śnie, którego nie pamiętał.

-Byłam taka... zadowolona, że Naddusza znów przemówiła - powiedziała Luet. - Ale sen był straszny.

-O czym?

-Mam tobie opowiedzieć? - spytała.

-To ja mam wiedzieć? - odpowiedział pytaniem. - Ale ja tu jestem.

-Sprowadziła cię tu Naddusza?

Słyszając pytanie postawione tak otwarcie, nie mógł się wymi-
giwać.

- Tak - przyznał. - Tak sędzę.

Skinęła głową.

-A więc opowiem ci. Właściwie może chodzić o twoją rodzinę. Ponieważ jest tak wielu ludzi, którzy nienawidzą twojego ojca z powodu jego wizji i odwagi, z jaką o niej rozpowiada.

-Tak - potwierdził. A potem, żeby ją ponaglić, dodał: -Sen.

-Widziałam samotnego mężczyznę idącego pieszo prostą drogą. Brnął przez śnieg. Wiedziałam jednak, że to się dzieje dziś w nocy, choć na ziemi nie ma ani jednego płatka śniegu. Czy rozumiesz, w jaki sposób mogę coś wiedzieć, mimo że we śnie jest inaczej?

Przypominając sobie rozmowę sprzed tygodnia na tarasie, Nafai skinął głową.

- Był więc śnieg, choć wszystko działa się dzisiaj. Księżyc lśnił jasno. Wiedziałam, że już prawie świta. I kiedy ten mężczyzna tak szedł, na drogę przed nim wyskoczyło dwóch zakapturzonych ludzi z woltazetami. Wydawało się, że pomimo

zamaskowania ten mężczyzna ich rozpoznaje. Powiedział: „Oto moje gardło. Nie mam przy sobie żadnej broni. Mogliście mnie zabić w każdej chwili, nawet wtedy, kiedy wiedziałem, że jesteście moimi wrogami. Czemu najpierw zwiedliście mnie, abym wam zaufał? Czy obawialiście się, że śmierć nie będzie dla mnie zbyt dotkliwym ciosem, jeżeli nie poczuję się zdradzony?”.

Nafai natychmiast powiązał jej sen ze spotkaniem ojca, które miało nastąpić za niespełna dwie godziny.

- Gaballufix - powiedział.

Luet potaknęła.

-Teraz to rozumiem, ale nie pojmowałam, dopóki nie dowiedziałam się, że chodzi o dom twojego ojca.

-Nie. Gaballufix zaaranżował swoje spotkanie z ojcem i Roptatem w chłodni dziś rano.

-Śnieg - przypomniała.

-Tak. W kątach zawsze jest szron.

-I Roptat - szepnęła. - To wyjaśnia... następną część snu.

-Opowiadaj.

-Jeden z zakapturzonych mężczyzn wyciągnął rękę i odsłonił twarz swojego towarzysza. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę uśmiech, ale potem moja wizja zrobiła się wyraźna i uświadomiłam sobie, że to nie był uśmiech, tylko gardło rozcięte aż do kręgosłupa. Głowa odchyliła się do tyłu i rana szyi otworzyła się na oścież, przypominając usta, które próbują krzyczeć. A ten mężczyzna... ten, którym byłam we śnie...

-Rozumiem - domyślił się Nafai. - Ojciec.

-Tak. Tylko że nie wiedziałam o tym.

-Mów dalej - powiedział zniecierpliwiony.

-Twój ojciec, to był twój ojciec, powiedział: „Pewnie mnie oskarżają, że go zabiłem”. A człowiek w kapturze odparł: „I to jest najprawdziwsza prawda, mój drogi krewniaku”.

-On byłby zdolny to powiedzieć - stwierdził Nafai. - Więc Roptat też ma zginąć.

-Jeszcze nie skończyłam. A raczej mój sen na tym się nie skończył. Bo ten mężczyzna - twój ojciec - zapytał: „A kogo oskarżają o moją śmierć?”. I ten w kapturze odpowiedział: „Nie mnie. Ja nigdy nie podniósłbym na ciebie ręki, bo bardzo cię kocham. Ja tylko znajdę tu twoje skrwawione ciało

i morderców stojących nad nim". A potem roześmiał się i zniknął w mroku.

-A więc on nie zabije ojca.

-Tak. Twój ojciec odwrócił się i zobaczył przed sobą dwóch innych zakapturzonych mężczyzn. Chociaż nie odezwali się i nie unieśli kapturew, on ich znał. Poczułam straszny smutek. „Nie mogłeś zaczekać” - powiedział do jednego. „Nie mogłeś mi wybaczyć” - rzekł do drugiego. A oni, milcząc, wyciągnęli woltażety i zabili go.

-Nie, na Nadduszę! - wykrzyknął Nafai. - Nie zrobiliby tego!

-Kto? Znasz ich?

-Nie mów nikomu o tej ostatniej części snu - poprosił. - Przysięgnij na swoje największe świętości.

-Nie mogę!

- Wszyscy moi bracia są dziś w domu. Nie czyhają na życie ojca.

- A więc to są ci mężczyźni w kapturach? Twoi bracia?

-Nie! Nigdy!

Skinęła głową.

-Nie złożę przysięgi. Mogę ci tylko coś obiecać. Jeżeli twój ojciec ujdzie śmierci dzięki temu, że tu przyszedłam, nie powiem nikomu innemu o tej części snu.

-Nawet Hushidh - zastrzegł.

-Ale złożę ci jeszcze jedną obietnicę - dodała. - Jeśli twój ojciec umrze, będę wiedziała, że go nie ostrzegłeś. I że jednym z zakapturzonych ludzi we śnie byłeś ty. Bo wiedzieć o spisku i nie ostrzec ojca, to jakby samemu trzymać woltażet w ręku.

-Myślisz, że ja tego nie wiem? - Nafai przez chwilę był rozniewany. Głupia Luet myśli, iż jemu trzeba mówić, co moralność nakazuje zrobić w tej sytuacji. Ale potem, kiedy ostrzeżenie Luet wyjaśniło mu inne wydarzenia, pomyślał o czymś innym. - To dlatego Meb poszedł się modlić - rzekł. - I dlatego Elya zamknął wewnętrzną bramę na klucz. Wiedzieli - a może tylko coś podejrzewali - a jednak bali się powiedzieć. Takie właśnie było znaczenie snu - nie że podnieśliby kiedykolwiek rękę na ojca, lecz że wiedzieli i bali się go ostrzec.

Skinęła głową.

-Często tak się dzieje w snach. To by było prawdziwe znaczenie; nie czuję pustki w głowie, kiedy o tym myślę.

-Może sam Naddusza też nie wie.

Wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni. Poczuł się przez to jak dziecko, choć Luet była młodsza i znacznie mniejsza od niego. Oburzył się na nią z tego powodu.

-Naddusza wie - powiedziała.

-Nie wszystko.

-Wszystko, co można wiedzieć. - Podeszła do drzwi izby. - Nie mów nikomu, że tu byłam - poprosiła.

-Tylko ojcu - zapewnił.

-Czy nie możesz powiedzieć, że to był twój sen?

-Dlaczego? - zapytał Nafai. - W twój sen uwierzy. Mój nic by dla niego nie znaczył.

-Nie doceniasz swojego ojca. I Nadduszy chyba też. I siebie.

Wyszła na zalane światłem księżyca podwórko przed domem, odwróciła się w prawo, w kierunku Graniowego Traktu.

- Nie - szepnął, chwytając ją za ramię, naprawdę wątle. Była taka mała. - Nie przechodź przed bramą.

Spojrzała na niego pytająco. W jej szeroko rozwartych oczach odbijało się światło księżyca, który już do połowy wynurzył się nad ramieniem Nafaia.

-Może kogoś obudziłem, kiedy ją otwierałem - wyjaśnił.

Skinęła głową.

-Okrążę dom z drugiej strony.

-Luet...

-Tak?

- Czy będziesz bezpieczna podczas drogi powrotnej?

- Księżyc świeci. Strażnik przy Bramie Stożkowej nie będzie mi robił żadnych trudności. Naddusza postarała się o to, żeby zasnął, kiedy go przedtem mijałam.

-Luet! - przywołał ją ponownie. Znów stanęła, czekając na jego słowa.

-Dziękuję - powiedział.

To jedno słowo było niczym w porównaniu z tym, co czuł w sercu. Uratowała życie jego ojcu, a w dodatku to, że przeszła tę całą drogę w świetle gwiazd, wiedzona jedynie snem, należało

uznać za prawdziwy wyczyn, dowód odwagi - przecież nigdy przedtem nie wychodziła poza granice miasta. Wzruszyła ramionami.

- Przysłała mnie Naddusza. Jej podziękuj.

Odeszła.

Nafai wrócił do bramy i tym razem celowo narobił trochę hałasu, wchodząc i zamykając ją na zasuwę. Jeżeli któryś z braci nasłuchiwał lub obserwował bramę, nie chciał go zaskoczyć. Niech usłyszy i wróci do swojego pokoju, zanim wejdę przez wewnętrzną bramę, pomyślał.

Nadzieje Nafaia się ziściły - kiedy wrócił, na podwórzu było pusto. Poszedł prosto do pokoju ojca. Minał pokój gościnny oraz bibliotekę i dotarł do prywatnej izby, w której ojciec sypiał sam. Nie było tam żadnej maty, Wetchik leżał na gołej podłodze, a jego siwa broda spoczywała na kamieniu. Nafai stał tam przez chwilę, wyobrażając sobie rozcięte gardło i brodę splamioną na kolor brunatnoczerwony od tryskającej krwi.

Potem dostrzegł błyszczące oczy ojca.

-Czy to ty jesteś tą osobą? - szepnął ojciec.

-Co masz na myśli? - spytał Nafai.

Ojciec usiadł powoli, ze znużeniem.

-Miałem sen. Nic takiego, tylko moje lęki.

-Jeszcze ktoś miał dziś sen - powiedział Nafai. - Rozmawiałem z nią przed chwilą w izbie dla podróżnych. Ale lepiej będzie, jeśli nikomu nie powiesz, że tu była.

-Kto taki?

-Luet. A jej sen miał na celu ostrzec cię przed dzisiejszym spotkaniem. Zostaniesz zamordowany, jeśli tam pójdziesz.

Ojciec skoczył na równe nogi.

- A więc mój koszmar nie był zwykłym snem.

Zapalił światło. Nafai zamrugał w jasności.

-Zaczynam myśleć, że nie ma snów nic nieznaczących. Ja też miałem sen, który mnie obudził, a Naddusza kazał mi wyjść na zewnątrz, abym porozmawiał z Luet.

-Mam zostać zamordowany. Mogę domyślić się reszty. On zamorduje również Roptata i upozoruje, że jeden z nas zabił drugiego, a potem ktoś inny zabił mordercę i dopiero wtedy przybędzie Gaballuffix z kilkoma wiarygodnymi świadkami, którzy

przysięgną, że morderstwa zdarzyły się przed jego przybyciem. Zaświadcza, jak bardzo wstrząsnęła nim krwawa scena. Dlaczego sam na to nie wpadłem? Jak inaczej zdołałby sprowadzić jednocześnie mnie i Roptata w to samo miejsce bez obecności stronników lub świadków?

-A więc nie pójdziesz - zawyrokował Nafai.

-Ależ pójdę.

-Nie!

-Ale nie do chłodni - wyjaśnił ojciec. - Bo w moim śnie ujrzałem coś innego.

-Co takiego?

-Namioty - odparł. - Moje namioty rozbite w słońcu pustyni. Jeżeli pozostaniemy, Gaballufix spróbuje jeszcze raz, tyle że w jakiś inny sposób. Poza tym jest więcej powodów do wyjazdu. Muszę wywieźć moich synów z Basiliki, zanim to miasto ich zniszczy.

Nafai wiedział, że sen ojca rzeczywiście musiał być straszny. Czy zobaczył w nim, że jeden z synów go zabije? To by tłumaczyło pierwsze słowa ojca: „Czy to ty jesteś tą osobą?”.

-Wyruszamy więc na pustynię?

-Tak - potwierdził ojciec.

-Kiedy?

-Oczywiście zaraz.

-Zaraz? Dzisiaj?

-Zaraz, jeszcze tej nocy. Przed świtem. Aby przekroczyć pasmo górskie, zanim ludzie Gaballufixa zdążą nas zobaczyć.

-Czy będziemy przechodzić tuż obok jego domu, w miejscu przecięcia się Krętego Szlaku z Pustynnym Traktem?

-Istnieje okrężna droga - powiedział ojciec. - Nie najlepsza dla wielbłądów, ale będziemy musieli nią pójść. Wyjdziemy na Pustynny Trakt dość daleko od domu Gabyi. A teraz pomóż mi zbudzić swoich braci.

-Nie - odparł krótko Nafai.

Ojciec zaskoczony zawahał się, czy wyrazić oburzenie na takie nieposłuszeństwo.

-Luet prosiła... aby nikomu o niej nie mówić. I miała rację. O mnie też nie mogą wiedzieć. To powinien być twój sen.

-Dlaczego? - spytał ojciec. - Wiedząc, że Naddusza nawiązał dziś w nocy kontakt aż z trzema osobami...

- Ponieważ jeśli to będzie twój sen, wówczas zaczną się zastanawiać, co wiesz, co zobaczyłeś. Jeśli jednak wmiszasz w to mnie i Luet, wówczas będzie im się wydawać, że oszukujemy cię i manipulujemy tobą. Będą się spierać. Będą stawiać opór. A musisz ich zabrać ze sobą.

Ojciec skinął głową.

- Jesteś bardzo mądry jak na czternastolatka - stwierdził.

Nafai wiedział, że nie jest mądry. Po prostu miał tę przewagę, iż znał resztę snu Luet. Gdyby Meb i Elya nie poszli z ojcem, zostaliby całkowicie wciągnięci w machinacje Gaballufixa. A nie mogli być z gruntu źli. Może nawet zamierzali ostrzec ojca. Może dlatego Elya zamknął na klucz wewnętrzną bramę, aby obudził go hałas, gdy ojciec będzie się wybierał na spotkanie - mógłby wtedy wyjść i go powstrzymać.

A może zamierzał tylko pójść za ojcem po to, aby być tuż za nim, kiedy natknie się na zwłoki Roptata w chłodni...

Nie! - krzyknął Nafai w duchu. Nie Elemak. To potworne nawet myśleć, że jest do tego zdolny. Moi bracia nie są mordercami, żaden z nich.

-Wracaj do swojego pokoju - powiedział ojciec. - Albo jeszcze lepiej, idź do toalety. A potem wyjdź i daj przykład milczącego posłuszeństwa. Nie wobec mnie - wobec Elyi. On wie, jak się spakować na taką wyprawę.

-Tak, ojciec - odparł Nafai.

Przeszedł przez bibliotekę oraz pokój gościnny i znalazł się na podwórzu. Drzwi do pokoiów Elemaka i Mebbekewa były nadal zamknięte. Skierował się do latryny, która nie miała dwóch ścian od strony podwórza. Ledwie tam wszedł, kiedy usłyszał pukanie ojca do drzwi Mebbekewa.

-Obudź się, ale nie rób hałasu - powiedział ojciec.

Następnie zastukał do Elemaka.

-Wyjdź na podwórze.

Nafai usłyszał, jak jego bracia wychodzą - Issib też, choć nikt go nie wzywał.

-Gdzie Nyef? - zapytał Issib.

-Korzysta z latryny - odparł ojciec.

-To jest pomysł - stwierdził Meb.

-Musisz chwilę poczekać — powiedział ojciec.

Nafai wyszedł z boksu, toaleta splukała się za nim automatycznie. Ojciec przynajmniej nie zmuszał ich do życia w całkowicie prymitywnych warunkach.

- Przepraszam - powiedział Nafai. - Nie chciałem cię przez trzymywać.

Meb spojrział na niego groźnie, ale zbyt sennym wzrokiem, by Nafai potraktował to jako groźbę nadchodzącej kłótni.

- Wyjeżdżamy - oznajmił ojciec. - Na pustynię.

- Wszyscy? - spytał Issib.

- Przykro mi, ale tak. Będziesz poruszał się na swoim krześle. Wiem, to nie to, co lewitery, ale zawsze coś.

- Dlaczego? - spytał Elemak.

- Naddusza ostrzegł mnie we śnie - wyjaśnił ojciec.

Meb prychnął pogardliwie i ruszył z powrotem do swojego pokoju.

- Stój i słuchaj - powiedział ojciec - bo jeśli nie pójdziesz ze mną, przestanę cię uważać za swojego syna.

Meb stanął, lecz nadal był zwrócony do ojca plecami.

- Ukartowano spisek, żeby mnie zabić - rzekł ojciec. - Dziś rano. Miałem iść na spotkanie z Gaballufixem i Roptatem, tam miałem zginąć.

- Gabya dał mi słowo - wtrącił Elemak - że nikomu nie stanie się krzywda.

A więc Elya używał teraz chłopięcego imienia Gaballufixa, tak?

- Naddusza wie lepiej, jakie są jego zamiary - powiedział ojciec. - Jeśli pójde, zginę. A nawet jeśli nie, będzie to tylko kwestia czasu. Skoro Gaballufix postanowił mnie zabić, zrobi to nie dziś, to jutro. Pozostałbym w mieście, gdybym był przekonany, że na coś się przyda tutaj moja śmierć - nie boję się jej. Ale Naddusza kazał mi wyjechać.

- We śnie - rzekł Elemak.

- Nie potrzebuję snów, by wiedzieć, że Gaballufix jest niebezpieczny, kiedy ktoś mu stanie na drodze. I wy też ich nie potrzebujecie. Gdy nie zjawię się dziś rano w chłodni, nie wiadomo, co Gaballufix zrobi. Kiedy się zorientuje, muszę już być na pustyni. Pójdziemy Szlakiem Czerwonych Kamieni.

- Wielbłądy nie dadzą rady - stwierdził Elemak.

-Muszą - powiedział ojciec. - Weźmiemy zapasy na cały rok.
 -To absurd - zaprotestował Mebbekew. - Nie ruszę się stąd.
 -Co zrobimy po roku? - zapytał Elemak.
 -Nim minie taki długi czas, Naddusza da mi jakąś wskazówkę - odrzekł ojciec.
 -Może sytuacja w Basilice uspokoi się na tyle, że będzie można wrócić - zasugerował Issib.
 -Jeśli teraz pójdziemy - powiedział Elemak - to Gabya pomyśli, że go zdradziłeś, ojciec.
 -Czyżby? A jeśli pozostanę, to on zdradzi mnie.
 -Tak wynika ze snu.
 -Tak wynika z mojego snu - poprawił ojciec. - Potrzebuję was. Zostańcie, jeśli musicie, ale wtedy nie będę was uważał za swoich synów.
 -Świetnie mi się wiodło, kiedy nie byłem uważany za twojego syna - burknął Mebbekew.
 -Nie - zaprzeczył Elemak. - Świetnie ci się wiodło, kiedy udawałeś, że nie jesteś jego synem, ale i tak wszyscy wiedzieli, że jesteś.
 -Żyłem ze swojego talentu.
 -Żyłeś z tego, że ludzie związani z teatrem mieli nadzieję, iż twój ojciec zainwestuje w ich sztuki albo ty to zrobisz w przyszłości ze swojego spadku.
 Mebbekew wyglądał, jakby dostał policzek.
 -Ty też, Elya?
 -Później z tobą porozmawiam - powiedział Elemak. - Jeżeli ojciec mówi, że wyjeżdżamy, to wyjeżdżamy. I nie mamy czasu do stracenia. - Zwrócił się do ojca. - Robię to nie z powodu groźby, że mnie wydziedziczysz, ale dlatego że jesteś moim ojcem. Nie pozwolę, abyś miał jedynie te oferty do pomocy w przetrwaniu na pustyni.
 -Nauczyłem cię wszystkiego, co potrafisz, Elya - odezwał się ojciec.
 -Gdy byłeś młodszy - dodał Elemak. - I zawsze mieliśmy służących. Zakładam, że zostawiamy ich wszystkich.
 -Zwalniamy służących - powiedział ojciec. - Kiedy będziesz przygotowywał zwierzęta i zapasy, Elya, przekaż polecenia Rashgallivakowi.

Przez następną godzinę Nafai pracował z większym pośpiechem, niż mu się to kiedykolwiek wydawało możliwe. Wszyscy, nawet Issib, mieli zadania do wykonania i Nafai znów podziwiał Elemaka za wielkie umiejętności w takich sytuacjach. Elya zawsze wiedział dokładnie, co trzeba zrobić, kto powinien to wykonać i jak długo powinno to trwać; wiedział też, jak sprawić, by Nafai poczuł się jak idiota z powodu tego, że nie uczy się swych obowiązków szybciej, choć Nafai był pewny, że radzi sobie nieźle, zważywszy na fakt, iż robił to po raz pierwszy.

Wreszcie byli gotowi - prawdziwa karawana pustynna, zabierająca ze sobą jedynie wielbłądy, choć były to najbardziej kapryśne zwierzęta juczne i najbardziej niewygodny środek podróżowania. Do boku jednego przywiązano krzesło Issiba, do drugiego tobołka z wodą w proszku. Woda była przeznaczona na późniejsze nagłe wypadki; na pierwszym etapie podróży ojciec i Elemak znali wszystkie oazy, a poza tym jesienią na pustyni od czasu do czasu padał deszcz, więc wody będzie dosyć. Latem przyszłego roku będzie jednak sucho, a wtedy nie dadzą rady wracać do Basiliki po cenny proszek. A jeżeli będą śledzeni i zostaną zapędzeni w nieznane rejony pustyni? Wtedy może będą musieli wsypać trochę proszku do garnka, postawić go na ogniu i patrzeć, jak zamienia się w wodę, pobierając tlen z powietrza. Nafai próbował kiedyś takiej wody - paskudztwa o nieprzyjemnym smaku substancji chemicznych stosowanych do proszkowania wodoru. Ale będą za nią wdzięczni, gdyby kiedykolwiek okazała się potrzebna.

Ta podróż najbardziej da się we znaki Issyi, który będzie pozbawiony lewiterów i przykuty do krzesła. Dzięki lewiterom czuł, jakby jego ciało było lekkie i mocne; na krześle jednak przygniatała go siła ciężenia i musiał wyteżać wszystkie siły, by obsługiwać urządzenia sterownicze. Pod koniec dnia spędzonego na krześle zawsze był wyczerpany. Jak będzie to znosił dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu? Może nabierze siły. Może osłabnie. Może umrze. Może Naddusza pomoże mu wytrwać.

Może zstąpią anioły i zanosą ich na księżyc.

Wyruszyli dobrą godzinę przed świtem. Zachowywali się tak cicho, że nie pobudzili służby - lub może zbudzili, ale skoro

nikt nie prosił o pomoc, a służący nie zamierzali zgłosić się na ochotnika do jakichkolwiek zwarenowanych robót wykonywanych o tej porze nocy, dyskretnie przewracali się na drugi bok i spali dalej.

Szlak Czerwonych Kamieni był morderczo zdradliwy, ale światło księżyca i instrukcje Elemaka umożliwiły im pokonanie drogi. Nafai znów patrzył z podziwem na najstarszego brata. Czy nie było takiej rzeczy, której Elya nie potrafiłby zrobić? Czy Nafai mógł mieć nadzieję, że kiedykolwiek będzie taki silny i kompetentny?

Wreszcie przekroczyli Kręty Szlak na grzbiecie najwyższego pasma górskiego; przed nimi rozciągała się pustynia. Pierwsze światło poranka było już wyraźnie widoczne na wschodzie, ale przebyli spory kawałek drogi. Dotarli na nizinę. Droga nie była wcale łatwiejsza, lecz znaleźli się blisko wielkiego płaskowyżu. Nikomu nie będzie łatwo podążać tu za nimi - w każdym razie nikomu z miasta. Elemak rozdał wszystkim pulsatory i kazał ćwiczyć celowanie skondensowaną wiązką światła we wskazane kamienie. Z Issiba było niewiele pożytku - nie potrafił utrzymać stabilnie pulsatora - ale Nafai celował lepiej od ojca i był z tego dumny.

Czy faktycznie potrafiłby zabić tą bronią rabusia, to zupełnie inna sprawa. Na pewno nie będzie musiał tego robić. Przecież Naddusza wysłał ich na pustynię, prawda? I będzie trzymać rabusiów z dala od nich. Tak jak zaprowadzi ich do miejsc z wodą i pożywieniem, kiedy wyczerpią im się zapasy.

Potem Nafai przypomniał sobie, że to wszystko zaczęło się dlatego, iż Naddusza już słabnie. Skąd mógł wiedzieć, że Naddusza ma choćby jakiś plan? Tak, wysłał Luet, żeby ich ostrzegła, i obudził Nafaia, żeby poszedł wysłuchać ostrzeżenia, i ukazał ojcu sen. Nie znaczyło to jednak, że faktycznie zamierza ich ochraniać, czy nawet oprócz oddalenia ich od miasta doprowadzić dokądkolwiek. Któż mógł wiedzieć, jakie Naddusza ma plany? Może pragnął tylko pozbyć się Wetchika i jego rodziny.

Z tą ponurą myślą Nafai siedział na wielbłądzie wysoko nad piaszczystą pustynią, z nogą umieszczoną w łęku siodła, rozglądając się w poszukiwaniu rabusiów, prześladowców z miasta, wszelkich dziwnych oznak na drodze, sygnałów od Nadduszy.

Słyszeć było jedynie utyskiwania Mebbekewa i rozkazy Elemaka oraz sporadyczne płaskanie, kiedy wielbłądy się wypróżniały. Zwierzę Nafaia, niepomne na wszelkie zmartwienia z wyjątkiem troski o to, gdzie postawić nogę, szło dalej swym kołyszącym krokiem, zmierzając w skwar dnia.

Kłamstwa i przebrania

Przy świetle księżycy Luet było łatwiej trafić z powrotem do miasta, niż dotrzeć do domu Wetchika. Wiedziała, dokąd idzie.

Dziwne jednak było to, że nie wyczuwała żadnego niebezpieczeństwa, dopóki nie znalazła się w samym mieście. Strażnik przy Bramie Stożkowej nie stał na posterunku - może został przyłapany na spaniu lub może Naddusza spowodowała, że pomyślał o jakiejś nagłej sprawie do załatwienia. Luet musiała uśmiechnąć się w duchu na myśl o Nadduszy zadającej sobie trud wywołania u kogoś pilnej potrzeby opróżnienia pęcherza tylko po to, aby jakaś dziewczynka mogła przejść bezpiecznie.

W mieście jednak księżyc był mniej pomocny. Nie wszedł jeszcze wysoko, więc rzucał długie cienie i ulice leżące w osi północ-południe tonały w ciemnościach. O tej porze każdy mógł wałęsać się po mieście. Wszyscy wiedzieli, że tołczoki wychodzą na nocną wólcę znacznie wcześniej, kiedy na ulicach jest jeszcze wiele kobiet. Teraz jednak, tuż przed świtem, na opustoszałych ulicach można było natknąć się na kogoś znacznie gorszego od tołczoków.

- Czy to jest ta ładna?

Luet się przestraszyła, ale niepotrzebnie. Dobrą chwilę trwało, nim wypatrzyła w ciemnościach kobietę, która ją zaczęła.

- Nie jestem ładna - odparła. - W mroku wzrok cię zmylił.

To musiała być święta kobieta, tylko one szwendały się po ulicach o tej porze. Kiedy wyszła z ciemnego zakamarka, w którym schroniła się przed nocnym wiatrem, jej skóra miała nieco bledszy odcień od otaczających ją ciemności. Była naga. Widząc ją, Luet poczuła chłód jesiennej nocy. Zastanawiała się, jak ta kobieta mogła tak żyć, nie mając przed zimnem żadnej osłony

- z wyjątkiem brudu na ciele.

Moja matka była dzikuską, pomyślała. Urodziła mnie taka kobieta jak ta. Kiedy byłam w jej łonie, sypiała na pustyni, i naga przyniosła mnie do miasta, aby pozostawić u cioci Rasy. To jednak nie ta. Moja matka, gdziekolwiek się znajduje, już nie jest świętą kobietą. Zaledwie rok po moim urodzeniu porzuciła Nad-duszę, żeby pójść za jakimś farmerem i prowadzić z nim ciężkie życie, uprawiając jałową ziemię w skalistej Dolinie Chalvasan-khra. Tak opowiadała ciocia Rasa.

- Piękne są oczy świętego dziecka - zaintonowała kobieta
- które widzi w ciemności i płonie jasnym blaskiem w zimną noc.

Luet pozwoliła jej dotknąć swej twarzy, lecz kiedy zimne ręce zaczęły szarpać ją za ubranie, dziewczynka położyła na nich własne dłonie.

- Proszę - powiedziała. - Nie jestem święta i Naddusza nie ochrania mnie przed zimnem.

- I przed przenikliwym wzrokiem - dodała święta kobieta. - Naddusza ma wgląd w twoją duszę i jesteś święta, tak, jesteś święta.

Czym przenikliwym wzrokiem? Nadduszy? Mężczyzn, którzy oceniają kobiety, jakby były klaczami? Plotkarzy? Lub tej kobiety? A jeżeli chodzi o to, czy Luet jest święta - ona wiedziała lepiej. Tak, Naddusza wybrała ją, ale nie dlatego, że dziewczynka jaśniała cnotą. Ciągłe przebywanie w otoczeniu ludzi, którzy traktowali ją jako wyrocznie, a nie zwykłą dziewczynkę, było karą. Jej własna siostra, Hushidh, powiedziała kiedyś: „Chciałabym mieć twój dar; wszystko jest dla ciebie takie jasne”. Nic nie jest dla mnie jasne, pomyślała Luet. Naddusza nie zwierza mi się, wykorzystuje mnie jedynie do przekazywania wiadomości, których sama nie rozumiem. Tak jak nie rozumiem, czego

chce ode mnie ta święta kobieta i dlaczego - o ile przysłała ją Naddusza - przysłała ją do mnie.

-Nie bój się zabrać go nad wodę - powiedziała święta kobieta.

-O kim mówisz?

-Naddusza chce, abyś uratowała mu życie bez względu na niebezpieczeństwo. Spełnianie poleceń Nadduszy nie jest świętokradztwem.

-O kim mówisz? - powtórzyła dziewczynka.

Czy tak czuli się inni ludzie, kiedy im opowiadała o swoich wizjach? Czy byli tacy zdeorientowani, czy tak się bali, że albo odgadną łamigłówkę słowną, albo poniosą jakąś wielką stratę?

- Myślisz, że wszystkie wizje powinny docierać do ciebie

- ciągnęła święta kobieta. - Ale niektóre rzeczy są dla ciebie zbyt jasne, abyś je sama dostrzegła, co?

Wcale tak nie myślę, święta kobieto, chciała powiedzieć Luet. Nigdy nie prosiłam o wizje i często żałuję, że nie doznali ich inni ludzie. Ale jeśli zamierzasz upierać się przy przekazaniu mi jakiejś wiadomości, to miej tyle przyzwoitości, by podać mija w jak najbardziej zrozumiałej formie. Ja zawsze do tego dążę.

Usiłowała nie okazywać urazy w głosie, ale nie mogła nie domagać się wyjaśnienia.

- Kim jest ten ktoś, o kim ciągle mówisz?

Kobieta mocno uderzyła ją w twarz. Do oczu Luet napłynęły łzy - ze wstydu i z bólu.

-Co złego zrobiłam?

-Ukarałam cię teraz za profanację, której się dopuścisz

- powiedziała święta kobieta. - Sprawa jest załatwiona i nikt nie może żądać od ciebie dalszej zapłaty.

Luet nie śmiała więcej pytać; nie podobały jej się słowa dzikuski. Popatrzyła na kobietę badawczo, usiłując dostrzec w jej oczach, czy nie postradała rozumu. Czy to aby nie było szaleństwo? Czy to prawdziwy głos Nadduszy?

Święta kobieta ponownie wyciągnęła rękę w kierunku policzka Luet. Dziewczynka cofnęła trochę głowę, ale tym razem kobieta delikatnie otarła jej łzę.

- Nie bój się krwi na jego rękach. Tak jak wodę z wizji, Naddusza przyjmie ją jako modlitwę. - Nagle jej oczy utraciły blask.

- Strasznie zimno - powiedziała.

-Tak.

- Ciało me stare, znużone.

Nie masz jeszcze siwych włosów, ale tak, jesteś bardzo stara, pomyślała Luet.

- Nic nie przetrwa niezmiennione - recytowała święta kobieta.

- Srebro, złoto, na nic one. Czy legalne, czy kradzione.

Znała się na rymotwórstwie. Luet wiedziała o powszechnie panującym przekonaniu, że kiedy święta kobieta zaczyna mówić do rymu, oznacza to, iż jej ustami przemawia Naddusza. Ale to nie było tak - rymowanki stanowiły pewnego rodzaju muzykę, wprawiały w trans, dzięki któremu niektóre święte kobiety miały dystans do swojego podłego życia. Dopiero kiedy przestawały mówić do rymu, istniała szansa, że powiedzą coś z sensem.

Święta kobieta odeszła, jakby zapomniała o Luet. Ponieważ wydawało się, że nie pamięta, gdzie znajduje się jej schronienie, Luet chwyciła ją za rękę i zaprowadziła na miejsce, zachęcając, aby usiadła i skuliła się przy ścianie chroniącej przed wiatrem.

- Wiatr ustał po chwili - szepnęła święta kobieta. - Ależ nagrzeszili.

Luet pozostawiła ją pod murem i poszła dalej. Księżyc był już wyżej na niebie, ale lepsze światło w niewielkim stopniu poprawiło jej nastrój. Choć święta kobieta sama była nieszkodliwa, przypomniła Luet, jak wielu ludzi mogło ukrywać się po drodze w ciemnościach. I jak jest bezbronna. Krążyły opowieści o mężczyznach, którzy obchodzą się z obywatelkami tak, jak prawo pozwala im traktować święte kobiety. Ale nawet to nie budziło najgorszych obaw.

W mieście panuje atmosfera mordy, pomyślała Luet. Mordy, a nie świętości. I to Gaballufix pierwszy o tym pomyślał. Gdyby nie wizja i ostrzeżenie, które przekazałam na polecenie Nad-duszy, zginęliby uczciwi ludzie. Znowu wzdrygnęła się na wspomnienie podciętego gardła w jej wizji.

Wreszcie dotarła do miejsca, gdzie Święta Aleja biegła w głąb doliny i równocześnie rozszerzała się, tworząc już nie drogę, lecz wąwóz ze starożytnymi, wykutymi w skale schodami prowadzącymi bezpośrednio do miejsca, gdzie z jeziora unosiły się gorące opary z domieszką siarki. Od kobiet, które chodziły tam odprawiać obrzędy, zalaatywało tym odorem przez wiele dni.

Może to było święte miejsce, ale Luet go nie lubiła. Wolała popłynąć dalej, gdzie mieszały się gorące i zimne wody i powstawała najgęstsza mgła. Tam jej ciało samo unosiło się na powierzchni wody, tam mogła bez reszty poddać się Nadduszy.

Kim była osoba, o której mówiła święta kobieta? Ten „on” z krwią na rękach, ten „on”, którego mogła zaprowadzić nad wodę - przypuszczalnie nad jezioro.

Nieważne. Święta kobieta oszalała, mówiła bez sensu.

Jedynym mężczyzną z krwią na rękach, jaki jej przyszedł do głowy, był Gaballufix. Jak Naddusza mogłaby chcieć, aby taki człowiek zbliżył się do świętego jeziora? Czy nadejdzie moment, kiedy będzie musiała uratować Gaballufixowi życie? Jakim cudem mogłoby to służyć celom Nadduszy?

Skręciła w lewo w ulicę Wieżową, a potem w prawo w Deszczową, która biegła łukiem i doprowadziła ją pod dom Rasy. Dotarła tam bezpiecznie. Oczywiście. Naddusza ją ochraniała. Luet miała żyć, aby wykonywać zadania. W dniu, w którym matka oddała małą Luet cioci Rasie, powiedziała: „To dziecko będzie żyć dopóty, dopóki będzie służyć Matce Matek”. Matka Matek zachowała ją przy życiu przez jeszcze jedną noc.

Luet nie zamierzała swym powrotem nikogo obudzić, ale nie uwzględniła tego, jak atmosfera strachu w mieście zmieniła zwyczaje panujące nawet w najznamienitszym domu w Basili-ce. Frontowe drzwi były zamknięte na klucz od wewnątrz. Luet rozejrzała się w poszukiwaniu okna, przez które mogłaby wejść. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wszystkie okna wychodzące na ulicę miały służyć wyłącznie do przepuszczania światła i powietrza - były to liczne pionowe szczeliny w ścianie, wykute lub ozdobnie rzeźbione, lecz tak wąskie, że nawet głowa dziecka nie mogła się przez nie przecisnąć.

Nie pierwszy raz Basilika jest ogarnięta strachem, pomyślała Luet. Ten dom zbudowano tak, aby uniemożliwić ludziom potajemne wejście w nocy. Zabezpieczenie przed włamywaczami, oczywiście; choć może takie okna zaprojektowano głównie po to, aby odtrącenie zalotnicy i byli partnerzy nie wtargnęli siłą do domu, który zaczęli uważać za własny.

Środki zapobiegawcze, które uniemożliwiały wejście mężczyźnie, okazały się również niepokonaną przeszkodą dla małej

Luet. Nie sposób było dostać się do domu od strony bocznych ścian, ponieważ dom Rasy stykał się z sąsiednimi budynkami.

Dlaczego się nie domyśliła, że wejście do domu po powrocie będzie takie trudne? Wyszła oczywiście po zapadnięciu zmroku, ale jeszcze na długo zanim domownicy udali się na nocny spoczynek; Hushidh była poinformowana o misji Luet i miała dopilnować, aby nikt nie odkrył jej nieobecności. Po prostu nie przyszło im obu do głowy, by uzgodnić, w jaki sposób Luet wejdzie z powrotem. Nigdy przedtem ciocia Rasa nie zamykała drzwi frontowych na klucz. A po tym, jak Naddusza postarała się, aby strażnik drzemał podczas wyjścia Luet i opuścił swój posterunek przy bramie podczas jej powrotu, dziewczynka założyła, że Naddusza toruje jej drogę.

Luet mogłaby zostać na werandzie. Ale było zimno. Dopóki szła, nie dokuczał jej chłód. Jednak gdyby teraz zasnęła, na pewno by się nabawiła jakiejś choroby.

Istniała jeszcze jedna możliwość. Taras cioci Rasy był usytuowany od strony doliny i nic nie blokowało dostępu do niego. Może stamtąd da radę się wspiąć. Oczywiście tuż na wschód od tarasu rozciągały się najdziksze okolice Szelfu - nie należały nawet do żadnej dzielnicy i choć w pobliżu dochodziła ulica Kwaśna, nie było tam żadnej drogi; kobiety nigdy nie chodziły tamtędy nad jezioro.

Luet wiedziała jednak, że musi pójść tą drogą, jeśli ma wrócić do domu cioci Rasy.

Znów poprowadziła ją Naddusza. Poprowadziła, ale nic jej nie mówiła.

Dlaczego? - zapytała Luet po raz tysięczny. Dlaczego nie możesz mi wyjawić swojego celu? Gdybyś mi powiedziała, że idę do domu Wetchika, nie bałabym się tak bardzo przez całą drogę. W jaki sposób mój strach i moja niewiedza służą twojemu celowi? A teraz wysyłasz mnie w dziką okolicę - po co? Czy bawisz się mną? A może jestem za głupia, żeby zrozumieć twój cel? Jestem twoim gołębiem pocztowym, który nadaje się do przekazywania twoich wiadomości, ale nie warto mu nigdy ich wyjaśniać.

Po kilku minutach zeszła z ostatnich kocich łbów ulicy Kwaśnej na trawę, po czym zagłębiła się w las Szelfu.

Podłoże było nierówne i wydawało się, że wszystkie szczeliny i wyrwy w podszyciu lasu prowadzą w dół, z dala od tarasu,

w kierunku urwisk majaczących nad kanionem Świętej Alei. Nic dziwnego, że nawet mieszkanki Szelfu nie budowały tu domów. Luet nie dała się zwiść ścieżkom, którymi łatwo było przejść - wiedziała, że znikną, gdy tylko zacznie nimi podążać. Przedzierała się przez podszybie lasu. Kolce zarośli drapały jej ciało i wiedziała, że pozostawia na skórze pręgi, które będą ją szczypać przez wiele dni, nawet pod warstwą balsamu cioci Rasy. Co gorsza, była skonana, zziębnięta i śpiąca i co chwila przyłapywała się na tym, że się budzi, choć wcale nie spała.

Dotarła do polanki, gdzie jasne światło księżyca przesączało się przez baldachim z liści. Za miesiąc wszystkie liście opadną i ten gąszcz będzie dużo łatwiejszy do przebycia. Teraz jednak rozproszone światło zjawilo się niczym cud i Luet zamrugała.

Na polance stała kobieta.

- Ciocia Rasa - szepnęła Luet.

Skąd wiedziała, że ma tu przyjść? Czy Naddusza znów przemówiła do kogoś innego?

Ale to wcale nie była ciocia Rasa. Jak mogła się tak pomylić? To była Hushidh.

Nie. To nie była pomyłka. Teraz Hushidh zmieniła się w Eiadh, tę piękną dziewczynę z klasy Hushidh, w której biedny Nafai się zakochał. Ta postać też się przeobraziła - w aktorkę Lal, która cieszyła się wielką sławą za młodu; była siostrzenicą Rasy i kilka lat temu wróciła do jej domu, aby nauczać. Kiedyś twierdzono, że Dolina Lalek wzięła nazwę od jej imienia (choć nazywano ją tak od co najmniej dziesięciu tysięcy lat), taka piękna była Lal i tyle złamała serc; teraz jednak siostrzenica Rasy miała ponad dwadzieścia lat, a jej rysy, które - kiedy była dziewczyną - wzbudzały w kobietach macierzyńskie uczucia do niej i zachwycaly oczy mężczyzn, nie były takie zdumiewające u kobiety dojrzałej. Mimo to Luet oddałaby połowę życia, gdyby w jego drugiej połowie mogła być tak urocza i piękna jak Lal.

Dlaczego Naddusza ukazuje mi te kobiety?

Z Lal zjawia przeobraziła się w Shedemei, jeszcze jedną siostrzenicę Rasy. Shedya jednak była przeciwieństwem Lal i Eiadh. W wieku dwudziestu sześciu lat nadal pozostawała w domu cioci Rasy. Pomagała przekazywać starszym uczniom wiedzę w zakresie nauk ścisłych i zyskiwała coraz większe uznanie jako genetyk.

Sypiała przeważnie w oddalonym o wiele ulic laboratorium, a nie w swoim pokoju w domu Rasy, ale i tak ta kobieta o spokojnym usposobieniu miała tam mocną pozycję. Nie była urodziwa - im dłużej człowiek przyglądał się jej twarzy, tym mniej sympatyczna się wydawała. Jej umysł jednak przypominał magnes przyciągany do prawdy. Luet darzyła ją podziwem, ale wiedziała, że tak jak brakuje jej urody, by zrobić karierę Lal, tak brakuje jej rozumu, by rywalizować z Shedemei. Naddusza postanowiła ukazywać wizję osobie, która nie nadawała się do niczego innego.

Kobieta zniknęła. Luet pozostała sama na polance i znów odniosła wrażenie, jakby przed chwilą się obudziła.

Czy to był tylko sen, w rodzaju tych, które przychodzą, kiedy człowiek nawet nie wie, że śpi?

Za miejscem, w którym ukazywały się zjawy, dostrzegła pojedyncze światło. To musiało być na tarasie cioci Rasy. Może ciocia Rasa nie śpi i czeka na nią.

Dziewczynka zagłębiła się w zarośla. Nisko zwisające gałęzie uderzały ją mocno, kolce drapały jej ubranie i skórę, na nierównym podłożu potykała się i szła chwiejnie. Przez cały czas jednak to światło było jej drogowskazem. Zniknęło, dopiero gdy podeszła pod krawędź tarasu.

Taras wykonano w zwietrzałym bloku kamiennym, był gładki od samej podstawy do balustrady i nie zamocowano żadnych uchwytów do wspinaczki. A do tego mierzył co najmniej cztery metry wysokości od ziemi do górnej krawędzi. Nie było jak się tam wspiąć, w każdym razie nie bez przywołania służących. A jeśli nie miała innego wyboru, jak tylko zakłócić ciszę nocną w domu, to równie dobrze mogła pociągnąć za dzwonek przy frontowych drzwiach!

Zmuszona nierównościami terenu do kluczenia w lesie, w końcu zbliżyła się do domu Rasy prawie od południowej strony. Większa część frontonu tarasu była poza zasięgiem jej wzroku. Możliwe, że dom zbudowano z jakimś dojściem do lasu. Na pewno budowniczy zaprojektował dom z myślą nie tylko o samym widoku na Rozpadlinę.

Obchodząc zakrzywioną kamienną ścianę, wreszcie znalazła miejsce, gdzie pofałdowany teren wznosił się nieco wyżej, prawie na wysokość tarasu. I kiedy uniosła ręce, aby poszukać

jakiegoś uchwytu w szczelinach balustrady, zobaczyła Rasę i jej wyciągnięte ramiona.

Gdyby Luet była trochę większa, ciocia Rasa prawdopodobnie nie zdołałaby jej unieść; ale też gdyby była większa, wdrapałaby się bez pomocy.

Wreszcie siedziała na ławce, przytulona do cioci Rasy, bliska płaczu z ulgi i wyczerpania. Ciocia Rasa zadała jej oczywiste pytanie:

- Czemu poszłaś pod taras, zamiast wejść frontowymi drzwiami jak każdy inny uczeń wracający do domu po godzinach? Aż tak bardzo bałaś się reprimendy, że wolałaś ryzykować życie, spędzając noc w lesie?

Luet potrząsnęła głową.

- W lesie doznałam wizji. Ale może i tak bym jej doznała, więc okrażanie domu było prawdopodobnie głupotą z mojej strony.

Nie miała innego wyjścia, jak tylko opowiedzieć cioci Rasie o wszystkim, co się wydarzyło - o wizji, którą przedstawiła Nafaiowi; ostrzeżeniu o spisku na życie Wetchika; słowach świętej kobiety w ciemnym zaułku; i na koniec o wizji ukazującej Rasę oraz jej siostrzenicę.

-Nie mam pojęcia, co taka wizja może oznaczać - powiedziała Rasa. - Jeżeli Naddusza nie wyjaśniła tego tobie, w jaki sposób ja mam odgadnąć?

-Nie chcę niczego odgadywać - oświadczyła Luet. - Nie chcę już żadnych następnych wizji ani rozmów o wizjach. Jestem cała obolała i chcę spać.

-Naturalnie. Idź się położyć. Mnie i Wetchikowi pozostaw decyzję co do dalszych działań. O ile nie był na tyle głupi, by zdecydować, że jego honor wymaga, aby poszedł na spotkanie w chłodni.

Luet wpadła do głowy straszna myśl.

- Co się stanie, jeżeli Nafai mu nie powiedział?

Ciocia Rasa spojrzała na nią przenikliwym wzrokiem.

- Nafai miałby nie ostrzec swojego ojca o spisku na jego życie? Mówisz o moim synu!

Cóż mogło to znaczyć dla Luet, która nigdy nie знаła swojej matki i której ojcem mógł być każdy mężczyzna w mieście,

a przy tym najbardziej prawdopodobnymi kandydatami były największe bydlaki? Matka i syn - to pokrewieństwo nie robiło na niej większego wrażenia. W świecie fałszywych obietnic wszystko było możliwe.

Nie, to znużenie kazało jej nie ufać nikomu. Wątpiła w zdolność sądenia cioci Rasy, a nie tylko w lojalność Nafaia. Najwiśdoczniej jej umysł coś zaćmiło. Nie stawiała oporu, kiedy ciocia Rasa zaprowadziła ją po schodach do swojego pokoju i ułożyła na wielkim, miękkim łóżku pani domu, gdzie dziewczynka zasnęła natychmiast.

- Poza domem przez całą noc - powiedziała Hushidh.

Luet otworzyła jedno oko. Światło za oknem było oślepiające, lecz powietrze chłodne. Pełnia dnia, a ona dopiero się budziła.

-I nawet za grosz rozumu, żeby wejść przez frontowe drzwi.

-Nie zawsze polegam na rozumie - powiedziała cicho Luet.

-Tyle to ja już od dawna wiem - zadrwiła Hushidh. - Powinnaś była zabrać mnie ze sobą.

-Dwie osoby bardziej rzucają się w oczy niż jedna.

-Do domu Wetchika! Czy nie przyszło ci do głowy, że ja mogę znać drogę tam i z powrotem?

-Nie wiedziałam, że tam idę.

-Sama w nocy! Wszystko mogło się zdarzyć! I związałaś mi ręce tą głupią przysięgą, że nikomu nie powiem. Ciocia Rasa prawie obdarła mnie żywcem ze skóry, kiedy uświadomiła sobie, że musiałam wiedzieć o twoim wyjściu i nic jej nie powiedziałam.

-Nie bądź na mnie zła, Hushidh.

- W całym mieście wrze.

Luet nagle przeniknął strach.

-Nie, Hushidh, tylko mi nie mów, że popełniono morderstwo!

-Morderstwo? To mało prawdopodobne. Wetchik wyjechał, zabierając ze sobą synów, i Gaballufix twierdzi, że uciekł, ponieważ Gaballufix odkrył jego plan zamordowania go i Roptata na potajemnym spotkaniu, które Wetchik wyznaczył w swojej chłodni w pobliżu Bramy Muzycznej.

-To nieprawda!

-Cóż, wcale w to nie wierzę - rzekła Hushidh. - Opowiedziałam ci jedynie, co mówią ludzie Gaballufixa. Na ulicach roi się od jego żołnierzy.

-Jestem taka zmęczona, Hushidh, i nic nie mogę na to wszystko poradzić.

-Ciocia Rasa uważa, że możesz coś poradzić. Dlatego przyszła mnie, żebym cię obudziła.

-Naprawdę?

-Przecież znasz ją. Wysłała mnie dwa razy, żebym zobaczyła, „czy biedna Luet nadal zażywa odpoczynku, którego tak bardzo potrzebuje”. Za trzecim razem w końcu załapałam, że czeka, aż się obudzisz, ale nie ma serca, żeby kazać mi to zrobić.

-Jak to rozsądnie z twojej strony, że czytasz między wierszami, moja nieoceniona siostrze.

-Możesz później znów uciąć sobie drzemkę, moja słodka jak jagody siostrzyczko.

Tylko parę chwil zajęło Luet umycie się i ubranie, gdyż była jeszcze taka młoda, że ciocia Rasa nie wymagała od niej umiejętności układania sobie włosów i dobierania stroju tak, aby przed ludźmi prezentować się godnie i z wdziękiem. Jako dziecko mogła nie przejmować się swoją niezdarnością i wyglądem zewnętrznym, co oszczędzało jej wiele wysiłku.

Ciocia Rasa była w salonie z obcym mężczyzną.

-To jest Rashgallivak, moja droga Luet. Absolutnie lojalny i godny zaufania, tak przynajmniej zawsze twierdził mój ukochany partner.

-Przez całe życie służyłem w posiadłości Wetchika - powiedział Rashgallivak - i będę służyć aż do śmierci. Nie wywodzę się ze znamienitego rodu, niemniej należę do klanu Palwashantu.

Ciocia Rasa skinęła głową. Luet zastanawiała się, czy ma temu człowiekowi wierzyć, czy uważać jego słowa za fałsz; wydawało się jednak, że Rasa mu ufa, więc Luet też na razie obdarzyła go zaufaniem.

- Domyślam się, że to ty przekazałaś ostrzeżenie - powiedział Rashgallivak.

Luet spojrzała zaskoczona na ciocię Rasę.

- On nikomu nie powie - wyjaśniła ciocia Rasa. - Złożył przede mną przysięgę. Nie chcemy cię mieszać w politykę

morderstw, moja droga, ale Rash musiał się o tym dowiedzieć, aby nie pomyślał, że mój Wetchik postradał zmysły. Widzisz, Wetchik zostawił mu szczegółowe instrukcje, aby zrobił coś zupełnie szalonego.

-Żebym zwinął cały interes, zwolnił wszystkich pracowników z wyjątkiem garstki niezbędnych, sprzedał wszystkie zwierzęta juczne i zlikwidował zapasy - rzekł Rashgallivak. - Mam zatrzymać jedynie ziemię, budynki i aktywa płynne na nietykalnych rachunkach. To bardzo podejrzane, jeśli mój pan jest niewinny. Przynajmniej tak niektórzy mogliby powiedzieć. Tak mówią.

-Ledwie pół godziny po wyjeździe Wetchika Gaballufix jako głowa klanu Palwashantu zażądał, aby oddano mu cały majątek rodziny. Miał czelność mówić o moim partnerze, używając jego imienia nadanego mu przy urodzeniu - Volemak - jak gdyby Wetchik utracił prawo do tytułu rodowego.

-Jeżeli mój pan opuścił Basilikę na zawsze - powiedział Rashgallivak - to Gaballufix mógłby wkroczyć w jego prawa. Majątek nie może zostać nigdy ani sprzedany, ani odstąpiony nikomu spoza klanu Palwashantu.

-I próbuję przekonać Rashgallivaka, że twoje ostrzeżenie o spisku, a więc bezpośrednim niebezpieczeństwie, skłoniło Wetchika do ucieczki i zabrania ze sobą rodzinnej fortuny.

W czasie tej rozmowy Luet zrozumiała, jaki spoczywa na niej obowiązek.

- Rzeczywiście rozmawiałam z Nafaiem - zwróciła się do Rashgallivaka. - Ostrzegłam go, że Gaballufix zamierza zamordować Wetchika i Roptata, a przynajmniej tak sugerował mój sen.

Rashgallivak skinął powoli głową.

-To oczywiście nie wystarczy, żeby wnieść oskarżenie przeciwko Gaballufixowi. W Basilice nawet mężczyźni nie są sądzeni za czyny, które tylko zaplanowali, jeśli nie zostały urzeczywistnione. Jednak przekonuje to mnie wystarczająco, bym przeciwstawił się Gaballufixowi w próbach zagarnięcia majątku.

-Kiedyś był moim partnerem - powiedziała Rasa. - Znam Gaballufixa bardzo dobrze. Proponuję, abys podjął nadzwyczajne środki w celu ochrony fortuny, zwłaszcza aktywów płynnych.

- Pozostaną w rękach głowy domu Wetchików - zapewnił Rashgallivak. - Dziękuję pani. I tobie, mądra panienko.

Nie powiedział już nic więcej, od razu wyszedł. Zupełnie inaczej niż wytworni mężczyźni - artyści, naukowcy, członkowie rządu i finansisci - których Luet widywała w salonie cioci Rasy. Tamci zawsze ociągali się, aż ciocia Rasa musiała zmuszać ich do wyjścia, symulując zmęczenie lub udając, że ma pilne obowiązki w szkole - jak gdyby kadra nauczycielska nie była dość kompetentna, by poradzić sobie bez jej bezpośredniego nadzoru. Ale Rashgallivak należał do klasy społecznej, która nie mogła robić sobie nadziei na związek partnerski z osobą taką jak Rasa lub jej siostrzenice.

-Przykro mi, że nie pospałaś sobie dłużej - zwróciła się ciocia Rasa do Luet. - Ale cieszę się, że obudziłaś się w takiej dogodnej chwili.

-Przez zeszłą noc czułam się, jakbym chodziła we śnie, więc może dziś rano nie potrzebowałam długo wypoczywać.

-Zaraz wracaj do łóżka, ale najpierw muszę cię o coś zapytać.

-Jeżeli chodzi o coś, co nie jest związane z ostatnimi lekcjami, to nie będę znała odpowiedzi, proszę pani.

-Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

-Proszę nie wyobrażać sobie, że rozumiem cokolwiek, co ma związek z Nadduszą.

Luet wiedziała od razu, że odezwała się zbyt nonszalancko. Ciocia Rasa uniosła brwi, ale powstrzymała gniew i powiedziała łagodnym tonem:

- Czasami się zapominasz, moja droga. Udajesz, że nie poczytujesz sobie za specjalny honor, iż Nadduszą uczyniła z ciebie wieszczkę, a jednak mówisz do mnie z zuchwałością, na którą nie pozwoliłaby sobie żadna inna kobieta w tym mieście, obojętne, młoda czy stara. W co powinnam wierzyć: w twoje skromne słowa czy twoje dumne zachowanie?

Luet skłoniła głowę.

-W moje słowa, proszę pani. Moje zachowanie to skutek naturalnej dziecięcej niezgrabności.

-W te słowa najtrudniej uwierzyć - odparła ciocia Rasa ze śmiechem. - Chyba zaoszczędzę ci moich pytań. Idź spać,

ale tym razem do swojego łóżka. Obiecuję, że nikt nie będzie ci przeszkadzał.

Luet już wychodziła, kiedy do salonu wpadła młoda kobieta.

-Mamo, to obrzydliwość!

-Sevet, tak się cieszę, że cię widzę po tylu miesiącach, choć przychodzisz bez uprzedzenia i brak ci odrobiny grzeczności, by poczekać, dopóki nie zaproszę cię do siebie.

Sevet, najstarsza córka cioci Rasy. Luet widziała ją przedtem tylko jeden raz w życiu. Zgodnie z panującym zwyczajem Rasa nie nauczała własnych córek, lecz oddała je na wychowanie przyjaciółce, Dhelembuvex. Partnerem Sevet był młody uczony cieszący się pewną renomą, Vas, ale nie przeszkodziło to jej w karierze śpiewaczki zyskującej sobie coraz większe uznanie za umiejętność interpretowania pieśni żałobnych; cichych, smutnych pieśni o śmierci i stracie, które należały do pradawnej tradycji w Basilice. Teraz jednak w Sevet nie było nic żałobnego - mówiła ostrym tonem i była rozgniewana, lecz matka nie ustępowała jej pod tym względem. Luet postanowiła natychmiast wyjść, zanim usłyszy kolejne słowa, ale ciocia Rasa nie pozwoliła.

- Zostań, Luet. Myślę, że to będzie pouczające dla ciebie zobaczyć, w jak niewielkim stopniu ta moja córka upodabnia się do swojej matki czy swojej cioci Dhel.

Sevet rzuciła piorunujące spojrzenie na Luet,

-A co to ma znaczyć? Czy teraz przyjmujesz nędzarzy korzystających z filantropii?

-Jej matka była świętą kobietą, Sevyą. Przypuszczam, że może nawet słyszałaś imię Luet.

Sevet momentalnie oblała się rumieńcem.

- Przepraszam - powiedziała.

Luet nie miała pojęcia, jak zareagować, ponieważ rzeczywiście była nędzarką korzystającą z filantropii i nie wolno jej było okazać, że dotknęła ją obraźliwa uwaga.

Ciocia Rasa zaoszczędziła jej konieczności wymyślania właściwej odpowiedzi.

- Uznam, że te przeprosiny były skierowane do wszystkich i przez wszystkich zostały przyjęte. Teraz możemy zacząć bardziej kulturalną rozmowę.

-Przychodzę prosto od ojca.

-Z twojego grubiańskiego i obraźliwego zachowania wnoszę, że spędziłaś z nim co najmniej godzinę.

-Biedaczek pieni się ze złości. I jakże mogło być inaczej, skoro jego własna partnerka rozpowszechnia kłamstwa na jego temat!

-Zaiste, biedaczek - potwierdziła ciocia Rasa. - Dziwię się, że ta jego przybłęda ma odwagę występować przeciwko niemu lub jest na tyle rozgarnięta, by spreparować kłamstwo. Jakie rozpuszcza pogłoski?

-Miałam na myśli oczywiście ciebie, mamo, a nie jego obecną partnerkę. Nią nikt nie zaprzęta sobie głowy.

-Skoro zerwałam kontrakt z kochanym Gabyą piętnaście lat temu, to nie może uważać, że mam obowiązek taić prawdę o nim.

-Mamo, nie zachowuj się niezdolnie.

-Nigdy nie zachowuję się niezdolnie. Największą śmiałością, na jaką kiedykolwiek sobie pozwalam, jest ledwo znośne zachowanie.

-Jesteś matką dwóch córek ojca. Obie zyskałyśmy sobie niepoślednią sławę - jesteście moim najślawniejszym potomstwem, choć oczywiście mała Koya dopiero zaczyna karierę i nie ma jeszcze własnego myachika...

-Oszczędź mi proszę swojej rywalizacji z siostrą.

-To rywalizacja tylko z jej punktu widzenia, mamo. Ja nawet nie zwracam uwagi na fakt, że jej kariera śpiewaczki od samego początku rozwija się trochę niemrawo. Zawsze trudniej wybić się sopranowi lirycznemu - jest ich tak wiele, że trudno je rozpoznać, chyba że jest się kochającą, lojalną siostrą osoby obdarzonej takim sopranem.

-Tak, wszystkim moim dziewczynkom stawiam ciebie za wzór lojalności.

Sevet na chwilę się rozpromieniła, a potem uświadomiła sobie, że matka sobie z niej żartuje.

-Traktujesz mnie zbyt niegodziwie.

-Jeżeli twój ojciec przysłał cię, żebyś skłoniła mnie do wycofania tego, co powiedziałam o wydarzeniach dzisiejszego poranka, to możesz mu powiedzieć, że wiem z wiarygodnego źródła, co

planował, i jeżeli nie przestanie rozpowiadać ludziom, że Wetchik knuł zbrodnię, przedstawię dowody radzie i doprowadzę do jego wygnania.

-Nie mogę... tego nie mogę ojcu powiedzieć! - wykrzyknęła Sevet.

-Więc nie mów - powiedziała ciocia Rasa. - Sam się o tym dowie, kiedy to zrobię.

-Wygnać go? Wygnać ojca?!

-Gdybyś uczyła się więcej historii - choć kiedy się nad tym zastanawiam, to wątpię, czy Dhelya w ogóle cię czegoś nauczyła - wiedziałabyś, że im bardziej jakiś mężczyzna jest sławny i wpływowy, tym większe prawdopodobieństwo jego wygnania z Basiliki. To już się zdarzało i nadal będzie się zdarzać. Przecież to żołnierze Gabyi, a nie Wetchika czy Roptata, włóczą się po ulicach, udając, że ochraniają nas przed zbirami, którzy i tak prawdopodobnie zostali wynajęci przez Gabyę. Ludzi ucieszy jego odejście, a to oznacza, że uznają, iż warto uwierzyć we wszystkie przedstawione przeze mnie dowody.

Sevet spowaźniała.

-Ojciec może jest trochę skory do wściekłości i nieco podstępny w interesach, mamó, ale nie jest mordercą.

-Naturalnie, że nie jest mordercą. Wetchik wyjechał z Basiliki i Gabya nigdy nie odważyłby się zabić Roptata, nie mogąc zwinąć winy na mojego partnera. Choć myślę, że gdyby Gabya wiedział wtedy o ucieczce Wetchika, na pewno zabiłby Roptata zaraz po swoim przybyciu, a potem wykorzystałby pospieszny wyjazd Wetchika jako dowód, że morderstwa dokonał mój kochany partner.

-Robisz z ojca potwora. Dlaczego więc wybrałaś go kiedyś na partnera?

-Bo chciałam mieć córkę z nadzwyczajnym głosem i bez krzty zdolności dokonywania ocen moralnych. Powiodło się tak świetnie, że odnowiłam z nim kontrakt na drugi rok i urodziłam drugie dziecko. A potem zerwałam kontrakt.

Sevet parsknęła śmiechem.

-Mamo, wiesz, że umiem dokonywać ocen moralnych. I wszystkich innych. Poślubiłam Vasyę, a nie jakiegoś podrzęd nego aktora.

-Przestań robić aluzje do partnera, którego wybrała sobie twoja siostra - powiedziała ciocia Rasa. - Obring jest kochany, nawet jeśli nie ma w ogóle talentu i cienia szansy na to, że Koya urodzi mu dziecko, nie mówiąc już o odnowieniu kontraktu.

-Kochany - powtórzyła Sevet. - Będę musiała zapamiętać, co to słowo naprawdę oznacza, gdy mi to teraz wyjaśniłaś.

Wstała. Luet otworzyła jej drzwi. Ale ciocia Rasa zatrzymała córkę.

-Sevya, kochanie, może nadejść chwila, kiedy będziesz musiała wybierać między mną a swoim ojcem.

-Od dziecka oboje zmuszaliście mnie do tego wyboru co najmniej raz na miesiąc. Dotychczas udawało mi się umykać przed wami i zamierzam nadal tak robić.

Rasa klasnęła głośno - ostry trzask przypominał uderzenie kamienia o kamień.

-Posłuchaj mnie, dziecko. Znam twoje manewry i zarówno podziwiam cię za sposób, w jaki je przeprowadzałaś, jak i współczuję ci, że były konieczne. Próbuję ci tylko uzmysłwić, że wkrótce już nie będzie możliwości ich przeprowadzania. Nadszedł więc czas, abyś spojrzała na oboje swoich rodziców i zdecydowała, które zasługuje na twoją lojalność. Nie mówię: miłość, bo wiem, że kochasz nas oboje. Mówię: lojalność.

-Nie powinnaś rozmawiać ze mną w ten sposób, mamó. Nie jestem twoją uczennicą. I nawet gdyby udało ci się ojca wygnać, nadal nie oznaczałoby to, że muszę wybierać między wami.

-A gdyby twój ojciec przysłał żołnierzy lub tolczków, żeby mnie uciszyć? A gdyby poderznął mi gardło opłacony przez niego zabójca?

Sevet milczała przez chwilę.

-Wtedy miałabym wspaniałą pieśń żalobną do zaśpiewania, prawda?

-Jestem przekonana, że twój ojciec jest wrogiem Nadduszy, a także wrogiem Basiliki. Zastanów się nad tym poważnie, moja Sevet o smutnym głosie, bo kiedy nadejdzie dzień wyboru, nie będzie czasu na przemyślenia.

-Zawsze szanowałam cię za to, mamó, że nigdy nie próbowałaś ustawić mnie przeciwko ojcu, pomimo że obrzucał cię kalumniami. Przykro mi, że się zmieniłaś.

Sevet majestatycznym krokiem opuściła pokój. Nadal trochę oszołomiona brutalnością tej pozornie wytwornej rozmowy, Luet ociagała się z wyjściem.

- Luet - szepnęła ciocia Rasa.

Dziewczynka złąkla się w duchu jej łez.

-Luet, musisz mi powiedzieć. Co Naddusza chce nam zrobić? Jaki jest plan Nadduszy?

-Nie mam pojęcia.

-A gdybyś wiedziała, powiedziałaś mi?

-Oczywiście.

- Nawet gdyby Naddusza ci zabroniła?

Luet nie pomyślała o takiej ewentualności.

- No tak. - Ciocia Rasa uznała jej wahanie za odpowiedź.

- Naddusza nie wybiera słabych ani niełojalnych sług. Ale powiedz mi jedno, jeśli możesz: Czy to możliwe, że nie było w ogóle żadnego spisku na życie Wetchika? Że Naddusza przekażała ostrzeżenie tylko po to, by go skłonić do opuszczenia Basiliki? Myślałam o możliwości, iż jedynym zamiarem Nadduszy było pozbycie się Issiba i Nafaia. To ma sens, prawda? Przeszkadzali Nadduszy, tak absorbowali jej uwagę, że nie mogła rozmawiać z nikim oprócz nich. Czy nie jest możliwe, że ukazała ci wizję po to, aby wyjechali z miasta, ponieważ jej zagrażali?

W pierwszym odruchu Luet chciała krzyknąć, że to nieprawda, skarcić Rasę za to, że ośmiela się mówić tak świętokradczo o Nadduszy -jakby działała dla własnych korzyści.

Ale kiedy zastanowiła się nad tym rzeczowo, przypomniała sobie, z jakim zdziwieniem Hushidh opowiadała, jak uświadomiła sobie, że powodem milczenia Nadduszy mogli być Issib i Nafai. A jeżeli Naddusza uważała, że ci dwaj chłopcy przeszkadzają w kierowaniu i ochranianiu jej córek, to czy nie mogła próbować ich usunąć?

-Nie.

-Czy jesteś pewna?

-Nie jestem pewna niczego z wyjątkiem samej wizji - odparła Luet. - Wiem tylko, że Naddusza nigdy mnie nie oszukała. Wszystkie moje wizje były prawdziwe.

-Ale ta wizja byłaby prawdziwym narzędziem woli Nadduszy.

-Nie, to niemożliwe, ponieważ Nafai i Issib już przerwali swoją pracę. Nafai nawet poszedł się pomodlić...

-Słyszałam o tym, ale tak samo zrobił Mebbekew, syn Wetchika i tej nędznej kurewki Kilvishevex...

-Naddusza przemówiła do Nafaia i obudziła go, i kazała mu wyjść z domu, aby spotkał się ze mną w izbie dla podróżnych. Gdyby Naddusza chciała, aby Nafai siedział cicho, to powiedziałaaby mu, a on spełniłby jej polecenie. Nie, ciociu Raso, jestem pewna, że przesłanie było prawdziwe.

Ciocia Rasa skinęła głową.

- Wiedziałam, że jest prawdziwe. Po prostu byłoby...

-Prościej.

-Tak. - Uśmiechnęła się smutno. - Prościej, gdyby Gabal-lufix był taki niewinny, na jakiego pozuje. Ale to nie byłoby zgodne z jego charakterem. Czy wiesz, dlaczego zerwałam z nim kontrakt?

-Nie - odrzekła Luet.

I nie chciała wiedzieć; zgodnie z odwiecznym zwyczajem kobieta nigdy nie wyjawiała swoich powodów zerwania kontraktu z mężczyzną i pytania czy choćby spekulacje na ten temat uważano za skandaliczne pogwałcenie etykiety.

- Nie powinnam o tym mówić, ale musisz znać prawdę, aby wszystko zrozumieć.

Jestem dzieckiem, pomyślała Luet. Nigdy nie mówiłabyś o takich sprawach żadnej innej z twoich trzynastolatek. Nigdy *nie* powiedziałaabyś nawet swojej córce. Ale ja jestem wieszczką i dlatego wszystko się przede mną ujawnia, a jedyną zakazaną rzeczą dla mnie jest radość.

- Zerwałam z nim kontrakt, ponieważ dowiedziałam się, że on...

Luet zebrała siły, żeby wysłuchać jakiegoś okropieństwa, ale nie usłyszała żadnego wyjaśnienia.

- Nie, dziecko, nie. Tylko to, że Naddusza z tobą rozmawia, nie oznacza, że mam cię obarczać swoimi tajemnicami. Idź spać. Zapomnij o moich pytaniach, jeśli możesz. Znam mojego Wetchika. I znam też Gaballufixa. Znam obu na wylot. Przez wzgląd na córki pragnęłam doszukać się czegoś niemożliwego, jak na przykład niewinności Gabyi. - Zachichotała. - Jestem jak

dziecko, zawsze pragnę rzeczy niemożliwych. Tak jak w twojej wizji w lesie, zanim wciągnęłam cię na taras. Zobaczyłaś wszystkie moje bardzo błyskotliwe siostrzenice, jakby wyczytywano je na sądzie ostatecznym.

Błyskotliwe? Shedemei i Hushidh tak, ale Lal i Eiadh, te umalowane i świecące fałszywym blaskiem kobiety?

- Bardzo mnie ucieszyło, że Naddusza je zna i powiązała je ze mną i z tobą w wizji, którą ci ukazała. Ale gdzie były moje córki, Luty? Żałuję, że nie zobaczyłaś Sevyi i Koyi. Naprawdę żałuję... Czy jestem niemądra?

Tak.

-Nie.

- Powinnaś częściej kłamać, aby nabrać wprawy - powiedziała ciocia Rasa - Idź spać, moja słodka wieszczko.

Luet posłuchała Rasy, ale spała niewiele.

W ciągu następnych dni wrzenie w mieście wzrosło do takiego stopnia, że dalsze prowadzenie zajęć w domu cioci Rasy stało się prawie niemożliwe. Spowodowało też zniknięcie bardzo wielu dzieci, zwłaszcza z młodszych klas. Tylko kilkoro zabrano z domu Rasy z powodu niechęci rodziców do jej orientacji politycznej. Rodziny zabierały dzieci ze wszystkich szkół, obojętne, czy miesciły się one w wielkich czy pospolitych domach. Wiele rodzin nawet pozamykało swoje domy i powyjeżdżało na nie wiadomo jak długo w nieznane miejsca, przypuszczalnie aby poczekać, aż minie nadchodzący straszny dzień - obojętne, jaki by on był.

Luet bardzo zazdrościła Nafaiowi i Issibowi, że są bezpieczni w jakiejś odległej krainie i nie muszą żyć w ciągłym strachu w mieście, które od tak dawna znane było poetom jako Góra Pokoju.

Kiedy petycja o wygnanie Gaballufixa uzyskała poparcie w radzie, Gaballufix rozzuchwiał się i jego żołnierze na ulicach zaczęli poczynać sobie śmieiej. Było ich mnóstwo i skończyło się udawanie, że ochraniają obywateli przed tołczokami. Żołdacy zaczęli, kogo tylko chcieli, doprowadzając kobiety i dzieci do płaczu oraz bijąc mężczyzn, którzy ośmielali się głośno im odpowiadać.

- Czy on jest głupcem? - Hushidh zapytała kiedyś Luet. - Czy nie wie, że postęпки żołnierzy dostarczają jego wrogom kolejnych powodów, żeby go wygnąć?

-Musi o tym wiedzieć - stwierdziła Luet. - Co oznacza, że chce, by go wygnano.

-Niech więc stanie się to jak najszybciej. Nikt nie będzie po nim płakał.

Luet czekała na wizję od Nadduszy, na jakieś ostrzeżenie, które miałyby przekazać radzie. Zamiast tego doznała jedynie wizji, która stanowiła pocieszenie dla staruszki w dzielnicy Gaj Oliwny - zapewniała, że jej dawno utracony syn żyje i wraca do domu, jego statek niedługo zawinie do portu. Luet nie wiedziała, czy ma się czuć pokrzepiona tym, że Naddusza nadal wysłuchuje szczerych modlitw kobiet ze złamanym sercem, czy ma być zła, że zajmuje się takimi sprawami, zamiast ratować miasto.

W końcu nadeszła chwila, której obawiano się najbardziej. Zadzźwięczał dzwonek wejściowy i rozległo się walenie mocnymi pięściami do drzwi. W progu stało kilkunastu żołnierzy. Służąca, która otworzyła drzwi, wrzasnęła, i to nie tylko z powodu zjawienia się w tak niebezpiecznych czasach uzbrojonych mężczyzn. Luet jako jedna z pierwszych przybiegła do przerażonej służącej i zobaczyła, co ją tak bardzo przestraszyło. Wszyscy żołnierze mieli identyczne mundury, jednakowe zbroje i hełmy oraz wol-tażety - tego można się było spodziewać - ale pod tymi hełmami wszyscy mieli również identyczne twarze.

Do żołnierzy zwróciła się najstarsza siostrzenica Rasy, She-demei, genetyk.

-Nie macie tu żadnej sprawy do załatwienia. Nikt was tu nie prosił. Odejdźcie.

-Nie odejdę, dopóki nie zobaczę się z panią tego domu - odezwał się żołnierz stojący na czele oddziału.

- Ona też nie ma z wami żadnej sprawy do załatwienia. Wtedy zjawiła się ciocia Rasa i powiedziała głośno, wyrażając nie:

- Zamknijcie tym najemnikom drzwi przed nosem.

Dowódca wybuchnął śmiechem i sięgnął ręką do pasa.

W jednej chwili przeistoczył się z młodego żołnierza o martwym wyrazie twarzy w mężczyznę w średnim wieku z posiwiałą brodą i oślepiająco jasnymi oczyma, krępego, lecz nie brzuchatego, i nie w zbroi, lecz w eleganckim ubraniu. To był człowiek

z klasą i wpływami, który uważał tę całą sytuację za niezwykle zabawną.

-Gabya - powiedziała ciocia Rasa.

-Jak ci się podobają moje nowe zabawki? - zapytał Gaballufix, wchodząc długim krokiem do domu.

Kobiety, dziewczynki i chłopcy rozstąpili się, żeby zrobić mu przejście.

-To stare rekwizyty teatralne - wyjaśnił Gaballufix - nie-modne już od wielu stuleci. Zachowały się w zasobniku konserwującym w muzeum i maszyny produkcyjne jeszcze zdołały je skopiować. Nazywane są holokostiumami. Teraz mają je wszyscy moi żołnierze. Przypnę, że trudno ich rozróżnić, ale mam główny przełącznik, którym mogę ich wyłączać, kiedy chcę.

-Wyjdź z mojego domu - rozkazała Rasa.

-Nie chcę wychodzić. Chcę z tobą porozmawiać.

-Bez nich możesz rozmawiać ze mną w każdej chwili. Wiesz o tym, Gabya.

-Kiedyś wiedziałem. Prawdę mówiąc, o najszlachetniejsza z moich partnerek, moja niezapomniana kochanico, przewidywałem, że moi żołnierze wcale nie zrobią na tobie wrażenia. Chciałem ci tylko pokazać najnowszą modę. Wkrótce wszyscy najlepsi ludzie będą nosić holokostiumy.

-Tylko w trumnach - zadrwiła ciocia Rasa.

-Czy chcesz prowadzić tę rozmowę w obecności dzieci, czy przejdziemy na twój święty taras?

-Twoi żołnierze poczekają za drzwiami. Zamkniętymi na klucz.

-Jak sobie życzysz, o matko mojego duetu słodkich śpiewających ptaszków. Choć twoje drzwi, pomimo wszystkich zamków, nie stanowiłyby żadnej przeszkody, gdybym chciał, żeby moi ludzie tu weszli.

-Ludzie, którzy są pewni swojej siły, nie muszą się przechwalać - stwierdziła ciocia Rasa.

Poszła przodem, zagłębiając się w korytarz, a Shedemei zamknęła i zaryglowała frontowe drzwi przed żołnierzami.

Luet słyszała głosy cioci Rasy i Gaballufixa, nawet gdy skręcili za róg i zniknęli z pola widzenia.

- Nie muszę się przechwalać - powiedział Gaballufix. - Robię to dla czystej przyjemności.

Zamiast odpowiedzieć ciocia Rasa zawołała głośno:

- Luet! Hushidh! Chodźcie ze mną! Chcę mieć świadków.

Luet natychmiast ruszyła do przodu, Hushidh w jednej chwili znalazła się przy niej. Ponieważ zostały wezwane przez ciocię Rasę, nie pobiegły, lecz i tak szły krokiem dość żwawym, by nim dogoniły dorosłych, dosłyszeć szept Gaballufixa:

- Nie boję się twoich małych czarownic.

Oczywiście nie dały poznać po sobie, że to usłyszały.

Na tarasie Gaballufix nie udawał, że respektuje granicę wytyczoną przez parawany cioci Rasy. Podszedł wprost do balustrady i spojrzał na widok zakazany dla oczu mężczyzn. Ciocia Rasa nie poszła za nim, więc dziewczynki również pozostały za parawanem. W końcu Gaballufix wrócił do nich.

- Piękne jest to wasze święte jezioro - stwierdził.

- Już za sam ten postępek mógłbyś zostać wygnany - zauważyła ciocia Rasa.

Gaballufix parsknął śmiechem.

- Jak długo, twoim zdaniem, brzegów jeziora nie zabłocą buty mężczyzn, kiedy przyjdą tu Mokrogłowi? Czy pomyślałaś o tym? Czy Roptat i twój ukochany Volemak pomyśleli o tym? Mokrogłowi mają niewiele szacunku dla religii kobiet.

- Jeszcze mniej niż ty?

Gaballufix przewrócił oczami.

- Gdyby Roptat i Volemak postawili na swoim, to miasto należałoby do Mokrogłowych, a dla nich widok z tego tarasu nie byłby widokiem na świętą ziemię - wszystko byłoby właścnością miasta: niezagospodarowana ziemia, potencjalne terytorium pod zabudowę i parki łowieckie oraz nadzwyczajne jezioro, w którym o każdej porze roku można się kąpać zarówno w gorącej, jak i zimnej wodzie.

Luet była zdumiona, że aż tyle wiedział na temat jeziora. Jakaż kobieta aż tak się zapomniała, by rozpowiadać o świętym miejscu?

Ciocia Rasa jednak nie skomentowała niestosowności jego słów.

-Sprowadzenie Mokrogłowych to plan Roptata. Wetchik i ja opowiadamy się jedynie za utrzymaniem odwiecznej neutralności.

-Neutralności! Wierzą w to tylko głupcy i dzieci. Nie ma neutralności, gdy następuje zderzenie wielkich potęg!

-Naddusza zapewnia neutralność i pokój - powiedziała ciocia Rasa ze spokojem. - Ma dość mocy, by odwrócić uwagę naszych wrogów, tak aby w ogóle nas nie dostrzegali.

-Mocy? Zgoda, może ten Naddusza ma jakąś moc. Ale nie widziałem jeszcze dowodu na to, żeby chronił biedne, niewinne miasta przed zniszczeniem. Jak doszło do tego, że ja sam jestem orędownikiem Basiliki, jedyną osobą, która widzi, że bezpieczeństwo zapewnia jedynie sojusz z Potokgavanem?

-Zachowaj patriotyczne przemowy dla rady, Gabya. Ze mną bądź szczerzy. Wozy dały ci okazję do łatwego zarobku. A jeżeli chodzi o wojnę - wiesz o niej niewiele. Wydaje ci się, że staniesz u boku potężnej armii Potokgavana i odpędzisz Mokrogłowych, a twoje imię na zawsze zapisze się w pamięci. Ale ja ci mówię, że kiedy stawisz czoło wrogowi, będziesz sam. Przy tobie nie będzie żadnego Potoku. A kiedy upadniesz, ludzie zapomną o tobie jak o pogodzie z zeszłego tygodnia.

-Ta burza, moja droga partnerko zrywająca kontrakty, ma nazwę i będzie pamiętana.

-Tylko z powodu zniszczeń, które sprowadzisz, Gabya. Kiedy Basilika stanie w płomieniach, wszystkie języki ognia będą nosiły piętno Gaballuffixa, a w przedśmiertnym przekleństwie każdego padającego obywatela znajdzie się twoje imię.

-I kto teraz robi z siebie proroka? - powiedział Gaballuffix. - Zachowaj swoją poetykę dla tych, którzy drżą na myśl o Nadduszy. A jeżeli chodzi o wygnanie - czy się uda, czy nie, to bez różnicy.

-To znaczy, że nie zamierzasz usłuchać rady?

-Ja? Miałbym nie usłuchać rady? To nie do pomyślenia. Nikt mnie nie znajdzie w mieście po wygnaniu, możesz być tego pewna.

Mówiąc te słowa, wyciągnął rękę i włączył swój holoko-stium. Od razu przywdział iluzyjną zbroję, a jego twarz przybrała maskę groźnego żołnierza podobnego do setek innych, których

wyposażył w to samo urządzenie. Luet wtedy domyśliła się, że Gaballufix nie ma zamiaru podporządkować się wyrokowi skazującemu go na wygnanie. Po prostu użyje najdoskonalszego z przebrań, aby nikt nie mógł go zidentyfikować. Pozostanie w mieście, robiąc, co mu się żywnie spodoba, bezkarnie ignorując uchwały rady. Wtedy jedyny sposób na wyzwolenie miasta spod jego rządów nie będzie natury politycznej. Będzie nim wojna domowa, a ulicami popłynie krew.

Luet widziała po wyrazie oczu cioci Rasy, że jej pani rozumiała to wszystko. Patrzyła nieruchomym wzrokiem w puste oczy z holokostiumu. Nic nie powiedziała, kiedy Gaballufix odwrócił się i wyszedł; właściwie nie odezwała się słowem aż do chwili, kiedy Luet chwyciła Hushidh za rękę i razem poszły na skraj tarasu, żeby spojrzeć na Dolinę Kobiet.

- Już nic ich nie łączy - powiedziała Hushidh. - Widziałam, jak to się rozpadło, ostatnia więź miłości czy choćby nawet troski o siebie. Gdyby umarł dziś wieczorem, byłaby zadowolona.

Luet wydawało się to najstraszniejszą z tragedii. Kiedyś tych dwoje łączyła miłość, mieli ze sobą dwoje dzieci, a jednak, zaledwie piętnaście lat później, ostatnia więź między nimi została zerwana. Wszystko przepadło, wszystko minęło. Nic nie trwa wiecznie, nic. Nawet ten liczący sobie czterdzieści milionów lat świat, który Naddusza zakonserwowała jakby w lodzie, nawet on stopi się w ogniu. Stałość była zawsze złudzeniem, a miłość jedynie przebraniem, które kochankowie przywdziewali, aby przez jakiś czas ukrywać przed sobą nawzajem śmierć swojego związku.

Namioty

Uchodźcy stawiali namioty z dala od dróg, w wąskiej dolinie rzecznej niedaleko wybrzeża morza Rumen. Dotarli tam o zachodzie słońca, akurat kiedy stado pawianów oddaliło się od żerowiska przy ujściu rzeki do swych wnek do spania w stromej ścianie doliny. Krzykami i wyciem pawianów kierowali się wędrowcy na ostatnim etapie podróży; Elemak uważał, by nie zbliżali się do małp.

-Żebyśmy im nie przeszkadzali? - zapytał Issib.

-Żeby nie zapaskudziły nam wody i nie rozkradły jedzenia - odparł Elemak.

-Spójrzcie! - zawołał ojciec, zanim pozwolił im rozjuczyć i napoić wielbłądy, zanim cokolwiek zjedli lub wypili. - Koniec pory suchej, a w strumieniu jest woda. Od teraz to miejsce nazywa się Elemak. Daję mu imię po tobie, mój najstarszy synu. Bądź jak ta rzeka, aby celem twojego życia było ciągle płynąć w kierunku wielkiego oceanu Nadduszy.

Nafai zerknął na Elemaka i dostrzegł, że brat słucha tej przemowy z godnością. Była to święta chwila, nadawanie nazwy miejscu, i choć ojciec wtrącił przy tej okazji kazanie, Elemak wiedział, że to zaszczyt, oznaka, że ojciec go uznaje.

- A tę zieloną dolinę - ciągnął ojciec - nazywam Mebbekew, od mojego drugiego syna. Bądź jak ta dolina, Mebbekewie, wąwóz, którym mogą płynąć wody życia i gdzie życie może się zakorzenić i kwitnąć.

Mebbekew z szacunkiem skłonił głowę.

Nic nie zostało nazwane imieniem Issiba i Nafaia. Długo panowała cisza. Potem zsiadli z wielbłądów. Już dawno minęła północ, kiedy w końcu rozbili namioty, wymietli skorpiony i porozmieszczali środki odpędzające owady. Trzy namioty - największy dla ojca, choć Wetchik zajmował go w pojedynkę. Drugi pod względem wielkości namiot był dla Elyi i Meba, a najmniejszy przypadł Issibowi i Nafaiovi, mimo że krzesło Issiba zajmowało wiele miejsca w środku.

Nafai uważał to za niesprawiedliwe i kiedy w ciemnościach namiotu Issib zapytał go, o czym myśli, bez wahania wyraził swoje oburzenie.

-Nadaje rzece i dolinie ich imiona! Przecież Elemak współpracował z Gaballufixem, a Mebbekew powiedział mu te wszystkie straszne słowa, odszedł z domu i tak dalej.

-Do czego zmierzasz? - podchwycił Issib, jak zawsze współczujący.

-Dostaliśmy najmniejszy namiot. Mamy dwa zapasowe, nierozpakowane, oba większe od tego.

Rozebrawszy się, Nafai pomógł Issibowi zdjąć ubranie - bez lewiterów była to zbyt trudna czynność dla niepełnosprawnego chłopca.

-Tak zdecydował ojciec - wyjaśnił Issib.

-Tak, słyszę wciąż jego słowa i wcale mi się nie podobają. Ojciec mówi: Issibie i Nafaiu, jesteście zerem.

-A co miał zrobić, nadać chmurze nasze imiona? - Issib umilkł na chwilę, kiedy Nafai ściągał mu koszulę przez głowę. - A może chciałeś, żeby nazwał jakiś krzak twoim imieniem?

-Nie obchodzi mnie dawanie nazw, obchodzi mnie sprawiedliwość.

-Spójrz na sprawę obiektywnie, Nafaiu. Ojciec nie zamierza klasyfikować swoich dzieci według tego, które z nich jest w danej chwili najbardziej posłuszne, pomocne lub grzeczne. Przydział namiotów jest wyraźnie związany z hierarchią.

Nafai ułożył brata na macie, jak najdalej od wejścia.

- To, że Elya nie ma całego namiotu dla siebie, lecz dzie li go z Mebem - mówił dalej Issib - pokazuje mu, gdzie jego miejsce, przypomina mu, że nie jest Wetchikiem, tylko synem

Wetchika. Przydzielenie nam takiego małego namiotu pokazuje Elyi i Mebowi, że ojciec ceni i szanuje ich jako swoich najstarszych synów. Ojciec jednocześnie karci ich i zachęca. Uważam, że postąpił dość zręcznie.

Nafai położył się na macie w pobliżu drzwi, zajmując tradycyjne miejsce służącego.

-A co z nami? - zapytał Nafai.

-Jak to co? Czy zamierzasz zbuntować się przeciwko Nadduszy, ponieważ tatuś dał ci małej namiot?

-Nie.

-Ojciec wierzy w naszą lojalność, natomiast pracuje nad Elyą i Mebem. Nie ma większego zaszczytu od zaufania ojca. Jestem dumny, że dostałem ten namiot.

-Kiedy ujmujesz to w taki sposób - powiedział Nafai - to ja też jestem z tego dumny.

-Śpij.

-Obudź mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

-Czego mogę potrzebować, skoro mam obok moje krzesło?

Krzesło stało przy jego stopach i było prawie zupełnie bezużyteczne, kiedy na nim nie siedział. Nafai był zaskoczony przez chwilę, dopóki nie zrozumiał, że Issib dał mu małego prztyczka: dlaczego ty narzekasz, Nafaiu, kiedy przebywanie z dala od pola magnetycznego Basiliki oznacza, że nie mogę korzystać z lewiterów i trzeba mnie doglądać jak niemowlaka? To musi być upokarzające dla Issiba, że ja go rozbieram, pomyślał Nafai. A jednak znosi to bez utyskiwań przez wzgląd na ojca.

W środku nocy Nafai obudził się, momentalnie czujny. Leżał i nasłuchiwał. Czy Issib go zawołał? Nie, brat nadal spał, oddychając ciężko i miarowo. Czy zatem obudził się, ponieważ było mu niewygodnie? Nie, piasek pod matą sprawiał, że podłóżę było bardziej miękkie od podłogi w jego pokoju w domu. Powodem nie było też ani zimno, ani wycie dzikiego psa w oddali, ani pawiany, gdyż zwierzęta nie robiły żadnego hałasu.

Ostatnim razem, kiedy przebudził się w podobny sposób, znalazł Luet w izbie dla podróżnych, a Naddusza przemówił w nocy do ojca.

Czy zatem śniłem? - zastanawiał się. Czy Naddusza mnie we śnie pouczał? Ale nie mógł przypomnieć sobie żadnych snów. Tylko nagłe przebudzenie.

Wstał z maty - po cichu, żeby nie przeszkadzać Issyi - i wyslizgnął się z namiotu pod przesłaniającą drzwi moskitierą. Na zewnątrz było oczywiście chłodniej niż w namiocie, ale zawędrowali dość daleko na południe, dokąd jesień nie zdążyła jeszcze dotrzeć, a wody morza Rumen były znacznie cieplejsze i spokojniejsze od oceanu, w którego pobliżu leżała Basilika.

Wielbłądy spały spokojnie w prowizorycznej zagrodzie. Czujniki odstraszały nawet najmniejsze zwierzęta, które się jeszcze nie uodporniły na częstotliwości dźwięku i feromony emitowane przez te urządzenia. Strumień wygrywał synkopowaną muzykę na skałach. Liście na drzewach szeleściły na nocnym wietrze. Jeżeli gdziekolwiek na Harmonii człowiek może spać spokojnie, to właśnie tutaj, pomyślał Nafai. A jednak ja nie mogłem spać.

Poszedł w górę strumienia i usiadł na kamieniu. Wietrzyk był dość chłodny. Przez chwilę Nafai żałował, że się nie ubrał, ale nie zamierzał już wstawać. Wkrótce wróci do namiotu.

Rozejrzał się po niskich, niezbyt odległych wzgórzach. To, że znajdowała się tu nawodniona dolina, można było zobaczyć, tylko stojąc na którymś z tych wzgórz. Jednak dziwił fakt, że nikt tu nie mieszkał oprócz stada pawianów. Nigdzie nie było żadnych oznak osadnictwa. Może tego terenu nie zasiedlono, bo znajdował się daleko od wszystkich szlaków handlowych. Ziemi tutaj wystarczyłoby zaledwie na utrzymanie kilkudziesięciu ludzi. Osiedlenie się w tej okolicy oznaczałoby trudne i samotne życie. Rabusie mogliby się tu ukrywać, ale było zbyt daleko od szlaków karawan. Właśnie takiego miejsca potrzebowała rodzina ojca w czasie wygnania z Basiliki. Jak gdyby przygotowano je specjalnie dla nich.

Na chwilę przyszło mu do głowy, że może ta dolina wcale nie istniała, dopóki jej nie potrzebowali. Czy Naddusza był aż tak potężny, że mógł przekształcać ląd według własnej woli? Niemożliwe! Naddusza mógł posiadać taką moc w mitach i legendach, ale w rzeczywistości działał tylko przepływem informacji: rozpowszechniał dzieła sztuki na świecie i wywierał wpływ na umysły

- wizjami lub otepianiem myśli, dzięki czemu odwracał uwagę ludzi od zakazanych tematów.

To dlatego nikt tutaj nie mieszkał przed naszym przybyciem, pomyślał Nafai. Dla Nadduszy byłoby łatwe otumanić pustynnych wędrowców za każdym razem, kiedy pomyśleliby o skierowaniu się ku morzu Rumen w te okolice. Naddusza przygotował je dla nas nie przez stworzenie go ze skały, nie przez otwarcie źródła tryskającego z jakiegoś ukrytego zbiornika wodnego, lecz przez odciąganie innych ludzi od tego miejsca po to, aby było puste i gotowe w chwili naszego przybycia.

Naddusza ma w tym jakiś wielki cel, plany w planach. Słuchamy jego głosu, interpretujemy wizje, ale wciąż jesteśmy marionetkami, niepewni, do czego doprowadzi nasz taniec. Tak nie powinno być. To nie jest nawet dobre, bo jeśli stronnicy Nadduszy są utrzymywani w stanie niewiedzy i nie mogą sami ocenić jego celu, to nie mają swobodnego wyboru między dobrem a złem lub między mądrością a głupotą, mogą jedynie postanowić mu służyć. Jak można skutecznie służyć Nadduszy, jeżeli wszyscy jego stronnicy są słabi i naiwni, chcą słuchać go bez zrozumienia?

Będę ci służyć, Nadduszo, całym sercem będę ci służyć, jeśli zrozumiesz, czego usiłujesz dokonać, co to oznacza. I jeżeli twój cel jest szlachetny.

Kim jestem, by oceniać, co jest szlachetne, a co nie? - przyszło Nafaiowi do głowy i roześmiał się w duchu z własnej arogancji. Kim jestem, by stawiać się w roli sędziego Nadduszy?

Wzdrygnął się. Co nasunęło mi taką myśl? Czy sam Naddusza próbuje mnie w ten sposób okiełznać? Nie dam się wziąć na wędzidło, tylko przekonać. Nie pozwolę, aby mnie zmuszono, poprowadzono na oślep, oszukano - zgadzam się jedynie na to, aby mnie przekonano. Jeżeli nie ufasz dostatecznie we własną dobroć, by mi wyjawić, co usiłujesz zrobić, Nadduszo, to przyznajesz się do własnej słabości moralnej, i nigdy nie będę ci służyć.

Światło księżyca pobłyskujące na zmieniającej się powierzchni strumienia nagle przemieniło się w światło słoneczne odbite od metalowych satelitów krążących nieustannie wokół planety Harmonia. Oczami duszy Nafai zobaczył, jak satelity jeden po

drugim chwieją się na swoich orbitach i spadają, płonąc przy wchodzeniu w atmosferę. Pierwsi ludzie osiedlający się na tym świecie zbudowali narzędzia, których trwałość wynosiła dziesięć do dwudziestu milionów lat. Dla nich ten okres, wielokrotnie dłuższy od istnienia ludzkiego gatunku, wydawał się wiecznością. Teraz jednak minęło już czterdzieści milionów lat i Naddusza musiał wykonywać swoją pracę, mając jedną czwartą satelitów, które posiadał na początku, zaledwie połowę tego, co miał przez pierwsze trzydzieści milionów lat. Nic dziwnego, że osłabł.

Ale jego plany wcale nie były mniej ważne. Jego celowi nadal trzeba było służyć. Issib i Nafai mieli rację - pierwsi osadnicy umieścili Nadduszę na obecnym miejscu tylko w jednym celu: aby stworzyć z Harmonii świat, gdzie ludzkość nigdy nie będzie zdolna się zniszczyć.

Czy nie byłoby lepiej zmienić ludzkość tak, aby już nie pragnęła się zniszczyć? - pomyślał Nafai.

Odpowiedź pojawiła się w jego umyśle z taką wyrazistością, iż wiedział, że to odpowiedź Nadduszy.

Nie, nie byłoby lepiej.

Dlaczego? - zapytał Nafai.

Wiele odpowiedzi w jednej chwili zalało jego umysł taką falą, że nie potrafił wyłowić z nich sensu. Ale w następnych chwilach, wraz z narastającym zrozumieniem, niektóre idee uformowały się w zdania tak wyraźne, jakby wypowiedziano je na głos. Ale to nie był głos kogoś obcego, lecz jego własny, który dość nieporadnie usiłował znaleźć słowa na rozproszone szczątki tego, co powiedział Naddusza.

Treść była następująca: Gdybym pozbawił ludzi skłonności do przemocy, ludzkość przestałaby być ludzkością. Nie znaczy to, że do człowieczeństwa potrzebne jest istotom ludzkim stosowanie przemocy, ale jeżeli człowiek kiedykolwiek ma stracić wolę kontrolowania, wolę niszczenia, musi to nastąpić dlatego, że sam tak zdecyduje. Moim zadaniem nie było zmuszenie was do łagodności i życzliwości, lecz utrzymanie was przy życiu, gdy będziecie sami decydować, jakimi ludźmi chcecie być.

Nafai bał się zadać kolejne pytanie z obawy, że utonie w powodzi, która może w następnej chwili zalać jego umysł. A jednak nie mógł go nie postawić.

Powiedz mi powoli. Powiedz mi delikatnie. Ale powiedz mi: co zdecydowaliśmy?

Ku jego uldze odpowiedź nie była zalewem czystej, niemożliwej do wyrażenia słowami idei. Tym razem odniósł wrażenie, jakby w jego umyśle otworzyło się okno, przez które ujrzał sceny i twarze znane z widzenia lub ze słyszenia, które już tkwiły w jego umyśle, gotowe na to, by Naddusza odwoływał się do nich. Lecz teraz objawiły mu się z taką wyrazistością, że nabrały mocy i znaczenia wykraczającego poza wszystko, czego dotychczas doświadczył. W jego pamięci odżyły wspomnienia transakcji handlowych, których był świadkiem. Zobaczył sztuki i satyry, które kiedyś obejrzał. Rozmowy na ulicy. Gwałt na świętej kobiecie dokonywany przez zgraję pijanych czcicieli. Intrygi mężczyzn usiłujących wygrać kontrakt na partnerstwo z powszechnie szanowaną kobietą. Niezamierzone okrucieństwo kobiet, które rozbudzały rywalizację między swoimi zalotnikami. Nawet sposób, w jaki Elemak i Mebbekew traktowali Nafaia - i sposób, w jaki on traktował ich. To wszystko świadczyło o skłonności ludzi do zadawania sobie nawzajem bólu, o gorącej namietności, o pragnieniu kontrolowania myśli i poczynañ innych. Tak wielu próbowało skrycie i subtelnie zniszczyć innych ludzi - i nie tylko swoich wrogów, lecz również przyjaciół. Niszczenie dla przyjemności, jedynie po to, by wiedzieć, że ma się moc zadawania bólu. I tak niewielu poświęcało życie budowaniu siły i pewności siebie innych ludzi. Tak niewielu było prawdziwych nauczycieli, szczerych partnerów.

Tacy są właśnie ojciec i matka, pomyślał Nafai. Pozostają ze sobą nie z powodu chęci jakichkolwiek zysków, lecz z powodu daru. Ojciec związał się z matką nie dlatego, że ona jest dobra dla niego, lecz ze względu na to, że razem mogą zrobić dużo dobrego dla nas i dla wielu innych. Ojciec w ostatnich tygodniach zainteresował się polityką Basiliki nie z tego powodu, że ma nadzieję coś na tym zyskać, tak jak Gaballufix, lecz autentycznie troszczy się bardziej o dobro miasta niż o własną fortunę, niż o własne życie. Mógł odstąpić swój majątek bez żalu. A matka spełnia się w tym, co zaszczepia w umysłach swoich uczniów. Poprzez wychowanków próbuje stworzyć jutrzejszą Basilikę. Każde jej słowo wypowiedane w szkole ma na celu powstrzymanie miasta przed ruiną.

A jednak przegrywają. To im się wymyka z rąk. Naddusza pomógłby im, gdyby mógł, ale już nie ma ani takiej mocy, ani takiego wpływu jak dawniej; a poza tym nie ma swobody działania i nie może sprawić, by ludzie mieli dobre serce, jest w stanie jedynie utrzymać ich złośliwość w dość ciasnych granicach. Złość i złośliwość - to była krew żywotna dzisiejszej Basiliki; Gaballufix to tylko człowiek, który przypadkowo najlepiej wyraża istotę trującego serca miasta. Nawet ci, którzy nienawidzą i zwalczają Gaballufixa, na ogół też to wyrażają, nie dlatego że oni są dobrzy, a on zły, lecz oburza ich uzyskiwanie przez niego dominacji, podczas gdy sami mieli na nią nadzieję.

Pomógłbym, powiedział cichy głos Nadduszy w umyśle Nafai. Pomógłbym dobrym ludziom w Basilice, ale jest ich za mało. Wolą miasta jest zniszczenie. Jak zatem mogę ochronić Basilikę przed zniszczeniem? Jeżeli plany Gaballufixa spełzną na niczym, Basilika wychowa kogoś innego, kto pomoże jej w samounicestwie. Ogień nadejdzie, ponieważ miasto bardzo tego chce. Zbyt mało jest tych, którzy kochają żywe miasto, a nie pragną żywić się jego zwłokami.

Nafai zapłakał. Nie rozumiałem. Nigdy nie widziałem miasta w takim świetle.

Bo jesteś synem swojej matki, spadkobiercą swojego ojca. Jak wszystkie istoty ludzkie zakładasz, że pod maskami swych twarzy inni ludzie są podobni do ciebie. Ale nie zawsze tak jest. Niektórzy widzą szczęście innych i chcą je zniszczyć, widzą więzi miłości między przyjaciółmi lub partnerami i chcą je zerwać. A wielu, którzy z natury nie są złośliwi, staje się ich narzędziami w nadziei krótkoterminowych zysków. Ludzie utracili swoją wizję. A ja nie mam mocy, by ją przywrócić. Jedyne co pozostało, Nafaiu, to moja pamięć Ziemi.

- Opowiedz mi o Ziemi - szepnął Nafai.

W jego umyśle ponownie otworzyło się okno, tylko że teraz nie na jego wspomnienia. Zobaczył rzeczy, których nie widział nigdy przedtem. To go przytłoczyło; nie potrafił pojąć, co ujrzał. Jaskrawe trumny ze szkła i metalu pędzące szosami przypominającymi szare wstęgi. Masywne metalowe domy wzlatujące w powietrze i prześlizgujące się po niebie na cienkich, słabych płatach o profilu klina, wykonanych z pomalowanej stali.

Wysokie, wielościenne budynki z lustrzanymi powierzchniami, w których odbijały się inne budowle oraz światło słoneczne. A między nimi chałupy z papieru i odpadków metalu, gdzie rodzice patrzyli na swoje martwe dzieci z rozdętymi brzuskami. Ludzie ciskający w siebie ognistymi kulami lub wielkie płomienie buchające z węzów. I zupełnie niezrozumiałe - jeden z latających domów przeleciał nad jakimś miastem i upuścił coś, co wydawało się mało znaczące jak łajno, tylko że nagle wybuchnęło i przemieniło się w kulę ognia jasną jak słońce i miasto pod tą kulą się rozpadło, a gruz spłonął. Ludzie siedzieli przy ogromnym stole zastawionym jedzeniem i obżerali się, a potem wymiotowali na obdartych żebraków przywierających beznadziejnie do nóg ich krzeseł. Niewątpliwie ta wizja nie była dosłowna, lecz metaforyczna. Z pewnością nikt nigdy nie byłby aż tak moralnie zepsuty, aby jeść więcej, niż mu potrzeba, podczas gdy inni umieraliby z głodu na jego oczach! Na pewno każdy, kto potrafiłby wymyślić sposób na to, by na niebie buchnął taki płomień, że zniszczy całe miasto w jednej chwili, prędzej by popełnił samobójstwo, niż wyjawiał komukolwiek straszną tajemnicę takiej broni.

- Czy to jest Ziemia? - szepnął Nafai do Nadduszy. - Taka piękna i potworna? Czy tacy byliśmy?

Tak, nadeszła odpowiedź. Tacy byliście i tacy znów będziecie, jeśli nie zdołam powtórnie uczulić świata na mój głos. W Basilice jest wielu, którzy najadają się do syta, a potem jedzą jeszcze więcej, chociaż wiedzą, jak wielu ma za mało. Głód panuje zaledwie trzysta kilometrów na północ od miasta.

- Moglibyśmy zawieźć tam jedzenie wozami - zaproponował Nafai.

GoRayni mają takie wozy. Zawożą tam jedzenie, ale dla żołnierzy, którzy przyszli podbić spustoszoną przez głód krainę. Dopiero kiedy zmusili ludzi do uległości i zniszczyli ich rząd, przywieźli żywność. To były pomyje, jakimi karmić można świnie. A świnie się karmi, żeby później słyszeć, jak skwierczą w ogniu.

Wizje ukazywały się dalej - w tamtej chwili wydawało się, że ciągnie się to godzinami, choć później Nafai uświadomił sobie, że nie mogło trwać dłużej niż kilka minut. Coraz więcej wspomnień

z Ziemi, coraz bardziej niepokojące zachowanie ludzi, coraz dziwniejsze maszyny. Aż pojawił się wielki ogień - i z dymu, lodu oraz popiołów, które pozostały, wzniosły się statki kosmiczne.

Uciekli, ponieważ zniszczyli swój świat, domyślił się Nafai.

Nie, zaprzeczył Naddusza. Uciekli, ponieważ pragnęli zacząć jeszcze raz. Przynajmniej ci, którzy przywędrowali na Harmonię. Przybyli nie dlatego, że Ziemia już się dla nich nie nadawała, lecz uważali, iż oni już się nie nadają dla Ziemi. Miliardy umarły, ale nadal było na Ziemi dość zasobów, by kilkaset tysięcy ludzi przeżyło. Nie mogli jednak znieść życia na planecie, którą zniszczyli. Wyjedziemy, powiedzieli sobie, a świat sam będzie się leczył. Podczas naszego wygnania my również nauczymy się, jak siebie uleczyć, i kiedy wrócimy, będziemy godni odziedziczyć krainę, w której się urodziliśmy, i dbać o nią.

Tak więc stworzyli Nadduszę i przywieźli go ze sobą na Harmonię. Dali mu setki satelitów, które miały być jego oczami, jego głosem; zmienili własne geny, aby uzyskać zdolność odbierania jego głosu; przekazali Nadduszy wspomnienia Ziemi i pozostawili go, aby pilnował ich dzieci przez następne dwadzieścia milionów lat.

W ciągu tego czasu, powiedzieli sobie, nasze dzieci z pewnością się nauczą, jak żyć wspólnie w harmonii. Urzeczywistnią nazwę tej planety w swoim życiu. A pod koniec tego okresu Naddusza będzie wiedzieć, jak ich sprowadzić do domu, tam gdzie czeka na nich Opiekun Ziemi.

- Ale my nie jesteśmy gotowi - powiedział Nafai. - Minęło dwa razy tyle czasu, a my jesteśmy tacy źli jak zawsze, tyle że powstrzymywałeś nas od wynalezienia środków dość potężnych, by zamienić całe życie tej planety w popioły i lód.

Naddusza zrodził w umyśle Nafaia następną myśl:

Teraz Opiekun już na pewno wykonał swoje zadanie. Ziemia jest gotowa na nasz powrót, ale ludzie z Harmonii nie są jeszcze przygotowani, by tam pojechać. Przez te wszystkie wieki przechowywałem całą wiedzę Ziemi, czekając, aby wam powiedzieć, jak zbudować domy, które latają, statki kosmiczne, które zawiozą was do domu, do świata, gdzie się urodziliście; ale nie śmiem was tego nauczyć, ponieważ wykorzystalibyście tę wiedzę, by uciskać innych, a w końcu unicestwić się nawzajem.

- Czego zatem próbujesz dokonać? Jaki jest twój plan? Dlaczego sprowadziłeś nas tutaj?

Nie mogę ci jeszcze powiedzieć, odparł Naddusza. Nie mam jeszcze co do ciebie pewności, ale powiedziałem ci to, co chciałeś wiedzieć. Wyjawiłem ci mój cel. Powiedziałem ci, co już osiągnąłem i co jeszcze trzeba osiągnąć. Nie zmieniłem się -jestem taki sam jak wtedy, kiedy twoi przodkowie po raz pierwszy ustawili mnie, abym was pilnował. Moje plany mają na celu przygotowanie ludzkości na powrót do Opiekuna Ziemi, który na was czeka. Jestem tylko po to, aby sprawić, by rodzaj ludzki nadawał się do powrotu. Jestem pamięcią Ziemi, jedyną jej pozostałością, i jeżeli pomożesz mi, Nafaiu, będziesz miał zasługę w przeprowadzeniu tego planu, o ile w ogóle można go przeprowadzić. O ile w ogóle można go przeprowadzić...

Przemożne uczucie obecności Nadduszy w jego umyśle nagle zanikło - jakby wielki ogień nagle wygasł, jakby wielka, pędząca rzeka życia gwałtownie wyschła. Nafai siedział na kamieniu przy rzece i był wyczerpany, wycieńczony, pusty, a w jego sercu pozostawała ta ostatnia rozpaczliwa myśl: O ile w ogóle można go przeprowadzić.

Miał sucho w ustach. Uklęknął przy wodzie, zanurzył ręce i w złożonych dłoniach podniósł wodę do ust. Było mu za mało. Wskoczył do strumienia, zanurzył się cały, ale nie z pełnym szacunku nastawieniem jak przy modlitwie, lecz z rozpaczliwym pragnieniem. Pił łapczywie. Woda przetaczała się po jego plecach i łydkach. Pił długo, unosił głowę i ramiona nad powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza, po czym znów zanurzał się w wodzie, by znowu pić.

Był to jednak pewien rodzaj modlitwy, co sobie uświadomił, kiedy wyszedł ze strumienia i zmarzł, gdy woda parowała z jego skóry na wietrze.

Jestem z tobą, powiedział do Nadduszy. Zrobię wszystko, o co prosisz, ponieważ pragnę, abyś osiągnął swój cel. Uczynię, co leży w mojej mocy, aby przygotować nas wszystkich do powrotu na Ziemię.

Gdy wrócił do namiotu, był przemarznięty do szpiku kości; już nie kapłała z niego woda, ale jeszcze niezupełnie wysechł. Długo leżał na macie i drżał, ogrzewany jedynie powietrzem

w namiocie i ciepłem ciała Issiba, aż wreszcie udało mu się zasnąć.

Rano mieli wiele pracy. Nafai był zmęczony, lecz nie mógł pospać dłużej. Dość ślamazarnie wykonywał swoje zadania, na tyle niezręcznie, że Elemak i ojciec gniewnie na niego warczeli: „Uważaj! Myśl!”. Dopiero kiedy nastąpiła gorączka popołudnia, gdy ucieli sobie drzemkę, która jest niezbędna jak woda, by przeżyć na pustyni, Nafai miał szansę dojść do siebie po nocnej wizji. Położył się na macie i opowiedział Issibowi o wszystkim, co widział i o czym się dowiedział od Nadduszy. Kiedy skończył opowiadać, po twarzy Issiba spływały łzy.

- Wiedziałem, że za tym wszystkim musi się kryć jakiś cel - szepnął Issib. Powoli i z wielkim wysiłkiem wyciągnął rękę, aby chwycić dłoń brata. - Widzę w tym głęboki sens. To pasuje do wszystkiego. Ależ miałeś szczęście, że usłyszałeś głos Nadduszy! Chyba jeszcze wyraźniej niż ojciec. Tak wyraźnie jak Luet. Jesteś taki jak Luet.

Nafai poczuł się nieswojo. W myśli, a czasem i w słowach oburzał się na Luet lub z niej naśmiewał. Pogardliwe słowo „czarownica” tak łatwo zjawiało się na jego ustach. Czy tak właśnie się czuła, kiedy Naddusza ukazywał jej wizję? Jak mógł z niej szydzić?

Zasnął, a kiedy się obudził, dokończyli pracę: wzniesli dla wielbłądów solidną zagrodę z kamieni związanych polem grawitacyjnym zasilanym kolektorami słonecznymi; postavili baraki chłodnicze do przechowywania suszonej żywności, która pozwoli im przetrwać przez rok, jeśli potrwa to tak długo, nim będą mogli wrócić do Basiliki; na obwodzie doliny rozmieścili elektroniczne zapory i czujniki. Oczywiście nie rozpalali żadnych ognisk

- na pustyni drewno było zbyt cennym materiałem, ale też postanowili, że nie będą niczego gotować, ponieważ niewytłumaczalne źródło ciepła mogłoby zostać wykryte. Jedyne promieniowanie podczerwone, jakie będą emitować, to ciepło ich ciał, a szum elektromagnetyczny wywołany elektronicznymi zaporami i czujnikami, polem grawitacyjnym, urządzeniami chłodniczymi, kolektorami słonecznymi i krzesłem Issiba był zbyt słaby, aby został wychwycony z dużej odległości, chyba że przez urządzenia

znacznie bardziej czułe od wyposażenia, które zazwyczaj mieli ze sobą przechodzący rabusie lub karawany. Tak zadbali o swe bezpieczeństwo.

Przy kolacji Nafai zrobił uwagę, jakie to wszystko jest zbyteczne.

- Wypełniamy misję Nadduszy - wyjaśnił. - Przez te wszystkie lata Naddusza odciągał ludzi od tego miejsca, trzymając je dla nas w pogotowiu, i nadal by to robił.

Elemak wybuchnął śmiechem, a Mebbekew wrzasnął histerycznie.

-Cóż, Nafaiu teologu - powiedział Meb - jeżeli Naddusza potrafi o nas zadbać, to dlaczego wysłał nas do tej piekielnej krainy, zamiast pozwolić nam bezpiecznie pozostać w domu?

-A w ogóle to jakim cudem jesteś takim ekspertem w sprawach Nadduszy? - zapytał Elemak. - Najwidoczniej matka kazała ci spędzać zbyt dużo czasu z czarownicami.

Po raz pierwszy Nafai stłumił w sobie gniewne riposty. Zrozumiał, że nie ma sensu się spierać. Wprawdzie uświadamiał sobie to wiele razy wcześniej, a nie potrafił trzymać języka za zębami. Teraz uprzytomnił sobie: różnica polegała na tym, że już nie był tylko najmłodszym synem Wetchika. Był przyjacielem i sojusznikiem Nadduszy. Miał ważniejsze troski od sporów z Elyą i Mebem.

-Nafaiu - odezwał się ojciec - twoje rozumowanie jest błędne. Dlaczego mielibyśmy kazać Nadduszy marnować czas na to, by nas strzegł, kiedy sami możemy bardzo dobrze się pilnować?

-Oczywiście, że nie powinniśmy, ojciec - zgodził się Nafai. Jego uwaga była głupia. Niewłaściwe byłoby obciążanie Nadduszy, który potrzebował ich pomocy w dźwiganiu swojego brzemienia. - Przepraszam.

Elemak uśmiechnął się nieznacznie, a Mebbekew postawił oczy w ślup i prychnął śmiechem.

-Posłuchajcie ich - zadrwił. - Rzekomo rozumni ludzie, a rozmawiają o tym, czy Naddusza powinien doglądać naszych wielbłądów.

-Naddusza nas tu sprowadził - odparł ojciec dość chłodnym tonem.

- To ty zmusiłeś nas do tej wyprawy - odciął się Mebbekew
 - a Elemak nas poprowadził.
 - Naddusza mnie ostrzegł i nakazał wyjechać - nie poddawał się ojciec - i Naddusza doprowadził nas do tej nawodnionej doliny.
 - O tak, oczywiście, zapomniałem - kpił Meb. - Myślałem, że w powietrzu krążył sęp, ale to był Naddusza, który pokazywał nam drogę.
 - Tylko głupiec żartuje z czegoś, czego nie rozumie - podsumował ojciec.
 - Tylko stary błazen nazywa rozumnych ludzi głupcami
 - zaripostował Mebbekew. - Widzisz w cieniach spiski i zmywy, ojcze.
 - Zamknij się - powiedział Elemak.
 - Nie mów mi, żebym się zamknął.
 - Zamknij się - powtórzył Elemak.
- Odwrócił się powoli, by napotkać piorunujące spojrzenie Mebbekewa. Nafai dostrzegł, że choć powieki Elyi są ciężkie, jakby był zaspany, jego oczy płonęły, kiedy spojrzeniem zmusił Meba do spuszczenia wzroku.
- Świetnie - zaczął Mebbekew, wracając do kolacji, rozsmarowując zimną pastę fasolową na kolejnym sucharze. - Chyba tylko ja nie uważam biwakowania pod namiotem za najfajniejszą zabawę na świecie.
 - To nie jest biwak - powiedział ojciec. - To wygnanie.
 - Nie mogę tylko zrozumieć - podchwycił Mebbekew - co zrobiłem, żeby zasłużyć na wygnanie.
 - Jesteś moim synem - odparł ojciec. - Żaden z nas nie był tam bezpieczny.
 - Daj spokój - zachnął się Meb. - Wszyscy byliśmy bezpieczni.
 - Przestań - powiedział Elemak i znów napotkał groźne spojrzenie Mebbekewa.

Teraz Nafai zaczął orientować się w sytuacji. Elemakowi nie podobało się, kiedy Mebbekew mówił o tym, czy naprawdę zawiązano spisek przeciw ojcu, czy istniał powód, aby cała rodzina uciekała na pustynię. Był to drażliwy temat i Nafai się domyślił, że obaj jego bracia wiedzą więcej, niż chcą powiedzieć.

Jeżeli znali jakąś ponurą tajemnicę, nie byłoby nic zaskakującego w tym, że Elemak postanowił ją ukrywać i nie dopuścić, by rozmowa schodziła na temat niebezpiecznie bliski, podczas gdy Mebbekew najprawdopodobniej usiłowałby ukryć ją za dymną zasłoną zaprzeczeń i kłamstw z domieszką kpiny.

- Obaj wiedzieliście, że w Basilice życie ojca było zagrożone
- powiedział Nafai.

Ze sposobu, w jaki bracia spojrzeli na niego, wywnioskował, że jego podejrzenia są uzasadnione. Gdyby byli niewinni, odczytaliby z jego słów tylko to, że oczekiwał, iż uwierzą w wizję ojca. A jednak doszukali się w jego uwadze podtekstu znacznie bardziej dla nich niekorzystnego.

-Dlaczego sądzisz, że wiesz, co inni ludzie wiedzą? - zapytał Elemak.

-Jeżeli jesteś taki pewny, że życie ojca było zagrożone
- dodał złośliwie Meb - to może właśnie ty byłeś wtajemniczony w spisek?

I znów ich reakcje były typowe. Elemak bronił się przed oskarżeniem, mówiąc w istocie: „Nie możesz niczego udowodnić”, natomiast Mebbekew - skierowując oskarżenia pod adresem Nafai.

Teraz uświadomię im, do czego się przyznają, pomyślał Nafai.

- Jaki spisek? - zapytał. - O czym mówisz?

Mebbekew od razu uprzytomnił sobie, że się wygadał.

-Po prostu założyłem... że chcesz powiedzieć, iż znamy jakieś tajemnice albo coś w tym guście.

-Gdybyś wiedział o spisku na życie ojca - rzekł Nafai

- powiedziałbyś mu, bo przecież jesteś przyzwoitym człowiekiem. I z pewnością nie siedziałbyś tutaj i nie jęczał, że właściwie nie musieliśmy wyjeżdżać z miasta.

- To nie ja jęczę, chłopczyku - odciął się Mebbekew.

Teraz już nie próbował ukryć swojej złości. Nie był pewien, jak zinterpretować słowa brata, i o to właśnie Nafaiowi chodziło. Niech Meb się zastanawia - czy Nafai coś wie?

- Zamknij się, Meb - powiedział Elemak. -I ty też, Nafai. Czy nasze wygnanie to niewystarczające zmartwienie bez waszego doskakiwania sobie do gardła?

Elya rozjemca. Nafai miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Ale z drugiej strony - może to była prawda? Może Elemak nie wiedział, może Gaballufix nigdy nie wtajemniczył go w tę sprawę. Oczywiście, że nie, uświadomił sobie Nafai. Elya, przyrodni brat Gaballufixa, był synem i spadkobiercą Wetchika. Gaballufix nigdy nie byłby całkowicie pewny, po której stronie stoi Elemak. Mógł go wykorzystać jako pośrednika, posłańca do ojca, ale nigdy nie mógł powierzyć mu prawdziwych tajemnic.

To by też tłumaczyło, dlaczego Elemak zmusza Meba do milczenia; chciał ukryć swoje powiązania z Gaballufixem, to prawda, ale nie knuł z nim żadnego morderstwa, które trzeba by było trzymać w tajemnicy. Jak Nafai mógł wyobrażać sobie coś takiego? Poza tym, jeżeli znaleźli się na pustyni w związku z planem Nadduszy, czy nie oznaczało to, że Elemak i Mebbekew także należeli do tego planu? Podejrzewam ich, ulegam dokładnie takiej samej złej woli, która przyniesie zgubę Basilice, pomyślał. Jak mogę twierdzić, że jestem po stronie Nadduszy, skoro nie ufam nawet własnym braciom?

- Przepraszam - rzekł Nafai. - Nie powinienem tego mówić.

Teraz wszyscy spojrzeli na niego z autentycznym zaskoczeniem. Chwilę trwało, nim Nafai uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu bez przymusu przeprosił za złośliwość wobec któregoś z braci.

- Nie ma o czym gadać - skwitował Mebbekew. W jego głosie słyhać było ogromne zdziwienie, lecz w oczach pojawił się błysk triumfującej pogardy.

Myślisz, że przeprosiny świadczą o mojej słabości, powiedział do niego w duchu Nafai. Ale tak nie jest. Dowodzą one, że próbuję się nauczyć, jak być silnym.

Właśnie wtedy Nafai zaczął relacjonować ojcu, Elemakowi i Mebbekewowi wizje, które Naddusza ukazał mu w nocy. Nie zdążył jednak wiele opowiedzieć.

- Jestem zmęczony - powiedział Elemak. - Nie mam na to czasu.

Nafai spojrział na niego ze zdumieniem. Nie ma czasu, żeby posłuchać o planie Nadduszy? Nie ma czasu, żeby dowiedzieć się o nadziei ludzkości powracającej na Ziemię?

Mebbekew również ziewnął znacząco.

- To znaczy, że to cię nawet nie obchodzi? - zapytał Issib.

Elemak uśmiechnął się do kalekiego brata.

-Jesteś zbyt łatwowierny, Issya. Czy nie widzisz, co tu się dzieje? Nafai nie może ścierpieć, że nie jest w centrum uwagi. Na pustyni jest mało przydatny, więc zaczyna doznawać wizji. Potem będzie przekazywał nam rozkazy Nadduszy i rządził nami.

-Nie będę - zaprzeczył Nafai. - Doznałem tych wizji.

-Naturalnie - podchwycił Mebbekew. - Ja też miałem wizję zeszłej nocy. Widziałem dziewczyny, o których nawet ci się nie śniło, bo nie masz dość ikry w sobie, Nafai. Uwierzę w twoje sny o Nadduszy, jeśli zechcesz poślubić dziewczynę z moich snów. Dam ci najładniejszą.

Elemak zanosił się od śmiechu i nawet ojciec uśmiechnął się nieznacznie. Docinki Mebbekewa rozwścieczyły Nafaia.

-Mówię prawdę! - zaperzył się. - Przekazuję wam, co Naddusza próbuje osiągnąć!

-Wolę myśleć o tym, co dziewczyny w moich snach próbowały osiągnąć - zakpił Meb.

- Dość tych sprośności! - wtrącił ojciec, ale chichotał.

Kiedy Elemak i Mebbekew poszli doglądać zwierząt, Nafai pozostał z ojcem i Issibem.

-Dlaczego nie idziesz? - zapytał ojciec. - Tu, gdzie nie funkcjonują jego lewitery, Issib nie może pomagać w takich robotach. Ale ty możesz.

-Myślałem, że ty mi uwierzysz.

-Wierzę ci. Wierzę, że chcesz uczestniczyć w pracy Nadduszy. Szanuję cię za to, i może niektóre twoje sny faktycznie pochodziły od Nadduszy. Ale nie próbuj mówić o tym swoim starszym braciom. Nie uwierzą ci. - Uśmiechnął się z goryczą.

- Nie dają wiary nawet temu, co ja mówię.

-Ja mu wierzę - oświadczył Issib. -I to nie były sny. Nafai nie spał przy strumieniu. Widziałem, jak wraca do namiotu mokry i zziębnięty.

Nafai był ogromnie wdzięczny Issibowi za wsparcie. Nawet spodziewał się, że Issib przestanie mu wierzyć, skoro ojciec nie traktował go poważnie.

-Ja też wierzę - powiedział ojciec. - A twoje opowiadanie było znacznie bardziej konkretne od wszystkiego, co Naddusza przekazuje nam w wizjach. Chcę więc jedynie powiedzieć, że w tym, co mówisz, prawdopodobnie tkwi ziarno prawdy. Ale większa część twoich relacji musi wypływać z wyobraźni i jeśli chodzi o mnie, to nie zamierzam próbować tego uporządkować, w każdym razie nie dziś wieczorem.

-Ja tobie uwierzyłem - rzekł Nafai.

-Nie od razu - przypomniał ojciec. -I nie handlujemy wiarą jak przysługami. Dajemy wiarę i okazujemy zaufanie tam, gdzie się należą. Nie oczekuj, że będę bardziej skory dać wiarę twoim słowom, niż ty byłeś skłonny mi uwierzyć.

Z uczuciem zmieszania Nafai wstał z dywanika. W dużym namiocie ojca nie musiał pochyłać głowy, kiedy stał wyprostowany.

-Byłem ślepy na początku, kiedy powiedziałeś mi, co ujrzałeś. Teraz jednak widzę, że jesteś głuchy, więc nie możesz usłyszeć tego co ja.

-Pomóż bratu usiąść na krześle - odparł ojciec. -I uważaj, jak się odzywasz do swojego ojca.

Tej nocy, kiedy bracia byli w swoim namiocie, Issib próbował Nafaia pocieszyć.

-Ojciec to ojciec, Nafaiu. Nie może go radować wiadomość, że jego najmłodszy syn dostaje znacznie więcej informacji od Nadduszy, niż on kiedykolwiek otrzymał.

-Może jestem bardziej dostrojony do Nadduszy? - zastanawiał się Nafai. - Nie mogę nic na to poradzić. Ale co za różnica, z kim Naddusza rozmawia? Czy Gaballufix miał nie wierzyć ojcu, dlatego że ojciec ma niższą pozycję od niego w hierarchii klanu Palwashantu?

-Może zajmuje niższe stanowisko - sprostował Issib - ale nie ma niższej pozycji. Gdyby dawniej ojciec chciał zostać przywódcą klanu, wybrano by go; przecież jest Wetchikiem z urodzenia, prawda? Gaballufix wie, że gdyby ojciec nie gardził polityką, mógłby z łatwością pozbawić go władzy i wpływów, dlatego ojca nienawidzi.

Ale Nafai nie chciał teraz rozmawiać o basilikańskiej polityce. Zamilknął i w ciszy znów przemówił do Nadduszy. Musisz

sprawić, że ojciec mi uwierzy. Musisz pokazać ojcu, co się naprawdę dzieje. Nie możesz ukazywać mi wizji, a potem odmawiać pomocy, kiedy chcę przekonać ojca.

- Ja ci uwierzyłem, Nyef- szepnął Issib. -I wierzę w to, co Naddusza próbuje zrobić. Może na razie tylko tyle Naddusza potrzebuje? Może dla niego nie jest ważne, czy ojciec uwierzył ci w tej chwili. Więc po prostu pogódź się z tym. Zaufaj Nadduszy.

Nafai w ciemnościach nocy w namiocie nic nie widział. Czy naprawdę mówił Issib, czy też spał, a Nafai słyszał słowa Nadduszy w głosie brata?

- Pewnego dnia, Nyef, może dojść do tego, o czym mówił Elemak. Może będziesz musiał wydawać rozkazy swoim braciom. Nawet ojcu. Czy myślisz, że Naddusza pozostawi cię wtedy samego?

Nie, to nie mógł być Issib. Nafai słyszał Nadduszę w jego głosie. Kiedy uświadomił sobie, że otrzymał odpowiedź, mógł spać. Ale zanim zasnął, w jego umyśle zrodziły się pytania:

A jeżeli Naddusza mówi mi więcej niż ojcu nie dlatego, że należy to do planu, lecz dlatego że jestem jedynym, który słyszy i rozumie?

A jeżeli Naddusza liczy na to, że będę umiał znaleźć sposób, jak przekonać innych, ponieważ jemu już zabrakło mocy?

A jeżeli jestem naprawdę sam, nie licząc tego jednego brata, który mi wierzy - brata, który jest kaleką i nie może nic zrobić?

Wiara to wcale nie jest nic, szepnął głos w umyśle Nafaia. Wiara Issiba w ciebie to jedyny powód, dzięki któremu sam jeszcze nie zacząłeś w to wątpić.

Powiedz ojcu, poprosił Nafai, pogrążając się we śnie. Porozmawiaj z ojcem, aby mi uwierzył.

Naddusza przemówił do ojca w nocy, ale nie za pośrednictwem żadnych wizji, na które Nafai liczył.

-Widziałem, jak we czterech wracacie do Basiliki - powiedział ojciec.

-Najwyższy czas - stwierdził Mebbekew.

-Wracacie, ale w jednym celu - dodał ojciec. - Aby zdobyć Indeks i przywieźć go do mnie.

-Indeks? - zapytał Elemak.

-Od początku jest w posiadaniu klanu Palwashantu. Przypuszczam, że dzięki niemu klan zachował swoją tożsamość przez te wszystkie lata. Kiedyś nazywano nas Opiekunami Indeksu i ojciec mi powiedział, że Wetchikowie mieli prawo go wykorzystywać.

-Do czego? - spytał Mebbekew.

-Nie jestem pewien. Widziałem go zaledwie kilka razy. Mój dziadek zostawił go pod opieką rady klanu, kiedy zaczął podróżować, a ojciec nigdy nie starał się go odzyskać po śmierci dziadka. Teraz Indeks znajduje się w domu Gaballufixa. Jego nazwa sugeruje, że jest przewodnikiem po bibliotece.

-Co za pożyteczna rzecz - zadrwił Elemak. - I po to wysyłasz nas z powrotem do Basiliki? Żebyśmy odzyskali przedmiot, którego przeznaczenia nie pojmujesz?

-Żebyście go odzyskali i przywieźli. Bez względu na koszty.

-Mówisz poważnie? Bez względu na koszty?

-Tego zażądał Naddusza. Wiedziałem to, choć ja... to nie moje własne uczucie. Chcę, żebyście wrócili bezpiecznie.

-Dobrze - powiedział Mebbekew. - Załatwione. Nie ma o czym mówić.

-Czy mamy przywieźć więcej zapasów? - zapytał Nafai.

-Nie będzie więcej zapasów - odparł ojciec. - Kazałem Rashgallivakowi sprzedać wszystkie zapasy na wyprawy karawanowe.

Elemak poczerwieniał.

- W jaki sposób zamierzasz odbudować nasz interes, kiedy wrócimy z wygnania?

Nafai widział, że to była niezwykle ważna chwila. Elemak stanął w obliczu faktu, że postanowienia ojca miały być nieodwołalne. Jeżeli zamierzał się zbuntować, to właśnie z powodu tych decyzji, które mógł uważać za roztrwonienie jego spadku.

- Nie zamierzam odbudowywać niczego - odpowiedział ojciec bez ogródek. - Rób, co mówię, Elemaku, albo dla ciebie nie będzie miało znaczenia, co ja zrobię z fortuną Wetchików.

Stało się. Nie można było wyrazić tego jaśniej. Jeżeli Elemak miał kiedykolwiek sam piastować godność Wetchika, niech słucha rozkazów obecnego.

Mebbekew zarechotał.

-I tak nigdy nie lubiłem tych wszystkich cuchnących zwierzków. Na co one komu?

On też wyraził się równie jasno: Z radością zostanę Wetchikiem zamiast ciebie, Elemaku, więc nie krępuj się i doprowadź ojca do wściekłości.

-Przyniosę ci Indeks, ojczy - powiedział Elemak. - Ale po co chcesz wysłać pozostałych synów? Pozwól, że pójdę sam. Albo zabiorę ze sobą Mebbekewa, a młodsi zostaną z tobą. Na nic mi się nie przydadzą.

-Naddusza pokazał mi, że pojedziecie wszyscy czterej - powiedział ojciec. - Udacie się więc wszyscy do Basiliki i wszyscy stamtąd powrócicie. Rozumiesz mnie?

-Całkowicie - potwierdził Elemak.

-Wczoraj wieczorem naśmiewaliście się z Nafaia, ponieważ twierdził, że doznaje wizji - ciągnął ojciec. - A ja wam mówię, że moglibyście wiele nauczyć się od niego i Issiba. Oni przynajmniej starają się pomóc. Od moich dwóch starszych synów słyszę jedynie biadolenia.

Mebbekew spiorunował Nafaia spojrzeniem, ale chłopiec bardziej obawiał się Elemaka, który patrzył na ojca spod ciężkich powiek.

Wczoraj wieczorem nie chciałeś mi uwierzyć, ojczy, pomyślał Nafai. Dzisiaj przez ciebie bracia nienawidzą mnie jeszcze bardziej niż dotychczas.

- Macie rozległą wiedzę, Elemaku i Mebbekewie - mówił dalej ojciec - ale nie nauczyliście się nigdy, na czym polega lojalność i posłuszeństwo. Biercie przykład ze swoich braci, a będziecie wtedy godni bogactwa i zaszczytów, do których dążycie.

To koniec, uznał Nafai. Teraz już po mnie. Podczas tej wyprawy będą mnie traktować tak, że równie dobrze mógłbym być robakiem w ich chlebie. Wolałbym zostać w domu, niż żyć w takich warunkach, ojczy, dziękuję ci uprzejmie.

- Ojczy, zrobię wszystko, o co prosisz - oświadczył Elemak, ale powiedział to cicho i oziębło, aż Nafaiowi zrobiło się smutno.

Elemak w ponurym nastroju zabrał się do przygotowań. Zupełnie zignorował Nafaia, kiedy chłopiec zapytał, w czym ma pomóc. Mebbekew rzucił mu takie spojrzenie, że Nafaiowi

ze strachu po plecach przeszły ciarki. Chce, abym nie żył, pomyślał. Meb chce, żebym umarł.

Ponieważ odrzucono jego pomoc i wydawało się, że najmańdrzej postąpi, jeśli przez najbliższy czas będzie jak najmniej rzucił się w oczy, wrócił do namiotu, który dzielił z Issibem, i pomógł bratu się spakować, co w głównej mierze sprowadzało się do obwiązania jego lewiterów i schowania ich do torby. Kiedy Issib spojrzał rozmarzonym wzrokiem na lewitery, Nafai zorientował się, że dla niego jest nieważne, co myśli o nim Elemak czy Mebbekew - chciał wrócić tam, gdzie jego ciało mogło normalnie funkcjonować, gdzie był wolny i nie wymagał pomocy przy ubieraniu ani wyprowadzaniu na zewnątrz, aby wypróżniać się jak niemowlę czy zwierzę domowe. Jest uwięziony, schwytany w sidła własnego ciała, pomyślał Nafai.

Pakowanie zostało zakończone i Issib znalazł się na swoim krześle. Krążąc nad ziemią, wyglądał jak jakiś rozdrażniony monarcha na tronie. Nie mógł się doczekać wyjazdu, nie mógł się doczekać powrotu do Basiliki.

Każdy z nich nie może się doczekać, pomyślał Nafai. Ale żaden nie kieruje się słusznymi motywami. Żaden nie pragnie tam pojechać, ponieważ chce pomóc Nadduszy w realizacji jego planu.

Stał na brzegu strumienia, chwycił gałąź i zgiął ją w rękach jak podkowę. Gałąź stawiała opór, ale ustępowała pod naciskiem jego rąk.

- Nie złam jej - powiedział ojciec.

Nafai odwrócił się przestraszony. Puścił gałąź, która swobodnie wystrzeliła w górę. Kilka liści uderzyło go w twarz.

-Musiała długo rosnąć - dodał ojciec.

-Nie zamierzałem jej złamać.

-Niewiele brakowało. Znam się na roślinach. Ty nie. Niewiele brakowało, żebyś ją złamał.

-Nie jestem aż taki silny.

-Jesteś silniejszy, niż ci się wydaje. - Ojciec zmierzył go wzrokiem. - Czternaście lat. - Zaśmiał się krótko. - Obawiam się, że odziedziczyłeś geny po matce, a nie po mnie. Patrzę na ciebie i widzę...

-Matkę?

- Osobę, którą mógł być Issib, zarówno pod względem ciała, jak i umysłu. Biedny chłopiec.

Biedny chłopiec, powtórzył Nafai w myślach. Może kiedyś spojrzysz na mnie, ojcie, i zobaczysz mnie, zamiast jakiegoś wymagowanego dziecka. Dlaczego zamiast chłopczyka, który zmyśla wizje, nie zobaczysz człowieka, którym jestem: człowieka, który usłyszał głos Nadduszy wyraźniej od ciebie?

- Boję się - powiedział ojciec.

Nafai spojrzał ojcu prosto w oczy. Czy on żartuje sobie ze mnie?

-Pcham was w coś niebezpiecznego. Sądę, że twoi bracia nie zdają sobie z tego sprawy. Ale ty masz tego świadomość, prawda?

-Chyba tak.

-Po tym, co widziałeś - dodał ojciec.

Nie było to ani pytanie, ani odpowiedź. O co mu chodziło? O to, czy Nafai zna prawdę o Elyi i Mebie? Niemożliwe, bo ojciec sam o nich niewiele wiedział. Nie, ojciec pytał, czy Nafai naprawdę miał wizje.

W pierwszym odruchu Nafai chciał się obrazić, ale uświadomił sobie, że ojciec ma prawo zapytać i przemyśleć sprawę, zanim uwierzy w jego wizje. Próbuje pogodzić się z faktem, że Nafai jest sługą Nadduszy tak jak on.

-Miałem wizję - odpowiedział Nafai. - Ale nie było w niej nic na temat Indeksu.

-Gaballufix nie zechce go oddać - rzekł ojciec. - W wizji zwrócił go, ale Naddusza nie może widzieć wszystkiego. Indeks nie jest przedmiotem, który się pożycza. Ma bardzo dużą moc.

-Dlaczego? Co może zdziałać?

-Nie mam pojęcia, do czego jest zdolny, ale wiem, że oznacza potęgę. Wśród Palwashantu ten, kto ma Indeks, cieszy się zaufaniem klanu i największym szacunkiem. Gabyą nie zrezygnuje z Indeksu. Prędzej dopuści się morderstwa. A ja tam wysyłam moich synów!

Ojciec był rozniewany. Nafai uświadomił sobie: jest wściekły na Nadduszę, że każe mu to zrobić. Wetchik opanował się, uspokoił.

- Mam nadzieję, że Naddusza naprawdę przemysłał to wszystko.

- Ojcze, pojedę i zrobię wszystko, o co Naddusza nas poprosił. Wiem, że nie zwróciłby się do nas z prośbą o to, gdyby wcześniej nie obmyślił jakiegoś sposobu, by to osiągnąć.

Ojciec przyglądał się mu bardzo długo. Potem się uśmiechnął. Nafai nigdy nie widział na twarzy ojca takiego uśmiechu wyrażającego ulgę i zaufanie.

-Nie udajesz, prawda? Nie mówisz tego, co twoim zdaniem chciałbym usłyszeć?

-A kiedy którykolwiek z twoich synów mówił coś, co jego zdaniem chciałeś usłyszeć? - zapytał Nafai.

W tym momencie ojciec odrzucił głowę do tyłu i gruchnął śmiechem.

- Nigdy! - wykrzyknął.

A potem równie nagle przestał się śmiać. Wziął głowę Nafaia w swoje dłonie - wielkie, żylaste, ze zrogowaciałą skórą i szorstkie od styczności z korą, skórzanymi uprężami i surowymi blokami kamienia - pochylił się, po czym pocałował syna w usta.

- Mój syn - szepnął. - Mój syn.

Przez chwilę stali tak razem przy drzewie, nad wodą, aż usłyszeli kroki i odwrócili się. Zobaczyli Elemaka, który nadal miał skwaszoną i nasrożoną minę.

-Czas jechać.

-Ruszajcie - powiedział ojciec. - Nie chciałbym was zatrzymywać ani przez chwilę.

Wkrótce znów siedzieli na wielbłądach i zmierzali z powrotem do miasta.

Bracia

Basiliki nie było jeszcze widać, ale Elemak znał drogę. Znał ją tak dobrze jak własną twarz w lustrze, każdy pieprzyk, każdą wypukłość lub wklęsłość, z których płynęła krew, kiedy zaciął się brzytwą przy goleniu. Znał cienie padające o każdej porze dnia, miejsca, gdzie woda mogła stać po deszczu i gdzie rabusie mogli się ukrywać.

Prowadził teraz swoich braci właśnie do jednego z tych miejsc. Od pewnego czasu już nie wędrowali traktem, lecz zawsze mieli go w zasięgu wzroku. Niedawno oddalili się od szlaku i wkrótce dotarli do tak wyboistej drogi, że Elemak kazał im przystanąć i zsiąść z wielbłądów.

-Dlaczego zatrzymujemy się tutaj? - zapytał Mebbekew.

-Lewitery działają - stwierdził Issib. - Jesteśmy już tak blisko, że mogę się poruszać bez tego przeklętego krzesła.

Elemak pokręcił głową.

- Byłbyś narażony na niestabilność. Zdejmiemy krzesło z wielbłąda, będziesz musiał z niego korzystać.

Zwykle Issib był bardzo uступliwy, lecz tym razem nie.

-Sam z niego korzystaj, jeśli myślisz, że jest takie bardzo wygodne.

-Spójrz na siebie - powiedział Elemak. - W najlepszym razie lewitery działają z przerwami. Stracisz równowagę i przewrócisz się, a nie możemy do tego dopuścić. Korzystaj z krzesła.

-Będzie coraz lepiej w miarę zbliżania się do miasta.

-Nie zbliżamy się - rzekł Elemak.

-W takim razie dokąd idziemy? - zapytał Mebbekew.

-Schodzimy na dno tego wyschniętego strumienia, gdzie pole magnetyczne Basiliki z pewnością nie dociera. Tam poczekamy, aż zapadnie zmrok.

-A potem? - dociekał Mebbekew. - Uważasz się za przywódcę, dlatego pytam ciebie.

Elemak już wielokrotnie spotykał się w drodze z podobnymi reakcjami towarzyszy podróży, a czasami nawet wynajętych ludzi. Umiał sobie z tym poradzić - brutalnie tłumił niesubordynację, aby nikt nie miał żadnych wątpliwości, kto dowodzi. Tak więc zamiast udzielić odpowiedzi Mebbekewowi, chwycił brata za ramiona - szczupłe, kobiece, ramiona aktora, na Nadduszę! - i przycisnął go do skalnej ściany. Nagły ruch przestraszył jednego wielbłąda. Zwierzę tupnęło, splunęło, prychnęło na znak protestu. Przez chwilę Elemak się obawiał, że będzie musiał pójść uspokoić wielbłąda, ale zajął się tym Nafai. Czternastoletni chłopiec potrafił jednak zrobić coś pożytecznego, a nie tylko podlizywać się ojcu. Nie tak jak Mebbekew - na nim nie można było polegać. Elemak nie miał pojęcia, dlaczego Gabal-lufix w ogóle mu się zwierzył. Z pewnością Gabya wiedział, że Mebbekew z czymś się wygada. Nawet jeśli nie doniósł o spisku bezpośrednio ojcu, to komuś na pewno powiedział o tym, bo skąd ojciec by wiedział?

W oczach Meba pojawił się wyraz paniki, a także bólu - uderzył mocno głową o kamień.

No i dobrze, pomyślał Elemak. Zapamiętaj sobie ten ból. Dobrze się zastanów, nim zakwestionujesz moją władzę podczas podróży.

- Jestem przywódcą - szepnął Elemak.

Meb skinął głową.

-I mówię, że poczekamy do zmroku.

- Ja tylko żartowałem - jęknął Meb. - Nie musisz traktować wszystkiego tak poważnie!

Elya nieomal uderzył go za to „poważnie”. Czy nie zdaje sobie sprawy, że najbardziej wpływowy i niebezpieczny człowiek w Basilice jest przekonany, że zdradzili go i ostrzegli ojca? Dla

Mebbekewa Basilika była miastem przyjemności i mocnych wrażeń. Cóż, mocnych wrażeń może rzeczywiście będzie w mieście pod dostatkiem, ale przyjemności ani trochę.

Elemak nie uderzył jednak Meba, to by już była przesada - wywołałby oburzenie pozostałych braci, a nie wzbudził w nich szacunku. Umiał kierować ludźmi, potrafił też panować nad swoimi uczuciami i nie dopuszczać do tego, by przeszkadzały mu w rozsądnym myśleniu. Puścił Mebbekewa, po czym odwrócił się do niego plecami, aby pokazać, że jest całkowicie pewien swojego przywództwa i pogardza bratem. Meb nie ośmieliłby się go zaatakować nawet od tyłu.

-Nie jest żadną filozofią to, co nastąpi po zmroku. Pójdę do miasta, porozmawiam z Gaballufixem i przyniosę Indeks.

-Nie - sprzeciwił się Issib. - Ojciec powiedział, że wszyscy powinniśmy tam iść.

Kolejny akt nieposłuszeństwa - lecz niegroźny, bo okazany przez Issiba, kalekę, więc pokaz siły nie wchodził w rachubę.

- Toteż wszyscy przyszliśmy. Ale ja znam Gaballufixa. To mój brat przyrodni, jest moim bratem w takim samym stopniu, co każdy z was. Mam największe szanse, żeby go nakłonić do oddania Indeksu.

Issib zaczął protestować:

-Przebyliśmy tyle drogi, a ty chcesz, żebym pozostał tutaj, w tej metalowej trumnie, i nie zbliżył się do miasta już ani o krok?

-Lepsze twoje krzesło od prawdziwej trumny - powiedział Elemak. - Jeśli myślisz, że pobyt w mieście będzie frajdą, to jesteś głupcem. Gaballufix jest niebezpieczny.

-To prawda - potwierdził Nafai. - Elya ma rację. Jeżeli pójdziemy wszyscy razem, to fiasko może oznaczać, że wszyscy zginiemy lub zostaniemy uwięzieni. Jeżeli pójdzie tylko jeden, to nawet w razie jego niepowodzenia reszta może będzie w stanie coś osiągnąć.

-Jeżeli mi się nie uda, wracajcie do ojca - rzekł Elemak.

-No pewnie - zadrwił Meb. - Jestem pewien, że wszyscy zapamiętaliśmy drogę.

-Ty nie możesz iść - stwierdził Issib. - Z nas wszystkich tylko ty możesz poprowadzić nas z powrotem.

-Ja pójdę - oświadczył Nafai.

-No pewnie! - Elemak się zaśmiał. - Ty, najbardziej podobny z wyglądu do lady Rasy. Chyba nie rozumiesz sytuacji, Nyef. Wystarczy, że Gaballufix na ciebie spojrzy, a przypomni sobie upokorzenie, którego nigdy nie mógł pomścić: to, że lady Rasa zerwała z nim kontrakt, kiedy już mieli dwie córki, i nim minął tydzień, zawarła nowy, trwający do tej pory - z ojcem. Pójdiesz sam do domu Gaballufixa, Nyef, i będzie po tobie, a nikt w mieście nie dowie się niczego.

-A więc ja - zaproponował Mebbekew.

-Ty byś się tylko upił albo poszukał sobie jakiejś kobiety. Potem byś wrócił i skłamał, że rozmawiałeś z Gaballufixem, a on nie zgodził się oddać Indeksu.

Wydawało się, że Mebbekew rozważa, czy wpaść w gniew, ale się rozmyślił.

-Możliwe - przyznał. - Jednak to najlepszy plan, jaki tu został dotąd przedstawiony.

-A co ze mną? - wtrącił Issib. - Ja pójdę. Gaballufix nie skrzywdzi kaleki.

Elemak pokręcił głową.

-Załatwi cię jedną ręką, jeśli przyjdzie mu na to ochota.

-I ty traktowałeś go jak przyjaciela? - zapytał Mebbekew.

-Jak brata. Jesteśmy braćmi. Braci nikt sobie nie wybiera - powiedział Elemak.

-Nie skrzywdzi kaleki - powtórzył Issib. - Wstyd by mu było przed własnymi ludźmi.

Elemak wiedział, że Issib ma rację. Kaleka miał największe szanse, by wyjść żywy ze spotkania z Gaballufixem. Szkopuł w tym, że Elemak nie mógł pozwolić, aby Issib lub Nafai spotkali się z jego przyrodnim bratem, bo mógł powiedzieć coś, co by jego skompromitowało. Tak, musiał sam pójść, aby porozmawiać z Gabyą w cztery oczy, wyjaśnić, że to nie on ostrzegł ojca o spisku. Gdyby kiedykolwiek się o tym Meb, Issya i Nyef dowiedzieli, nie zrozumieliby, że na dłuższą metę był to dla ojca najlepszy plan. Jeżeli ojciec nie zostałby unieszkodliwiony w ten sposób, mógł zginąć w tajemniczych okolicznościach.

- Coś wam powiem - zaproponował Elemak. - Ponieważ nie zgadzamy się, kto ma pójść, niech zdecyduje Naddusza. Zgodnie z tradycją ciągnijmy losy.

Zgarnął z ziemi garść kamyków.

- Trzy jasne, jeden ciemny.

Ale kiedy to mówił, dopilnował, aby między jego dwoma palcami znalazł się czwarty jasny kamień, niewidoczny dla braci.

-Ciemny kamień idzie do miasta.

-Zgoda - powiedział Meb, a pozostali skinęli głowami.

-Ja będę trzymał kamienie - zaproponował Nafai.

-Nikt nie będzie trzymał kamieni, mój drogi chłopcze - zaprzeczył Elemak. - Zbyt łatwo wówczas o oszustwo, prawda? - Sięgnął ręką do półki w skale, której nie widzieli ze swojego miejsca, i położył tam kamienie. - Możesz je zamieszać, Nafaiu. Będziemy mieli pewność, że nikt nie wie, który kamień jest ciemny.

Nafai natychmiast ruszył naprzód, wyciągnął rękę do kamiennej półki i pomieszał kamyki. Oczywiście były cztery, lecz nie mógł wiedzieć, że ciemny kamień znajdował się teraz między palcami brata, a wszystkie cztery kamyki na półce są jasne.

- Skoro już trzymasz tam rękę, Nyef, wybierz kamień.

Nafai, biedny głupiec, wyciągnął jasny kamyk i zmarszczył brwi. Czego się spodziewał? Brał udział w męskiej grze. Żaden z chłopców nie zdawał sobie sprawy, że człowiek z obowiązkami Elemaka nie przetrwałby długo w brutalnym świecie, gdyby nie umiał dopilnować, żeby ciągnięcie losów układało się po jego myśli.

-Kolej na mnie - powiedział Issib.

-Nie - sprzeciwił się Elemak. - Teraz ja ciągnę.

To była kolejna zasada gry - Elemak musiał wcześniej ciągnąć los, bo ktoś mógłby nabrać podejrzeń, sprawdzić kamienie i odkryć, że ciemnego tam nie ma. Na pokaz pogrzebał w kamykach i wylosował oczywiście ciemny, chowając przy tym dodatkowy jasny między palcami. Kiedy sprawdzą liczbę kamieni, stwierdzą, że na półce pozostały dwa.

- Zorientowałeś się po dotyku - zasugerował Mebbekew.

-Nie kłóć się - mitygował go Elemak. - Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, wszyscy będziemy mogli wejść do miasta. Zależy od reakcji Gaballufixa, tak? A jest moim bratem. Jeżeli ktokolwiek może go przekonać, to właśnie ja.

-Ja idę bez względu na wszystko - oznajmił Issib. - Zaczekam tu do twojego powrotu, ale nie wrócę, dopóki nie pójde do miasta.

-Issya, nie mogę obiecać, że pozwolę ci przekroczyć bramy miasta, ale mogę obiecać, że zanim stąd odejdziesz, znajdziesz się dostatecznie blisko, by skorzystać z lewiterów. W porządku? Jednak musicie dać słowo, że nikt się stąd nie ruszy, dopóki nie wrócę.

-A co mamy zrobić, jeżeli Gaballufix cię zabije? - zapytał Meb.

-Nie robi tego.

-Co mamy zrobić - upierał się Meb - jeżeli nie wrócisz?

-Jeśli nie wrócę do świtu, to będzie znaczyło, że albo jestem martwy, albo unieszkodliwiony. Wtedy, moi drodzy braciszkuwie, nie będę już dowodził i tym samym nie obchodzi mnie, co zrobicie. Wracajcie do ojca albo idźcie do miasta i pociupciajcie sobie, dajcie się zabić albo zgubcie się, to mi nie sprawi żadnej różnicy. Ale się nie martwcie, wrócę.

Mogli zastanawiać się nad tym, kiedy Elemak prowadził ich korytem wyschniętego strumienia na pustkowie, gdzie istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś ich znajdzie.

-Spójrzcie tylko - powiedział Elemak. - Widać stąd mury miasta i nawet Górną Bramę.

-Czy tą bramą wejdiesz? - zapytał Nafai.

-Tak, a w drodze powrotnej skorzystam z pierwszej lepszej, do której zdołam dotrzeć.

Po tych słowach Elemak ich opuścił, krocząc śmiało i żałując, że nie czuje się w połowie taki odważny, jakiego udaje przed braćmi.

Do miasta znacznie łatwiej było wejść przez Górną Bramę niż przez Targową, bo nie było tam wymagającego ochrony Targu Złota. Mimo to musiał poddać się skanowaniu kciuka, aby udowodnić swoje obywatelstwo, a tym samym komputer zarejestrował jego wejście. Elemak nie miał wątpliwości, że nawet jeśli komputer w domu Gabyi nie jest bezpośrednio połączony z komputerami miejskimi - co byłoby oczywiście nielegalne - to Gaballufix ma swoich informatorów wśród rajców i jeżeli zależy mu na informacji o wejściu Elemaka do Basiliki, z pewnością ją otrzyma.

Poczuł dużą ulgę, że nie został zatrzymany przez strażnika przy bramie; znaczyło to, że Gaballufix nie umieścił jego

nazwiska na liście osób do natychmiastowego aresztowania. Nie traktuje go jak wroga. Albo że nie ma jeszcze takiej władzy w mieście, jaką przechwalał się przed swoimi przyjaciółmi i poplecznikami. Może nie posiadał jeszcze uprawnień do wydawania rozkazów strażnikom przy bramach.

Czy jestem jego wrogiem? - zastanowił się Elemak. Jego bratem - tak. Jego przyjacielem - nie. Tymczasowym sojusznikiem z rozsądku, tak. Obaj dostrzegliśmy, że możemy wyciągnąć korzyści z nawiązania bliższych stosunków. Ale czy teraz potraktuje mnie jak starego partnera w interesach, który zawiódł, jako ewentualnie pożytecznego przyjaciela czy jak zdrajcę?

Zamierzał pójść prosto do domu Gaballufixa, lecz gdy już znalazł się w mieście, nie mógł się na to zdobyć. Poszedł wolnym krokiem z ulicy Stożkowej na Biblioteczną, potem ruszył Świątynną w kierunku Skrzydłowej. Zarówno Świątynna, jak i Skrzydłowa zaprowadziłyby go w pobliże domu Gabyi, ale coraz bardziej niepokoiła go liczba żołnierzy na ulicach. Było ich więcej niż przed ucieczką jego rodziny na pustynię. Kiedy zobaczył, jak dwunastoosobowy oddział skręca w Skrzydłową, schował się w jakiejś bramie i stamtąd przyjrzał im się dokładnie. Od razu uświadomił sobie, co jest z nimi nie w porządku. Wszyscy byli identyczni - twarze, ubranie, broń, wszystko.

- To niemożliwe - szepnął.

Nie mogło być równocześnie tylu identycznych ludzi na świecie. Przypomniawszy sobie stare legendy o klonowaniu - o czarownikach i czarownikach usiłujących zawładnąć światem poprzez stworzenie genetycznie identycznych własnych sobowtórów, które nieuchronnie (przynajmniej w legendach) obróciły się przeciwko swym twórcom i ich zabiły. Ale to był prawdziwy świat, a ci ludzie byli żołnierzami Gabyi; Gaballufix miał takie samo pojęcie o klonowaniu, co i o fruwaniu, a zresztą gdyby potrafił robić klony, na pewno wybrałby lepszy model zamiast tego nijakiego, idiotycznie wyglądającego niezgrabnego, którego kopie włóczyły się gromadnie po Basilice.

- To wszystko oszustwo - odezwała się jakaś kobieta.

Nikt nie stał w bramie obok Elemaka. Dopiero kiedy wyszedł na ulicę, zobaczył ją - niechlujną, o nieokreślonym wieku dzikusę, nagą, okrytą jedynie warstwą brudu. Nie należała do tych,

k którzy traktowali dzikuski jako przedmiot pożądania, choć niektórzy jego przyjaciele wykorzystywali je i robili to tak bezceremonialnie, jakby te kobiety były pisuarami do załatwiania potrzeb seksualnych. Zignorowałby ją, gdyby nie to, że odpowiedziała na jego wypowiedzianą szeptem uwagę; a zresztą z kim mógł porozmawiać bezpieczniej, jak nie z anonimową świętą kobietą z pustyni?

-Jak oni to robią, że wszyscy wyglądają tak samo?

-Ludzie powiadają, że jest to stara technika kostiumowa wzięta z dawnego teatru, bardzo modna tysiąc lat temu. - Dzikuska nie mówiła jak kobieta z pustyni.

-Na jakiej zasadzie działa?

-To delikatna siatka, noszona jak peleryna. Włącza się ją i wyłącza za pomocą kontrolki przy pasie. Automatycznie dostraja się do otaczającego światła, robi się bardzo jasna w słońcu i stonowana przy świetle księżyca lub w cieniu. Zmyślny wynalazek.

Im więcej mówiła, tym wytworniej brzmiał jej głos.

- Kim jesteś? - zapytał.

Spojrzała mu w twarz.

- Jestem Nadduszą - odparła. - A kim ty jesteś, Elemaku? Moim przyjacielem czy wrogiem?

Zmartwił z przerażenia. Tak bardzo przejmował się Gabalufixem, tak bardzo bał się, że jakiś żołnierz go rozpozna, zawoła po imieniu i pojmie lub nawet zabije, iż teraz całkiem zgłupiał. Jak tu się ukrywać, kiedy nawet uliczni żebracy znają cię po imieniu? Dopiero gdy zaczęła wiercić palcem w pępku, jakby mieszała tam jakąś ohydłą miksturę, obrzydzenie wzięło górę nad strachem i Elemak uciekł na oślep.

Tym samym jego plan, aby przejść ulice swobodnym krokiem, nie rzucając się w oczy, legł w gruzach. Zachował jednak dość przytomności umysłu, aby nie iść wprost do domu Gabyi w tym nastroju. Gdzie indziej mógł się udać? Przyzwyczajenie kazałoby mu skierować kroki do domu matki - leciwa Hosni miała wspaniały stary dom w dzielnicy Studnie niedaleko Tylnej Bramy, gdzie wtrącała się do polityki i wyrabiała oraz psuła reputację nabierających rozgłosu młodych mężczyzn i kobiet z rządu. Ale głos serca zatriumfował nad nawykiem i zamiast

Rozumiała jego wahanie i tymi słowami dodała mu otuchy. Niezwłocznie usiadł, pocałował ją i objął, czując, jak namiętnie dziewczyna oddycha, jak chętnie mu ulega. Nie potrzebowali słów; swoim zachowaniem Eiadh dała mu do zrozumienia, że jej uczucia do niego ani trochę nie przygasły.

-Myślałam, że odszedłeś na zawsze - szepnęła po długim milczeniu.

-Nie od ciebie - powiedział. - Ale nie wiem, jaka czeka mnie przyszłość. Wrzenie w mieście, wygnanie ojca...

-Niektórzy mówią, że twój brat chciał zamordować twojego ojca...

-Nigdy!

-A inni twierdzą, że to twój ojciec zamierzał zabić twojego brata...

-Bzdura. To śmieszne. Obaj są ludźmi zdecydowanymi, i to wszystko.

-To nie wszystko - zaprzeczyła Eiadh. - Twój ojciec nigdy nie zjawił się tu z żołnierzami, grożąc, że może wtargnąć, kiedy tylko zechce, tak jak to zrobił Gaballufix.

-Przyszedł tutaj? - zapytał rozniewany Elemak. - Po co?

-Kiedyś był partnerem cioci Rasy, mają ze sobą dwie córki...

-Tak, chyba je znam.

-Naturalnie - powiedziała ze śmiechem. - To twoje bratanice. A także siostry Nyefa i Issiba. Czyż związki pokrewieństwa nie są zawile? Chciałam jednak powiedzieć, że nie samo przybycie Gaballufixa było dziwne, tylko to, że przyszedł z żołnierzami w tych strasznych kostiumach, w których wszyscy wyglądają tak... nieludzko.

-Słyszałem, że to holografia.

-Bardzo stary rekwizyt teatralny. Teraz, kiedy już wiem, jak to wygląda, cieszę się, że nasi aktorzy stosują charakteryzację lub w najgorszym razie maski. Holografy są niepokojące. Nienaturalne.

Włożyła rękę pod jego koszulę, przesunęła po jego skórze. Elemak poczuł łaskotanie. Zadrżał.

- Widzisz? - zapytała. - Czy holograf mógłby doznawać takich uczuć? Czy ktoś zniósłby to, że jest nieprawdziwy?

- Przypuszczam, że pod tym przebraniem holograficznym są dość prawdziwi. I mogą stroić do ciebie miny, a ty o tym nie wiesz.

Roześmiała się.

-Wyobraź sobie jednak aktora z czymś takim. Nikt by nie widział wyrazu twojej twarzy.

-Może wykorzystywano te holokostiumy tylko do niemych ról, tak aby ci sami aktorzy mogli grać kilkadziesiąt postaci bez błyskawicznych zmian kostiumu.

Eiadh otworzyła szeroko oczy.

-Nie wiedziałam, że tak dobrze znasz się na teatrze.

-Kiedyś zalecałem się do pewnej aktorki - powiedział Ele-mak. Zrobił to celowo, wiedząc, jak większość kobiet niepokoją opowieści o starych uczuciach. - Wtedy uważałem ją za piękność. Jeszcze nie znałem ciebie. Teraz zastanawiam się, czy nie była jedynie holografem.

Eiadh pocałowała go w nagrodę za ładny komplement.

Wtedy otworzyły się drzwi i weszła Rasa. Dała im zgodne z zasadami towarzyskimi piętnaście minut - może trochę więcej.

- Tak miło z twojej strony, że nas odwiedziłeś, Elemaku. Dziękuję ci, Eiadh, że zajęłaś naszego gościa rozmową podczas mojej nieobecności.

To były subtelne rytuały - zachowywała się, jakby zalotnik przyszedł w odwiedziny do pani domu, a młoda kobieta będąca obiektem jego starań jedynie pomagała w zabawianiu gościa.

- Za całą pani gościnność jestem niewymownie wdzięczny - rzekł Elemak. - Uratowała pani znużonego podróżnika, lady Raso; nie zdawałem sobie sprawy, jak bliski byłem śmierci, dopóki nie ożywiła mnie pani życzliwość.

Rasa zwróciła się do Eiadh.

- Jest w tym naprawdę dobry, prawda?

Eiadh uśmiechnęła się słodko.

-Lady Raso - ciągnął Elemak - nie wiem, co przyniesie przyszłość. Dziś muszę się spotkać z Gaballufixem i nie mam pojęcia, jak to się zakończy.

-Więc nie spotykaj się z nim - poradziła Rasa z powagą.

- Myślę, że stał się bardzo niebezpieczny. Roptat jest przekonany,

że uknuto spisek, by go zabić na spotkaniu w chłodni w dniu wyjazdu Wetchika. Gdyby zgodnie z umową Wetchik się tam zjawił, Roptat wpadłby w pułapkę. Wierzę mu. Wierzę, że Gaballufix w głębi serca kryje mordercze zamiary.

Elemak nie miał pojęcia, co by się stało, gdyby potwierdził podejrzenia Rasy. Rasa i Eiadh mogłyby się zastanawiać, skąd wie o takim spisku, a jeśli wiedział, to dlaczego sam nie ostrzegł Roptata. Kobiety nie rozumieją, że czasami, aby uniknąć wielu tysięcy ofiar krwawej wojny, najłagodniejszym i najspokojniejszym sposobem zapobieżenia konfliktowi jest śmierć jednego człowieka w odpowiednim momencie. Naiwni ludzie łatwo mogą wziąć słuszną strategię za zbrodnię.

-Być może - przyznał Elemak. - Czy ktokolwiek wie, co się kryje w głębi serca innego człowieka?

-Znam serce pewnego człowieka - powiedziała Eiadh. - A moje serce nie ma przed nim żadnych tajemnic.

-Jeżeli twoje słowa nie odnoszą się do Elemaka - stwierdziła Rasa - to biedny syn Wetchika może w ślepej namiętności sam zacząć myśleć o popełnieniu jakiegoś morderstwa.

-Oczywiście, że mówię o Elyi - potwierdziła Eiadh, chwyciła go za rękę i trzymała ją sobie na kolanach.

-Lady Raso, nie idę do Gaballufixa dla kaprysu. Ojciec mnie wysłał. Potrzebuje czegoś, co tylko Gaballufix może mu dać.

-Wszyscy potrzebujemy czegoś, co tylko Gaballufix może nam dać - oświadczyła Rasa. - Tym czymś jest pokój. Możesz mu o tym wspomnieć, kiedy się z nim zobaczysz.

-Postaram się - powiedział Elemak, choć oczywiście oboje wiedzieli, że tego nie zrobi.

-Czegóż chce Wetchik? Czy przesyła mi jakąś wiadomość?

-Chyba się nie spodziewał, że spotkam się z panią - odparł Elemak. - Zostałem wysłany z powodu wizji od Nadduszy. Właściwie przyszliśmy wszyscy czterej...

-Nawet Issib! Tutaj!

-Nie. Zostawiłem ich w bezpiecznym miejscu poza miastem. Jeżeli to będzie ode mnie zależało, nikt oprócz was obu się nie dowie, że tu są. Przy odrobinie szczęścia zdobędę Indeks i opuszczę miasto przed zmrokiem. Nie mam pojęcia, kiedy znów tu wrócimy.

- Indeks - szepnęła Rasa. - Wówczas nie będzie mógł nigdy wrócić.

Elemaka to zaniepokoiło.

-Dlaczego? Czym jest Indeks?

-Niczym - odparła Rasa. - To znaczy, nie wiem. Tylko że... Powiedzmy, jeśli Palwashantu dowiedzą się, że zniknął...

-Czy Indeks może być aż taki ważny? Nigdy o nim nie słyszałem, dopóki ojciec nie wysłał nas po niego.

-Niewiele się o nim mówi - wyjaśniła Rasa. - Chyba nie było ku temu potrzeby. A może Naddusza nie chce, aby o niej wiadano.

-Dlaczego? Istnieje mnóstwo indeksów. Po kilkadziesiąt w każdej bibliotece na świecie, setki w samej Basilice. Dlaczego ten Indeks to właśnie ten właściwy?

-Nie jestem pewna. Naprawdę nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jest to przynależny kultowi mężczyzn wytwór ludzkiej ręki, o którym wspominają również nauki kobiet.

-Przynależny kultowi? W jaki sposób jest ten Indeks wykorzystywany?

-Nie wiem. O ile się orientuję, nigdy go nie wykorzystywano. Nigdy go nie widziałam. Nawet nie wiem, jak wygląda.

-To dobra wiadomość - powiedział Elemak. - Założyłem, że będzie taki jak każdy inny indeks, a teraz mówi mi pani, że Gaballufix mógłby mi dać cokolwiek i powiedzieć, że to Indeks, a ja nawet bym nie wiedział, czy mnie oszukuje.

Rasa się uśmiechnęła.

- Elemaku, musisz zrozumieć. Gaballufix nigdy nie da ci Indeksu, chyba że będzie chciał utracić pozycję przywódcy Palwashantu.

Elya był zmartwiony, ale nie przerażony. Rasa mogła nie mieć racji. Nikt naprawdę nie wiedział, do czego Gaballufix jest zdolny, a on jeśli tylko dostrzeże możliwość uzyskania jakichś korzyści, przehandluje dosłownie wszystko. Nawet własną matkę, gdyby kiedykolwiek doszedł do wniosku, że stara Hosni może mieć jakąś wartość. Tak, można zdobyć Indeks, jeśli cena będzie odpowiednia.

I im bardziej Elemak uświadamiał sobie, jak ważny jest ten tajemniczy Indeks, tym bardziej go pragnął, nie tylko po to, żeby

udobruchać ojca, nie tylko w ramach prowadzonej przez niego gry o przyszłość, ale po to, by samemu go mieć. Jeżeli Indeks dawał taką władzę, to czemu nie miałby należeć do Elemaka?

- Jeżeli jakoś uda ci się zdobyć Indeks - powiedziała Rasa

- musisz mieć świadomość, że Gaballufix nie pozwoli ci zatrzymać go na stałe. Odzyska go w jakiś sposób. Znajdziesz się wtedy w strasznym niebezpieczeństwie. Chodzi mi o to, że jeśli ty lub któryś z twoich braci będziecie potrzebowali schronienia przed Gabą, nie ufajcie żadnemu mężczyźnie. Rozumiesz? Żadnemu mężczyźnie.

Elemak nie wiedział, co odpowiedzieć. Przecież on był mężczyzną. Jak miał według niej zareagować na taką radę?

-Niewiele jest kobiet w tym mieście - ciągnęła Rasa - których nie ucieszyłoby uszczuplenie władzy i prestiżu Gabyi. Z radością pomogłyby zdobywcy Indeksu uciec przed mackami Gaballufixa, nawet gdyby Indeks został zdobyty metodą, którą zwykle można by uznać za...

-Przestępczą - dokończył Elemak.

-Nie znoszę tej myśli. Ale twój ojciec z pewnością ma rację, że utrata Indeksu byłaby ciężkim ciosem dla Gaballufixa.

-Właściwie to nie był pomysł ojca - wyjaśnił Elemak.

- Powiedział, że przyszedł mu do głowy we śnie. Od Nadduszy.

-W takim razie to może się zdarzyć - zawyrokowała. - Być może... kto wie, czy Naddusza nie ma nadal dostatecznego wpływu na Gaballufixa, aby go... jak by to powiedzieć? Oglupić?

-Wystarczająco oglupić, żeby dał mi Indeks?

-I wystarczająco, aby cię potem nie znalazł i nie zniszczył.

Elemak ścisnął dłoń Eiadh. Przyszedłem tutaj w poszukiwaniu schronienia i wiedziony tęsknotą do tej dziewczyny, ale w rzeczywistości potrzebowałem pomocy Rasy, pomyślał. Trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym poszedł do domu Gabyi, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia tego Indeksu.

-Lady Raso, jak mogę podziękować za wszystko, co pani dla mnie zrobiła?

-Obawiam się, że zachęciłam cię do zaryzykowania życia dla osiągnięcia czegoś niemożliwego. To dla mnie nieznośna myśl, że Gaballufix mógłby naprawdę zrobić ci krzywdę, ale stawka

w tej grze jest bardzo wysoka. Nagrodą jest przyszłość Basiliki, lecz obawiam się, że zdobycie tej nagrody mogłoby kosztować miasto tak dużo, że nie warto grać.

-Bez względu na wszystko może być pani pewna, że wrócę po Eiadh, jeżeli będę mógł i jeżeli mnie zechce.

-Nawet jeśli będziesz pariasem i zbrodniarzem? - zapytała Rasa. - Czy spodziewałbyś się, że poszłaby za tobą nawet wtedy?

-Zwłaszcza wtedy! - wykrzyknęła Eiadh. - Kocham Elyę nie dla jego pieniędzy czy pozycji w mieście, lecz z powodu tego, jaki jest.

-Moja droga - powiedziała Rasa - nigdy nie znałaś go bez pieniędzy czy pozycji. Skąd wiesz, jaki będzie, kiedy nie będzie już ich miał?

To było okrutne. Elemak nie mógł uwierzyć, że taka myśl przyszła jej do głowy, nie mówiąc już o tym, że wypowiedziała ją głośno.

- Lady Raso, gdyby Eiadh kierowała się jedynie względami materialnymi, nie mógłbym darzyć jej miłością czy nawet zaufa niem. Ale ja naprawdę ją kocham i żadna inna kobieta nie jest bardziej warta mojego zaufania.

Rasa uśmiechnęła się do niego.

-Eiadh, twój adorator widzi cię w takich pięknych barwach. Naprawdę postaraj się być tego warta.

-Ze słów mojej ciotki Rasy można by wywnioskować, że próbowała wyperswadować ci miłość do mnie - podsumowała Eiadh.

- Chyba jest troszeczkę zazdrosna o to, że zaleca się do mnie taki wspaniały mężczyzna.

- Mam ojca tego wspaniałego mężczyzny - stwierdziła Rasa.

- Po cóż byłby mi jego syn?

Była to chwila pełna napięcia. Mówiono o sprawach, o których nie powinno się - nie można było - mówić w kulturalnym towarzystwie. Chyba że żartem.

W końcu Rasa wybuchnęła śmiechem. W końcu. Zawtórowali jej ochoczo, z ulgą.

-Oby Naddusza ci towarzyszyła - powiedziała Rasa.

-Wracaj szybko po mnie - dodała Eiadh.

Przywarła do niego mocno, całym ciałem, jakby wtapiała się w niego. A może to on wtapiał się w nią. Odwzajemnił uścisk

- nie będzie miała żadnych wątpliwości co do jego požądania czy oddania.

Dotarł do domu Gaballufixa po południu. Z przyzwyczajenia prawie prześlizgnął się uliczką do prywatnego bocznego wejścia. Potem jednak uprzytomnił sobie, że jego stosunki z Gaballufixem uległy radykalnej zmianie. Jeżeli Gaballufix uważał go za zdrajcę, swym potajemnym przybyciem dałby doskonałą okazję, aby pozbyć się go bez świadków. Zresztą wejście tylnymi drzwiami sugerowałoby, że Elemak ma niższą pozycję od Gaballufixa. Miał już tego dość. Wejdzie jawnie, ostentacyjnie, frontowym wejściem, jak ważna osobistość w mieście, gość honorowy.

Z przyjemnością zauważył, że słudzy okazują mu szacunek. Wprowadzili go niezwłocznie do środka i czekał bardzo krótko, zanim go zaprowadzono do biblioteki, gdzie zawsze spotykał się z Gaballufixem. Z pozoru nic się nie zmieniło - Gabya wstał, uściśnął go na powitanie. Rozmawiali jak bracia, plotkując przez kilka minut o wspólnych znajomych. Jedyną oznaką napięcia był sposób, w jaki Gabya nawiązał do „pospiesznego nocnego wyjazdu” Elemaka.

-To nie był mój pomysł - tłumaczył się Elya. - Nie wiem, kto z twoich ludzi puścił parę z ust, ale ojciec obudził nas kilka godzin przed świtem i znaleźliśmy się na pustyni przed wyznaczoną godziną spotkania.

-Nie lubię niespodzianek - powiedział Gaballufix - ale wiem, że czasami wydarzenia toczą się poza kontrolą człowieka.

Okazywał wyrozumiałość. Elemak poczuł dużą ulgę i rozsiadł się wygodniej na krześle.

-Możesz sobie wyobrazić, jaki byłem zmartwiony. Nie mogłem się wymknąć i powiadomić cię, co się dzieje. Przez cały czas był przy nas ojciec, nie mówiąc już o moich braciszkach.

-Co z Mebbekewem?

-Robiłem, co mogłem, żeby nie narobił w portki. Nie powinien być nigdy wtajemniczać go w plan.

-Czyżby?

-Skąd wiesz, że to nie on ostrzegł ojca?

-Tego nie wiem - odparł Gaballufix. - Wiem tylko, że mój drogi kuzyn Wetchik wyjechał, a wraz z nim mój brat Elemak.

-Przynajmniej jest poza miastem. Nie będzie się już wtrącał w twoje sprawy.

-Naprawdę?

-Oczywiście. Co może dziać się w jakiejś odludnej dolinie na pustyni?

-Przysłał ciebie - powiedział Gaballufix.

-W jednym tylko celu, który nie ma nic wspólnego z całą debatą nad wozami wojennymi, Potokgavanem i Mokrogłowymi.

-Deбата i tak znacznie wykroczyła poza te problemy - rzekł Gaballufix. - A raczej dotyka tematu znacznie bliższego. Powiedz mi zatem coś o „jednym tylko celu” i jak mogę twemu ojcu pokrzyżować plany.

Elemak roześmiał się, mając nadzieję, że Gabya żartuje.

-Najlepszy sposób to, jak sądzę, dać mu, czego chce... to zresztą nic wielkiego, a potem odejdziemy i sprawa rozegra się między tobą i Roptatem, tak jak chciałeś.

-Nigdy nie chciałem żadnej sprawy między mną i kimś innym - powiedział Gaballufix. - Jestem zgodnym człowiekiem. Nie chcę żadnych konfliktów. Myślałem, że mam plan, dzięki któremu można uniknąć konfliktu, lecz w ostatniej chwili ludzie, na których liczyłem, zawiedli.

Nadał się uśmiechał, ale Elemak zdał sobie sprawę z tego, że stosunki między nimi wcale nie są dobre.

-Powiedz mi teraz, Elya, cóż to za błahostka, którą powinienem zrobić dla twojego ojca tylko dlatego, że o to prosi?

-Chodzi o Indeks - odparł Elemak. - To jakaś starość, która jest w posiadaniu rodziny od wielu pokoleń.

-Indeks? Czemu miałbym posiadać jeden z indeksów rodziny Wetchika?

-Nie wiem. Założyłem, że będziesz wiedział, o który mu chodzi. Po prostu nazwał go indeksem, więc pomyślałem, że będziesz wiedział.

-Mam kilkadziesiąt indeksów. Kilkadziesiąt.

Gaballufix nagle uniósł brwi, jakby właśnie coś sobie uświadomił. Elemak jednak już kiedyś widział takie samo aktorskie zachowanie w jego wykonaniu, więc wiedział, że przyrodni brat się z nim bawi.

- Chyba że mówisz o... Nie, absurd! To nigdy nie należało do rodu Wetchików.

Elemak sumiennie odgrywał swoją rolę.

-O czym mówisz?

-Oczywiście o Indeksie Palwashantu - odrzekł Gaballufix. - Stanowi on podstawę pozycji klanu, od zarania dziejów począwszy. Najcenniejszy wytwór ludzkiej ręki w całej Basilice.

Oczywiście włoży całą swoją energię w tę grę. Jak każdy kupiec, któremu zależy na sprzedaży, będzie udawać, że jego towar to najcenniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek istniała na planecie. Po to, aby wyznaczyć nedorzecznie wysoką cenę, a potem coś z niej opuścić.

-A więc to nie może być ten - powiedział Elemak. - Ojciec na pewno nie uważał, że ten indeks jest aż tak cenny. Ma raczej wartość sentymentalną. Dziadek ojca oddał ten indeks radzie klanu na przechowanie. Teraz ojciec chce go mieć ze sobą podczas swoich podróży.

-A więc to ten. Jego dziadek miał go, ale tylko jako tymczasowy strażnik. Indeks został przekazany Wetchikom przez klan Palwashantu. Dziadek Volemaka zmęczył się dźwiganiem tego ciężaru i zwrócił Indeks. Teraz wyznaczono kolejnego strażnika: mnie. A ja nie jestem zmęczony. Powiedz więc ojcu, że jestem mu wdzięczny za gotowość służenia mi pomocą w wypełnianiu m o i c h obowiązków, ale chyba będę zmagał się z tym jeszcze przez kilka lat bez jego wsparcia.

Nadeszła pora, by wspomnieć o cenie. Elemak czekał, ale Gaballufix nic nie powiedział.

A potem, po kilkuminutowej ciszy, Gaballufix wstał zza stołu.

- W każdym razie, mój kochany bracie, cieszę się, że znów cię widzę w mieście. Mam nadzieję, że długo tu zabawisz. Przyda mi się twoje poparcie. Właściwie, skoro wygląda na to, że twój ojciec uciekł, na pewno użyję moich wpływów, by spróbować załatwić ci uzyskanie godności Wetchika.

Wcale nie tego spodziewał się Elemak. Ze słów Gaballufixa wynikało, że Elemakowi już teraz należy się jego spadek, a takie stwierdzenie było zupełnie nie do przyjęcia.

- Ojciec jest Wetchikiem - przypomniał. - Jeszcze nie umarł, a kiedy to nastąpi, zostanę Wetchikiem bez niczyjej pomocy.

-Jeszcze nie umarł? - zapytał Gaballufix. - A więc gdzie się podziewa? Nie widzę tu mojego starego przyjaciela Wetchika, ale widzę jego syna, który najbardziej skorzysta na jego śmierci.

-Moi bracia również zaświadczą, że ojciec żyje.

-A gdzie oni są?

Elemak prawie wypaplał, że ukrywają się niedaleko murów miasta. A potem uświadomił sobie, że prawie na pewno właśnie tego Gaballufix chciał się najbardziej dowiedzieć - kim są sojusznicy Elemaka i gdzie się ukrywają.

- Chyba nie myślisz, że wszedłbym do miasta sam, kiedy moi bracia nie mniej ode mnie palą się do powrotu do Basiliki!

Gaballufix oczywiście zdawał sobie sprawę, że Elemak kłamie, wiedział przecież, że jedynie jego odcisk kciuka zarejestrowano przy bramach miasta. Nie miał jednak pewności, czy Elemak tylko blefuje, a jego bracia są daleko na pustyni, czy też przechytrzyli strażników przy bramach i są w tej chwili w mieście, knując jakiś spisek. Gaballufix nie mógł pisać słowa o tym, że wie, iż Elemak jest jedynym z braci, który wszedł legalnie do miasta - to by znaczyło tyle, co przyznać się, że ma dostęp do miejskich komputerów.

-Cieszę się, że mogli wrócić do rozkoszy Basiliki - powiedział Gabya. - Mam nadzieję, że są ostrożni. Do miasta sprowadzono chuliganów - obawiam się, że głównie za sprawą Roptata i jego bandy - i choć pomagam rajcom, każąc kilku moim podwładnym patrolować ulice w godzinach nadliczbowych, nadal możliwe są nieszczęśliwe wypadki przytrafiające się młodym ludziom, którzy chodzą samotnie po mieście. Czasami te wypadki mogą okazać się groźne.

-Powiem im, żeby uważali.

-I ty też, Elemaku. Martwię się o ciebie, bracie. Niektórzy ludzie myślą, że twój ojciec był zamieszany w spisek przeciw Roptatowi. A jeżeli wyładują swoją złość na tobie?

W tym momencie Elemak uświadomił sobie, że jego misja spaliła na panewce. Gabya wyraźnie był przekonany, że Elemak go zdradził, lub doszedł do wniosku, że jest już nieprzydatny i stał się na tyle niebezpieczny, by warto go było zabić. Teraz zniknęły już nadzieje na uzyskanie czegokolwiek pod pozorem braterskiej życzliwości. Ale może warto było zmienić taktykę.

-Daj spokój, Gabya. Przecież to ty rozpuściłeś tę pogłoskę, że ojciec spiskuje przeciw Roptatowi. Taki był plan, pamiętasz? Miano przyłapać ojca w chłodni przy zwłokach Roptata. Nie zostałby skazany, ale byłby wpłątany w zbrodnię, skompromitowany. Tylko że ojciec nie przyszedł, i dlatego twoje zbiry nie miały okazji zabić Roptata, a teraz próbujesz jakoś ratować plan. Siedzieliśmy tutaj i rozmawialiśmy o tym. Czemu mielibyśmy udawać, że obaj nie wiemy, jak sprawa dokładnie wygląda?

-Bo istotnie tak jest - odparł Gaballufix. - Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Elemak spojrzał na niego z pogardą.

-Pomyśleć, że kiedyś wierzyłem, iż jesteś w stanie doprowadzić Basilikę do świetności. Nie umiałeś nawet unieszkodliwić swojej opozycji, kiedy miałeś okazję.

-Zostałem zdradzony przez głupców i tchórzy - bronił się Gaballufix.

-Tak zawsze głupcy i tchórze tłumaczą swoje niepowodzenia. I tak jest w istocie, o ile tylko zdają sobie sprawę, że mówią o zdradzeniu samych siebie.

-Nazywasz mnie głupcem i tchórzem?!

Gaballufix wpadł w złość, tracił panowanie nad sobą. Elemak nigdy dotąd nie widział go w takim stanie. Nie był pewien, czy zdoła sobie z tym poradzić, ale przynajmniej Gabya przestał okazywać uprzejmą obojętność.

-Nie uciekłem jednak po kryjomu w środku nocy - powiedział Gaballufix - ani nie wierzyłem w każdą, nawet najbardziej idiotyczną bajeczkę, którą mi opowiedziano.

-A ja tak zrobiłem? - zdziwił się Elemak. - Zapominasz, Gabya, że to ty opowiadałeś mi bajeczki. Teraz więc chciałbym się dowiedzieć, w wypadku której z nich okazałem się takim idiotą, by uwierzyć. Że działałeś tylko w najlepszym interesie Basiliki? W tę nigdy nie uwierzyłem, wiedziałem, że chodziło ci o zdobycie władzy. A może myślisz, że dałem wiarę twoim zapewnieniom, że naprawdę kochasz mojego ojca i próbujesz go ochronić przed wpłątaniem się w sytuację polityczną, której nie potrafi ogarnąć rozumem. Sądzisz, że mnie nabrałeś? Nienawidziłeś go, odkąd lady Rasa zerwała z tobą kontrakt i związała się z nim, i z każdym rokiem ich wspólnego pożycia nienawidziłeś go coraz bardziej.

-Nigdy o to nie dbałem! - wykrzyknął Gaballufix. - Ona nie dla mnie nie znaczy!

-Nawet teraz jest jedyną publicznością, którą starasz się zadowolić. Łatwo wyobrazić sobie, jak idziesz do jej domu i kroczysz dumnie, napuszony niczym kogut, popisując się przed nią. Szkoda, że nie możesz słyszeć, jak się z ciebie śmieje.

Elemak oczywiście wiedział, że naraża Rasę na wielkie niebezpieczeństwo, ale gra była bardzo niebezpieczna, toteż nie mógł żywić nadziei, że ją wygra, nie podejmując ryzyka. Zresztą lady Rasa umiała sobie radzić z Gaballufixem.

-Śmieje się? Wcale nie. Nawet z nią nie rozmawiałeś.

-Spójrz na mnie. Czy widzisz na moim ubraniu jakieś ślady brudu po podróży? Wykąpałem się w jej domu. Zostanę partnerem jej ulubionej siostrzenicy. Powiedziała mi, że wolałaby zawrzeć kontrakt z królikiem, niż spędzić z tobą kolejną noc.

Przez chwilę myślał, że Gaballufix wyciągnie broń i zabije go na miejscu. A potem mięśnie twarzy Gabby rozluźniły się nieco i na jego ustach wykwitło coś w rodzaju uśmiechu.

-Teraz wiem, że kłamiesz. Rasa nigdy by nie powiedziała czegoś tak prymitywnego.

-Oczywiście, że to zmyśliłem - przyznał Elemak. - Chciałem ci tylko pokazać, kto jest głupcem, który daje wiarę wszystkim bajeczkom.

-Wierzyć przez chwilę, to jedno. A przyjmować przez cały czas za prawdę największe głupoty, to coś zupełnie innego.

Właśnie w tamtej chwili Elemakowi po raz pierwszy zaświtało w głowie, na jakie kłamstwo - zdaniem Gaballufixa - dał się nabrać. I Gabby miał rację: Elemak był głupcem, że w ogóle kiedykolwiek w to uwierzył, i jeszcze większym głupcem, że wierzył w to nadal.

-Nigdy nie zamierzałeś oskarżyć ojca o zamordowanie Ropata, prawda?

-Ależ tak, zamierzałem - odparł Gabby.

-Ale nie postawić go przed sądem.

-Oczywiście, że nie. To by była strata czasu. Mówiłem ci o tym.

-Powiedziałaś, że to by była strata czasu, ponieważ człowieka o takim prestiżu nigdy by nie skazano. Ale prawda była taka,

że ojciec nigdy nie stanąłby przed sądem, ponieważ zamierzałeś to tak zaaranżować, aby ludzie odkryli w chłodni dwa ciała - Roptata i jego.

-Co za straszne oskarżenie! Zaprzeczam wszystkiemu. Masz zwyrodniałą wyobraźnię, chłopcze!

-Wykorzystywałeś mnie, żebym zdradził własnego ojca po to, abyś mógł go zabić.

-Przez cały czas zakładałem, że o tym wiesz. Przyjąłem, że rozumiesz, iż jedynie ze względu na nieprzyjemny temat nie rozmawiamy o tym wprost. Myślałem, że pojmujesz, iż mogę ci załatwić szybko spadek jedynie poprzez zaaranżowanie śmierci twojego ojca.

To, że prawie wpłatał się w ojcobójstwo, tak rozwścieczyło Elemaka, iż całkowicie stracił panowanie nad sobą. Skoczył w kierunku Gaballufixa - i stanął w pół kroku na widok pulsatora w jego ręce.

- Tak, tak, widzę, że orientujesz się, jaką krzywdę może wyrządzić człowiekowi pulsator z bliskiej odległości. Już kiedyś zabiłeś człowieka. To mogła być ta broń, prawda?!

Elemak spojrzał na pulsator i rozpoznał na nim rysy od kamieni, na których był kładziony, nacięcia i znaki oraz jaśniejsze plamy od światła słonecznego.

-Pożyczyłem go Mebbekegowi w dniu mojego powrotu z ostatniej wyprawy karawanowej - powiedział otępiały.

-A Mebbekeg pożyczył go mnie. Wy tłumaczyłem mu - skoro już mówimy o głupcach - że pulsator jest mi potrzebny, aby zrobić ci niespodziankę na przyjęciu wydanym na twoją cześć za przelanie krwi, i że wykorzystam twoją historię do tego, żeby natchnąć moich żołnierzy. - Gaballufix wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Dlatego wciągnąłeś w to Meba. Żeby zdobyć mój pulsator.

Ale po co to wszystko? Elemak wyobraził sobie, jak ojciec leży martwy, a potem ktoś znajduje niedaleko ten pulsator. Zobaczył, jak Gaballufix ze łzami w oczach udziela wyjaśnień radzie miejskiej: „Oto do czego prowadzi chciwość młodszego pokolenia. Mój własny brat przyrodni posunął się do zamordowania ojca, żeby dostać spadek”.

-Masz rację - powiedział Elemak spokojnie. - Byłem głupcem.
-Byłeś i jesteś. Widziano cię dzisiaj w mieście, w całym mieście. Moi ludzie śledzili cię w kilku dzielnicach. Jest wielu świadków. I tak rozkosznie będzie widzieć Rasę zmuszoną do zeznawania przeciwko najstarszemu synowi swojego ukochanego Volemaka. Ponieważ dziś wieczorem ktoś zginie, zabity właśnie tym pulsatorem, który zostanie znaleziony przy zwłokach, a potem wszyscy się dowiedzą, że zabójcą był syn Wetchika, działający prawdopodobnie na rozkaz ojca. A najlepsze jest to, że mogę cię wypuścić z miasta żywego, a ty i tak nie będziesz w stanie niczego w tej sprawie zrobić. Jeżeli zaczniesz rozpowiadać o moim spisku na czyjeś życie - obojętne, kogo wybiorę - wszyscy założą, że po prostu próbowałeś zawczasu zatuszować własną zbrodnię. Jesteś głupcem, Elemaku, tak jak twój ojciec. Nawet kiedy wiedziałeś, że nie boję się posunąć do morderstwa, aby dopiąć celu, myślałeś, że ty i twoja rodzina będziecie bezpieczni, że postąpię z tobą łagodniej, ponieważ to samo zmęczone, stare łono nosiło ciebie i mnie przez dziewięć miesięcy, podczas których wysysaliśmy życie z jego łóżyska.

Elemak nigdy nie widział takiej wściekłości, takiej nienawiści, takiego zła na ludzkim obliczu, nigdy nie wyobrażał sobie, że to jest możliwe. A jednak to była prawda: Gabya rozradowany opisywał zbrodnię, którą zamierzał popełnić. Elemak przestraszył się, lecz równocześnie poczuł się szalenie pewny siebie. Zdał sobie sprawę, jak bardzo góruje nad bratem.

-I kto tu jest głupcem, Gabya... kto tu jest głupcem?

-Myślę, że teraz już nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

-To prawda. Uniemożliwisz ojcu i mnie powrót do miasta, przynajmniej przez jakiś czas, ale śmierć Roptata nie otworzy ci drogi. Czy naprawdę jesteś aż taki głupi? Nikt nawet na chwilę nie uwierzy, że ojciec czyja bylibyśmy zdolni zabić Roptata.

-Będę miał tę broń! - wykrzyknął Gaballufix.

-Broń tak, ale żadnych świadków zabójstwa, tylko bajeczkę rozprowadaną przez twoich ludzi. Nie są aż tacy głupi, by nie umieć zliczyć do czterech. Kto zyska na śmierci Roptata i wygnaniu ojca? Tylko ty, Gabya. Miasto podniesie krwawy bunt przeciw tobie.

-Przeceniasz wolę moich słabowitych wrogów - odparł Gaballufbc, ale jego radość zniknęła.

-Twoi wrogowie nie są słabi. Owszem, nie chcą zabijać, aby postawić na swoim. Zechcą zabić, aby powstrzymać człowieka takiego jak ty. Takiego słabego na umyśle, zazdrośnego, złośliwego szkodnika, pasożyta, karalucha jak ty.

-Czy aż tak bardzo chcesz umrzeć?

-Tak, zabij mnie, Gabya. Setki ludzi wiedzą, że tu jestem. Setki czekają, żeby usłyszeć, co im powiem. Twój cały plan jest ujawniony i żadna jego część się nie powiedzie, ponieważ byłeś taki głupi, że musiałeś się przechwalać.

Elemak oczywiście blefował, ale Gaballufix zaczął się zastanawiać. Zaraz się uśmiechnął.

- Elya, mój bracie, jestem z ciebie dumny.

Elemak umiał rozpoznać kapitulację. Nie odpowiedział Gaballufixowi.

-W końcu jesteś moim bratem - ciągnął Gaballufix. - Mimo wszystko krew Volemaka cię nie osłabiła. Może nawet dodała ci siły.

-Myślisz, że teraz dam się zwieść twoim pochlebstwom?

-Oczywiście, że je zlekceważysz. Ale to nie stoi na przeszkodzie, bym mógł cię podziwiać, prawda? Tylko powstrzymuje cię przed uwierzeniem w mój podziw. Twoja strata, drogi Elyo!

-Przyszedłem po Indeks, Gaballufiksie - powiedział Elemak. - Prosta sprawa. Daj mi go i odejdę. Wetchik i jego rodzina już nigdy więcej nie będą cię niepokoić. Będziesz mógł się bawić w swoje gierki, aż ktoś wbije ci nóż w plecy tylko po to, żeby uciszyć ten pisk, który wydajesz z siebie za każdym razem, kiedy ci się wydaje, że zachowałeś się wyjątkowo sprytnie.

Gaballufix przechylił głowę na bok.

Da mi ten Indeks! - pomyślał triumfująco Elemak.

- Nie - rzekł Gaballufix. - Chciałbym, ale nie mogę. Zniknięcie Indeksu trudno byłoby wyjaśnić radzie klanu. Czemu miałbym ściągać sobie na głowę kłopoty? Tylko po to, żeby się pozbyć Wetchika? Przecież już się go pozbyłem.

Teraz wreszcie targował się jak kupiec.

- Co jeszcze byś chciał, co byłoby warte twojego zachodu?

- zapytał Elemak.

-Złóż mi ofertę. Tyle pieniędzy, żeby mi wynagrodziły moje dodatkowe, niezbędne trudy.

-Daj mi Indeks, a ojciec udostępni ci fundusze. Wszystko, co zechcesz.

-Mam czekać na te fundusze? Czekać, aż Wetchik zapłaci mi później za Indeks, który dam ci teraz? Aha, rozumiem, widzę, jak sprawa wygląda! - Gaballufix roześmiał się drwiąco. - Nie możesz mi dać teraz pieniędzy, bo nie masz. Wetchik jeszcze nie udostępnił ci ani grosza ze swojej fortuny! Wyprawił cię z tą misją i nie dał ci nawet możliwości korzystania z jego majątku!

To było upokarzające. Ojciec powinien był się domyślić, że pertraktacje z Gaballufixem w końcu sprowadzą się do pieniędzy; powinien był podać Elemakowi hasło, które otworzy mu dostęp do funduszy rodziny. Rashgallivak - rządca - miał większą kontrolę nad fortuną Wetchika niż Elya. Elemak pieńił się z wściekłości. Jak ojciec mógł go postawić w takim położeniu! Głupi starzec, który potyka się o własne nogi w załatwianiu interesów!

- Powiedz mi, Elya - rzekł Gaballufix, kiedy już przestał się śmiać - skoro własny ojciec nie powierza ci swoich pieniędzy, to czemu ja miałbym ci dać Indeks?

Po tych słowach sięgnął ręką pod stół i nacisnął jakiś włącznik. Natychmiast otworzyło się troje drzwi, do pokoju wpadli identycznie wyglądający żołnierze, chwycili Elemaka i wypchnęli brutalnie na korytarz, a potem na ulicę.

Nie koniec na tym. Odprowadzili go szybkim krokiem do najbliższej bramy, którą przypadkowo była Tylna Brama - przechodząc po drodze tuż obok domu jego matki - i rzucili go w błoto przed strażnikami.

- Ten opuszcza miasto! - krzyknął jeden z żołnierzy.

- I już nigdy tu nie wraca! - zawołał inny.

Wydawało się jednak, że na strażnikach nie zrobiło to dużego wrażenia.

- Obywatel miasta? - zapytał jeden.

- Tak - odparł Elemak, otrzepując się.

- Proszę pokazać kciuk. Wyciągnęli ekran do identyfikacji.

- Obywatel Elemak, syn Hosni i Wetchika. To zaszczyt służyć panu.

Wszyscy strażnicy stanęli na baczność i zaszalutowali.

To go zupełnie oszołomiło. Ani razu, gdy wchodził do miasta i z niego wychodził, nie zdarzyło mu się, żeby ktoś okazał coś więcej oprócz lekkiego zdziwienia, kiedy miejski komputer podawał jego znamienite pochodzenie. A teraz salut!

Petem żołnierze Gaballufixa znów szydzili z niego, chępiąc się, co mu zrobią, jeśli kiedykolwiek wróci do miasta. Elemak zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Strażnicy miasta pokazywali jemu i wszystkim ludziom znajdującym się w pobliżu, że oni nie należą do małej armii Gaballufixa. Ponadto sam fakt, że syn Wetchika był wyraźnie wrogiem Gaballufixa, skłonił strażników do okazania Elemakowi szacunku. Gdyby Elya tylko wiedział, jak wykorzystać tę sytuację, mógłby z powodzeniem obrócić ją na swoją korzyść.

Agdybym wrócił do miasta jako wybawiciel, który na czele straży i gwardii zgniótlby Gabkę i jego znienawidzoną armię kostiumowych klonów? - zastanawiał się. Wówczas miasto z radością oddałoby mi wszystko to, co Gabka usiłuje zdobyć oszustwem, zastraszeniem i morderstwem. Miałbym całą władzę, o jakiej śnił Gaballufix - i miasto uwielbiałoby mnie z tego powodu.

Fortuna

To był nieznośny dzień na pustyni, chociaż z wyjątkiem półtorej godziny w południe kanion znajdował się w głębokim cieniu i przez cały czas powiewał w nim wiaterek.

Nigdzie nie jest wygodnie, kiedy się czeka, aż ktoś inny wykona zadanie, które człowiek uważa za swoją powinność, pomyślał Nafai. Gorszy od upału, od potu zalewającego oczy, od piasku włożącego pod ubranie i między zęby był dławiący strach, który Nafai czuł za każdym razem, kiedy pomyślał, że Elemakowi powierzono misję Nadduszy.

Oczywiście wiedział, że brat oszukiwał przy losowaniu. Nie był aż takim głupcem. Czy Elemak w ogóle próbuje zdobyć Indeks? A może poszedł do miasta i spotkał się z Gaballufixem, żeby planować kolejną zdradę ojca i miasta, i w końcu Nadduszy?

Czy w ogóle wróci?

Wreszcie po południu rozległ się grzechot spadających kamieni i Elemak zszedł hałaśliwie do ich kryjówek. Ręce miał puste, lecz oczy rozpromienione. Zostaliśmy zdradzeni, pomyślał Nafai.

-Rzecz jasna odmówił - rzekł Elemak. - Ten Indeks jest ważniejszy, niż ojciec twierdził. Gaballufix nie chce z niego zrezygnować, przynajmniej nie za nic.

-A więc za co? - zapytał Issib.

- Nie powiedział. Ale ma cenę. Dał wyraźnie do zrozumienia, że chętnie wysłucha oferty. Kłopot w tym, że musimy wrócić do ojca i uzyskać dostęp do finansów.

Nafaiowi wcale się to nie podobało. Skąd mogli wiedzieć, co Elemak i Gaballufix sobie obiecali?

-Mamy iść taki szmat drogi z powrotem z pustymi rękami? - zaprotestował Mebbekew. - Coś ci powiem, Elya. Ty wracaj, a my zaczekamy tu, aż wrócisz z hasłem otwierającym dostęp do kont ojca.

-Racja - poparł go Issib. - Nie mam zamiaru spędzać nocy na pustyni, kiedy mogę iść do miasta i korzystać z lewiterów.

-Naprawdę jesteście aż tacy głupi? - zapytał Elemak. - Nie rozumiecie, że sytuacja wygląda teraz zupełnie inaczej? Już nie możecie chodzić po mieście anonimowo. Wszędzie są żołnierze Gabyi, a skoro nie jest on przyjacielem ojca, nie jest też naszym.

-Jest twoim bratem - stwierdził Mebbekew.

-Nie jest niczym bratem - powiedział Elemak. - Ma moralność szumowiny. Znam go lepiej od was i mogę przysiąc, że chętnie by nas zabił.

Nafai był zdumiony.

- Myślałem, że chcesz, aby stał na czele Basiliki.

-Sądziłem, że jego plan daje największe nadzieje Basili-ce w nadchodzących wojnach. Nigdy jednak nie myślałem, że Gaballufix może być zainteresowany czymkolwiek oprócz własnych korzyści. Jego żołnierze panoszą się w całym mieście; noszą jakiś holograficzny kostium i dzięki temu wszyscy wyglądają identycznie.

-Maski na całe ciało! - wykrzyknął Mebbekew. - Cóż za wspaniały pomysł!

-Oznacza to, że nawet gdy ktoś zobaczy, jak żołnierz popełnia przestępstwo - na przykład porywa lub morduje zabłąkanego syna starego Wetchika - nikt nie będzie w stanie zidentyfikować sprawcy.

-Tak więc - powiedział Nafai - jeśli ojciec otworzy nam dostęp do swoich pieniędzy, co z tego? Dlaczego przypuszczasz, że Gaballufix sprzedałby Indeks?

-Pomyśl, Nafaiu. Nawet czternastolatek powinien potrafić zrozumieć coś ze spraw dorosłych ludzi. Gaballufix opłaca

setki żołnierzy. Jego fortuna jest duża, ale nie aż tak, aby mógł to ciągnąć bez końca, nie przejmując kontroli nad pieniędzmi basilikańskich podatników, które wystarczyłyby mu na żołd dla wszystkich. Pieniądze ojca mogą wiele zmienić. Obecnie Gaballufix prawdopodobnie potrzebuje ich bardziej niż prestiżu wynikającego z posiadania tego Indeksu, o którym prawie nikt już nie wie.

Przyjmując z pokorą protekcyjny ton starszego brata, Nafai uświadomił sobie, że analiza Elemaka jest trafna.

-A więc Indeks jest na sprzedaż.

-Może być - przyznał Elemak. - Wrócimy zatem do ojca i przekonamy się, czy na Indeks warto wydać pieniądze i ile. Ojciec otworzy nam dostęp do finansów, wrócimy tu i będziemy się targować...

-A ja mówię, żebyś ty wrócił do ojca i pozwolił mi spróbować szczęścia w mieście - zaproponował Mebbekew.

-Dziś wieczorem chcę się uwolnić od tego krzesła - dodał Issib.

-Będiesz mógł wybrać się do miasta, kiedy wrócimy - obiecał Elemak.

-Tak jak tym razem? - zaperzył się Issib. - Znów każesz nam czekać i nigdy tam nie pójdziemy.

-Świetnie. Wrócę sam i powiem ojcu, że sprzeniewierzyłeś się jemu i jego sprawie tylko po to, żeby pójść do miasta, polatać sobie na lewiterach i przespać się z kimś.

-Nie chcę tam iść, żeby się z kimś przespać! - zaprotestował Issib.

-A ja nie chcę tam iść, żeby sobie polatać na lewiterach! - Mebbekew wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-Chwileczkę - wtrącił się Nafai. - Jeśli wrócimy do ojca i dostaniemy pozwolenie, co wtedy? To potrwa prawie tydzień. Sytuacja może się zmienić przez ten czas. W Basilice może już się toczyć wojna domowa albo Gaballufix może już znaleźć inne źródło finansowe i nasze pieniądze nie będą nic dla niego znaczyć. Musimy złożyć ofertę teraz.

Elemak spojrzał na niego zaskoczony.

- No cóż, tak, oczywiście, to prawda. Ale nie mamy dostępu do pieniędzy ojca.

Nafai spojrzał na Issiba. Issib
przewrócił oczami.

-Obiecałem ojcu - powiedział.

-Ty znasz hasło ojca?! - zapytał Mebbekew.

-Powiedział, że ktoś jeszcze powinien je znać, na wypadek sytuacji awaryjnej - odparł Issib. - A skąd ty o tym wiedziałeś, Nafaiu?

-Nie jestem idiotą - odrzekł Nafai. - W swojej pracy badawczej miałeś dostęp do katalogów biblioteki miejskiej, do których nie dopuszczono by takiego dzieciaka jak ty bez konkretnego upoważnienia osoby dorosłej. Nie wiedziałem jednak, że dał ci je ojciec.

-Przekazał mi tylko kod wejściowy. Resztę, że tak powiem, sam rozpracowałem.

Mebbekew zrobił się siny z wściekłości.

-Żyłem jak żebrak w mieście, a ty miałeś dostęp do całej fortuny ojca?

-Zastanów się nad tym, Meb - uspokajał go Elemak. - Komuż innemu ojciec mógłby powierzyć swoje hasło? Nafai to dziecko, ty jesteś rozrzutny, a ja ciągle nie zgadzałem się z nim w kwestii inwestowania. A cóż Issib mógłby zrobić z pieniędzmi?

-I dlatego, że nie potrzebuje pieniędzy, dostaje wszystko, czego chce?

-Gdybym kiedykolwiek skorzystał z tego hasła, żeby wyciągnąć pieniądze, zmieniłby je, więc oczywiście nigdy tego nie zrobiłem - wyjaśnił Issib. - Może ojciec ma jeszcze jedno hasło otwierające dostęp do konta; tego nie wiem, nigdy nie próbowałem. I teraz też nie spróbuję, więc zapomnijcie o tym. Ojciec nie upoważnił nas, żebyśmy sięgali po rodzinną fortunę.

-Powiedział nam, że Naddusza chce, abyśmy przynieśli mu Indeks - powiedział Nafai. - Nie rozumiecie? Indeks jest taki ważny, że ojciec musiał nas wysłać z powrotem do swojego wroga, człowieka, który zamierzał go zamordować...

-Daj spokój, Nyef, to był sen ojca, nic rzeczywistego - powiedział Mebbekew. - Gaballufix nie zamierzał ojca zabić.

-Owszem, zamierzał - zaoponował Elemak. - Zamierzał zabić zarówno Roptata, jak i ojca, a potem zwalić winę na mnie.

Mebbekew otworzył usta ze zdumienia.

-Zaaranżowałby wszystko tak - ciągnął Elya - aby przy zwłokach ojca znaleziono mój pulsator. Ten, który pożyczyłem tobie, Mebbekew. Postąpiłeś lekkomyślnie, dając mu moją broń.

-Skąd to wszystko wiesz? - zapytał Issib.

-Gaballufix mi powiedział, próbując pokazać, jaki jestem bezradny.

-Chodźmy do rady - zaproponował Issib. - Skoro Gaballufix się przyznał...

-Przyznał się, a raczej przechwalał przede mną, kiedy byliśmy sam na sam. Moje słowo przeciw jego. Nie ma sensu nikomu mówić. Nic dobrego by z tego nie wynikło.

-Teraz jest okazja - powiedział Nafai. - Dzisiaj, w tej chwili. Pójdziemy do domu, wejdziemy do katalogów ojca z jego własnej biblioteki i zamienimy wszystkie fundusze na aktywa płynne. Na targu złota wymienimy je na sztabki, zbywalne obligacje, klejnoty i co tylko się da, a potem pójdziemy do Gaballufixa i...

-I on nam to wszystko ukradnie, zabije nas, poćwiartuje i rzuci do jakiegoś rowu za miastem, aby nasze szczątki pożarły szakale - dokończył Elemak.

-Wcale nie - zaprzeczył Nafai. - Zabierzemy ze sobą świadka, kogoś, kogo Gaballufix nie ośmieli się tknąć.

-Kogo? - zaciekał Issib.

-Rashgallivaka. Wiecie, to nie tylko rządca domu Wetchika. Rash należy do Palwashantu i cieszy się olbrzymim zaufaniem oraz prestiżem. Zabierzemy go ze sobą, aby wszystko obserwował i był świadkiem wymiany fortuny ojca na Indeks, i wszyscy wyjdziemy stamtąd żywi. Gaballufix może zabić nas, ponieważ się ukrywamy, a ojciec jest wygnańcem, ale nie może tknąć Rasha.

-To znaczy, że wszyscy czterej pójdziemy do Gaballufixa? - zapytał Issib.

-Do miasta? - upewnił się Mebbekew.

-Niezły plan - stwierdził Elemak. - Ryzykowny, ale masz rację, że trzeba działać w tej chwili.

- Chodźmy więc do domu - powiedział Nafai. - Możemy zostawić tu zwierzęta na noc, prawda? Issib i ja pójdziemy do biblioteki ojca, żeby dokonać przelewu funduszy, a ty i Meb znajdziecie Rasha, żebyśmy mogli razem pójść na spotkanie z Gaballufixem.

-Czy Rash się na to zgodzi? - zaniepokoił się Issib. - A jeżeli Gaballufix i tak postanowi zabić nas wszystkich?

-Rash się zgodzi - odparł Elemak. - To człowiek stuprocentowo lojalny. Nigdy nie będzie się uchylał od obowiązku wobec rodu Wetchika.

Trwało to zaledwie godzinę. Było już późne popołudnie, kiedy przyszli na targ złota i zaczęli dokonywać ostatnich transakcji. Wszystkie kapitały, które nie były uwięzione w nieruchomościach, znalazły się w formie gotowych do zadysponowania funduszy w katalogu bankowym Issiba - właściwie, tak jak w przypadku katalogów bankowych wszystkich braci, był to jedynie podkatalog wszechobejmującego konta ojca. Jeżeli ktokolwiek wątpił, czy Issib jest upoważniony do wydawania takiej dużej sumy, na miejscu był Rashgallivak, który w milczeniu obserwował transakcje. Wszyscy wiedzieli, że jeśli jest Rash, nie ma w tym żadnego szwindlu.

Był to największy jednorazowy zakup aktywów płynnych, jakiego dokonano w ostatnim czasie na targu złota. Żaden makler nie miał dostatecznej ilości sztabek, klejnotów lub obligacji, by wziąć na siebie dużą część zakupu. Przez ponad godzinę, aż słońce skryło się za czerwonym murem i targ złota pogrążył się w cieniu, maklerzy się uwijali jak w ukropie. Wreszcie cała równowartość pieniędzy została rozłożona na jednym stole. Przelano fundusze; zawrotna suma została przeniesiona z jednej kolumny do drugiej na wielu monitorach komputerów, gdyż teraz wszyscy maklerzy obserwowali transakcję z nabożną czcią. Następnie sztabki podzielono na trzy części, owinięto płótnem i obwiązano, klejnoty również zawinięto w płótno i włożono do woreczków, a obligacje poskładano w skórzanych teczkach. Paczki rozdzielono między czterech synów Wetchika.

Jeden z maklerów już załatwił sześciu strażników miejskich do eskortowania braci, ale Elemak ich odesłał.

- Jeżeli będą z nami strażnicy, każdy złodziej w Basilice zobaczy i zapamięta, dokąd idziemy - wyjaśnił. - Nasze życie nie będzie wtedy nic warte. Pójdziemy szybko i bez obawy, nie zwracając niczyjej uwagi.

Maklerzy ponownie spojrzeli na Rashgallivaka, który skinął głową na znak zgody.

Szli pół godziny ulicami miasta, podenerwowani, gdy ktoś na nich spoglądał, aż wreszcie stanęli u drzwi domu Gaballu-fixa. Nafai od razu dostrzegł, że zarówno Elemak i Mebbekew, jak i Rashgallivak zostali rozpoznani, ale Rash był powszechnie znany w klanie Palwashantu, więc dziwne by było, gdyby nie wiadano, kim jest. Tylko Nafaia i Issiba trzeba było przedstawić, kiedy stanęli przed Gaballufixem w wielkim salonie jego domu - nie, nie jego, lecz jego żony.

-A więc to ty fruwasz - odezwał się Gaballufix do Issiba.

-Unoszę się w powietrzu - sprostował Issib.

-Widzę - powiedział Gaballufix. - Wy dwaj jesteście synami Rasy. - Spojrzał Nafaiowi w oczy. - Jesteś bardzo duży jak na swój wiek - stwierdził.

Nafai nie odpowiedział. Był zbyt zaprzątnięty studiowaniem twarzy Gaballufixa. Właściwie taka pospolita. Może trochę zniewieściała. Już niemłoda, choć młodsza niż ojca, który z matką Gaballufixa spłodził Elemaka. Elya i Gaballufix byli do siebie trochę podobni, ale nie bardzo - mieli tak samo ciemne włosy i oczy osadzone nieco zbyt blisko siebie pod nastroszonymi brwiami, tyle że Gaballufix patrzył kaprawymi oczami w czerwonych obwódkach, Elya zaś spoglądał bystrym wzrokiem. Elemak był człowiekiem silnym i energicznym, człowiekiem pustyni, który z odwagą, pewnością siebie i wigorem potrafił stawić czoło obcym ludziom i nieznanym miejscom. Gaballufix był jego przeciwieństwem: nigdzie nie wyjeżdżał i nic nie robił; raczej zaszywał się w domu i pozwalał, by inni pracowali za niego. Elemak podróżował i odkrywał świat, zmieniając go wedle swej woli; Gaballufix pozostawał w jednym miejscu i wysysał świat do sucha, opróżniając go dla własnych korzyści.

- A więc młody oniemiał - powiedział Gaballufix.

- Po raz pierwszy w swoim życiu - oznajmił Meb.

Rozległ się krótki, nerwowy śmiech.

-Czemu synowie i rządcza Wetchika zaszczycają mnie tą wizytą?

-Ojciec chciał, żebyśmy wymienili z tobą podarunki - odparł Elemak. - Żyjemy w miejscu, gdzie nie potrzeba nam pieniędzy, natomiast ojciec powziął stanowczy zamiar - nie, rozkazał mu to Naddusza - zabrać ze sobą Indeks. Z kolei ty, Gaballufiksie, nie

potrzebujesz Indeksu - czy choć raz spojrzales na niego przez lata, kiedy byles przywódcą rady klanu? - natomiast mógłbyś wykorzystać pewną część majątku Wetchika lepiej, niż potrafiłby to zrobić ojciec, przebywając z dala od miasta.

Była to kwiecista, równocześnie zgodna z prawdą i całkowicie kłamliwa mowa, która wzbudziła podziw Nafaia. Nikt nie miał wątpliwości, że chodzi tutaj o próbę dokonania zakupu, a jednak wszystko było subtelnie zamaskowane pod płaszczykiem wymiany podarunków, aby nikt nie mógł jawnie oskarżyć Gaballufixa o sprzedaż Indeksu lub ojca o jego zakup.

- Jestem pewny, że mój krewniak Wetchik jest dla mnie zbyt hojny - powiedział Gaballufix. - Nie mieści mi się w głowie, bym był dla niego wielką pomocą, biorąc na siebie zarządzanie jakąś znikomą częścią jego ogromnej fortuny.

W odpowiedzi Elemak wysunął się naprzód i rozwinął ciężki pakunek ze sztabkami platyny. Gaballufix wziął jedną sztabkę i zważył ją w ręce.

-Piękna - powiedział. - Wiem jednak, że jest to maleńka cząstka fortuny Wetchika. Nie czułbym się w porządku, wyświadczając mojemu krewniakowi taką drobną przysługę, podczas gdy on w zamian za to dźwigałby ciężkie brzemię strzeżenia Indeksu Palwashantu.

-To tylko próbka - wyjaśnił Elemak.

-Jeżeli mam być powiernikiem, czy nie powinienem zobaczyć, jaką rozpiętość winny mieć moje opiekuńcze skrzydła?

Elemak wyjął resztę skarbów, które miał przy sobie, i rozłożył wszystko na stole.

- Oto ciężar, o którego dźwiganie ojciec ośmiela się ciebie prosić.

- Niewielkie brzemię - stwierdził Gaballufix. - Wstydziłbym się, gdyby to była cała pomoc, którą okazałbym mojemu krewniakowi.

Nafai jednak zauważył, że oczy mu się zaświeciły na widok tak ogromnego bogactwa.

-Zakładam, że to tylko jedna czwarta tego, co macie przy sobie. - Gaballufix przeniósł wzrok z Nafaia na Issiba i Mebbe-kewa.

-Wystarczy - oświadczył Elemak.

-Zatem nie mogę obarczać mojego krewniaka brzemieniem Indeksu - odparował Gaballufix.

-Trudno - rzekł Elemak i zaczął pakować sztabki.

I to wszystko? - pomyślał Nafai. Czy poddamy się tak łatwo? Czy jestem jedynym, który widzi, że Gaballufix łaknie pieniędzy, że zgodzi się, jeśli zaoferujemy trochę więcej?

- Chwileczkę - wtrącił się. - Możemy dodać jeszcze to, co ja mam.

Miał świadomość, że Elemak patrzy na niego groźnie, ale to było nie do pomyślenia, żeby dojść tak blisko celu i odejść z pustymi rękami. Czy Elemak nie zdaje sobie sprawy, że Indeks jest ważny? Ważniejszy od pieniędzy.

- A jeśli i to nie wystarczy, Issib ma więcej - powiedział Nafai. - Pokaż mu, Issibie. Pozwól, że ja to zrobię.

Po chwili oferta została potrójona.

-Obawiam się - rzekł Elemak lodowatym tonem - że mój młodszy brat nierozważnie zaoferował ci ciężar znacznie większy od tego, jakim zamierzałem cię obarczyć.

-Wręcz przeciwnie - zaproponował Gaballufix. - Właśnie twój młodszy brat trafnie ocenił, jak wielki ciężar jestem skłonny dźwigać. Zaiste, myślę, że gdyby ostatnia ćwiartka tego, co przynieśliście do mojego domu, znalazła się na tym stole, czułbym się w porządku, obarczając mojego drogiego krewniaka odpowiedzialnością za Indeks Palwashantu.

-Ja mówię, że to za wiele - oświadczył Elemak.

-Zatem nie widzę powodu do dalszej dyskusji.

-Przyszliśmy po Indeks - włączył się Nafai. - Przyszliśmy, ponieważ domaga się go Naddusza.

-Wasz ojciec słynie ze swojej świętości i ze swoich wizji.

-Jeśli jesteś skłonny przyjąć wszystko, co mamy - ciągnął Nafai - damy ci to z radością, aby zadośćuczynić woli Nadduszy.

-O takim posłuszeństwie długo będzie się pamiętać w świątyni - powiedział Gaballufix, po czym spojrzał na Mebbekewa. - A może świętości Nafaia nie dorównuje świętość jego brata Mebbekewa?

Niezdecydowany, udręczony Mebbekew wodził wzrokiem od Elemaka do Gaballufixa.

Elemak zaczął działać. Znów zawinał sztabki w płótno.

-Nie! - wykrzyknął Nafai. - Teraz się nie wycofamy!

Wyciągnął rękę do Mebbekewa.

-Wiesz, czego ojciec by od ciebie chciał.

- Widzę, że tylko najmłodszy ma rozum - stwierdził Gaballufix.

Mebbekew postąpił naprzód i zaczął rozkładać pakunki na stole. Kiedy to robił, Elemak boleśnie wbił palce Nafaiowi w ramię i szepnął mu do ucha:

- Mówiłem ci, żebyś pozostawił to mnie. Dałeś mi cztery razy tyle, ile wystarczyło zapłacić, ty durniu. Przez ciebie nie zostało nam nic.

Nic z wyjątkiem Indeksu, pomyślał Nafai, lecz mimo to uświadomił sobie, że Elemak wiedział lepiej, jak dobić targu, i trzeba było pozwolić, aby brat załatwił sprawę. Miał jednak absolutną pewność, że musi się odezwać, bo nigdy nie dostaną Indeksu.

Cała fortuna Wetchika z wyjątkiem ziemi i budynków leżała na stole Gaballufixa.

-Czy to wystarczy? - zapytał sarkastycznie Elemak.

-W sam raz - odparł Gaballufix. - W sam raz, aby mi udowodnić, że Volemak Wetchik zdradził Palwashant. Ten wielki majątek oddał w ręce dzieci, które w swojej głupocie postanowiły go zmarnować na zakup tego, czego - wie o tym każdy prawdziwy członek Palwashantu - nie można nigdy sprzedać. Indeks to święta rzecz powierzona opiece Palwashantu. Czy Volemak sądził, że można go kupić? Nie, to niemożliwe, nie można go kupić! Mogę jedynie dojść do wniosku, że albo postradał zmysły, albo zabiliście go i ukryliście jego ciało.

-Nie! - wykrzyknął Nafai.

-Twoje kłamstwa są obrzydliwe - powiedział Elemak - i nie będziemy ich tolerować.

Zrobił krok do przodu i po raz trzeci wyciągnął rękę, żeby zabrać skarby.

- Złodziej! - krzyknął Gaballufix.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszło kilkunastu żołnierzy.

- Czy myślisz, że możesz to zrobić w obecności Rashgallivaka? - zapytał Elemak.

-Nalegam, aby to zrobić w jego obecności - odparł Gaballufix. - Jak sądzisz, kto pierwszy przyszedł do mnie z wiadomością, że Volemak chce zdradzić zaufanie Wetchików? Że synowie Vole-maka chcą roztrwonić rodową fortunę dla jakiegoś zwariowanego kaprysu?

-Służę rodowi Wetchika - odezwał się Rashgallivak. Spojrzał po kolei na wszystkich braci z wyrazem smutku na twarzy. - To niemożliwe, żeby zniszczenie tej fortuny przez jednego szaleńca, któremu się wydaje, że doznaje wizji, było w interesie tego wielkiego rodu. Gaballufix nie mógł uwierzyć w to, co mu powiedziałem, ale zgodził się ze mną, że majątek Wetchika należy przekazać pod opiekę członkom innej gałęzi rodziny.

-Jako przywódca klanu Palwashantu - zaintonował Gabal-lufix - niniejszym ogłaszam, że Volemak i jego synowie okazali się nieodpowiednimi i niegodnymi zaufania strażnikami dobrego imienia największego rodu należącego do klanu, więc zostają pozbawieni na zawsze praw spadkobierców i posiadaczy godności rodu Wetchika. W uznaniu za lata lojalnej służby zarówno jego samego, jak i jego przodków na przestrzeni wielu stuleci, przyznaję tymczasową opiekę nad majątkiem oraz prawo do używania nazwiska Wetchika Rashgallivakowi, aby zajmował się wszystkimi sprawami rodziny Wetchika do czasu, kiedy rada klanu wyda inne postanowienia. Jeżeli Volemak i jego synowie spróbują zaprotestować lub zakwestionować tę decyzję, zostaną uznani za wrogów Palwashantu i potraktowani zgodnie z prawami starszymi od kodeksu obowiązującego w mieście Basilika.

Gaballufix pochylił się przez stół i uśmiechnął do Elemaka.

- Czy zrozumiałeś wszystko, Elya? - zapytał.

Elemak spojrzał na Rashgallivaka.

-Rozumiem, że najlojalniejszy człowiek w Basilice jest teraz najgorszym zdrajcą.

-To wy okazaliście się zdrajcami - zaoponował Rash. - Jako rządca rodziny Wetchika, widząc ten obłęd z wizjami, nagłą wyprawę na pustynię, wyprzedaż wszystkich zwierząt, zwolnienie pracowników, a teraz jeszcze tę transakcję, nie miałem innego wyboru, jak tylko włączyć w tę sprawę radę klanu.

-Gaballufix nie jest radą klanu - powiedział Elemak. - Jest pospolitym złodziejem, a ty oddałeś nasz majątek w jego ręce.

- To wy chcieliście odstąpić mu waszą fortunę - sprostował Rashgallivak. - Czy nie widzicie, że zrobiłem to dla was? Rada pozostawi opiekę w moich rękach na kilka lat, aż to wszystko przeminie, i wtedy, jeżeli któryś z was okaże się trzeźwo myślącym i całkowicie godnym zaufania człowiekiem, wartym tej odpowiedzialności, nazwisko i majątek Wetchika zostaną mu zwrócone.
- Nie będzie już żadnego majątku - powiedział Elemak.
- Nim upłynie rok, Gabya wyda wszystko na swoje wojsko.
- Wcale nie - zaprzeczył Gaballufix. - Przekazuję wszystko Rashowi, aby dalej pełnił funkcję rządcy.
- Elemak zaśmiał się z goryczą.
- Rządcy, który będzie musiał tym gospodarować tak, jak mu każe rada. A co każe rada? Przekonasz się, Rash. I to bardzo szybko, bo rada ponosi duże wydatki związane z opłacaniem żołnierzy.
- Rashgallivak miał zakłopotaną minę.
- Gaballufix wspomniał, że może trzeba będzie przeznaczyć małą część tego kapitału na pokrycie bieżących wydatków, ale twój ojciec, gdyby nie postradał zmysłów, i tak dołożyłby się do wydatków klanu.
- Gaballufix zrobił z ciebie głupca - odparł Elemak. - I ze mnie też. Z nas wszystkich.
- Rash spojrzał na Gaballufixa wyraźnie zatroskany.
- Może powinniśmy zwołać posiedzenie rady w tej sprawie
- zaproponował.
- Rada już się zebrała - odparł Gaballufix.
- Jak duże są wydatki klanu?
- Niewielkie. Nie zamartwiaj się tym. A może zamierzasz być taki niegodny zaufania jak Volemak i jego synowie?
- Widzisz? - wtrącił Elemak. - Już się zaczyna: rób to, co chce Gabya, albo przestaniesz być rządcą fortuny Wetchika.
- Prawo to prawo - orzekł Gaballufix. - A teraz najwyższy czas, żeby ci młodzi marnotrawcy opuścili mój dom, zanim oskarżę ich o zamordowanie własnego ojca.
- Zanim wyjawimy coś jeszcze, co pomoże Rashowi odkryć prawdę - sprostował Elemak.
- Odejdziemy - powiedział Mebbekew - ale to całe gadanie o radzie klanu Palwashantu i mianowanie Rashgallivaka

Wetchikiem to bzdety. Jesteś złodziejem, Gabya, kłamcą, zbrodniarzem, który zabiłby zarówno Roptata, jak i ojca, gdybyśmy w porę nie wyjechali z miasta. Nie zostawimy naszej rodzinnej fortuny w twoich rękach!

Po tych słowach Mebbekew rzucił się naprzód i chwycił woreczek z klejnotami.

Żołnierze doskoczyli, wyrwali klejnoty z rąk Meba i brutalnie wypchnęli czterech braci z salonu, a następnie przez frontowe drzwi na ulicę.

- Jazda stąd! - krzyczeli. - Złodzieje! Mordercy!

Nafai nie zdążył jeszcze zebrać myśli, a już Mebbekew chwycił go za gardło.

-To ty wyłożyłeś wszystkie skarby na stół!

-I tak by wszystko zagarnął - zaprotestował Nafai.

-Zamknijcie się, głupcy - wtrącił się Elemak. - To jeszcze nie koniec. Nasze życie nie jest warte złamanego szeląga. Ludzie Gaballufixa prawdopodobnie czekają, żeby nas zabić nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od jego domu. Nasza jedyna nadzieja w tym, że się rozdzielimy i będziemy uciekać. I pamiętajcie coś, co mi powiedziała dzisiaj Rasa: nie ufajcie żadnemu mężczyźnie. Żadnemu mężczyźnie. Spotkamy się wieczorem przy wielbłądach. Kto tam nie dotrze do świtu, zostanie uznany przez nas za martwego. A teraz uciekajcie. I nie kierujcie się do miejsc, w których mogliby się was spodziewać.

Po tych słowach ruszył w kierunku północnym. Po kilku krokach się odwrócił.

- W tej chwili, głupcy! Patrzcie, już dają znaki zabójcom!

Nafai dostrzegł, jak żołnierz na werandzie domu Gaballufixa uniósł jedną rękę i wskazał na nich drugą.

-Jak szybko możesz się poruszać z lewiterami? - zapytał Issiba.

-Szybciej od ciebie, ale wolniej od pulsatora.

-Naddusza nas ochroni.

-Racja - przyznał Issib. - A teraz ruszaj, głupcze.

Nafai pochylił głowę i wmieszał się w najgęstszy tłum. Przebiegłszy sto metrów na południe ulicą Fontannową, odwrócił się i zobaczył, dlaczego ludzie krzyczą za jego plecami: Issib uniósł się w powietrze na wysokość dwudziestu metrów i akurat zniknął

nad dachem domu naprzeciwko rezydencji Gaballufixa. Nie miałem pojęcia, że może to robić, pomyślał Nafai.

A potem, kiedy odwrócił się, żeby biec dalej, przyszło mu do głowy, że Issib prawdopodobnie też o tym nie wiedział.

- Tam jest jeden z nich - powiedział ktoś chrapliwym głosem.

Nagle przed Nafaiem zjawił się jakiś mężczyzna z woltaże-tem w ręku. Ludzie się rozpierzchli. Prawie podświadomie Nafai wyczuł obecność człowieka za swoimi plecami. Gdyby się cofnął przed ostrzem z przodu, wpadłby na prawdziwego zamachowca z tyłu, rzucił się więc naprzód. Jego wróg nie spodziewał się ataku ze strony nieuzbrojonego chłopca - machnął woltażetem, ale chybił. Nafai kopnął go mocno kolanem w krocze i ruszył pędem, nie oglądając się za siebie, starając się jedynie omijać ludzi i wypatrując migotliwego czerwonego blasku kolejnego woltażeta lub rozgrzanego do białości promienia pulsatora.

Ucieczka

Issib nigdy nie próbował wzniesć się tak wysoko na lewiterach. Wiedział, że reagują na napięcie jego mięśni, że naciskany najmocniej zostaje unieruchomiony w powietrzu. Zawsze jednak myślał, że istnieje jakaś zależność między położeniem lewitera i ziemią bezpośrednio pod nim. Było w tym trochę prawdy - im wyżej się wznosił, tym większa była skłonność lewiterów do „ześlizgiwania się” w dół - niemniej stwierdził, że w zasadzie może się wspinać w powietrze jak po drabinie, aż dotarł na wysokość dachów.

Naturalnie wszyscy go obserwowali - ale o to mu właśnie chodziło. Niech na niego patrzą i mówią o młodym kalece, który „pofrunął” aż ponad dachy. Cymbały Gaballufixa nie ośmielały się zastrzelić go w obecności tylu świadków przed domem ich przywódcy.

Zobaczył, że na dachach nikogo nie ma, więc wykorzystał je w charakterze szosy, dryfując nisko między otworami wentylacyjnymi i kominami, kopułami i obudowami wind, drzewami w ogrodach na dachu.

Raz zaskoczył starszego mężczyznę, który naprawiał dolne obmurowanie tarasu. Trzask pękniętej dachówki zaniepokoił Issibę; kiedy chłopiec się odwrócił, zobaczył, że mężczyzna nie spadł, lecz gapi się na niego z rozdziawionymi ustami. Czy rozejdzie się dzisiaj plotka o młodym półbogu przelatującym w powietrzu

nad Basiliką, zdążającym na schadzkę z młodą smiertelniczką niezrównanej piękności? - zastanawiał się Issib.

To był wyjątkowo długi kwartał uliczny, gdyż zabudowano kilka dróg na tym obszarze. Issib mógł przebyć więcej niż połowę drogi do Tylnej Bramy bez schodzenia do poziomu ulicy i z pewnością miał lepszy czas od wszelkich ewentualnych grup pościgowych. Oczywiście zawsze istniało niebezpieczeństwo, że Gaballuffix porozstawiał zamachowców przy wszystkich bramach miasta, a najprawdopodobniej przy Tylnej Bramie, znajdującej się najbliżej jego domu. Issib nie mógł więc sobie pozwolić na nieostrożność, z chwilą kiedy znalazł się na poziomie ulicy.

Zanim jednak pożegnał się z dachami, spojrzął tęsknie na czerwony mur miasta. Będąc tak wysoko, widział jeszcze słońce podzielone na pół przez skraj muru. Gdyby tylko zdołał przelecieć nad tym murem... Ale wiedział, że mur jest naszpikowany zawiłą elektroniką, włącznie z punktami węzłowymi, które wytwarzały pole magnetyczne zasilające jego lewitery. Małeńki komputer, który nosił przy pasie, nie potrafiłby zrównoważyć skrajnie różnych sił na szczycie muru.

Issib dotarł do końca dachu, po czym sfrunął na ziemię i wmieszał się w tłum. Znajdował się przy wylocie Świętej Alei, gdzie mężczyznom wolno było chodzić. Oczywiście wielu dostrzegło jego zejście, ale od razu przyjął siedzącą pozycję i pędził nisko między ludźmi, jakby był wzrostu dziecka. Niech zamachowiec spróbuje zastrzelić mnie teraz, pomyślał. Po kilku minutach dotarł do bramy. Strażnicy rozpoznali go, kiedy urządzenie do skanowania kciuków wyświetliło jego nazwisko. Poklepali go po plecach i życzyli powodzenia.

Przy Tylnej Bramie oczywiście nie zaczynała się pustynia, lecz Leśne Bezdroża. Po prawej stronie rozciągał się gęsty las, który czynił północny teren przed Basiliką nie do przebycia; po lewej kręte koryta wyschniętych strumieni, zarośnięte drzewami i winoroślami, prowadziły w dół z obficie nawodnionych wzgórz do pierwszych jałowych skał pustyni. Dla normalnego człowieka byłaby to podróż koszmarna, chyba że znałby drogę tak jak Elemak. Issib oczywiście musiał tylko ominąć najwyższe przeszkody i łagodnie zejść do miejsca, z którego miasta już w ogóle nie było widać. Kierował się według słońca, aż dotarł

na pustynny płaskowyż; następnie skierował się na południe, przecinając trakty Suchy i Pustynny. Tuż po zachodzie słońca dotarł do miejsca, gdzie bracia ukryli jego krzesło.

Teraz lewitery znajdowały się na skraju pola magnetycznego miasta i miał kłopoty z usadowieniem się na krześle. Zresztą wszystko, co miało związek z krzesłem, było źródłem kłopotów i ograniczeń. Skonstruowane tak, aby służyć kalece, miało wbudowany komputer, który umożliwiał - w pobliżu miasta - uzyskanie połączenia z główną biblioteką publiczną Basiliki i był wyposażony w kilka różnych interfejsów dla ludzi o różnych ułomnościach. Issib mógł nawet mówić do niego, posługując się pewnymi kluczowymi słowami - komputer je rozumiał, a także potrafił odtwarzać dość wiernie pospolite słowa w kilkudziesięciu językach. Gdyby nie istniały lewitery, krzesło prawdopodobnie byłoby najcenniejszą rzeczą w życiu Issiba. Ale lewitery istniały. Kiedy je nosił, stawał się prawie normalnym człowiekiem, a pod pewnymi względami miał przewagę nad innymi ludźmi. Gdy nie mógł z nich korzystać, był kaleką i w niczym nie był lepszy.

Wielbłądy czekały w miejscu, gdzie nie można było liczyć na działanie pola magnetycznego miasta, więc musiał skorzystać z krzeseł. Usiadł na nim i wyłączył lewitery, po czym poleciał wolno i nisko nad ziemią, manewrując ostrożnie podczas lotu w wąskich kanionach. Wreszcie poczuł zapach wielbłądów, a potem je zobaczył.

Nikogo tam jeszcze nie było; zjawił się pierwszy. Opuścił krzesło na ziemię. Na przemian nasłuchiwał, czy nikt nie nadchodzi, i przeglądał bieżące wiadomości biblioteki w poszukiwaniu doniesień o niewyjaśnionych zabójstwach lub innych wypadkach. Nie było jeszcze żadnego takiego doniesienia. Jednak upłynęłoby trochę czasu, zanim wieści dotarłyby do reporterów i stały się obiektem plotek. Jego bracia mogli w tej chwili umierać lub już nie żyć. Mogli być schwytani, uwięzieni i przetrzymywani dla okupu. Co by wówczas począł? Jaką miał nadzieję na dotarcie do domu? Mógł spróbować dolecieć na krzesło, ale było to mało prawdopodobne - krzesło nie nadawało się do długich podróży. Wiedział z doświadczenia, że mogło się poruszać bez przerwy przez mniej więcej godzinę, a potem trzeba je było przez kilka godzin ponownie ładować energią słoneczną.

Matka mi pomoże, pomyślał Issib. Jeżeli nie wrócą dziś wieczorem, matka mi pomoże. Jeśli zdołam do niej dotrzeć.

Mebbekew kluczył między ludźmi w tłumie. Widział kilku mężczyzn usiłujących utorować sobie drogę do niego, ale dzięki doświadczeniu aktora - zwłaszcza takiego, który musiał przedzierać się przez publiczność, zbierając pieniądze - potrafił przemieszczać się w ciżbie. Z dużą wprawą wyprzedzał ścigających go, kierując się zawsze do najgęstszych skupisk ludzi, prześlizgując się przez luki, które po chwili blokowały nadchodzące grupy przechodniów. Wkrótce zamachowcy - o ile to byli zamachowcy - pozostali daleko za jego plecami. Dopiero wtedy zaczął biec długimi krokami - szybko pokonywał odległość, ale nie sprawiał wrażenia człowieka, który bardzo się spieszy. Wyglądało to tak, jakby biegł dla samej przyjemności biegania. Obserwował otoczenie. Gdy tylko dostrzegał żołnierzy, ruszał prosto w ich kierunku, wychodząc z założenia, że Gaballufix nie ośmieliłby się kazać swoim ludziom, rozpoznawanym przez wszystkich przechodniów, dokonać morderstwa w biały dzień w tłumie.

Nim minęło pół godziny, dotarł do Doliny Lalek - dzielnicy, którą znał najlepiej. Kręciło się tu mniej żołnierzy i choć znalazłoby się w tej okolicy wielu przestępców do wynajęcia, to ich usług nie można było kupić na długo. Wśród mieszkańców byli i tacy, o których Meb wiedział, że znają tę część miasta lepiej od komputera miejskiego.

Elemak powiedział: „Nie ufajcie żadnemu mężczyźnie”. Cóż, to nie nastroczało większych problemów. Meb znał wielu mężczyzn, lecz przyjaźnił się tylko z kobietami. Przychodziło mu to z łatwością, od chwili kiedy poznał praktyczne wykorzystanie różnicy płci. Prawie wybuchnął śmiechem, kiedy ojciec - gdy Meb skończył szesnaście lat - załatwił mu cioteczkę. Gdy poszedł do niej, sprawiało mu przyjemność udawanie, że arkana miłości to dla niego pierwszozna, ale po kilku dniach kobieta go odprawiła, mówiąc ze śmiechem, że jeśli będzie dalej do niej przychodził, to on zacznie uczyć ją sztuczek, których nigdy nie miała szczególnej ochoty poznać. Meb umiał sobie radzić z kobietami. Kochały się z nim i darzyły miłością nie dlatego, że był dobry w dawaniu przyjemności, choć był, lecz raczej dlatego, że umiał słuchać

kobiet; potrafił rozmawiać z nimi tak, aby czuły się równocześnie potrzebne i otoczone opieką. Oczywiście nie wszystkie kobiety go lubiły, ale te, którym przypadł do gustu, uwielbiały go.

Tak więc potrzeba mu było jedynie kilku minut w Dolinie Lalek, by znaleźć się w pokoju pewnej cytrzystki na ulicy Muzycznej, kilku następnych minut, by znaleźć się w jej objęciach, i niewiele więcej, by znaleźć się w niej. Potem rozmawiali przez godzinę, następnie kobieta wyszła z domu i załatwiła pomoc znajomych aktorek, które pały do Mebbekewa uczuciem gorętszym od zwykłej przyjaźni. Wkrótce po zapadnięciu zmroku Meb, w peruce, sukni i makijażu, naśladowując kobiecy głos i chód, przeszedł przez Bramę Muzyczną z grupą roześmianych, śpiewających kobiet. Dopiero gdy położył kciuk na ekranie skanera, mistyfikacja się wydała. Strażnik tylko mrugnął do niego i życzył dobrej nocy.

Mebbekew pozostał w przebraniu aż do chwili, kiedy dotarł do miejsca spotkania. Żałował, że to Issib, a nie Elemak, gapił się na niego i nie rozpoznał. Miło by było, gdyby starszy brat zobaczył ten żarcik. Ale z drugiej strony, zważywszy na to, że dopiero co ukradziono im całą fortunę i tytuł ojca, Elemak i tak prawdopodobnie by się nie śmiał.

Ucieczka Elemaka z miasta była najbardziej uboga w wydarzenia. Ani razu nie napotkał zamachowca i nie miał żadnego problemu z dotarciem do domu Hosni niedaleko Tylnej Bramy. Obawiając się, że zamachowcy mogą czekać przy samej bramie, wpadł odwiedzić matkę. Hosni nakarmiła go wspaniałym posiłkiem - zawsze wynajmowała najlepszych kucharzy w Basilice - wysłuchała ze współczuciem jego opowieści, zgodziła się, że gdyby poroniła, kiedy nosiła Gaballufixa w brzuchu, świat byłby lepszy, i wyprawiła go kilka godzin po zmroku z kawalkiem złota w kieszeni, mocnym nożem przy pasie i pocałunkiem na pożegnanie. Elemak wiedział, że jeśli Gaballufix przyjdzie do Hosni i będzie się przechwalał, że podstępem zabrał fortunę synom Volemaka, włącznie z tytułem Wetchika, matka wybuchnie śmiechem i go pochwali. Uwielbiała wszystko, co było zabawne, a bawiło ją prawie wszystko. Wesoła kobieta, ale bezdennie próżna. Elemak był pewien, że Gaballufix odziedziczył po

niej moralność, lecz z pewnością nie inteligencję. Choć prawdę mówiąc, nauczycielka Elemaka, Rasa, powiedziała mu kiedyś, że jego matka jest w rzeczywistości bardzo inteligentna - na tyle inteligentna, by to skutecznie ukrywać. „To tak jakbyś przebywał w otoczeniu niebezpiecznych cudzoziemców - wyjaśniła Rasa. - Warto pozwolić im myśleć, że nie rozumiesz ich języka, niech swobodnie przy tobie rozmawiają. Tak właśnie postępuje droga Hosni przy ludziach, którym się wydaje, że są bardzo mądrzy i wykształceni. Po ich wyjściu bezlitośnie wyśmiewa wszystkich”.

Czy wyśmiej mnie przed Gaballufixem, tak jak wyśmiała jego przede mną? - zastanawiał się Elemak. A może będzie kpić z nas obu przed swoimi przyjaciółkami?

Przy bramie strażnicy rozpoznali go od razu, znów mu zasalutowali i zaoferowali pomoc. Podziękował im, a następnie zagłębił się w mrok. Nawet przy świetle gwiazd wiedział, jak iść płataniną ścieżek prowadzących z Leśnych Bezdroży na pustynię. Przez całą drogę w ciemnościach potrafił myśleć jedynie o swojej wściekłości, o tym, jak Gaballufix go przechytrzył, przeciągając Rasha na swoją stronę. W myśli słyszał śmiech ich matki, jakby to wszystko było wymierzone w niego. Czuł się taki bezradny, tak dotkliwie upokorzony.

A potem przypomniał sobie najstraszniejszy moment, kiedy Nafai tak głupio wtrącił się do negocjacji i oddał całą fortunę ojca. Gdyby tego nie zrobił, Rashgallivak może by nie doszedł do wniosku, że są niewarci posiadania majątku Wetchika, i nie wystąpiłby przeciwko nim. Mogliby wówczas wyjść zarówno ze skarbem, jak i tytułem ojca. Przez Nafaia przegrali. Gdyby Elemak załatwiał sprawę sam, mógł odnieść sukces. Być może, Gaballufix dałby Indeks i zadowolił się jedną czwartą fortuny ojca, i tak było to znacznie więcej pieniędzy, niż udałoby mu się zdobyć jakimkolwiek innym sposobem. Nafai - głupi, młody osioł, który nigdy nie potrafi trzymać buzi na kłódkę, który udaje, że sam też doznaje wizji, aby ojciec lubił go najbardziej, który już przez samo to, że się urodził, uczynił z Gaballufixa dozgonnego wroga ojca.

Gdybym go teraz dorwał, zabiłbym go, pomyślał Elemak. Kosztował mnie moją fortunę i mój honor, moją całą przyszłość.

Łatwo mu oddawać majątek Wetchika - i tak nigdy nie należałby do niego. Byłby mój. Urodziłem się, żeby go mieć. Szkoliłem się w tym celu. Podwoiłbym go, a potem bez przerwy ciągle bym podwajał, ponieważ jestem znacznie lepszy w interesach niż ojciec kiedykolwiek był lub kiedykolwiek mógłby być. Ale teraz jestem wygnańcem i wyrzutkiem, oskarżonym o kradzież i ogołoconym z majątku, pozbawionym nawet szacunku człowieka, który powinien być moją prawą ręką, Rashgallivaka. I wszystko przez Nafaia. To wszystko jego wina.

Nafai biegł na oślep w popłochu, nie zastanawiając się dokąd. Dopiero kiedy znalazł się z dala od tłumów na otwartej przestrzeni, uspokoił się wystarczająco, żeby pomyśleć, co powinien dalej zrobić. Był w Starej Taneczni. Ten niegdyś duży obszar do tańca został zastąpiony wiele stuleci temu przez równie rozległą Orchestrę w Dolinie Lalek. Teraz na teren taneczni ze wszystkich stron wdzierały się budynki, nawet amfiteatr utracił swój kształt półmiska pośród domów i sklepów. Nafai patrzył na niebo, jeszcze zaróżowione na zachodzie, czarne na wschodzie. Nie miał pojęcia, czy zamachowcy nadal za nim idą. Jedno nie ulegało wątpliwości - w ciemności tłumy się przerzedzą i łatwiej będzie dokonać morderstwa bez świadków. Uciekając, znalazł się w niebezpiecznym miejscu i nie wiedział, co robić dalej.

-Nafaiu! - usłyszał dziewczęcy głos.

Odwrócił się. To była Luet.

-Cześć. - Nie miał czasu na pogawędkę. Musiał pomyśleć.

-Szybko! - powiedziała.

-Co szybko?

-Chodź ze mną.

-Nie mogę. Muszę coś zrobić.

-Tak. Musisz pójść ze mną.

-Muszę się wydostać z miasta.

Chwyciła go za przód koszuli i stanęła na palcach, żeby ich oczy znalazły się na równej wysokości, ale w rezultacie tylko zawisła na jego koszuli jak kukielka. Nafai się roześmiał, lecz jej to nie rozbawiło.

- Posłuchaj, ty najbardziej zagoniony człowieku na świecie, czy zapomniałeś, że jestem wieszczką Nadduszy?

Rzeczywiście zapomniał. Zapomniał nawet o tym, że dzięki niej ojciec uszedł z życiem przed zamachem Gaballufixa. Uświadomił sobie, że pewnych rzeczy Luet nadal nie wie o tamtym spisku. Nie wiadomo dlaczego pomyślał, że powinien jej wszystko wyjaśnić.

- Elemak i Mebbekew byli zamieszani w spisek - zaczął.

- Sądzę jednak, że Gaballufix ich okłamał co do swoich zamiarów.

Nie miała cierpliwości słuchać jego chaotycznej paplaniny.

-Myślisz, że teraz mnie to obchodzi? Szukają cię, Nafaiu. W końcu widziałam żołnierza ze skrwawionymi rękami grasującego po ulicach. Muszę cię uratować.

-W jaki sposób?

-Chodź ze mną. Znam drogę.

Nie miał lepszego pomysłu. Właściwie, kiedy próbował wymyślić jakieś inne rozwiązanie, czuł pustkę w głowie. Nie mógł skupić myśli. W końcu zaświtało mu, że to działanie Nad-duszy. Naddusza przysłał Luet do niego, więc musi z nią iść, obojętne dokąd.

Chwyciła go za rękę i poprowadziła z dala od Starej Taneczni ulicą o tej samej nazwie, aż dotarli do miejsca, gdzie ulica się zwężała i rozwidlała. Skręcili w lewo.

- Nasz majątek przepadł - powiedział Nafai. - Z mojej winy. Z tym że Rashgallivak nas zdradził.

- Cicho bądź! - rozkazała. - To nie jest bezpieczna dzielnica.

Miała rację. Było tu ciemno, a droga biegła między starymi, wałącymi się domami. Kręciło się tam niewielu ludzi i żaden nie wydawał się skory spojrzeć im prosto w oczy.

Minęli kilka ostrych zakrętów i nagle znaleźli się na ulicy Źródlanej, niedaleko jej zbiegu ze świętym lasem. Nafai zobaczył przed sobą grupę żołnierzy, którzy stali na straży, jak gdyby wiedzieli, że chłopiec tam się zjawi. Odwrócił się do ucieczki, a potem zobaczył, że żołnierze wzięli kilku zakładników, strasząc ich woltażetami pobłyskującymi nieznacznie w ciemności.

-Gdybyś szedł spokojnie, prawdopodobnie by nas nie zauważyli - rzuciła pogardliwie Luet. - Teraz wyglądamy podejrzanie.

-Ci już wiedzą, kim jesteśmy. - Wskazał mężczyzn zbliżających się od strony ciemnej ulicy.

- Cóż, miałam nadzieję, że pójdziemy łatwą drogą, ale będziemy musieli zadowolić się czymś innym.

Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą ku świętemu lasowi. Nafai wiedział, że to było najgłupsze, co mogła zrobić. Na skraju lasu nie będzie żadnych świadków. Zamachowcy postawią na swoim. Jeśli wyobrażała sobie, że odznaczał się szczególną zręcznością w walce i może ich uratować, rozbrajając lub zabijając zamachowców, to szybko odkryje smutną prawdę, że nigdy nie interesowały go bójki i nie miał żadnego wyszkolenia w tej dziedzinie. Nie pamiętał nawet, żeby kiedykolwiek uderzył kogoś pod wpływem gniewu, nawet starszych braci, ponieważ to by w ostatecznym rozrachunku tylko pogarszało sprawę. Był najwyższy spośród synów Wetchika, ale to nie miało znaczenia, kiedy przychodziło do walki.

Gdy zagłębili się w ciemność na końcu ulicy Źródlanej, zamachowcy się rozzuchwalili.

-Skryjcie się w cieniu - powiedział jeden z nich cicho, lecz tak by Nafai i Luet usłyszeli.

-Nie mamy nic, co moglibyście ukraść.

Luet mówiła przerażonym i drżącym głosem, ale Nafai zorientował się po pewnym uścisku jej ręki, że dziewczynka wcale się nie boi.

On jednak drżał.

- Do cienia - powtórzył mężczyzna.

Spełnili jego polecenie. Zanurzyli się w ciemność pod drzewami, ale ku zaskoczeniu Nafaia nie zatrzymali się ani nie skręcili na południe, żeby okrążyć las i ponownie wejść do miasta od strony następnej ulicy. Luet poprowadziła go prosto na wschód. Zagłębiali się w zakazaną okolicę.

-Nie mogę tędy iść - sprzeciwił się.

-Ciszej! - syknęła. - Oni też nie mogą, chyba że usłyszą, jak rozmawiamy, i pójda za naszymi głosami.

Umilkł i poszedł za nią. Po jakimś czasie teren zaczynał gwałtownie opadać, przypominając urwisko. Nafaiowi było coraz trudniej iść. Niebo zupełnie ściemniało i choć z okolicznych drzew pospadało już wiele liści, cień rzucany przez gałęzie był nadal bardzo głęboki.

- Nic nie widzę - szepnął.

- Ja też nie - odparła.
- Zatrzymaj się. Posłuchaj. Może przestali za nami iść.
- Przestali, ale my nie możemy się zatrzymywać.
- Dlaczego?
- Muszę wyprowadzić cię z miasta.
- Jeśli ktoś mnie tu przyłapie, poniosę straszną karę.
- Wiem. Ja też, bo cię przyprowadziłam.
- No to mnie wyprowadź.
- Nie. Naddusza chce, żebyśmy szli właśnie tędy.

Nie mogli jednak już trzymać się za ręce - oboje musieli podpierać się przy schodzeniu po nierównej powierzchni urwiska. Zejście nie byłoby takie niebezpieczne przy świetle dziennym, ale w ciemności musieli sprawdzać każdy krok. Przynajmniej drzewa nie rosły tu tak gęsto, więc światło gwiazd pomogło w rozpoznawaniu drogi - dopóki nie dotarli do granicy mgły.

- Teraz musimy się zatrzymać - powiedział.
- Schodź dalej.
- We mgle? Zgubimy się na urwisku, spadniemy i zginieemy.
- To dobry znak - stwierdziła Luet. - Oznacza, że jesteśmy co najmniej w połowie drogi do jeziora.
- Chyba nie prowadzisz mnie do jeziora!
- Cicho!
- Może od razu rzucę się w dół i zaoszczędzę im kłopotu z zabijaniem mnie?
- Cicho, ty głupcze. Naddusza nas ochroni.
- Naddusza to złącze komputerowe z satelitami krążącymi po orbicie Harmonii. Nie ma żadnych czarodziejskich maszyn, które nas schwycą, jeśli spadniemy.
- Naddusza sprawia, że jesteśmy czujni - powiedziała Luet - lub przynajmniej pomaga mi znaleźć drogę. Przestań gadać i pozwól mi go słuchać.

Nafaiowi wydawało się, że zejście we mgle trwa wiele godzin, ale wreszcie dotarli do dna doliny. Trawa na równinie ustąpiła miejsca błotu. Ciepłemu błotu. Nie, gorącemu błotu.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Luet. - Tu woda wypływa z głębokiej rozpadliny w skorupie świata. Jest tak gorąca, że wrze i paruje. Ugotowalibyśmy się, gdybyśmy do niej weszli, nawet przy brzegu.

-A więc jak kobiety...?

-Odprowadzamy nasze obrzędy bliżej drugiego końca, gdzie do jeziora wpływają lodowato zimne wody górskich strumieni. Niektóre z nas wchodzi do najzimniejszej wody, ale przeważnie doznajemy wizji, kiedy unosimy się na powierzchni w miejscu zetknięcia się zimnych i gorących wód. Tam woda nieustannie fąluje i wiruje, na przemian ziębi nas i parzy. Tam się schodzą serce świata i jego najzimniejsza powierzchnia. Tam jednoczą się dwa serca każdej kobiety.

-Nie powinienem tu być - powiedział Nafai.

-Wiem, ale właśnie tu zaprowadziła nas Naddusza, więc tu zostaniemy.

A potem stało się coś, czego Nafai obawiał się najbardziej. Niedaleko odezwała się kobieta:

- Mówiłam wam, że słyszałam męski głos. Dochodził stamtąd.

Pojawiły się latarnie i nadeszło wiele kobiet. Przy każdym postawieniu stopy w gorącym błocie rozlegało się chlupotanie, a następnie zasysanie, kiedy wyciągały nogi z błota.

Jak głęboko zapadłem się w tym grzęzawisku? - zastanawiał się Nafai. Czy łatwo będzie im mnie wyciągnąć? A może pogrzebią mnie tu żywcem, pozwalając, by błocko samo zdecydowało, czy mnie ugotować, czy zadusić?

-Ja go tu przyprowadziłam - wyjaśniła Luet.

-To Luet - odezwała się jakaś staruszka.

Kobiety zaczęły przekazywać szeptem imię Luet, aż cały gromadzący się tłum dowiedział się, kim jest dziewczynka.

-Przyprowadziła mnie tu Naddusza. Ten mężczyzna nie jest taki jak inni. Naddusza go wybrała.

-Prawo to prawo - oświadczyła stara kobieta. - Przyjąłeś na siebie odpowiedzialność, ale to tylko sprawia, że kara przechodzi na ciebie.

Nafai widział, jak bardzo Luet jest zdenerwowana. Ona tak samo nie rozumie Nadduszy jak ja, uświadomił sobie. Naddusza nie dba o to, czy będzie żyła, czy umrze, i może bez skrępułów kazać jej zapłacić życiem za moje bezpieczeństwo.

- Niech tak będzie - powiedziała Luet. - Musicie jednak zabrać go do Bramy Prywatnej i przeprowadzić przez las.

- Nie możesz nam mówić, co mamy zrobić! Złamałaś prawo!
- wykrzyknęła któraś z tłumu, ale inne ją uciszyły. Widać było, że Luet cieszy się wielkim szacunkiem, choć dopuściła się kary godnego czynu.

A potem tłum rozstał się trochę, żeby przepuścić jakąś kobietę, która wyłoniła się z mgły jak duch. Była naga, ale czysta i Nafai przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, że musi być dzikuską. Podeszła i pociągnęła Luet za rękaw.

-To ty - szepnęła Luet.

-To ty - powtórzyła za nią dzikuska.

Następnie święta niewiasta z pustyni zwróciła się do staruszki, która wydawała się przywódczynią tej zgrai kobiet domagających się sprawiedliwości.

-Już ją ukarałam - powiedziała.

-Jak to? - zapytała staruszka.

-Jestem Nadduszą i mówię, że ona już poniosła karę z mojej ręki.

Staruszka spojrzała na Luet niepewnie.

- Czy to prawda, Luet?

Nafai był zdumiony. Czy ufały Luet tak ślepo, żeby prosić ją o potwierdzenie lub zaprzeczenie, co mogło kosztować ją życie?

Ich zaufanie było uzasadnione, ponieważ Luet wcale nie próbowała nagiąć faktów na swoją korzyść.

-Ta święta kobieta tylko uderzyła mnie w twarz. Czy to może być dostateczna kara?

-Sprowadziłam ją tutaj - ciągnęła dzikuska. - Kazałam jej przyprowadzić tego chłopca. Ukazałam mu wielkie wizje i ukazę kolejne. Uszlachetnię jego krew i zrodzi się wielki naród. Niech nikt mu nie przeszkadza podczas drogi przez wodę i las. A ta dziewczynka nosi piętno mojej ręki na swojej twarzy. Któż może ją tknąć po moim namaszczeniu?

-To naprawdę głos Matki - powiedziała staruszka.

-Matka! - szepnęły niektóre kobiety.

-Nadduszą! - dodały inne.

Święta kobieta znów zwróciła się do Luet, wyciągnęła rękę i dotknęła palcem jej ust. Luet pocałowała delikatnie ten palec i przez chwilę Nafai pragnął poczuć jego słodycz. A potem twarz

dzikuski się zmieniła. Tak jakby jakaś jaśniejsza dusza, która ją rozświećlała przed chwilą, teraz zniknęła. Dzikuska wyglądała na obłąkaną. Rozejrzała się nieprzytomnie, a potem odeszła i zniknęła we mgle.

- Czy to była twoja matka? - zapytał szeptem Nafai.

- Nie - odparła Luet. - Matka mojego ciała już nie jest święta, ale w głębi serca czuję, że wszystkie takie kobiety są mi matką.

- Dobrze powiedziane - stwierdziła staruszka. - Cóż to za grzeczne dziecko!

Luet skłoniła głowę. Kiedy znów uniosła twarz, Nafai zobaczył łzy na jej policzkach. Nie miał pojęcia, co tu się dzieje ani co to znaczy dla Luet; wiedział tylko, że śmiertelne niebezpieczeństwo zagrażało i jemu, i jej, a teraz minęło. To mu wystarczało.

Dzikuska rozkazała, żeby nikt mu nie przeszkadzał podczas wędrówki przez wodę i las. Po krótkiej dyskusji kobiety doszły do wniosku, że oznacza to, iż Nafai musi przekroczyć jezioro w poprzek, z tego miejsca na drugi koniec, od gorąca do zimna. Nie miał pojęcia, jak to wydedukowały z zaledwie kilku słów świętej kobiety, ale też zwykle zdumiewało go, ile znaczeń kapłani potrafią wyłuskać ze świętych pism religii mężczyzn. Czekali kilka minut, aż parę kobiet zawołało do nich z jeziora. Dopiero wtedy Luet podprowadziła go dostatecznie blisko, by mógł je zobaczyć. Teraz było jasne, skąd się brała mgła - jak kłęby pary unosiła się z wody. Dwie kobiety w długiej łodzi o niskich burtach zbliżały się do brzegu; jedna wiosłowała, druga siedziała za sterem. Wreszcie łódź osiadła na mieliźnie, kilka metrów wody dzieliło ją od błotnistego brzegu, na którym stali Nafai i Luet. Błoto było bardzo gorące, Nafai musiał przestępować z nogi na nogę, żeby nie poparzyć stóp. Jak zdoła przejść przez wodę?

- Idź spokojnie - szepnęła Luet. - Im mniej będziesz chlapał, tym lepiej, więc nie wolno ci biec. Jeśli będziesz szedł równym krokiem, wkrótce znajdziesz się w łodzi, a ból szybko minie.

A więc nie była to dla niej pierwszyna. No dobrze, skoro Luet potrafi to znieść, on też wytrzyma. Zrobił krok w kierunku wody. Kobiety sapnęły.

- Nie - powiedziała szybko. - W tym miejscu, gdzie jesteś dzieckiem i obcym przybyszem, musisz być prowadzony.

Ja dzieckiem? - zdziwił się. W porównaniu z tobą? Ale potem uświadomił sobie, że Luet oczywiście ma rację. Nad tym jeziorem ona była dorosła, a on niemowlakiem.

Narzuciła tempo marszu - żywe, lecz nie pospieszne. Woda parzyła mu stopy, ale była płytka, a Nafai niewiele chlapał, choć nie poruszał się z takim wdziękiem jak Luet. Wkrótce stanęli przy łodzi, ale ten krótki czas wydawał się wiecznością odmierzaną tysiącem dręczących kroków. Dłużyły się zwłaszcza chwile, kiedy Luet wsiadała do łodzi. Wreszcie znalazła się na pokładzie i wciągnęła Nafaia za sobą. Czuł piekący ból tak głęboko pod skórą, że bał się spojrzeć na stopy, obawiając się, iż zwyczajnie się ugotowały. W końcu jednak rzucił na nie okiem - skóra wyglądała normalnie. Luet wytarła mu nogi rąbkiem swojej spódnicy. Wioślarka wbiła pióro wiosła w błotniste dno i odepchnęła łódź od brzegu; mięśnie jej masywnych ramion napięły się przy tym mocno z wysiłku.

To była najdziwniejsza podróż w życiu Nafaia. Z powodu mgły wszystko wydawało się magiczne i nierealne. Przemykali bezszelestnie między olbrzymimi skałami. Woda zrobiła się jeszcze gorętsza i gdzieniegdzie bulgotała; omijali te miejsca. Łódź nie nagrzała się podczas drogi, ale wilgoć w powietrzu była taka, że wkrótce cali przemokli, ubrania lepiły się do ich ciał. Nafai po raz pierwszy zobaczył, że Luet ma nieco kobiece kształty; już nie mógł o niej myśleć jak o dziecku. Nagle poczuł się onieśmielony tym, że trzymając za rękę, jednak za bardzo się bał, by ją puścić, jak malec ściskający w ciemności dłoń matki.

Płynęli dalej. Ochłodziło się. Minęli przesmyk; z obu stron wznosiły się strome urwiska, które wydawały się zacieśniać wokół nich, w miarę jak wpływali coraz głębiej. Nafai zastanawiał się, czy są w jaskini, a jeśli nie, to czy światło słoneczne kiedykolwiek dociera na dno tej głębokiej rozpadliny. Potem skalne ściany rozstały się i mgła trochę zrzędła. Woda zaczęła się burzyć. Pojawiły się fale, a prądy porwały łódź i próbowały wprowadzić ją w ruch wirowy, rzucać na boki.

Wioślarka podniosła wiosła; druga kobieta zdjęła rękę ze steru. Luet szepnęła:

- To miejsce, w którym ukazują się wizje. Mówiłam ci: miejsce zetknięcia się gorących i zimnych wód. Właśnie tutaj przechodzimy przez wodę w formie cielesnej.

„W formie cielesnej” najwidoczniej znaczyło nago. Czuł się bardziej zawstydzony widokiem rozbierającej się Luet niż tym, że sam zdejmuje ubranie. Starał się nie spoglądać na dziewczynę. Nie mógł pojąć, jakim cudem udało się jej wślizgnąć tak bezgłośnie do wody, a potem utrzymać w bezruchu na plecach. Nie starała się pływać, więc kiedy sam opuścił się hałaśliwie do wody, też położył się spokojnie. Zdumiewająco łatwo utrzymywał się na powierzchni. Cisza była głęboka i przemożna; Nafai odezwał się tylko jeden raz, kiedy zobaczył, że Luet oddala się od niego.

- To nieważne - odparła cicho. - Nic nie mów.

Zamilkł. Teraz był sam we mgle. Prądy jeziora odwróciły go - a może nie, gdyż nie potrafił ani odróżnić kierunku wschodniego od zachodniego ani powiedzieć nic innego na temat pozycji, z wyjątkiem tego, gdzie jest góra, a gdzie dół, a nawet to wydawało się prawie bez znaczenia. Nafai patrzył, a jednak nie widział, słuchał, a jednak nic nie słyszał. Lecz prąd nie pozwolił mu spać. Chłopiec czuł, jak gorące i zimne wody przepływają pod nim, czasami bardzo gorące, czasami bardzo zimne, aż chwilami myślał: Nie zniosę tego już ani chwili dłużej, będę musiał popłynąć albo tu umrę - a potem prąd znów się zmieniał.

Nie miał żadnej wizji. Naddusza nie przemówił do niego, choć Nafai słuchał. Nawet zwrócił się do Nadduszy z błaganiem, żeby powiedział, w jaki sposób może zdobyć Indeks, po który *wystai go* ojciec. Naddusza nie dał żadnego znaku.

Nafai długo dryfował na jeziorze. W pewnej chwili usłyszał cichy plusk wiosła. Ktoś dotknął jego włosów, twarzy, barku, a potem chwycił go za ramię. Z trudem przypomniał sobie, jak się odwraca głowę, i zobaczył łódź, z której Luet, już całkiem ubrana, wyciągała do niego rękę. Tym razem nie przeszło mu przez myśl, żeby się wstydzić; czuł jedynie radość na jej widok, lecz również smutek na myśl, że musi wyjść z wody. Nie potrafił zręcznie wdrapać się na łódź. Tylko ją rozkołysał.

- Wtocz się - szepnęła Luet.

Położył się na boku w wodzie, przerzucił nogę i ramię przez burtę i wtoczył się do środka. To było łatwe, zrobił to prawie bezgłośnie. Luet podała mu ubranie, nadal mokre, a teraz na dodatek bardzo zimne. Naciągnął je na siebie i trząsł się, podczas gdy

Łódź sunęła dalej, zagłębiając się w mgłę, której chłód przenikał do szpiku kości. Luet również drżała, ale mimo to wydawała się niewzruszona.

Wreszcie dobili do brzegu, gdzie znów czekała na nich grupa kobiet. Może jakaś inna łódź przepłynęła przez jezioro, nie czekając na rytuał przechodzenia przez wodę w formie cielesnej, lub może wzdłuż brzegu znajdowała się jakaś droga dla gońców przekazujących wieści - tak czy inaczej, te kobiety na nich czekały. Nie musieli nic wyjaśniać. Luet znów go poprowadziła, tym razem przez lodowatą zimną wodę, od której Nafai poczuł ból w kościach. Dotarli do suchego lądu - był to porośnięty trawą brzeg, a nie błoto - i kobiety owinęły Nafaia suchym kocem. Zatrzaszczyły się również o Luet.

-Pierwszy mężczyzna, który przeszedł przez wodę - odezwała się jedna.

-Mężczyzna, który przechodzi przez wody kobiet - powiedziała inna.

-Sławne proroctwa - wyjaśniła mu Luet, sprawiając wrażenie trochę zażenowanej. - Jest ich tak wiele, że trudno, by od czasu do czasu któreś się nie spełniło.

Uśmiechnął się. Wiedział, że dziewczyna traktuje proroctwa znacznie poważniej, niż to okazuje. I on też.

Zauważył, że nikt jej nie pyta, co się wydarzyło na jeziorze, czy miała wizję. Kobiety ociągały się jednak z odejściem, aż Luet w końcu powiedziała:

- Naddusza przyniosła mi pociechę, i to wystarczyło. Popatrzyły na Nafaia, ale pokręcił przecząco głową. Wów czas się oddaliły.

- Łatwy odcinek drogi mamy już za sobą - powiedziała Luet.

Nafai myślał, że dziewczyna żartuje, dopóki nie przeprowadziła go przez Bramę Prywatną, legendarną wyrwę w czerwonym murze, w której istnienie Nafai właściwie nie wierzył. Było to przejście między parą masywnych wież, gdzie stały na straży jedynie kobiety. Wiedział, że po drugiej stronie znajdują się Leśne Bezdroża. Ten obszar zasłużył sobie na taką nazwę. Kiedy wynurzyli się na Leśnym Trakcie, twarze, nogi i ramiona mieli podrapane do krwi.

-Tędy prowadzi droga do Tylnej Bramy - oznajmiła Luet - a kiedy zejdziesz zboczem któregokolwiek z tych kanionów, dotrzesz do pustyni. Nie wiem, dokąd musisz dalej iść.

-To wystarczy - odparł. - Znajdę drogę.

-Zrobiłam więc to, po co przysłał mnie Naddusza.

Nafai nie wiedział, co powiedzieć. Nie potrafił znaleźć słowa na wyrażenie swoich uczuć.

- Chyba cię nie znam - stwierdził.

Spojrziała na niego zaskoczona.

- Nie, źle powiedziałem - poprawił się. - Sądzę, że przedtem cię nie znałem, choć myślałem, że jest inaczej, a teraz, kiedy w końcu czegoś się o tobie dowiedziałem, właściwie nie mam pojęcia, jaka jesteś.

Uśmiechnęła się.

-Te krzyżujące się prądy jeziora zawsze wywołują taki zamęt w głowie. Nie mów nikomu, ani mężczyźnie, ani kobiecie, co dziś robięś.

-Nie jestem pewien, czy kiedy sobie to przypomnę, sam będę wierzył, że się naprawdę wydarzyło.

-Zobaczmy cię jeszcze w domu cioci Rasy?

-Nie mam pojęcia. Jedno jest pewne: nie wiem, jak mogę zdobyć Indeks i przeżyć, a jednak muszę.

-Poczekaj, aż Naddusza ci podpowie, co robić, a potem postępuj według jej wskazówek.

Skinął głową.

-Świetny pomysł, jeżeli Naddusza faktycznie coś mi powie.

-Powie. Kiedy trzeba będzie coś zrobić, ona ci powie.

Znów chwyciła go za rękę, tylko na chwilę. Ponownie ogarnęło go to samo uczucie jak wtedy, gdy ścisnął jej dłonie na jeziorze. Teraz jednak poczuł się trochę zakłopotany i cofnął rękę. Widziała go w chwili słabości. Widziała go nago.

-Już zapominasz, jak naprawdę było - powiedziała.

-Wcale nie - zaprzeczył.

Odwróciła się i poszła do Tylnej Bramy. Chciał za nią zawołać i powiedzieć: Miałeś rację, już zapomniałem, jak naprawdę było. Zaczynałem to widzieć oczami zwykłego człowieka, pamiętałem to jako chłopiec, którym przedtem byłem, ale teraz przypominam sobie, że to nie ja byłem słaby i nagi ani nie zrobiłem

niczego, czego powinienem się wstydzić. Przemierzałem magiczne jezioro niczym wielki bohater z proroctwa, a ty byłaś moją przewodniczką i nauczycielką, i kiedy zrzuciliśmy ubranie, to nie mężczyzna i kobieta stali tam razem nago, lecz para bogów z legend, którzy odrzucili śmiertelne przebrania i czekali obnażeni w chwale swojej nieśmiertelności, gotowi przemknąć nad morzem śmierci i wynurzyć się po drugiej stronie.

Jednak kiedy myślał o tym, co chciał jej powiedzieć, zniknęła za zakrętem.

Krzesło Issiba

W drodze przez pustynię przy świetle gwiazd Nafai wyobrażał sobie straszne rzeczy. A jeżeli żaden z jego braci nie uciekł? Im nie pomogła Luet i kobiety z Basiliki. A jeżeli uciekli, ale żołnierze poszli za którymś do kryjówki, a potem bestialsko ich zabili? Kiedy tam dotrze, czy znajdzie zmasakrowane ciała? Czy może żołnierze urządzili zasadzkę, żeby go pochwycić?

Przystanął na szczycie wąwozu, w miejscu gdzie rankiem tego samego dnia bracia się zatrzymali, żeby przeprowadzić losowanie.

- Nadduszo - zapytał po cichu - czy mam tam iść?

Odpowiedzią na to był obraz w jego umyśle - jeden z nie-ludzkich żołnierzy przemierzający puste ulice Basiliki w nocy. Nafai nie wiedział, jak ma to rozumieć. Czy Naddusza mówi mu, że w całym mieście są żołnierze? Czy może Nafai ma tę wizję, ponieważ Naddusza chce mu przekazać, że żołnierze czekają w wąwozie, a jego mózg po prostu dodaje do wizji nieistotne szczegóły dotyczące miasta?

Jedno nie podlegało kwestii - musiał działać szybko. Jak gdyby była jakaś okazja, której nie wolno przegapić. Lub niebezpieczeństwo, którego musiał uniknąć.

Kiedy przesłanie jest takie niejasne, pomyślał Nafai, to czym mogę się kierować, jak nie własnym osądem? Jeżeli moi bracia są w opałach, muszę to wiedzieć. Nie mogę ich zostawić, nawet

jeśli sam znalazłbym się w niebezpieczeństwie. Jeżeli się mylę, odegnaj tę myśl ode mnie.

Zaczął schodzić zboczem. Nie poczuł ośpienia, nic nie rozpraszało jego myśli. Obojętne, co jeszcze Naddusza próbował mu powiedzieć, z pewnością nie miał nic przeciwko temu, żeby Nafai poszedł na spotkanie z braćmi. Chyba że położył na nim kreskę... Ależ skąd - zadał sobie tyle trudu, żeby pomóc mu wydostać się z miasta, przez Jezioro Kobiet, że teraz raczej nie mógłby planować go zostawić.

W wąwozie było tak ciemno, że Nafai w końcu potknął się i zsunął po zboczu, aż wreszcie wyładował na żwirowatym nasypie, gdzie jego bracia mieli czekać.

-Nafaiu!

To był głos Issiba, ale ledwo Nafai go usłyszał, poczuł mocne uderzenie. Czyjś sandał przygniótł jego twarz do skalistego podłoża.

- Głupiec! - krzyknął Elemak. - Żałuję, że cię nie złapali i nie zabili!

Inna stopa kopnęła go z drugiej strony w nos. Teraz rozległ się głos Mebbekewa:

-Przez ciebie wszystko przepadło, cała fortuna, wszystko!

-On jej nie zabrał, wy głupcy! - zawołał Issib. - Gaballufix ją ukradł!

-A ty się zamknij! - wrzasnął Mebbekew, idąc w kierunku Issiba.

Choć Nafai czuł piekący ból na twarzy od maleńkich kamyczków tkwiących w podeszwach ich sandałów, właściwie nie odniósł poważniejszych obrażeń. Teraz jednak zobaczył, że jego dwaj starsi bracia szaleją z wściekłości. Ale dlaczego kierują ją przeciw niemu?

-Zdradził nas Rash - powiedział.

-Czyżby? - zadrwił Elemak. - Czy nie powiedziałem ci, że ja będę pertraktował? Mogłem zdobyć Indeks za jedną czwartą tego, co mieliśmy, ale nie, ty musiałeś...

- Chciałeś się poddać! - wykrzyknął Nafai. - Chciałeś wyjść!

Elemak ryknął z wściekłości i szarpnął Nafaia za koszulę, podrywając go z ziemi.

- Targowanie się właśnie na tym polega! Człowiek w pewnym momencie udaje, że chce wyjść, ty głupcze! Myślisz, że nie wiedziałem, co robię? Targowałem się w obcych krainach i zarabiałem krocie na garstce towarów! Dlaczego nie mogłeś mi zaufać? Jedyna rzecz, o którą targowałeś się w życiu, to kilka głupich myachików na targu, chłoptysiu!
- Nie wiedziałem - powiedział Nafai.
- Elemak rzucił go na ziemię. Nafai zadrapał sobie łokcie i uderzył głową o kamienie tak mocno, że się rozplakał.
- Zostaw go w spokoju, ty tchórze! - zawołał Issib.
- Nazywasz mnie tchórzem?! - krzyknął Elemak.
- Gaballufix zamierzał zabrać nam pieniądze bez względu na to, co byśmy zrobili. Miał już Rasha po swojej stronie.
- A więc teraz wiesz doskonale, co wtedy by się zdarzyło
- zadrwił Elemak.
 - Jakim prawem nas osądzasz?! - wrzasnął Mebbekew.
 - Myślisz, że Nafai jest taki niewinny, a co z tobą?! To ty wyciągnąłeś pieniądze z kont ojca!
- Nafai wstał. Nie podobały mu się groźby pod adresem Issiba. Wyładowywanie złości na nim to jedno, ale chęć wyrządzenia krzywdy Issyi to całkiem inna sprawa.
- Przepraszam - powiedział. Nie było innego wyjścia, jak tylko wziąć na siebie winę i impet ich gniewu. - Nie rozumiałem. Nie powinienem był się odzywać. Przepraszam.
- Co mi daje twoje „przepraszam”? - pinił się Elemak. - Ileż to razy mówiłeś „przepraszam”, kiedy było za późno, żeby naprawić szkody? Nie wyciągasz żadnych wniosków. Ojciec nigdy nie dał ci nauczki. Jego mały synek, synek Rasy, nie mógłby zrobić nic złego. Cóż, najwyższy czas, żebyś przerobił lekcję, którą ojciec już dawno powinien był ci wpoić.
- Elemak wyciągnął pręt z klatki transportowej opartej o ścianę kanionu. Pręt służył do dźwigania ciężkich ładunków na grzbiecie wielbłąda; był dość giętki i niezbyt ciężki, ale mocny i długi. Nafai od razu się domyślił, co Elemak zamierza.
- Nie masz prawa mnie tknąć!
- Tak, nikt nie ma prawa cię tknąć - zadrwił Mebbekew.
- Święty Nafai, ukochany synek ojca, chłopczyk o oczach jak

klejnoty, jest nietykalny! Oczywiście on może nas skrzywdzić, może przetracić nasz spadek, ale jego nikt nie może tknąć.

- Ten spadek nigdy nie dostałby się tobie - powiedział Nafai do Mebbekewa. - Był przeznaczony dla Elemaka.

Kiedy uzmysłowił sobie, kto by otrzymał spadek, inna myśl przyszła mu do głowy. Od razu wiedział, że nie powinien wypowiedzieć jej na głos, gdy Elemak i Mebbekew już pienili się z wściekłości, ale nie mógł się powstrzymać.

-Skoro mowa o tym, co straciliście, to i tak obaj zasłużyliście na to, żeby was wydziedziczyć, ponieważ spiskowaliście przeciw ojcu.

-To kłamstwo - zaprotestował Mebbekew.

- Uważacie mnie za głupca? Może nie wiedzieliście, że Gaballufix zamierza zabić ojca tamtego ranka, ale wiedzieliście, że kogoś zamierza zabić. Co ci obiecał, Elemaku? To samo co Rashowi: nazwisko i fortunę Wetchika po skompromitowaniu ojca i pozbawieniu go pozycji?

Elemak zaczął bić Nafaia prętem. Tak szalał z gniewu, że właściwie tylko kilka razy trafił, ale ciosy były bardzo bolesne. Nigdy przedtem Nafai nie czuł takiego bólu, nawet wtedy, kiedy się modlił, nawet wtedy, gdy woda jeziora parzyła mu stopy. W końcu upadł twarzą na żwir, a Elemak stanął nad nim, gotowy uderzyć - gdzie? W plecy? W głowę?

-Proszę! - krzyknął Nafai.

-Kłamca! - ryknął Elemak.

-Zdrajca! - odkrzyknął Nafai.

Podniósł się na kolana, ale pręt spadł na jego plecy i powalił go z powrotem na ziemię. Przetrącił mi kręgosłup, pomyślał Nafai. Będę sparaliżowany tak jak Issib, przykuty do krzesła przez resztę życia.

Niczym za sprawą telepatii Issib włączył się do akcji. Gdy Elemak uniósł ponownie pręt, Issib przeleciał przed nim na swoim krześle. Krzesło obracało się podczas lotu - musiało częściowo wymknąć się spod kontroli - i pręt trafił Issiba w ramię. Kaleka wrzasnął z bólu, a krzesło zaczęło opętaniczo wirować i kołysać się do przodu i do tyłu. System antykolizyjny nie dopuszczał do tego, by zderzyło się z kamiennymi ścianami wąwozu, niemniej wpadło na Mebbekewa, kiedy próbował umknąć mu z drogi, i przewróciło go.

-Nie przeszkadzaj, Issibie! - krzyknął Elemak.

-Ty tchórze! - zawołał Nafai. - Przed Gaballufixem byłeś niczym, ale teraz umiesz bić kalekę i czternastolatka! Jesteś bardzo odważny!

-Tym razem powiedziałeś za dużo, chłopcze. - Elemak już nie krzyczał. To była lodowata złość. - Nigdy więcej nie chcę słyszeć twojego głosu.

-Rozumiem, Elya. Nie mogłeś nakłonić Gaballufixa, by zabił za ciebie ojca, ale przynajmniej możesz zabić mnie. No, udowodnij, że jesteś mężczyzną, zabijając swojego młodszego brata.

Nafai miał nadzieję, że Elemak się zawstydzi i wycofa, ale się przeliczył. Elya zupełnie stracił panowanie nad sobą. Chwycił poręcz wirującego krzesła i rzucił Issiba na ziemię jak zepsutą zabawkę.

- Nie! - wrzasnął Nafai.

Popędził do Issiba z pomocą, ale Mebbekew go przewrócił.

Elemak wcześniej odrzucił swój pręt na bok. Kiedy teraz sięgał po niego, Mebbekew pobiegł do klatki transportowej i wyciągnął kolejny.

- Skończmy z nim w tej chwili. A jeśli Issib nie potrafi trzywać języka za zębami, to załatwmy ich obu.

Pręt ze świstem spadł Nafaiowi na ramię. Elemak nadal nie potrafił dobrze wycelować, ale jedno było jasne: mierzył w głowę. Chciał go zabić.

Nagle w kanionie rozbłysło oślepiające światło. Nafai uniósł głowę i zobaczył, jak Elemak się obraca, próbując zlokalizować jego źródło. Świeciło krzesło Issiba.

To było niemożliwe! Krzesło Issiba miało bierny system wyłączania. Kiedy nie otrzymywało wyraźnych instrukcji, co ma robić, opuszczało się na ziemię i czekało na polecenia. Tak właśnie zrobiło, kiedy Elemak zwałił z niego Issiba.

-Co się dzieje? - zapytał Mebbekew.

-Co się dzieje? - powtórzył mechaniczny głos z krzesła.

-Musiałeś je zepsuć - stwierdził Mebbekew.

-Nie jestem zepsuty - odparło krzesło. - Wiara i zaufanie są zepsute. Braterstwo jest zepsute. Honor, prawo i przyzwoitość są zepsute. Litość jest zepsuta. Lecz ja nie jestem zepsuty.

-Każ mu przestać, Issya - polecił Mebbekew.

Nafai zauważył, że Elemak nic nie mówi, tylko patrzy na krzesło nieruchomym wzrokiem, nadal trzymając pręt w ręce, a potem bierze zamach...

Mignęła błyskawica. Elemak wrzasnął i został odrzucony do tyłu. Pręt wyleciał w powietrze. Płonął na całej długości.

Ostrożnie i powoli Mebbekew wsunął własny pręt z powrotem w klatkę transportową.

-Dlaczego biłeś młodszego brata prętem, Elemaku? - zapytało krzesło. - Dlaczego chciałeś go zabić, Mebbekewie?

-Kto to robi? - dziwił się Mebbekew.

-Nie domyślasz się, głupcze? - zapytał słabym głosem Issib leżący pośród kamieni. - Kto wyprawił nas z tą misją?

-Ojciec - odparł Mebbekew.

-Naddusza - powiedział Elemak.

-Czy jeszcze nie rozumiecie, że ponieważ wasz młodszy brat Nafai chciał słyszeć mój głos, wybrałem go, żeby was poprowadził?

To uciszyło ich obu, ale Nafai wiedział, że ich gniew przerodził się w nienawiść, która nigdy nie wygaśnie. Naddusza wybrał Nafaia, żeby ich poprowadził. Nafaia, który nie potrafił nawet zachować się w czasie negocjacji z Gaballufixem tak, aby wszystkich nie zepsuć. Czemu Naddusza mu to zrobił?

- Gdybyście nie zdradzili swojego ojca, gdybyście byli mu posłuszni, nie musiałbym stawiać Nafaia przed wami - powiedział Naddusza. - Teraz wracajcie ponownie do Basiliki, a ja oddam Gaballufixa w wasze ręce.

Po tych słowach krzesło przestało świecić i osunęło się powoli na ziemię.

Wszyscy bracia czekali oniemiali przez kilka chwil, po czym Elemak delikatnie, ostrożnie podniósł Issiba z ziemi i posadził na krześle.

- Przepraszam, Issya. Nie byłem przy zdrowych zmysłach. Nie skrzywdziłbym cię za nic w świecie.

Issib nic nie odrzekł.

- Tylko na Nafaia byliśmy wściekli - dodał Mebbekew.

Issib szeptem powtórzył jego słowa:

- Skończmy z nim w tej chwili. A jeśli Issib nie potrafi trzymać języka za zębami, to załatwmy ich obu.

Mebbekew był urażony.

-Będiesz mi to pamiętał do końca życia?

-Zamknij się, Meb - rzucił Elemak. - Pomyślmy.

-Dobra propozycja - zadrwił Mebbekew. - Myślenie przyniosło nam do tej pory tyle dobrego.

-Widzieć, jak Naddusza ożywia krzesło, to jedna sprawa

- rzekł Elemak - ale Gaballufix ma setki żołnierzy. Może nas zabić pięćdziesiąt razy. A gdzie są żołnierze Nadduszy? Jaka armia będzie nas ochraniać?

Nafai nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Naddusza właśnie okazał nam swoją moc, a wy nadal się boicie żołnierzy Gaballufixa? Naddusza jest silniejszy od nich. Jeżeli będzie chciał, oni nas nie zabiją.

Elemak i Mebbekew patrzyli na niego w milczeniu.

-Byliście gotowi mnie zamordować, ponieważ nie podobały się wam moje słowa - ciągnął Nafai. - Czy teraz zdecydujecie się pójść za mną, okazując posłuszeństwo słowom Nadduszy?

-Skąd mamy wiedzieć, że sam nie pogrzebałeś przy krześle?

- zapytał Mebbekew.

-No jasne - zadrwił Nafai. - Jeszcze zanim poszliśmy dziś do miasta, wiedziałem, że zwalicie na mnie winę za wszystko i spróbowacie mnie zabić, więc wraz z Issyą pomajstrowaliśmy przy krześle, żeby wygłosiło właśnie taką mowę.

-Nie bądź idiotą, Meb! - Elemak upomniął brata. - Zginiemy, ale skoro wszystko straciliśmy, na niczym mi już nie zależy.

-Takim jesteś fatalistą? Ja nie chcę umrzeć - powiedział Mebbekew.

Issib ruszył na krzesło.

- Chodźmy - zwrócił się do Nafaia. - Idę za Nadduszą i za tobą jako jego sługą. Chodźmy.

Nafai poszedł przodem, wspinając się po zboczach. Przez jakiś czas słyszał jedynie własne kroki i cichy furkot krzesła Issi-ba. Wreszcie do jego uszu dobiegły głośne stąpnięcia Elemaka i Mebbekewa, podążających za nimi do wylotu wąwozu.

Morderstwo

Jeżeli mamy mieć w ogóle jakąkolwiek nadzieję, to musimy przestać układać własne plany, pomyślał Nafai. Gaballufix przechytrza nas za każdym razem.

A teraz nadzieja była jeszcze mniejsza, ponieważ Elemak i Mebbekew celowo okazywali niechęć do współpracy. Dlaczego Naddusza musiał powiedzieć o tym, że Nafai ma ich prowadzić? W jaki sposób najmłodszy syn Wetchika mógł dowodzić swoimi starszymi braćmi, którzy ze znacznie większą radością przyjęliby jego porażkę, niż pomogli mu odnieść sukces? Issib oczywiście nie będzie stwarzał żadnych problemów, ale trudno też było sobie wyobrazić, aby mógł się okazać bardzo pomocny, nawet kiedy znów założy swoje lewitery. Za bardzo się wyróżniał, był zbyt wątpliwy i zbyt powolny.

Kiedy szli przez pustynię, Nafai - który prowadził, ponieważ Elemak nie chciał mu pomóc wybierać drogi - uznał, że miałby znacznie większe szanse sam niż z braćmi.

Nie ze względu na to, że działałby na własną rękę, lecz że miałby Nadduszę do pomocy, a Naddusza już raz wyprowadził go z Basiliki.

No tak, ale wyprowadził go dzięki temu, że Nafai miał przy swoim boku Luet. Kto będzie jego Luet teraz? Ona była wieszczką, tak spoufaloną z Nadduszą, jak Nafai z własną matką. Wyczuwała dokładnie, co Naddusza każe jej robić; Nafai odbierał wskazówki

Nadduszy jedynie od czasu do czasu, i to bardzo nieprecyzyjnie. Co na przykład znaczyła wizja żołnierza ze skrwawionymi rękami, chodzącego po ulicach Basiliki? Czy był to wróg, z którym Nafai będzie musiał walczyć? Czy to była jego śmierć? Jego przewodnik? Jak z takim zamętem w głowie mógł obmyślić plan?

Zatrzymał się.

Bracia przystanęli za nim.

- Co teraz? - zapytał Mebbekew. - Oświeć nas, o wielki przywódco namaszczonego przez Nadduszę.

Nafai nie odpowiedział. Spróbował wyrzucić wszystkie myśli z głowy, rozluźnić się, żeby nie czuć ściskania w żołądku ze strachu. Naddusza rozmawiał z Luet inaczej, ponieważ ona nie starała się sama obmyślić żadnych planów. Słuchała. Słuchała i usiłowała zrozumieć. Jeżeli Nafai myślał poważnie o tym, żeby spróbować pomóc Nadduszy, stać się jego rękami i nogami tutaj, na powierzchni tego świata, to musiał przestać snuć własne głupie plany i dać Nadduszy szansę, żeby mógł z nim porozmawiać.

Znaleźli się w pobliżu Psiego Rewiru - dzielnicy, która rozciągała się wzdłuż dróg rozchodzących się od Bramy Stożkowej. Do tej pory Nafai zakładał, że powinien obejść Psi Rewir, przedostać się jakimś kanionem z powrotem do Leśnego Traktu i wejść do Basiliki przez Tylną Bramę. Teraz jednak zatrzymał się i rozważał różne koncepcje. Pomyślał o tym, żeby iść dalej naokoło Psiego Rewiru, i jego myśli zaczęły dryfować bez celu. Następnie zwrócił się w kierunku Stożka i od razu poczuł przypływ pewności siebie. Tak, pomyślał. Naddusza spróbuje mnie poprowadzić, jeśli tylko będę słuchał. Podobnie jak powinienem był milczeć i słuchać, kiedy Elemak targował się z Gaballufixem.

-No tak, świetnie - powiedział Mebbekew. - Chodźmy do drugiej najpilniej strzeżonej bramy. Przejdźmy przez naj-ohydniej sze slumsy, gdzie do Gaballufixa należy każdy, kto jest przekupny, to znaczy każdy, kto żyje.

-Cicho - rozkazał Issib.

-Niech gada - rzekł Nafai. - Sprowadzi na nas ludzi Gaballufixa i od razu zostaniemy wszyscy zabici, a o to mu właśnie chodzi, bo kiedy wszyscy zginiemy, będzie mógł powiedzieć: „Widzisz, Nyef, przez ciebie giniemy!”, i umrze z radością w sercu.

Mebbekew ruszył w kierunku Nafaia, ale Elemak go powstrzymał.

- Będziemy zachowywać się cicho - zapewnił.

Dotarli do Głównego Taktu, który biegł od Sektora Bramowego do Psiego Rewiru. Po obu stronach stało dość dużo domów, ale nocą nie było tu bezpiecznie i kręciło się niewielu ludzi. Nafai zaprowadził ich do najszerzej luki między domami, spojrzał na lewo i na prawo, po czym pochylił głowę i przebiegł w poprzek ulicy. Po drugiej stronie zatrzymał się w suchym rowie, wypatrując pozostałych braci.

Nie przychodzili.

Nie przychodzili.

Postanowili mnie teraz opuścić, pomyślał. Cóż, świetnie.

Wtedy się pojawili. Nie biegli, tak jak Nafai, lecz szli.

Oczywiście, pomyślał Nafai. Tak długo to trwało, bo musieli zdjąć Issiba z krzesła. Powinienem być o tym pomyśleć.

Kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy, Nafai zobaczył, że Issib nie unosi się w powietrzu na lewi terach, lecz pomagają mu pozostali dwaj bracia. Ręce zarzucił im na ramiona, a stopami włókł po ziemi. Dla każdego, kto nie znał prawdy, wyglądał jak pijak, któremu koledzy pomagają dojść do domu.

Nie kierowali się wprost na drugą stronę. Raczej ukosem, jakby gubili drogę w ciemnościach lub byli spychani przez pijaka, któremu pomagali. W końcu znaleźli się po drugiej stronie i wślizgnęli się w krzaki.

Nafai dotarł do nich, kiedy uwalniali się z objęć Issiba i pomagali mu założyć lewitery.

-To było dobre - szepnął. - Tysiące ludzi mogłyby was widzieć i nikt by nie zwrócił uwagi.

-Elemak to wymyślił - wyjaśnił Issib.

-Elya, powinienes nas prowadzić - powiedział Nafai.

-Naddusza tak nie uważa - stwierdził Elemak.

-Chciałeś powiedzieć, że krzesło Issiba tak nie uważa - sprostował Mebbekew.

- To był dobry pomysł, Nyef, że przeszedłeś pierwszy - powiedział Elemak. - Strażnicy szukają czterech ludzi, w tym jednego, który unosi się w powietrzu. A widzieli trzech, w tym jednego pijanego.

-Dokąd teraz? - zapytał Issib.

Nafai wzruszył ramionami.

-Chyba tędy.

Poprowadził ich dalej, idąc na ukos przez pusty teren między Głównym Traktem i Stożkiem.

W głowie miał zamęt. Nie mógł wymyślić, co dalej robić. Nie mógł nic wymyślić.

- Zatrzymajcie się - powiedział.

Rozwahał, czy poprowadzić ich dalej naprzód, i wydało mu się to niewłaściwe. Uznał, że dalej powinien iść sam.

- Zaczekajcie tutaj. Sam wejdę do miasta.

-Genialnie - stwierdził Mebbekew. - Mogliśmy poczekać przy wielbłądach.

-Nie - zaprzeczył Nafai. - Proszę. Potrzebuję was tutaj. Muszę mieć pewność, że po wyjściu przez bramę zastanę was tutaj.

-Jak długo ci to zajmie? - zapytał Issib.

-Nie mam pojęcia.

-Co zamierzasz zrobić?

Nafai nie mógł się przyznać, że nie wie.

-Elemak nie mógł się przyznać, że nie wie. - Elemak nie powiedział nam, co zamierza zrobić - powiedział Nafai.

-No pewnie - zadrwił Mebbekew. - Pobaw się w wielkiego człowieka.

-Zaczekamy - rzekł Elemak - ale jeśli zastanie nas tu wschód słońca, będziemy na otwartej przestrzeni i na pewno nas złapią. Chyba to rozumiesz.

-Jeśli nie wrócę do świtu, bierzcie krzesło Issiba i wracajcie do wielbłądów.

-Tak zrobimy - zapewnił Elemak.

-Jeśli będziemy mieli na to ochotę - wtrącił Mebbekew.

-Będziemy mieli. I my dwaj, i Meb.

Nafai wiedział, że Elemak nadal go nienawidzi i nim pogardza, ale z pewnością postąpi zgodnie z obietnicą, spodziewał się jego porażki, lecz równocześnie dawał mu szansę na odniesienie sukcesu.

-Dziękuję - powiedział.

-Zdobądź Indeks - odrzekł Elemak. - Ty jesteś wybrańcem Nadduszy, zdobądź Indeks.

Nafai zostawił ich i poszedł w kierunku Stożka. Kiedy znalazł się już blisko bramy, usłyszał rozmowę strażników. Było ich zbyt wielu - sześciu lub siedmiu, a nie tak jak zazwyczaj dwóch. Dlaczego? Przysunął się do ściany i podkraśli się bliżej, do miejsca, skąd mógł słyszeć dość wyraźnie, co mówią.

-Według mnie to sprawka Gaballufixa - powiedział jeden strażnik. - Prawdopodobnie zabił najpierw syna Wetchika, aby nie mógł opuścić miasta, a potem Roptata i zwał winę na osobę, która nie może się bronić.

-To przypomina metody Gaballufixa - odpowiedział mu inny. - On i jego ludzie to zwykłe szumowiny.

Roptat nie żył. Nafai poczuł dreszcz strachu. Po wielu nieudanych próbach w końcu do tego doszło - Gaballufix popełnił morderstwo i rzucił winę na jednego z synów Wetchika.

Na mnie, uświadomił sobie Nafai. Zwał winę na mnie. Tylko ja nie wyszedłem z miasta przez strzeżoną bramę, więc zgodnie z informacjami miejskiego komputera nadal jestem w środku. Oczywiście Gaballufix wiedział o tym. Skorzystał więc z okazji, zabił Roptata i rozgłosił, że zrobił to najmłodszy syn Wetchika.

Kobiety jednak znają prawdę. Kobiety wiedzą, że Gabya kłamie. On jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, ale jutro do każdej kobiety w Basilice dotrze wieść, że w chwili śmierci Roptata byłem przy jeziorze z Luet. Nawet nie muszą dziś wchodzić do miasta. Gaballufixa zniszczy jego własna głupota, a my możemy poczekać za murami i pękać ze śmiechu!

Tylko że Nafai nie mógł myśleć o czekaniu na zewnątrz. Naddusza nie chciał tego. Nadduszy nie zależało na tym, czy Gaballufix zostanie przyłapany na kłamstwie, jego upadek nie da Indeksu ojcu do ręki, a tylko Indeks był ważny dla Nadduszy.

Jak mam przejść obok strażników? - zapytał Nafai w myślach.

W odpowiedzi poczuł jedynie własny strach. Wiedział, że to uczucie nie pochodzi od Nadduszy.

Tak więc czekał. Po jakimś czasie rozmowa strażników utknęła w miejscu.

- Przejdźmy się po Psim Rewirze - zaproponował któryś.

Pięciu wyszło z bramy i zagłębiło się w ciemne ulice. Gdyby się odwrócili, zobaczyliby Nafaia opartego o ścianę nie dalej niż dwa metry od wejścia. Ale nie odwrócili się.

Nafai wiedział, że nadszedł właściwy moment; nadal trząsł się ze strachu, lecz teraz czuł również ogromną chęć do działania. Za sprawą Nadduszy? Trudno było to stwierdzić, ale musiał coś zrobić. Wstrzymując oddech, wkroczył w światło padające z wartowni.

Jeden strażnik siedział na stołku oparty o skrzydło bramy. Spał. Drugi załatwiał się przy przeciwnej ścianie, zwrócony tyłem do wejścia. Nafai przeszedł po cichu. Żaden ze strażników nie ruszył się z miejsca, dopóki Nafai nie znalazł się poza zasięgiem światła. Potem usłyszał za sobą głosy. Strażnicy rozmawiali, ale nie o nim - nie podnosili alarmu. Tak samo to się musiało odbyć w przypadku Luet tamtej nocy, kiedy przyszła nas ostrzec, pomyślał. Naddusza ogłupił strażników wystarczająco, by mogła przejść, jakby była niewidzialna. Tak jak ja przeszedłem.

Teraz już wschodził księżyc. Noc przekroczyła półmetek. Miasto spało, prawdopodobnie nawet w Dolinie Lalek i na targu wewnętrznym ruch musiał się zmniejszyć w tych czasach napięcia i wzburzenia, głównie z powodu żołnierzy patrolujących ulice. W tej dzielnicy, dość bezpiecznej, gdzie w ogóle nie kwitło życie nocne, na ulicach nie było żywej duszy. Nafai nie wiedział, czy pustka na ulicach jest dla niego korzystna, czy niekorzystna. Korzystna, bo mniej ludzi go zobaczy; niekorzystna, bo jeśli ktoś go dostrzeże, z pewnością zwróci na niego uwagę.

Dziś jednak Naddusza pomagał mu w tym, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi. Chłopiec trzymał się w cieniu, aby nie kusić losu, a raz, kiedy przechodził oddział żołnierzy, schował się w wejściu do jakiegoś domu i nikt go nie zauważył.

To musi być granica możliwości Nadduszy, pomyślał. Naddusza potrafi przekazywać wiadomości przez Luet, przez ojca i przeze mnie. A także przez maszynę - krzesło Issiba. Ale któż może wiedzieć, ile go to kosztuje? Wchodząc bezpośrednio w umysły innych osób, jedynie rozprasza ich myśli, tak jak odciąga uwagę ludzi od zakazanych rzeczy. Nie może spowodować, żeby żołnierze zeszli z drogi, ale potrafi sprawić, że nie zauważą człowieka stojącego w zacienionym wejściu do jakiegoś domu, jest w stanie odwieść ich od chęci sprawdzenia, co on tam robi. Nie może kazać strażnikom zejść z posterunku przy bramie, ale powoduje, że dla drzemiącego strażnika odgłos moich kroków

jest częścią jego snu. Lecz dokonanie czegoś nawet tak niewielkiego musi pochłaniać całą uwagę Nadduszy, skupiać ją na tej ulicy dziś w nocy. Dokładnie na tym miejscu. Na mnie.

Dokąd idę? To bez znaczenia. Muszę wyłączyć umysł i iść dalej. Niech Naddusza prowadzi mnie za rękę, tak jak to zrobiła Luet.

Trudno mu jednak było uwolnić się od myśli - rozpoznawał każdą ulicę, przypominał sobie wszystkie znane stąd osoby lub sklepy i zastanawiał się, kto i w jaki sposób mógłby się przysłużyć w zdobyciu Indeksu. Nawet teraz jego umysł był zbyt zaangażowany.

A dlaczegoż nie miałyby być? - pomyślał. Co mam zrobić, przestać być istotą rozumną? Stać się nieskończenie głupim człowiekiem, aby Naddusza mógł mną sterować? Czy moją największą ambicją w życiu jest być marionetką?

Nie, nadeszła odpowiedź. Była tak wyraźna jak tamtej nocy przy strumieniu, na pustyni. Nie jesteś żadną marionetką. Jesteś tutaj, ponieważ tak zdecydowałeś, ale teraz, żeby usłyszeć mój głos, musisz opróżnić swój umysł. Nie dlatego, że chcę, żebyś był głupi, ale byś był w stanie mnie słyszeć. Wkrótce znów będziesz potrzebował całego swojego rozumu. Głupcy są mi niepotrzebni.

Kiedy głos umilkł, Nafai stwierdził, że opiera się o ścianę i łapie oddech. Takie wpychanie się Nadduszy w jego myśli nie było żadną błahostką. Co nasi przodkowie zrobili swoim dzieciom, kiedy zmienili nas tak, aby komputer mógł w ten sposób ingerować w nasze umysły? - zastanawiał się. Czy w dawnych czasach wszystkie dzieci słyszały głos Nadduszy tak, jak ja go teraz słyszę? Czy też zdolność ta była zawsze rzadkością?

Iść dalej. Ten nakaz czuł w sobie jak zew głodu. Więc szedł w transie, nie wiedząc dokładnie, gdzie jest, nie dbając o to. Nie dalej jak tego dnia po południu postępował podobnie, uciekając przed zamachowcami.

Nawet nie mam broni.

Ta myśl sprawiła, że stanął jak wryty. Wyrwała go z transu. Nie był pewien, gdzie się znajduje. W półcieniu, na ulicy leżał jakiś człowiek. Zaciekawiony Nafai podszedł bliżej. Pewnie jakiś pijak. A może ofiara toczoków lub żołnierzy, lub zamachowców. Ofiara Gaballufixa.

Nie. Wcale nie ofiara. To był jeden z tych identycznie wyglądających żołnierzy Gaballufixa. Śmierdziało od niego moczem i alkoholem.

Nafai zamierzał odejść, gdy zaświtało mu w głowie, że oto ma przed sobą najlepsze przebranie, jakie mógł sobie wymarzyć. Będzie znacznie łatwiej zbliżyć się do Gaballufixa w holograficznym kostiumie żołnierza - a tutaj leżał właśnie taki kostium, który może sobie wziąć.

Uklęknął obok nieruchomego mężczyzny i obrócił go na plecy. Nie mógł zobaczyć pudełka, które sterowało holografem, ale przesuwał ręką po kostiumie, wymacał je przy pasie i odczepił. Nie zdołał go odsunąć od leżącego człowieka dalej niż na kilka centymetrów.

No tak, zgadza się, pomyślał. Elemak powiedział, że to pewnego rodzaju przebranie, a pudełko jest jego częścią.

I rzeczywiście, kiedy przesunął pudełko w górę ciała mężczyzny, kostium się zsunął. Przetaczając pijanego na różne strony, Nafai w końcu zdjął strój z jego ramion, wysunął spod ciała, a potem zdjął z głowy. Dopiero wtedy zobaczył, że Naddusza dał mu w prezencie nie tylko kostium. Leżący człowiek nie był wynajętym zbirzem w żołnierskim mundurze. To był sam Gaballufix.

Spity jak bela, leżący we własnych szczynach i rzygowinach, ale bez cienia wątpliwości Gaballufix.

Cóż Nafai mógł zrobić z tym pijakiem? Gaballufix na pewno nie miał Indeksu przy sobie.

Drań musiał wyjść na miasto, żeby uczcić śmierć Roptata, pomyślał Nafai. Nigdy nie zostanie ukarany. A jeszcze próbuje zwalić winę za to na mnie...

Zawrzał gniewem. Pomyślał o nadeptnięciu nogą na głowę Gaballufixa i unurzaniu jego twarzy w rzygowinach rozchlapanych na ulicy. To by było takie przyjemne uczucie, takie...

Zabij go.

Ta myśl była tak wyraźna, jakby wypowiedział ją ktoś za jego plecami.

Nie, pomyślał Nafai. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę zabić człowieka.

Jak sądzisz, dlaczego cię tu przyprowadziłem? To morderca. W świetle prawa zasługuje na śmierć.

W świetle prawa ja zasłużyłem na śmierć za to, że zobaczyłem Jezioro Kobiet. A jednak zostałem ulaskawiony.

To ja przywiodłem cię nad jezioro, Nafaiu. Tak jak i ja przywiodłem cię tutaj, żebyś zrobił to, co musi być uczynione. Jeśli on będzie żył, nigdy nie zdobędziesz Indeksu.

Nie mogę zabić człowieka. Takiego bezradnego człowieka - to będzie morderstwo.

To będzie zwykła sprawiedliwość.

Nie, jeśli wymierzona moją ręką. Za bardzo go nienawidzę. Pragnę jego śmierci. Za to, że upokorzył moją rodzinę. Za to, że ukradł tytuł mojego ojca. Za to, że zabrał nasz majątek. Za to, że dostałem lanie od braci. Za żołnierzy i tołczoków, za to, że pozbawił moje miasto nadziei. Za to, że przemienił Rashgallivaka, takiego dobrego człowieka, w bezmyślne narzędzie. Za to wszystko chcę, żeby umarł. Jeśli zabiję go teraz, będę tchórzem i skrytobójcą, a nie człowiekiem wymierzającym sprawiedliwość.

On próbował cię zabić. Jego najemnicy czyhali na twoje życie.

Wiem o tym. Byłaby to więc prywatna zemsta, gdybym go teraz zabił.

Pomyśl, Nafaiu. Pomyśl.

Nie będę mordercą.

Zgadza się. Ocalisz życie wielu ludzi. Jest tylko jedna nadzieja na to, żeby ocalić ten świat przed rzezią, która zniszczyła Ziemię czterdzieści milionów lat temu, a pozostawienie tego człowieka przy życiu pogrzebie tę nadzieję. Czy miliard dusz na planecie Harmonia ma zginąć po to, abyś mógł zachować czyste ręce? Mówię ci, że to nie jest morderstwo, to nie jest skrytobójstwo, lecz sprawiedliwość. Osądziłem go i uznałem, że jest winny. Wydał polecenie, żeby zabić Roptata, a także ciebie, twoich braci i ojca. Szykuje wojnę, przez którą polegną tysiące ludzi, a miasto zostanie ujarzmione. Nie oszczędzasz go z litości, Nafaiu, ponieważ jego śmierć okaże się łaską dla miasta i ludzi, których kochasz, jego śmierć okaże się łaską dla świata. Oszczędzasz go z czystej próżności. Abyś mógł spojrzeć na swoje ręce i zobaczyć, że nie są splamione krwią. Mówię ci, że jeśli nie zabijesz tego człowieka, będziesz miał krew milionów na swoim sumieniu.

Nie! - wykrzyknął Nafai z udręką, chociaż jedynie w myślach.

Głos w jego głowie ciągnął nieugięcie:

Indeks otwiera najgłębszą bibliotekę na świecie, Nafaiu. Z jego pomocą wszystko jest możliwe dla moich sług. Bez niego mój głos nie jest silniejszy od tego, który teraz słyszysz, ciągle zmieniany i wypaczany przez twoje obawy, nadzieje i oczekiwania. Bez Indeksu nie mogę pomóc tobie i ty nie możesz pomóc mnie. Moja moc będzie dalej słabnąć, a moje prawo będzie miało coraz mniejszy wpływ na ludzi, aż w końcu znów zapłonie ogień i kolejny świat zostanie spustoszony. Indeks, Nafaiu. Wykonaj na tym człowieku wyrok, a potem idź po Indeks.

Nafai sięgnął po woltażet przyczepiony do pasa Gaballu-fixa.

Nie wiem, jak zabić tą bronią człowieka. Nie można go tym ukłuć. Nie można przebić serca.

Utnij mu głowę.

Nie mogę. Nie mogę, nie mogę, nie mogę!

Nafai się jednak mylił. Mógł.

Chwycił Gaballufixa za włosy i pociągnął do tyłu. Pijany się poruszył - czy zaraz się obudzi? Oprzytomnieje? Nie, znowu pogrążył się w nieświadomości. Chłopiec włączył woltażet i przyłożył do gardła nieprzytomnego. Ostrze zabrzęczało. Pojawiła się strużka krwi. Nafai docisnął mocniej. Krew trysnęła na ostrze, wywołując skwierczący odgłos. Za późno, by teraz to przerwać, za późno. Nacisnął mocniej, mocniej. Ostrze zatopiło się głębiej. Zatrzymało się przy kości, ale Nafai odchylił głowę, robiąc lukę między kręgami, i teraz ostrze z łatwością oddzieliło głowę od ciała.

Zabiłem człowieka, a w rękach trzymam jego głowę. Kim teraz jestem? Czy jestem w jakikolwiek sposób lepszy od tego, który tu leży, zabity moimi rękami?

Indeks!

Spodnie i koszula, ręce i twarz Nafaia były ochlapane krwią. Nie mógł tego znieść. Ogarnięty paniką, zdarł z siebie ubranie, a następnie wytarł twarz nieskrwawioną tylną częścią koszuli. To były rzeczy, które podała mi Luet, kiedy wyszedłem z wody i wdrapałem się do łodzi w tamtej oazie piękna i spokoju, a teraz patrzcie, co z nimi zrobiłem.

Dzięki temu, iż krew trysnęła z szyi ofiary z dala od ciała, na ubraniu Gaballufixa jej nie było, jedynie ślady rzygowin i moczu. Nafai musiał coś włożyć na siebie. Kostium nie wystarczał - pod nim byłoby mu zimno i miałby gołe stopy.

Czuł odrazę, ale wiedział, że musi to zrobić. Odciągnął ciało trochę na bok, następnie rozebrał je uważnie, by ubrania nie splamić krwią. Ze wstrętem włożył zimne, mokre spodnie, ale pomyślał wtedy z pogardą, że człowiek, który potrafił dokonać zabójstwa, nie powinien się wzdragać przed noszeniem mokrych od moczu spodni innego człowieka, cuchnącej kwasem żołądkowym koszuli i zbroi. Nic nie jest teraz dla mnie zbyt straszne, pomyślał Nafai. Już jestem zgubiony.

Jednak nie mógł się zmusić, by przypiąć woltażet do pasa, tak jak go nosił Gaballufix. Start swoje odciski palców z rękojeści i cisnął broń na ulicę obok leżącej głowy. A potem wybuchnął śmiechem.

Tu leżą moje rzeczy, w których widzieli mnie dzisiaj niezliczeni świadkowie. Czemu miałbym się kamuflować, skoro zostawiam je za sobą?

Zostawiam je jak własne martwe ciało. Kostium dziecka. Teraz mam na sobie ubranie mężczyzny. I to nie byle jakiego. Najbardziej występnego, potwornego mężczyzny, jakiego znam. Pasuje mi.

Naciągnął kaptur żołnierskiego kostiumu na głowę. Nie czuł się inaczej, ale przyjął, że wygląda odpowiednio. Zaczął oddalać się od ciała. Nie mógł wymyślić, dokąd teraz iść. Nie mógł nic wymyślić.

Powrócił do ciała. Wiedział, że coś tam zostawił. Stare ubranie i woltażet. Wziął broń, częścią swojej starej garderoby otarł ją z krwi i przypiął do pasa. Teraz mógł iść dalej. Oczywiście do domu Gaballufixa. Wiedział to z całą pewnością. Znów myślał bardzo jasno. Spodnie ziębiły i obcierały mu nogi. Zbroja była ciężka. Niewygodnie się szło z woltażetem.

Tak czuje się człowiek jako Gaballufix, pomyślał. Dziś jestem Gaballufixem. Muszę się spieszyć. Zanim znajdą ciało. Nie. Naddusza nie pozwoli nikomu znaleźć ciała, przynajmniej przez jakiś czas. A rano zjawi się tam tak wielu ludzi, że nie będzie mógł wpłynąć na nich wszystkich równocześnie. Mam więc trochę czasu.

Poszedł Fontannową, ale potem się rozmyślił. Ulicą Długą zbliżył się do domu Gaballufixa od tyłu. *Znalazł* drzwi, z których korzystał Elemak dawno - tak niedawno? - temu. Czy będą zamknięte na klucz? Były. Co teraz? Wewnątrz ktoś będzie czekał, trzymał straż. Jakim sposobem Nafai, w przebraniu zwykłego żołnierza, mógł się domagać, by go wpuszczono o tej porze? A jeżeli każą mu wyłączyć kostium, kiedy wejdzie do domu? Od razu go rozpoznają. Co gorsza, rozpoznają ubrania Gabal-lufixa i domyśla się, że Nafai tylko w jeden sposób mógł wejść w ich posiadanie.

Nie, na dwa sposoby.

Gaballufix na pewno już nieraz wracał do domu pijany.

Nafai spróbował, najpierw po cichu, naśladować głos Gabal-lufixa. Ochrypiły i szorstki. Zgrzytliwy i gardłowy. Gaballufix był pijany, więc Nafai mógł mówić bełkotliwie, bez ładu i składu, a także się zataczać, przewracać i...

- Otwierać, otwierać drzwi! - wrzasnął.

Brzmiało to strasznie, wcale nie przypominało głosu Gabal-lufixa.

- Otwierać drzwi, idioci, to ja!

Lepiej. To wyszło lepiej. A zresztą Naddusza trochę na nich wpłynie, rozproszy ich myśli, nie będą się zastanawiali, czemu głos Gaballufixa nie brzmi dziś tak jak zawsze.

Drzwi się uchyliły. Nafai natychmiast pchnął je i wpadł do środka.

- Co mnie nie wpuszczasz do własnego domu?! Powinienem odesłać cię do rodziny w pudełku, odesłać cię do tatusia w kawalkach!

Nafai nie miał pojęcia, jak Gaballufix zazwyczaj się odzywa, ale domyślił się, że mówi grubianstwa i miota groźby, zwłaszcza kiedy jest pijany. Nie widywał pijaków często w swoim życiu, zaledwie kilka razy na ulicy, no i w teatrze, ale to byli aktorzy, którzy grali pijaków.

W końcu jestem aktorem, pomyślał. Myślałem, że może skończę właśnie w tym zawodzie, i tak się stało.

- Pomogę panu - powiedział odźwierny.

Nafai nie spojrzał na niego. Celowo potknął się i upadł na kolana, a potem zgiął się wpół.

- Chyba się zrzygam - stęknął.

Dotknął pudełka przy pasie i wyłączył kostium.

Tylko na chwilę. Żeby każdy, kto się znajdował w pokoju, zobaczył ubranie Gaballufixa, podczas gdy jego twarz była poza zasięgiem wzroku, kiedy był pochylony. Spróbował udąć torsje. Zaczął się krztusić i faktycznie kwasy żołądkowe napłynęły mu do gardła.

-Czego sobie życzysz, panie? - zapytał sługa.

-Kto ma Indeks?! - ryknął Nafai. - Dzisiaj wszyscy chcą Indeksu. Teraz ja go chcę!

-Zdorab - odpowiedział służący.

-Zawołaj go.

-On śpi, panie...

Nafai skoczył na równe nogi.

-Kiedy ja nie siedzę na tyłku w tym domu, to nikt nie śpi!

-Zaraz go zawołam, panie, przepraszam, po prostu myślałem...

Nafai odwrócił się do niego nieporadnie. Służący się wycofał przerażony. Przemknął przy ścianie, po czym wyskoczył przez drzwi. Nafai nie miał pojęcia, czy ten człowiek nie przyprowadzi ze sobą żołnierzy.

Wrócił ze Zdorabem. Przynajmniej Nafai założył, że jest to Zdorab. Ale musiał mieć pewność, prawda? Pochylił się więc blisko ku temu człowiekowi i zionął mu w twarz paskudnym oddechem.

- Tyś to Zdorab?

Niech słudzy wyobrażają sobie, że Gaballufix jest taki pijany, iż nie widzi dobrze.

- Tak, panie.

Wydawał się przestraszony. To dobrze.

-Gdzie mój Indeks?

-Który?

-Ten, który chcieli ci dranie - synowie Wetchika - właściwy Indeks, na Nadduszę!

-Indeks Palwashantu?

-Gdzie go schowałeś, łobuzie?

-W skarbcu. Nie wiedziałem, że chcesz go mieć pod ręką. Nigdy dotąd z niego nie korzystałeś, więc pomyślałem sobie...

- Mogę go obejrzyć, jeśli chcę!

Przestań tyle gadać, powiedział do siebie. Im więcej mówisz, tym trudniej Nadduszy rozwiewać wątpliwości tego człowieka co do twojego głosu.

Zdorab poprowadził Nafaia korytarzem. Chłopiec specjalnie wpadał od czasu do czasu na ścianę. Kiedy uderzył bokiem, w który Elemak w kanionie walnął go prętem najmocniej, poczuł przeszywający ból od ramienia do biodra. Jęknął, pomyślał jednak, że dzięki temu jego przedstawienie tylko zyska na wiarygodności.

Gdy przemierzali najniższe piętro domu, znów zaczął go ogarniać strach. A jeżeli będzie musiał udowodnić swoją tożsamość, żeby otworzyć skarbiec? Na przykład na podstawie siatkówki? Albo linii papilarnych kciuka?

Drzwi do skarbcza były jednak otwarte. Czy Naddusza wpłynął na kogoś, żeby zapomniał je zamknąć? Czy może wszystko było dziełem przypadku? Czy jestem ofiarą przypadku? - zastanawiał się Nafai. Czy tylko marionetką Nadduszy? Czy wskutek jakiegoś zrządzenia losu sam decyduję swobodnie przynajmniej o pewnym odcinku drogi, którą przemierzam tej nocy?

Nawet nie wiedział, która możliwość mu odpowiada. Jeżeli miał wolny wybór, to sam zdecydował się zabić bezradnego człowieka leżącego na ulicy. O wiele lepiej wierzyć, że Naddusza go zmusił lub skłonił podstępem, lub że coś w genach czy wychowaniu pchnęło go do tego czynu. O wiele lepiej uważać, że nie było innego wyboru, niż zadrećcać się myślami, czy naprawdę musiał zabić Gaballufixa, czy nie wystarczyło ukraść mu ubrania. Odpowiedzialność za to, co zrobił, mając możliwość dokonania innego wyboru, była zbyt wielkim ciężarem.

Zdorab wszedł do skarbcza. Nafai podążył za nim i ujrzał duży stół, na którym fortuna Wetchika leżała poukładana w równe stosy.

- Jak widzisz, panie, oznaczanie prób metali jest już prawie skończone - powiedział Zdorab, wchodząc między półki. - Utrzymuję tu czystość i porządek.

Czy on mnie zatrzymuje tu w skarbcu, czekając na nadejście pomocy? - zastanawiał się Nafai.

Zdorab wyłonił się spomiędzy półek na końcu pomieszczenia. Był znacznie niższy od Nafaia i już łysiał, choć nie mógł jeszcze przekroczyć trzydziestki.

- Czy o ten chodzi?

Nafai oczywiście nie miał pojęcia, jak Indeks ma wyglądać. Widział wiele indeksów w życiu, ale większość z nich to były małe, wolno stojące komputery z bezprzewodowym dostępem do głównej biblioteki. Ten nie miał niczego, co Nafai mógłby zidentyfikować jako monitor. Zdorab trzymał w ręku metalową kulę w kolorze mosiądzu, lekko spłaszczoną na górze i na dole.

- Niech zobaczę - warknął Nafai.

Wydawało się, że Zdorab nie chce się rozstać z kulą. Nie chce mi jej dać, bo wie, kim naprawdę jestem, pomyślał Nafai bliski paniki.

Po chwili Zdorab wyjawiał prawdziwy powód swojego zaniepokojenia.

- Panie, mówiłeś, że musimy zawsze pilnować, aby była nieskazitelnie czysta.

Martwił się, bo Gaballufix na pewno był brudny pod żółnierskim kostiumem. Pijany na umór, cuchnący moczem i rzygowinami...

-Masz rację - oświadczył Nafai. - Ty go nieś.

-Skoro tak sobie życzysz, panie.

-To ten, prawda?

Nafai żywił nadzieję, że udawał pijanego przekonująco i głupie pytania nie wzbudzą podejrzeń.

- To Indeks Palwashantu. Po prostu zastanawiałem się, czy właśnie o ten Indeks ci chodzi. Nigdy dotąd nie prosiłeś o niego.

A więc Gaballufix nawet nie wyjął go ze skarbca - ani przez chwilę nie zamierzał im go dać, obojętne, jak Elemak by się targował lub ile by zapłacili. To trochę poprawiło nastrój Nafaiowi. Nie przeoczyli żadnej szansy. Każdy scenariusz doprowadziłby do takiego samego zakończenia.

- Dokąd go zaniesiemy? - spytał Zdorab.

Doskonałe pytanie, pomyślał Nafai. Nie mogę mu powiedzieć, że dajemy go synom Wetchika, którzy czekają w ciemnościach za bramą Stożka.

-Muszę go pokazać radzie klanu.

-O tej porze?

-Tak, o tej porze! Dopadli mnie, gdy bawiłem się na przyjęciu. Chcieli zobaczyć Indeks natychmiast, bo ubzdurali

sobie, że ukradli go synowie Wetchika, ci mordercy, kłamcy i złodzieje.

Zdorab odkasznął, pochylił głowę i spiesźnie poprowadził Nafaia korytarzem.

Zatem Zdorabowi nie podobało się, kiedy Gaballufix obrzucał synów Wetchika takimi epitetami. Interesujące. Ale nie aż tak, by Nafai wtajemniczył go w swoją intrygę.

- Co tak pędzisz, ty nędzny karle?!

Zdorab zwolnił i Nafai dogonił go chwiejnym krokiem.

Doszli do drzwi, których pilnował ten sam człowiek co przedtem. Spojrzał pytająco na Zdorabę. Oto ten moment, pomyślał Nafai. Przekazują sobie sygnał.

- Proszę otworzyć drzwi dla pana Gaballufixa - powiedział Zdorab. - Wychodzimy.

Nafai uzmysłowił sobie, że jedynym sygnałem było nieme pytanie odzwiernego, czy ten człowiek w żołnierskim kostiumie holograficznym to Gaballufix, a Zdorab odpowiedział mu zapewnieniem, że pijany gbur w kostiumie to ten sam, który zaledwie kilka minut temu wszedł przez te drzwi.

-Idziesz się weselić, panie? - zainteresował się odzwierne.

-Wygląda na to, że rada chce dziś pokazać, na co ją stać

- odezwał się Zdorab.

-Czy chcecie eskorty? - zapytał strażnik. - Pod ręką mamy zaledwie kilkudziesięciu ludzi, ale w kilka minut możemy sprowadzić więcej.

-Nie! - warknął Nafai.

-Ja tylko myślałem... że radzie potrzeba przypomnienia, tak jak zeszłym razem...

-Oni pamiętają! - wykrzyknął Nafai. Zastanawiał się, co to był za „zeszły raz”.

Zdorab wyszedł pierwszy. Nafai pokuśtykał za nim i drzwi zostały zamknięte na zasuwę.

Kiedy przemierzali opustoszałe ulice Basiliki, Nafai zaczął sobie uświadamiać, czego przed chwilą dokonał. Po niepowodzeniach doznawanych w ciągu całego dnia oto wyszedł z domu Gaballufixa z Indekssem. A przynajmniej z człowiekiem, który niósł Indeks.

- Powietrze jest bardzo orzeźwiające, prawda, panie?

- powiedział Zdorab.

-Mm... - mruknął Nafai.

-Wygląda na to, że umysł znacznie ci się rozjaśnił.

Nafai uprzytomnił sobie, że zapomniał odgrywać dalej pijanego. Za późno jednak, by znów zacząć udawanie - głupio by wyglądało, gdyby teraz zaczął się potykać. Przystanął, spojrzął na Zdoraba groźnie. Sługa oczywiście nie mógł zobaczyć wyrazu jego twarzy, mógł go sobie jedynie wyobrazić.

Zdorab najwidoczniej miał bardzo bogatą wyobraźnię. Skulił się w sobie.

- Nie znaczy to, że na początku nie miałeś jasnego umysłu. Ty zawsze masz jasny umysł, panie. A dziś idziesz na spotkanie z radą klanu, więc to się dobrze składa!

Cudownie, pomyślał Nafai.

- Gdzie się dziś spotykają? - zapytał Zdorab.

Nafai nie miał bladego pojęcia. Wiedział tylko, że musi się spotkać z braćmi za bramą Stożka.

-A jak ci się zdaje? - warknął.

-Cóż, po prostu... wydawało mi się, że idziesz w kierunku Stożka, a... to nie znaczy, że nie mogą urządzać spotkania w Psim Rewirze, ale zazwyczaj... oczywiście nie sądz, panie, że ktoś mnie kiedykolwiek zabiera na te spotkania. O ile się orientuję, każdej nocy organizujesz spotkania w różnych miejscach, słyszałem tylko, że rada klanu zbiera się w domu twojej matki niedaleko Tylnej Bramy, ale to było... to mogło być tylko jeden raz.

Nafai szedł dalej, pozwalając, by Zdorabem owładnął jeszcze większy strach.

- O nie! - wykrzyknął sługa.

Nafai się zatrzymał. Zabiorę Indeks i pobiegnę do bramy, postanowił. Czy zdążę, zanim Zdorab podniesie alarm?

- Nie zamknąłem skarbca! - jęknął Zdorab. - Byłem taki przejęty Indekssem... Wybacz mi, panie. Wiem, że drzwi mają być otwarte tylko wtedy, gdy ja tam jestem, a ja... Och, właśnie sobie uświadomiłem, że przedtem też zostawiłem je otwarte, kiedy przyszedłem wezwany przez ciebie. Co mnie napadło? Zrozumiem, jeśli stracę przez to pracę, panie. Nigdy dotąd nie zostawiłem drzwi do skarbca bez nadzoru. Czy mam wrócić i zamknąć je na klucz? Tam jest taki majątek... A jeśli któryś ze służących... Panie, mogę pobiec tam i nie później

niż za kilka minut wrócę do ciebie, jestem bardzo szybkim biegaczem.

To była wyśmienita okazja, żeby się pozbyć Zdoraba - zabrać Indeks, puścić sługę i wyjść ze Stożka. A jeżeli to podstęp? A jeżeli Zdorab próbuje uwolnić się od niego, by ostrzec żołnierzy Gaballufixa, że uzurpator w kostiumie holograficznym ucieka z Indeksem? Nafai nie mógł puścić Zdoraba, nie teraz. Nie prędzej niż znajdzie się bezpiecznie za bramą.

- Zostań ze mną - powiedział.

Aż się skrzywił, odkrywając, jak niewielkie jest teraz podobieństwo między jego własnym głosem i głosem Gaballufixa. Czy Zdorab uniósł brwi ze zdziwienia? Iść dalej, pomyślał Nafai. Iść dalej i nic nie mówić. Przyspieszył tempo. Z powodu krótszych nóg Zdorab teraz biegł truchtem, żeby dotrzymać mu kroku.

- Nigdy nie byłem na takim spotkaniu, panie - wysapał, dysząc z wysiłku. - Nie będę musiał nic mówić, prawda? Nie jestem członkiem rady. Co ja gadam! I tak prawdopodobnie nie wpuszczą mnie do środka. Zaczekam na ciebie na zewnątrz. Wybacz mi, proszę, że jestem taki zdenerwowany, po prostu... cały czas przesiaduję w skarbcu i oczywiście w bibliotece, pro wadząc rachunki i tak dalej. Musisz zdawać sobie sprawę, że prawie nigdzie nie chodzę, nie mam wielu okazji do rozmowy i źródłem mojej wiedzy o polityce jest to, co uda mi się pod słuchać. Oczywiście wiem, że ty jesteś bardzo zaangażowany. Wszyscy w twoim domu są bardzo dumni z tego, że pracują dla takiego sławnego człowieka. Jest jednak niebezpiecznie, prawda? Mam na myśli dzisiejsze zabójstwo Roptata. Czy ani trochę nie boisz się o siebie?

Czy on naprawdę jest aż takim głupcem? - pomyślał Nafai. Czy może w rzeczywistości podejrzewa, że zabójcą Roptata może być Gaballufix, i na swój niezręczny sposób próbuje uzyskać informacje na ten temat?

Gaballufix na pewno nie odpowiedziałby na takie pytania, więc Nafai milczał. Wreszcie dotarli do bramy.

Strażnicy na powrót stali się czujni. Oczywiście, Zdoraba zastanowiłoby, gdyby tym razem zachowywali się tak dziwnie nieuważnie. Nafai kłął na siebie, że zabrał go ze sobą. Powinien był pozbyć się służącego, kiedy miał ku temu okazję.

Strażnicy zajęli swoje stanowiska, wyciągając skanery do badania kciuków. Wyglądali na nieprzyjaźnie nastawionych - z powodu żołnierskiego kostiumu był ich wrogiem lub co najwyżej rywalem. Skaner oczywiście ujawni jego prawdziwą tożsamość, ale ponieważ Nafai był teraz podejrzany o zamordowanie Roptata, nie na wiele to się zda.

Nafai zastygł w miejscu pełen niezdecydowania, lecz Zdorab zainterweniował:

- Chyba nie każecie mojemu panu kłaść palca na swoim ładnym ekraniku! - huknął, a potem przycisnął własny kciuk do skanera.

- Czy to wam mówi, kim jestem? Skarbnikiem lorda Gaballufixa!

- Prawo stanowi, że każdy tu kładzie swój kciuk - powiedział strażnik.

Teraz jednak wyglądał na znacznie mniej pewnego siebie. Wymiana złośliwości z żołnierzami Gaballufixa to jedno, lecz bezpośrednie spotkanie z nim to coś zupełnie innego.

-Przykro mi, panie, ale stracę pracę, jeśli tego nie zrobię. Nafai nadal stał bez ruchu.

-To szykanowanie! - wykrzyknął Zdorab.

Ciągle zerkał na Nafaia, ale oczywiście z beznamiętnej maski holograficznej nie mógł nic wyczytać.

- Dziś w mieście grasują mordercy - powiedział strażnik przepraszająco. - Sam zgłosiłeś, panie, że najmłodszy syn Wetchika zabił Roptata, więc musimy sprawdzać wszystkich.

Nafai ruszył naprzód i wyciągnął rękę w kierunku ekranu skanera. Jednocześnie zbliżył głowę do strażnika i powiedział cicho:

- A jeżeli człowiek, który tak absurdalnie kłamał, sam jest tym mordercą?

Strażnik odskoczył, nie rozumiejąc sensu słów. Następnie spojrzał na ekran i zobaczył nazwisko podane przez miejski komputer. Przez chwilę się zastanawiał.

Nadduszo, obdarz tego człowieka rozumem. Niech zrozumie prawdę i działa zgodnie z nią.

- Dziękuję, że poddałeś się wymogom prawa, lordzie Gaballufiksie - odezwał się strażnik.

Nacisnął wyłącznik i Nafai zobaczył, jak jego nazwisko znika. Nie oglądając się za siebie, przeszedł przez bramę. Usłyszał tupot kroków Zdoraba za plecami.

- Czy dobrze postąpiłem, panie? - zapytał. - Wydawało mi się, że nie chcesz kłaść kciuka na ekranie skanera, więc... Dokąd idziemy? Czy nie jest trochę za ciemno, żeby przedzierać się przez te zarośla? Czy nie moglibyśmy się trzymać drogi, lordzie Gaballufiksie? Oczywiście świeci księżyc, więc nie jest aż tak ciemno, ale...

Paplanina Zoraba powodowała, że nie mogli dotrzeć dyskretnie do miejsca, gdzie Nafai kazał braciom czekać. A teraz Zdorab nazwał go głośno imieniem Gaballufixa. Nafai więc wcale się nie zdziwił, kiedy dostrzegł jakieś gwałtowne poruszenie i usłyszał kroki oddalające się w pośpiechu. Jasne - pomyśleli, że Nafai został schwytany, że ich zdradził, a Gaballufix przyszedł ich zabić. Przecież widzieli jedynie kostium.

Nafai pogrzebał przy kontrolkach. Skąd mógł wiedzieć, czy kostium jest wyłączony? W końcu zdarł go przez głowę, po czym zawołał głośno swoim naturalnym głosem:

-Elemak! Issya! Meb! To ja! Nie uciekajcie!

Zatrzymali się.

-Nafai! - powiedział Meb.

-W ubraniu Gaballufixa! - dodał Elemak.

-Udało ci się! - wykrzyknął ze śmiechem Issib.

Cichy pisk tuż za jego plecami przypomniał Nafaiowi, że ta miła scena spotkania jest dużo mniej radosna dla biednego Zdoraba, który właśnie odkrył, że szedł za człowiekiem oskarżonym o zamordowanie Roptata i że ten człowiek na pewno zrobił coś złego Gaballufixowi.

Nafai odwrócił się w porę, by zobaczyć, jak rzuca się do ucieczki. „Jestem bardzo szybkim biegaczem”, powiedział wcześniej skarbnik. Nafai teraz się przekonał, że to nieprawda. Dogonił go po kilku krokach, powalił na ziemię i mocował się z nim zaledwie przez chwilę, nim unieruchomił go i zakrył mu ręką usta. Strażnicy znajdowali się w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Naddusza niewątpliwie odciągnął ich uwagę od krzyków, ale możliwości ogłupiania ludzi przez Nadduszę były ograniczone.

- Posłuchaj - szepnął Nafai. - Jeśli zrobisz to, co powiem, nie zabiję cię. Rozumiesz?

Poczuł pod ręką, jak Zdorab kiwa potakująco głową.

- Przysięgam ci na Nadduszę, że nie zabiłem Roptata. Twój pan Gaballufix jest sprawcą śmierci Roptata i wydał rozkaz, żeby jego ludzie zamordowali mnie i moich braci. To on był mordercą. Pozbawiłem go życia, bo tak nakazywała sprawiedliwość. Rozu miesz? Ja nie zabijam dla przyjemności. Nie chcę zabić ciebie. Czy będziesz cicho, jeśli odsłonię ci usta?

Zdorab znów potaknął. Nafai cofnął rękę.

-Nie zabijaj mnie - szepnął Zdorab.

-Wierzysz w moje słowa? - spytał Nafai.

-Czy uwierzyłbyś w moją odpowiedź? - odpowiedział pytaniem Zdorab. - Chyba jesteśmy w sytuacji, kiedy ludzie mówią to, co według nich chce usłyszeć druga strona, prawda?

Miał po części rację.

-Zdorabie, nie mogę pozwolić ci wrócić do miasta. Jeśli jesteś jednym z ludzi Gaballufixa, jednym z bandytów, których wynajmuje do załatwiania swoich brudnych spraw w Basilice, to nie mogę ufać twoim słowom i mogę równie dobrze zabić cię teraz, i mieć spokój. Ale nie wydaje mi się, żebyś był jednym z tych ludzi. Sądzę, że jesteś zwykłym skarbnikiem, urzędnikiem, który nie miał pojęcia, z czym wiązała się praca dla Gaballufixa.

-Ciagle widywałem rzeczy, które nikomu innemu nie wydawały się dziwne, i nikt nie chciał odpowiadać na moje pytania, więc trzymałem się na uboczu i milczałem.

-Idziemy teraz na pustynię. Jeśli pójdziesz i zostaniesz z nami - jeśli przysięgniesz na Nadduszę - to będziesz wolnym człowiekiem, członkiem naszej rodziny posiadającym równe prawa. Nie chcemy, żebyś był naszym sługą; przyjmiemy cię jedynie jako przyjaciela.

-Oczywiście, że przysięgnę. Ale skąd będziesz wiedział, czy mi wierzyć?

-Przysięgnij na Nadduszę, mój przyjacielu Zdorabie, i będę wiedział.

-A więc przysięgam na Nadduszę, że zostanę z tobą i będę zawsze twoim lojalnym przyjacielem. Pod warunkiem że mnie nie zabijesz. Choć przypuszczam, że gdybyś mnie zabił, reszta i tak nie miałaby znaczenia, prawda?

Nafai zobaczył, że bracia zebrali się wokół nich. Oczywiście słyszeli przysięgę i mieli własne zdanie na ten temat.

-Zabij go - powiedział Meb. - To jeden z ludzi Gaballufixa, nie można im wierzyć.

-Ja mu uwierzę, jeśli tak trzeba - oświadczył Elemak.

-Skąd możemy wiedzieć? - zapytał Issib.

Nafai ich nie słuchał. Słuchał Nadduszy i odpowiedź była jasna: zaufać temu człowiekowi.

- Przyjmuję twoją przysięgę - oświadczył. - I klnę się na Nadduszę, że ani ja, ani nikt w mojej rodzinie nie zrobi ci krzywdy, jeśli nie złamiesz swego słowa. Przysięgnijcie, wszyscy.

-To absurd! - wykrzyknął Mebbekew. - Narazasz nas wszystkich.

-Na tę noc Naddusza przekazał dowodzenie w moje ręce - powiedział Nafai - a wy obiecaliście być posłuszni. Wyszedłem z miasta z Indekssem, prawda? A Gaballufix nie żyje. Przysięgnijcie temu człowiekowi!

Złożyli przysięgę. Wszyscy.

-A teraz - zwrócił się Nafai do Zdoraba - daj mi Indeks.

-Nie mogę - odparł skarbnik.

-Widzisz? - wtrącił Meb.

-Kiedy mnie przewróciłeś, upuściłem go.

-Cudownie! - zadrwił Elemak. - Przeszliśmy taki szmat drogi, żeby zdobyć ten cenny Indeks, a teraz będziemy zbierać jego kawałki po całej pustyni.

Issib jednak odnalazł kulę w pobliżu, a kiedy Elemak ją podniósł, wyglądała na nieuszkodzoną. Przynajmniej w świetle księżyca wydawało się, że nie ma na niej nawet rysy.

Mebbekew również przyjrzał się dokładnie Indeksowi, obmacał go i zważył w ręku.

-Zwykła kula. Metalowa kula.

-Nawet nie wygląda jak normalny indeks - stwierdził Issib.

Nafai wziął kulę od Mebbekewa. Natychmiast zaczęła się zarzyć, a na jej spodzie pojawiły się światła.

- Chyba trzymasz ją odwrotnie - powiedział Zdorab.

Nafai obrócił kulę. W powietrzu nad nią pojawiła się holograficzna strzała skierowana na południowy zachód. Powyżej strzały znajdowało się kilka słów, ale w języku, którego Nafai nie rozumiał.

- To starożytny puckyi - wyjaśnił Issib. - Już nikt nim nie mówi.

Litery się zmieniły. Utworzyły jedno słowo: „Krzeseł”.

-Strzała - stwierdził Issib - wskazuje kierunek, gdzie zosta-
wiłem krzesło.

-Niech zobaczę - powiedział Elemak.

Nafai podał mu Indeks. Obraz zniknął. Nafai wyciągnął rękę.
Elemak spojrział na niego nieruchomym, lodowatym wzrokiem, po-
czym oddał mu metalową kulę. Kiedy Nafai jej dotknął, obraz
znow się pojawił. Nafai odwrócił się do Zdoraba.

-Co to znaczy?

-Nie mam pojęcia - odparł Zdorab. - Nigdy przedtem nic się z
nią nie działo. Myślałem, że kula jest zepsuta.

-Daj mi spróbować - powiedział Issib.

-Nie, proszę - sprzeciwił się Nafai. - Zawiniemy ją i zanieśmy
ojcu. Elemak zna drogę. Powinien nas prowadzić.

-Zgadza się - potwierdził Mebbekew.

-Niech będzie - zgodził się Issib.

-Który to Elemak? - zapytał Zdorab.

Elemak ruszył w kierunku Głównego Traktu, do miejsca gdzie
czekało na nich krzesło Issiba. Kiedy dotarli do wielbłądów, niebo
już zaczynało się rozjaśniać na wschodzie. Nafai owinął Indeks i
podał Elemakowi.

- Ty powinienes go dać ojcu.

Elemak wyciągnął rękę i chwyciwszy koszulę Nafaia - nie,
Gaballufixa - w dwa palce, przysunął się i powiedział spokojnie:

- Nie traktuj mnie protekcyjnie, Nafaiu. Wiem, co jest
właściwe. Nie ty będziesz mi dawał w prezencie władzę, zaszczy-
ty lub cokolwiek innego. Wszystko, co będę miał, dostanę dlatego,
że będzie mi się słusznie należało. Rozumiesz mnie?

Nafai skinął głową. Elemak go puścił i odszedł. Dopiero wtedy
Nafai zrozumiał, że ten rozłam między nim a starszym bratem
nigdy nie zniknie. Indeks ożył w rękach Nafaia. W rękach Elemaka
leżał bezwładnie. Naddusza przemówił i Elemak nigdy nie
wybaczy mu przesłania, które przekazał.

Indeks Nadduszy

Nafai i ojciec siedzieli, a Issib leżał na dywaniku w namiocie ojca. Indeks znajdował się między nimi. Nafai dotknął go palcami. Ojciec też wyciągnął rękę i przytknął ją do kuli. Następnie drugą ręką uniósł ramię Issiba i przysunął jego dłoń do Indeksu. Wówczas Indeks przemówił.

- Przebudzony po tak długim czasie - odezwał się szepem.

Nafai nie był pewien, czy słyszy go naprawdę, czy też jego umysł przekształca dźwięki z otoczenia - pustylny wiatr, ich własne oddechy - w słowa.

- Wielka jest cena twojego przyjścia do nas - powiedział ojciec.

-Długo czekałem, żeby znów przemówić tym głosem. To nie Indeks mówił. Nafai teraz wiedział.

-To głos Nadduszy.

-Tak - potwierdził szept.

- Jeżeli ta kula mówi twoim głosem - zapytał ojciec - to dlaczego jest nazywana indeksem?

Naddusza odpowiedział dopiero po długim wahaniu:

- To jest indeks dla mnie.

Indeks Nadduszy. Indeks to rodzaj narzędzia, które ludzie stworzyli po to, aby ułatwić sobie poruszanie się w labiryncie pamięci skomplikowanego komputera. Naddusza był największym

ze wszystkich komputerów, a Indeks to narzędzie pozwalające Nafaiowi, Issibowi i ojcu wreszcie zacząć go rozumieć.

- Skoro już mamy Indeks - powiedział Nafai - czy możesz nam wyjaśnić, kim... czym jesteś?

Znów nastąpiła przerwa, po czym głos szepnął:

-Jestem Pamięcią Ziemi. Nigdy nie planowano, że będę istnieć tak długo. Słabnę i muszę wrócić do tego, który jest mądrzejszy ode mnie, który mi powie, co zrobić, żeby uratować ten nie-harmojny świat zwany Harmonią. Wybrałem waszą rodzinę, by mnie zabrała z powrotem do Opiekuna Ziemi.

-Tam nas prowadzisz?!

-Świat, który został pogrzebany w lodzie i skryty pod zasłoną dymu, na pewno odżył. Opiekun, który wykwaterował ludzkość ze zdewastowanej planety, z pewnością nie odwróci się teraz od was. Pójdźcie za mną, dzieci Ziemi, zaprowadzę was do waszego dawnego domu.

Nafai przeniósł wzrok z ojca na Issiba i z powrotem.

-Czy macie pojęcie, co to oznacza? - zapytał.

-Długą podróż - odparł ze znużeniem ojciec.

-Długą! - wykrzyknął Nafai. - Tak długą, że światło potrzebuje stu lat, żeby do nas dotrzeć!

-O czym ty mówisz? - zdziwił się Issib. - Pomyślałby kto, że Naddusza obiecał nas zabrać na inną planetę.

Słowa Issiba zawisły w powietrzu jak fałszywie brzmiąca melodia. Nafai siedział oszołomiony. Oczywiście, że Naddusza obiecał zabrać ich na inną planetę! Powiedział to wyraźnie. Tylko że Issib usłyszał co innego. I ojciec również. Zatem Indeks najwidoczniej nie mówił normalnym głosem, a oni w rzeczywistości słyszeli go umysłem, a nie uszami.

-A według was co Naddusza powiedział?

-Że zaprowadzi nas do pięknej krainy - odparł ojciec - gdzie ziemia będzie dawać obfite plony, gdzie nasze dzieci będą wolnymi, przyzwoitymi ludźmi i obce im będzie zło panoszące się w Basilice.

-Ale dokąd? - zapytał Nafai. - Czy powiedział, gdzie będzie ta piękna kraina?

- Nafaiu, musisz się zdobyć na więcej cierpliwości i ufności - odparł ojciec. - Naddusza nas poprowadzi krok po kroku,

a pewnego dnia jeden z tych kroków będzie ostatnim w naszej podróży i znajdziemy się w domu.

- To nie będzie miasto - dodał Issib - ale miejsce, gdzie znów będę mógł korzystać z moich lewiterów.

Nafai był głęboko zawiedziony. Czemu tego nie usłyszeli? Albo to znaczyło, że po prostu nie potrafili zrozumieć głosu Nadduszy tak jak on, albo że Naddusza powiedział im coś zupełnie innego. Tak czy owak Nafai nie mógł im narzucać swojego rozumienia przesłania Nadduszy.

-A co ty usłyszałeś? - dociekał ojciec. - Coś więcej?

-Nic, co by było w tej chwili ważne - odparł Nafai. - Liczy się to, że wiemy, iż nie będziemy tu wyczekiwać, aż Basilika przyjmie nas z powrotem. Teraz nie jesteśmy wygnańcami, lecz ekspatriantami. Emigrantami. Basilika już nie jest naszym miastem.

Ojciec westchnął.

- Pomyśleć, że właśnie zamierzałem przejść na emeryturę i przekazać interesy Elyi. Nie chciałem już podróżować! A teraz czeka mnie najdłuższa podróż mojego życia.

Nafai wziął Indeks w ręce i przysunął do siebie. Indeks zadrżał mu w dłoniach.

-A jeżeli chodzi o ciebie, dziwny Indeksie, to mam nadzieję, że okażesz się warty wszystkich trudów, które trzeba było podjąć, żeby cię zdobyć. Ceny, którą zapłacono.

-Taka fortuna! - westchnął Issib. - Nie wiedziałem, że jesteśmy takimi bogaczami, aż do dnia, kiedy przestaliśmy nimi być.

-Teraz jesteśmy bogatsi niż kiedykolwiek - stwierdził ojciec. - Obiecano nam całą krainę, której nie zabierze nam ani miasto, ani klan, ani wróg. I mamy tu Indeks do Nadduszy, który nas poprowadzi.

Nafai prawie ich nie słyszał. Myślał o krwi, którą przelał, o tym, jak splamiła jego ubranie i skórę. Nie chciałem tego zrobić, dumiał, ale pozbawienie życia mordercy było wymierzeniem sprawiedliwości. Kiedy Elemak sądził, że zabił człowieka, z daleka, za pomocą pulsatora, przechwalał się tym. A ja zadałem śmierć z bliska, kiedy Gabya leżał pijany i bezradny na ulicy. Zrobiłem to nie z obawy o własne życie i nie w obronie karawany,

lecz z zimną krwią, bez gniewu, ponieważ Naddusza powiedział mi, że to słuszne, i w głębi serca wierzyłem, że to konieczność.

Ale również nienawidziłem go. Czy kiedykolwiek będę pewny, że nie zrobiłem tego powodowany nienawiścią, pragnieniem zemsty?

Mogę jednak z tym żyć. Mogę spać dziś wieczorem. Z czasem ból z tego powodu nawet ustanie. To cena za to, kim zgodziłem się być: sługą Nadduszy. Już nie należę do siebie. Jestem człowiekiem, jakiego Naddusza postanowił ze mnie uczynić. Mam nadzieję, że kiedy nie będę już potrzebny Nadduszy, to choć częściowo spodoba mi się człowiek, jakim się stałem.

Spał tamtej nocy i śnił. Nie o morderstwie. Nie o głowie Gaballufixa ani nie o krwi na swoim ubraniu. Śnił o nieustannie przemieszczającej się mgle, dryfowaniu na morzu, którego prądy mieszały gorącą i zimną wodę. A potem czyjeś ręce wyłaniające się z tego zagubionego, tajemniczego i spokojnego miejsca przesunęły się badawczo po jego twarzy i barku, a następnie chwyciły go za ramię i przyciągnęły blisko do siebie.

Nie jestem tu pierwszy, uświadomił sobie po przebudzeniu. Nie jestem sam w tym królestwie Nadduszy. Inni już tu byli przede mną i są teraz ze mną, i będą ze mną do końca tego wszystkiego, co ma nastąpić.

Podziękowania

Za pomoc w stworzeniu niniejszego dzieła jestem winien wdzięczność wielu osobom, niektórym należy się ona bardziej niż innym.

Moja żona, Kristine, jak zawsze była moją pierwszą recenzentką, jednak przy tej książce pomagał jej w tej ciężkiej pracy nasz najstarszy syn, Geoffrey, który okazał się wnikliwym czytelnikiem i skrupulatnym redaktorem. Na świecie jest za mało dobrych redaktorów. Jestem dumny, że znalazłem kolejnego.

Muszę również podziękować wielu przyjaciołom pracującym ze mną nad innymi projektami, którzy czekali cierpliwie, aż ukończę tę książkę i będę mógł powrócić do innych, zbyt długo odkładanych przedsięwzięć. Na koniec dziękuję, znów i jak zawsze, mojemu agentowi, Barbarze Bova, która jest dowodem tego, że można robić dobre interesy z dobrymi przyjaciółmi.

Spis rzeczy

Mapa	6
Objaśnienia genealogiczne	8
Imiona zdrobniałe	10
Wymowa imion	11
Prolog	12
Dom ojca	14
Dom matki	26
Ogień	41
Maski	60
Wozy	73
Wrogowie	83
Modlitwa	107
Ostrzeżenie	129
Kłamstwa i przebrania	151
Namioty	176
Bracia	200
Fortuna	227
Ucieczka	241
Krzesło Issiba	259
Morderstwo	266
Indeks Nadduszy	289
Podziękowania	293